



Oliver Lauren

Delirium 02

Pandemonium

Lena żyje w świecie, w którym [miłość] uznano za niebezpieczną chorobę, a ludzie poddawani są zabiegowi, po którym już nigdy nie będą mogli kochać. Tuż przed operacją dziewczyna zakochuje się w Aleksie. Ich wspólna ucieczka kończy się tragicznie... Wśród dymu i płomieni Lena widzi twarz ukochanego po raz ostatni.

Zrozpaczona przystępuje do ruchu oporu, by walczyć o wolność i [miłość]. Na jej drodze staje tajemniczy Julian.

Czy można pokochać największego wroga?



TERAZ

Leżymy z Alekssem na kocu w ogrodzie przy Brooks Street 37. Drzewa wydają się większe i ciemniejsze niż zazwyczaj. Liście są niemal czarne, splecione z sobą tak gęsto, że zasłaniają niebo.

— To raczej nie jest najlepszy dzień na piknik — oznajmia Alex i właśnie wtedy uświadamiam sobie, że coś w tym jest, bo nawet nie tknęliśmy przyniesionego jedzenia. Koło koca leży koszyk pełen nadgniłych owoców, ob-leziony rojem małych czarnych mrówek.

— Dlaczego nie? — pytam. Leżymy oboje na plecach, wpatrzeni w plątaninę liści nad naszymi głowami, gęstą jak mur.

— Ponieważ pada śnieg — odpowiada Alex ze śmiechem. I znowu stwierdzam, że ma rację. Wokół nas wirują płatki śniegu barwy popiołu. Do tego jest zimno. Mój oddech zamienia się w kłęby pary, więc przyciskam się do Aleksa, próbując się ogrzać.

- Daj mi rękę - mówię, jednak on nie reaguje. Próbuję się wtulić w zagłębienie między jego ramieniem a piersią, ale jego ciało jest sztywne, twarde. - Alex, daj spokój. Zimno mi.

- Zimno mi - powtarza za mną, a jego usta, sine i spękane, ledwo się poruszają. Wpatruje się w liście nieruchomym wzrokiem.

- Spójrz na mnie - mówię, ale on nie odwraca głowy, nie porusza powiekami, jego ciało ani drgnie. Zaczyna we mnie wzbierać paniczny lęk, w głowie słyszę histeryczny głos: „Coś jest nie tak, coś jest nie tak!”, więc podnoszę się i kładę rękę na piersi Aleksa, która okazuje się zimna jak lód. - Alex - mówię, a potem krzyczę: - Alex!

- Leno Morgan Jones!

Wracam do rzeczywistości przy wtórze stłumionych chichotów.

Pani Fierstem, nauczycielka fizyki w klasie maturalnej szkoły Quincy Edwards High School dla dziewcząt w Brooklynie, spogląda na mnie surowym wzrokiem. To trzeci raz w tym tygodniu, kiedy zasnąłam na jej lekcji.

- Skoro temat stworzenia naturalnego porządku wydaje ci się zbyt nużący - oświadczam - proponuję wycieczkę do gabinetu dyrektorki, może to cię obudzi.

- Nie! - protestuję głośniejszym głosem niż zamierzałam, wywołując kolejną serię chichotów.

Zacząłam naukę w tym liceum zaraz po przerwie zimowej - nieco ponad dwa miesiące temu - a już przypięto mi etykietkę klasowego świra. Ludzie unikają mnie, jak gdybym była chora - jak gdybym była chora na tę chorobę.

Gdyby tylko wiedzieli...

— To twoje ostatnie ostrzeżenie, panno Jones — mówi pani Fierstein. — Zrozumiano?

— Obiecuję, że więcej się to nie powtórzy — odpowiadam, starając się przybrać skruszoną minę. Odsuwam od siebie wspomnienie koszmaru, odsuwam myśli o Aleksie, o Hanie, o mojej dawnej szkole. Jak najdalej, tak jak mnie nauczyła Raven. Moje dawne życie umarło.

Pani Fierstein rzuca mi jeszcze jedno spojrzenie — które, jak mniemam, miało wzbudzić we mnie strach — po czym odwraca się w stronę tablicy i wznawia swój wykład o boskiej energii elektronów.

Dawna Lena panicznie by się bała takiej nauczycielki jak pani Fierstein. Jest stara, złośliwa i wygląda jak skrzyżowanie żaby z pitbullem. Jest jedną z tych osób, które sprawiają, że remedium wydaje się zbędne — nie można sobie wyobrazić, by była zdolna do miłości nawet bez zabiegu.

Ale dawna Lena również umarła. Pogrzebałam ją.

Zostawiłam ją za tamtym ogrodzeniem, za ścianą dymu i ognia.

WTEDY

Na początku jest ogień.

Ogień w nogach i płucach, ogień szarpiący każdym nerwem i każdą komórką mego ciała. Właśnie tak rodzę się na nowo, w bólu: wyłaniam się z duszącego żaru i ciemności, przedzieram przez wilgotną ciemność pełną dziwnych hałasów i woni.

Biegnę, a kiedy nie jestem już w stanie biec, kuśtykam przed siebie, a gdy i na to nie mam siły, zaczynam się czołgać, posuwać do przodu centymetr po centymetrze, orząc pazurami ziemię, jak robak przedzierający się przez gęstwinę tej niezwyklej dziczy.

Moje narodziny to również krew.

Sama nie wiem, jak długo wędrowałam w głąb Głuszy i jak długo przedzierałam się przez las, kiedy zdałam sobie sprawę, że zostałam postrzelona. Jeden z porządkowych musiał mnie trafić, kiedy wspinałam się na ogrodzenie. Kula drasnęła mnie z boku, tuż pod pachą, i podkoszulek

zrobił się mokry od krwi. Miałam szczęście. Rana jest płytka, ale widok krwi i poszarpanej skóry sprawia, że ta nowa rzeczywistość uderza mnie brutalnie, dociera do mnie realność tego nowego miejsca, tej bujnej roślinności, otaczającej mnie ze wszystkich stron, oraz tego, co się stało i co zostawiłam. Tego, co mi zabrano.

Choć żołądek mam pusty, wymiotuję. Kaszlę i pluję żółcią na płaskie, lśniące liście, które wyściełają ziemię. Nade mną świergocą ptaki. Jakieś zwierzę podchodzi do mnie zaciekawione, a potem szybko znika w płataninie roślin.

Myśl, myśl. Alex. Myśl, co zrobiłby Alex.

Alex jest tu, tuż obok. Uruchom wyobraźnię.

Zdejmuję podkoszulek, rozrywam go i zawiązuję najczystszy jego kawałek wokół piersi, tak żeby uciskał ranę i pomógł zatamować krew. Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani dokąd zmierzam. Mam w głowie tylko jedną myśl: byle do przodu, byle dalej, głębiej, z dala od granicy i świata, w którym są psy, karabiny i...

Alex.

Nie. Alex jest tu. Wyobraź to sobie.

Posuwam się naprzód krok po kroku, zmagając się z cierniami, pszczołami i komarami, przedzierając się przez grube gałęzie, przez chmary małych muszek wiszące w powietrzu niczym mgła. W pewnym momencie trafiam na rzekę. Jestem tak słaba, że o mało nie porywa mnie prąd. W nocy pada intensywny deszcz, przenikliwy i zimny. Przycupnęłam między korzeniami ogromnego dębu, a ciemność wokół mnie rozbrzmiewa dziwnymi odgłosami — słychać krzyki, sapanie i chrobot niewidocznych

zwierząt. Jestem zbyt przerażona, by usnąć. Sen oznacza śmierć.

Ja, nowa Lena, nie rodzę się tak od razu. Krok po kroku, a potem centymetr po centymetrze. Czołgając się, ze skurczonymi wnętrznościami, czując w ustach smak dymu.

Pełzając po ziemi jak robak.

To właśnie tak przychodzi na świat nowa Lena.

Kiedy nie jestem już w stanie posunąć się ani odrobinę dalej, kładę głowę na ziemi i czekam na śmierć. Nie mam siły, żeby się bać. Nade mną jest ciemność, wszędzie wokół jest ciemność, a las rozbrzmiewa niczym pożegnalna symfonia. Jestem na swoim pogrzebie. Spuszczają mnie do ciasnego, wąskiego dołu, wokół stoją ciotka Carol i Hana, moja mama i siostra, a także zmarły dawno ojciec. Wszyscy patrzą, jak moje ciało osuwa się do grobu, i śpiewają.

Jestem w czarnym tunelu wypełnionym mgłą i się nie boję. Alex czeka na mnie po drugiej stronie. Stoi tam, z uśmiechem na ustach, skąpany w blasku słońca. Wyciąga do mnie ręce, woła mnie...

Hej. Hej. Obudź się.

— Hej. Obudź się. No, obudź się.

Głos ten wyciąga mnie z tunelu i przez moment odczuwam potworne rozczarowanie, gdy otwieram oczy i widzę nie twarz Aleksa, lecz inną, pociągłą i nieznaną. Nie jestem w stanie myśleć. Cały świat jest rozbity na kawałki. Czarne włosy, szpiczasty nos, jasnozielone oczy — fragmenty układanki, których nie potrafię zebrać w całość.

- Tak, właśnie tak, zostań ze mną. Bram, gdzie, do diabła, jest woda!?

Ręka pod moim karkiem, a potem, nagle, ocalenie. Czuję coś lodowatego i płynnego: woda wypełnia mi usta i gardło, cieknie po podbródku, rozpuszcza pył i smak ognia. Najpierw kaszlę, krztuszę się, z oczu płyną mi łzy. A potem przełykam i piję dalej, czując cały czas pod karkiem czyjaś rękę i słysząc głos, który dopinguje mnie szeptem:

- Właśnie tak, świetnie. Pij, ile chcesz. Wszystko będzie dobrze. Jesteś bezpieczna.

Rozpuszczone czarne włosy wyglądają jak namiot wokół mojej twarzy. Kobieta. Nie, raczej dziewczyna — z wąskimi, zaciśniętymi ustami, zmarszczkami w kącikach oczu i rękami szorstkimi jak kora wierzby i wielkimi jak bochny chleba. W głowie pojawia się myśl: dziękuję; matka.

- Jesteś bezpieczna. Wszystko w porządku. Nic ci nie jest.

Właśnie takie muszą być pierwsze doświadczenia nowo narodzonych dzieci: są spragnione i bezradne, kołysane w czyichś ramionach.

Potem gorączka znowu odbiera mi przytomność. Budzę się kilka razy, a rzeczywistość dociera do mnie w serii chaotycznych impresji. Kolejne ręce, kolejne głosy. Ktoś mnie podnosi. Kalejdoskop zieleni nad głową, fraktalne wzory na niebie. A potem zapach ogniska, ktoś przyciska coś zimnego i mokrego do mojej skóry, dym i przyciszone głosy, przeszywający ból z boku ciała, a potem lód i ulga, i coś miękkiego ociera się o moje nogi. Pomiedzy

tym są sny, jakich nigdy wcześniej nie miałam, brutalne, pełne wybuchów. Widzę w nich topniejącą skórę i zwęglone szkielety.

Alex już do mnie nie przychodzi. Ruszył przodem i zniknął na końcu tunelu.

Prawie zawsze gdy się budzę, jest przy mnie czarnowłosa dziewczyna: podaje mi wodę do picia albo przyciska zimny ręcznik do czoła. Jej ręce pachną dymem i drewnem cedrowym.

A pod tym wszystkim, pod rytmem wyznaczanym przez chwile przebudzenia i snu, gorączki i dreszczy, jest słowo, które ciągle powtarza, tak że wpęła ono do moich snów, zaczyna usuwać z nich mrok, wyciąga mnie z głębin, ratując przed utonięciem: „Bezpieczna. Bezpieczna. Teraz jesteś bezpieczna”.

Wreszcie gorączka ustępuje, sama nie wiem po jak długim czasie, i wypływam na powierzchnię świadomości uczepiona tego słowa, delikatnie, miękko, jak gdybym płynęła na jednej fali aż do samego brzegu.

Jeszcze przed otwarciem oczu dociera do mnie sześć talerzy, zapach smażonego jedzenia i pomruk głosów. Moja pierwsza myśl, to że jestem w domu, u ciotki Carol, i że zaraz zawoła mnie na dół na śniadanie — ot, dzień jak każdy inny.

Potem wracają wspomnienia — ucieczka z Alekssem, atak policji, samotne noce i dni w Głuszy — i otworzywszy oczy, próbuję się podnieść na łóżku. Ale ciało nie chce mnie słuchać. Jedyne, co jestem w stanie zrobić, to unieść głowę. Mam wrażenie, że moje członki są z kamienia.

Czarnowłosa dziewczyna, która mnie znalazła i sprowadziła tutaj — gdziekolwiek teraz jestem — stoi w kącie, obok wielkiego kamiennego zlewu. Odwraca się, kiedy słyszy poruszenie na łóżku.

— Spokojnie — mówi. Wyjmuje ręce ze zlewu, mokre aż po łokcie. Twarz ma pociągłą, maksymalnie czujną, jak u zwierzęcia. Zęby drobne, zbyt drobne w stosunku do ust, i nieco krzywe. Rusza w stronę łóżka i przykuca przy nim. — Cały dzień byłaś nieprzytomna.

— Gdzie ja jestem? — pytam ochrypłym głosem, który ledwo przypomina mój.

— W azylu — odpowiada. Przygląda mi się uważnie. — W każdym razie tak to nazywamy.

— Nie, to znaczy... — Staram się złożyć w całość wszystkie wydarzenia, które miały miejsce po tym, jak wspięłam się na ogrodzenie. Ale potrafię myśleć tylko o Aleksie. — To znaczy... czy jestem w Głuszy?

Cień czegoś dziwnego przelatuje przez jej twarz, możliwe, że podejrzenia.

— Owszem, jesteśmy w wolnej strefie — odpowiada powoli, a potem wstaje i znika w ciemnych drzwiach. Z głębi domu słyszę niewyraźne głosy. Czuję przelotnie ukłucie strachu, zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, wspominając o Głuszy, czy jestem tu bezpieczna. Nigdy wcześniej nie słyszałam nikogo nazywającego ziemię niczyją „wolną strefą”.

Jednak nie. Kimkolwiek oni są, muszą być po mojej stronie. Uratowali mnie, byłam zdana na ich łaskę przez wiele dni.

Udaje mi się podźwignąć do półsiedzącej pozycji. Opieram głowę o twardą kamienną ścianę za moimi plecami.

Cały pokój jest z kamienia: surowa kamienna podłoga, kamienne ściany, na których miejscami widać cienką warstwę grzyba, i staromodny kamienny zlew wyposażony w zardzewiały kran, który najwyraźniej nie był używany od lat. Leżę na twardym, wąskim łóżku polowym, pokrytym zniszczonymi kołdrami. Ono, kilka blaszanych wiader w kącie pod nieczynnym zlewem oraz drewniane krzesło stanowią całe wyposażenie pokoju. Nie ma tu okien, nie ma też lamp — jedynie dwie latarenki na baterie wypełniają pokój wątłym niebieskawym światłem.

Do jednej ze ścian przybity jest mały drewniany krzyż z zawieszoną na nim postacią mężczyzny. Poznaje go — to symbol jednej z dawnych religii, z czasów sprzed remedium, aczkolwiek nie pamiętam już, której.

Nagle przypomina mi się trzecia klasa szkoły średniej, lekcja historii Stanów Zjednoczonych, kiedy to pani Dernier spoglądała na nas spoza tych swoich ogromnych okularów, stukając palcem w otwarty podręcznik i mówiła: „A widzicie? Widzicie? Popatrzcie na te wszystkie dawne religie, na każdym kroku splamione miłością. Cuchnęły delirium, ociekały nią”. I oczywiście wtedy wydawało się to okropne, i prawdziwe.

Miłość, najbardziej zdradliwa choroba na świecie.

Miłość, zabije cię...

Alex.

Zarówno wtedy, gdy cię spotka... Alex.

Jak i wtedy, kiedy cię omija. Alex.

— Byłaś półżywa, kiedy cię znaleźliśmy — mówi rzeczowo czarnowłosa dziewczyna, wracając do pokoju. Trzyma

ostrożnie w obu rękach ceramiczną miseczkę. — Nawet mniej niż pół. Nie sądziliśmy, że przeżyjesz. Stwierdziłam jednak, że powinniśmy chociaż spróbować.

Rzuca mi spojrzenie pełne wątpliwości, jak gdyby nie była pewna, czy jestem warta tego wysiłku, i przypominam sobie kuzynkę Jenny, która lubiła stawać z rękami na biodrach, bacznie mi się przy tym przyglądając. Muszę więc szybko zamknąć oczy, by powstrzymać mentalną powódź — zalew obrazów i wspomnień z życia, które już umarło.

— Dziękuję — mówię.

Dziewczyna wzrusza ramionami, ale odpowiada:

— Nie ma za co. — I najwyraźniej mówi to szczerze. Przyciąga krzesło do łóżka i siada. Ma długie włosy związane nad lewym uchem, pod którym widać ślad po zabiegu, potrójną bliznę, taką, jaką miał Alex. Ale nie może być wyleczona. W końcu mieszka tutaj, po drugiej stronie granicy: jest Odmieńcem.

Staram się usiąść prosto, ale zaledwie po kilku chwilach muszę się oprzeć znowu, wyczerpana. Czuję się jak nie do końca ożywiona marionetka. W głębi czaszki pulsuje przenikliwy ból, a kiedy spoglądam na skórę, widzę, że jest wciąż pokryta siatką zadrapań, śladami po ukąszeniach owadów i strupami.

W misce, którą trzyma dziewczyna, jest rosół posypany czymś zielonym. Wyciąga naczynie w moją stronę, ale zatrzymuje się w pół ruchu.

— Dasz radę ją utrzymać?

— Jasne, że tak — odpowiadam nieco zbyt ostro. Miska jest cięższa, niż się spodziewałam. Z trudem udaje mi się podnieść ją do ust. Czuję, jak gdybym miała w gardle papier ścierny. Rosół to prawdziwe błogosławieństwo. Mimo

że pozostawia w ustach dziwny posmak mchu, wypijam go do dna.

— Powoli — mówi dziewczyna, ale nie potrafię się powstrzymać. Nagle odzywa się we mnie niepoohamowany głód, jak czarna i bezkresna otchłań. Gdy tylko miska robi się pusta, pragnę więcej, mimo że od razu poczułam skurcze żołądka. — Będzie ci niedobrze — mówi tamta, kręcąc głową, i bierze ode mnie pustą miskę.

— Można prosić o dokładkę? — pytam ochrypłym głosem.

— Za chwilę — odpowiada.

— Proszę. — Głód jest jak wąż, który panoszy się w moim żołądku i zaczyna walić w nim ogonem.

Dziewczyna wzdycha, wstaje i znika w ciemnych drzwiach. Wydaje mi się, że głosy w korytarzu ożywiają się, a potem nagle następuje cisza. Czarnowłosa dziewczyna wraca z drugą miską zupy. Biorę ją od niej, a ona znowu siada, podciągając kolana pod brodę, jak dziecko. Nogi ma kościste i brązowe.

— A więc — odzywa się — z której strony przekroczyłaś granicę? — Gdy widzi na mojej twarzy wahanie, dodaje: — Nie ma sprawy. Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz.

— Nie, nie. W porządku. — Tę miskę rosołu wypijam wolniej, delektując się jego dziwnym, ziemistym posmakiem. Smakuje tak, jak gdyby był gotowany z kamieniami, i pewnie tak właśnie było. Alex powiedział mi kiedyś, że Odmieńcy, czyli ludzie, którzy mieszkają w Głuszy, nauczyli się radzić sobie, mając do dyspozycji bardzo skromne zaopatrzenie. — Jestem z Portland. — Miska znowu zrobiła się pusta, zbyt szybko, mimo to wąż w moim żołądku nie chce się uspokoić. — Gdzie jesteśmy?

— Kilka kilometrów na wschód od Rochester — odpowiada.

— Od Rochester. W stanie New Hampshire? — pytam z niedowierzaniem.

Dziewczyna uśmiecha się.

— Mhm. Musiałaś szybko zwiewać. Ile czasu spędziłaś sama w lesie?

— Nie mam pojęcia. — Opieram głowę o ścianę. Rochester w New Hampshire. To oznacza, że choć przekroczyłam granicę od północy, musiałam zupełnie stracić orientację i zrobić w Głuszy pętlę: wylądowałam dziewięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód od Portland. Znowu czuję się wyczerpana, mimo że spałam przez wiele dni. — Straciłam rachubę czasu.

— Nieźle dałaś czadu — stwierdza. Nie wiem, co to znaczy „dać czadu”, ale mogę się domyślić. — Jak przekroczyłaś granicę?

— Nie byłam... nie byłam sama — odpowiadam i bijący ogonem wąż nagle sztywnieje. — To znaczy nie miałam przejść sama.

— Byłaś z kimś? — Znowu spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem. Oczy ma prawie tak ciemne jak włosy. — Ze znajomym?

Nie wiem, jak ją poprawić. Z moim przyjacielem. Z moim chłopakiem. Z moją miłością. Wciąż dziwnie się czuję z tym słowem, wydaje się niemal bluźniercze, więc zamiast tego tylko kiwam głową.

— Co się stało? — pyta nieco łagodniejszym tonem.

— Nie... nie udało mu się. — W jej oczach błyska zrozumienie, gdy słyszy: „mu”. Skoro chcieliśmy się razem wydostać z Portland, z miejsca segregacji, musieliśmy być

dla siebie kimś więcej niż tylko znajomymi. Na szczęście dziewczyna nie draży tematu. — Udało nam się dostać do granicy. Ale wtedy porządkowi i strażnicy... — Ból w brzuchu się wzmaga. — Było ich zbyt wielu.

Dziewczyna nagle zrywa się z krzesła, chwyta za jedno z blaszanych wiader stojących w kącie, stawia je obok łóżka i znowu siada.

— Słyszeliśmy co nieco. Doszły do nas słuchy o wielkiej ucieczce w Portland, że było w to zamieszane mnóstwo policji, i o tym, jak próbowano to zatuszować.

— Więc znasz tę historię? — Znowu próbuję się podnieść do siadu, ale skurcz każe mi z powrotem oprzeć się o ścianę. — Czy wiadomo, co się stało z... moim znajomym?

Zadaję to pytanie, chociaż znam odpowiedź. Znam ją bardzo dobrze. Widziałam go przecież, całego we krwi, jak się na niego rzucili, obleźli go niczym czarne mrówki w moim śnie.

Dziewczyna nie odpowiada, tylko zaciska usta i kręci głową. Nie musi mówić nic więcej — ten przekaz jest jasny. Litość malująca się na jej twarzy mówi wszystko.

Waż zaczyna teraz walić ogonem na całego. Zamykam oczy. Alex, Alex, Alex — moja przyczyna wszystkiego, moje nowe życie, moja obietnica czegoś lepszego — przepadł, rozwiął się w pył. Już nic nigdy nie będzie takie samo.

— Miałam nadzieję... — Wydaję z siebie lekki jęk, gdy to okropne rozedrganie z żołądka podchodzi mi do gardła z falą mdłości.

Dziewczyna wzdycha znowu, wstaje i ze zgrzytem odsuwa krzesło od mojego łóżka.

— Chyba... — z trudem wymawiam słowa. Staram się zwalczyć nudności. — Ja chyba...

Nagle wychylam się za łóżko i wymiotuję do wiadra, które tamta postawiła obok, a moim ciałem wstrząsają konwulsje.

— Wiedziałam, że tak się to skończy — stwierdza, znowu kręcąc głową, i znika w ciemnym korytarzu. Po chwili wsadza głowę do pokoju. — A tak w ogóle to jestem Raven.

Raven, Kruk.

— Lena — odpowiadam, a wtedy nadchodzi kolejna fala wymiotów.

— Lena — powtarza i uderza ręką w ścianę. — Witaj w Głuszy.

Potem znika, zostawiając mnie sam na sam z wiadrem.

Raven wraca jeszcze tego samego popołudnia i znowu mam szansę spróbować rosołu. Tym razem piję go powoli i udaje mi się nie zwymiotować. Wciąż jestem tak słaba, że z trudem podnoszę miskę do ust, więc Raven mi pomaga. Powinno mnie to krepować, ale nie czuję kompletnie nic — gdy tylko nudności ustąpiły, przyszło odrętwienie tak zupełne, jak gdybym zanurzyła się w lodowatej wodzie.

— Dobrze — mówi dziewczyna z zadowoleniem, po tym jak wypięłam połowę rosołu. Bierze ode mnie miskę i znika.

Teraz, gdy jestem przytomna, jedyne, czego pragnę, to zasnąć znowu. Przynajmniej kiedy śpię, mogę wracać w snach do Aleksa, do innego świata. W tym bowiem nie mam nic: nie mam rodziny, domu, nie mam dokąd pójść. Aleksa już nie ma. Moja tożsamość pewnie już także została unieważniona.

Nawet nie jestem w stanie płakać. Czuję wewnętrzną pustkę. Nie potrafię przestać myśleć o tej ostatniej chwili, kiedy się odwróciłam i zobaczyłam go za ścianą dymu. W wyobraźni próbuję sięgnąć przez ogrodzenie, przez dym. Chwytam jego rękę i ciągnę w swoją stronę.

Alex, błagam, wróć.

Leżę beczynnym, nie mając nic do roboty, i tylko zapadam się coraz głębiej w otchłań. Mijające godziny zaciskają się wokół mnie, zamykają się nade mną jak grób.

Chwilę później słyszę szuranie nóg, a zaraz potem śmiech i odgłosy rozmowy. Dzięki temu przynajmniej mam się na czym skupić. Staram się odgadnąć, ilu jest rozmówców, ale udaje mi się jedynie odróżnić kilka niższych głosów — mężczyźni, chłopcy — wysoki chichot oraz sporadyczne wybuchy śmiechu. Raz słyszę, jak Raven krzyczy: „No dobra, dobra!”, ale przez większość czasu ich głosy są tylko falami dźwięku, tonami, niczym dobiegająca z oddali piosenka.

To właściwie oczywiste, że dziewczyny i chłopcy mieszkają w Głuszy razem, w końcu o to właśnie chodziło — o wolność wyboru, wolność spędzania razem czasu, wolność tego, by patrzeć na siebie, dotykać się i kochać — ale rzeczywistość przerasta moją wyobraźnię, i czuję, jak z wolna ogarnia mnie panika.

Alex jest jedynym chłopakiem, jakiego znałam i z którym tak naprawdę rozmawiałam. Dziwnie jest myśleć

o tych wszystkich obcych mężczyznach, których śmiech i niskie głosy docierają do mnie zza kamiennej ściany. Zanim poznałam Aleksa, przeżyłam niemal osiemnaście lat całkowicie zanurzona w tamtym systemie, wierząc bez zastrzeżeń, że miłość jest chorobą, że musimy chronić

sami siebie, że dziewczęta i chłopcy powinni pozostawać w całkowitej izolacji, by uniknąć zarażenia. Spojrzenia, dotyk, uściski — wszystko to niosło z sobą ryzyko. I chociaż znajomość z Alekssem zmieniła mnie, nie da się pozbyć strachu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. To niemożliwe.

Zamykam oczy, biorę głęboki oddech i próbuję znowu odpłynąć w sen.

— No dobra, Blue. Wynocha stąd. Pora spać.

Otwieram oczy. W drzwiach stoi sześć-, może siedmioletnia dziewczynka i obserwuje mnie. Jest chuda i bardzo opalona, ubrana w brudne krótkie spodenki dżinsowe i bawełniany sweter kilkanaście rozmiarów za duży — tak duży, że ześlizguje się jej z ramion, odsłaniając łopatki sterzące niczym skrzydła. Ma ciemnoblond włosy sięgające niemal pasa, a do tego jest bosa. Raven, trzymająca w rękach talerz, próbuje ją wyminąć.

— Nie jestem zmęczona — odpowiada dziewczynka, nie spuszczać ze mnie wzroku. Podskakuje w miejscu, ale nie wchodzi głębiej do pokoju. Jej oczy mają zdumiewający odcień błękitu, jaskrawego koloru nieba. Blue, Niebieska.

— Bez dyskusji — mówi Raven i mijając małą, szturcha ją żartobliwie biodrem. — No już, wynocha.

-Ale...

— Jaka jest zasada numer jeden, Blue? — głos Raven staje się surowszy.

Blue podnosi kciuk do buzi i zaczyna obgryzać paznokieć.

— Słuchać Raven — mamrocze.

— Zawsze słuchać Raven. A Raven mówi: pora do łóżka. No już. Wynocha.

Blue rzuca mi ostatnie, pełne żalu spojrzenie i zmyka. Raven wzdycha, przewraca oczami i przysuwa krzesło do łóżka.

- Wybacz - mówi. - Wszyscy nie mogą się doczekać zobaczenia nowej dziewczyny.

- Wszyscy, czyli kto? - pytam. W gardle zaschło mi zupełnie. Nie byłam w stanie wstać i podejść do zlewu, zresztą nietrudno się domyślić, że rury i tak nie działają. W Głuszy nie ma kanalizacji. Wszystkie sieci przesyłowe: z wodą, prądem, zostały zbombardowane wiele lat temu, w czasie blitzu. - To znaczy ilu was tu jest?

Raven wzrusza ramionami.

- Właściwie trudno powiedzieć. Ludzie przychodzą i odchodzą, wędrują od jednej osady do drugiej. Teraz jest tu może ze dwadzieścia osób, w czerwcu mieliśmy około czterdziestu włóczęgów, a zimą nasz azyl jest zamknięty.

Kiwam głową, chociaż cała ta gadka o „osadach” i „azylach” brzmi dla mnie obco, mimo że Alex wspominał mi coś niecoś o Głuszy, a do tego raz udało nam się przekroczyć granicę - pierwszy i jedyny raz, kiedy byłam na ziemi niczyjej przed naszą wielką ucieczką.

Przed moją wielką ucieczką.

Zwijam dłonie w pięść, wbijając paznokcie w skórę.

- Wszystko w porządku? - pyta Raven, przyglądając mi się baczniej.

- Chce mi się pić.

- Masz. Potrzymaj. - Podaje mi talerz. Leżą na nim dwa małe pękate paszteciki, podobne do naleśników, ale ciemniejsze i bardziej ziarniste. Raven bierze z półki w kącie sfatygowaną blaszaną puszkę po zupie, nabiera nią wody z jednego z wiader pod zlewem i przynosi mi do

łóżka. Mam nadzieję, że to nie to samo wiadro, do którego wymiotowałam.

— Trochę tu trudno o szklanekę — mówi, kiedy unoszę brwi na widok puszek i dodaje: — Bomby. — Mówi to takim tonem, jak gdyby była w sklepie spożywczym i mówiła: „grejpfrut”, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. A potem znowu siada, zaplatając w roztrągnięciu pasmo włosów swoimi długimi, brązowymi palcami.

Podnoszę puszkę do ust. Ma ostre krawędzie, więc muszę pić ostrożnie.

— Człowiek uczy się tutaj życia — mówi Raven z niejaką dumą w głosie. — Potrafimy zrobić coś z niczego, nawet z odpadków, śmieci czy kości. Zobaczysz.

Spoglądam na talerz leżący na moich kolanach. Jestem głodna, ale słowa „śmieci i kości” w kontekście jedzenia przyprawiają mnie o niepokój.

Raven musiała się domyślić, co mi chodzi po głowie, ponieważ wybucha śmiechem.

— Bez obawy — mówi. — To nic obrzydliwego. Orzechy, trochę mąki i oleju. Może jadłaś w życiu lepsze rzeczy, ale to doda ci sił. Kończą nam się zapasy. Nie mieliśmy dostawy od tygodnia. Twoja ucieczka nieźle nas urządziła.

— Moja ucieczka? Raven kiwa głową.

— Od tygodnia ogrodzenie jest pod napięciem, podwoili też straż na granicy. — Otwieram usta, by przeprosić, ale Raven nie pozwala mi dojść do słowa. — W porządku. Robią to za każdym razem, kiedy ktoś ucieknie. Zawsze się boją, że wybuchnie jakieś powstanie i ludzie rzucą się do Głuszy. Za kilka dni znowu się rozleniwia

i wtedy dostaniemy prowiant. A na razie... — wskazuje brodą w stronę talerza — zostają nam orzechy.

Biorę naleśnik do ust. Właściwie nie jest taki zły: ciepły, chrupiący, no, może trochę za tłusty — zostawia mi na palcach warstewkę oleju. Jest dużo lepszy niż rosół i nie omieszkałam poinformować o tym Raven.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie promiennie.

— Nie dziwię ci się. To Roach gotował. Potrafi zrobić przepyszne danie z niczego. No dobra, jadalne danie.

— Roach? Karaluch? Czy to jego prawdziwe imię? Raven kończy zaplatanie warkocza, zarzuca go na ramię i zaczyna drugi.

— Tak samo prawdziwe jak każde inne — odpowiada. — Roach całe swoje życie spędził w Głuszy. Pochodzi z osady położonej bardziej na południe, niedaleko Delaware. Pewnie tam nadano mu to imię. Gdy do nas przybył, był już Roachem.

— A co z Blue? — pytam. Po zjedzeniu całego naleśnika bez rewolucji w żołądku odkładam talerz na podłogę. Nie chcę kusić losu.

— Urodziła się tutaj, w naszej osadzie — odpowiada dziewczyna po ułamku sekundy.

— Więc nazwałaś ją tak z powodu koloru jej oczu — stwierdzam.

Raven wstaje nagle i odwróciwszy się, mruczy: „mhm”. Podchodzi do półek przy zlewie i wyłącza jedną z latarenek na baterie, więc pokój pogrąża się w jeszcze większym mroku.

— A ty? — pytam. Wskazuje na włosy.

— Raven. Kruk. — Uśmiecha się. — Niezbyt oryginalne.

- Nie, chodzi mi o to, czy urodziłaś się tutaj. W Głuszy.

Uśmiech nagle znika z jej twarzy jak zdmuchnięty płomień świecy. Przez chwilę mam nawet wrażenie, że jest na mnie zła.

- Nie - odpowiada krótko. - Przybyłam tu, gdy miałam piętnaście lat.

Wiem, że nie powinnam, ale dalej drążę temat.

- Sama?

- Tak. - Bierze drugą lampkę, która świeci jeszcze bladym światłem, i rusza w stronę drzwi.

- A więc jak miałaś na imię przedtem? - pytam, a Raven, zwrócona plecami do mnie, nieruchomieje. - To znaczy zanim przybyłaś do Głuszy.

Przez chwilę stoi nieruchomo, a potem odwraca się w moją stronę. Trzyma latarenkę nisko, tak że jej twarz pogrążona jest w ciemności. Jej oczy błyszczą jak dwa małe refleksy, jak czarne kamienie w świetle księżyca.

- Najlepiej od razu zacznij się przyzwyczajać - mówi cicho, ale dobitnie. - Wszystko, czym byłaś, ludzie, których znałaś, twoje dawne życie... odeszło. - Kręci głową i dodaje nieco mocniej: - Nie ma żadnego „przedtem”. Jest tylko teraz i to, co nastąpi zaraz potem.

To powiedziawszy, znika w korytarzu z latarenką, zostawiając mnie pogrążoną w zupełnej ciemności, z bijącym szybko sercem.

Gdy budzę się następnego ranka, z głodu aż mnie skręca. Wciąż leży tu talerz z drugim naleśnikiem i gdy próbuję po niego sięgnąć, spadam z łóżka, uderzając kolanami o zimną, kamienną podłogę. Jakiś zuczek eksploruje

powierzchnię naleśnika. Dawniej by mnie to obrzydziło, ale teraz jestem zbyt głodna, by się przejmować takimi drobiazgami. Strzepuję robaka, który czmycha szybko w stronę kąta, po czym zachłannie pochłaniam naleśnik, wpychając go do ust obiema rękami, i wylizuję palce. Ale to za mało, by zabić choć w części mój głód.

Powoli się podnoszę, opierając się o łóżko. To pierwszy raz od wielu dni, kiedy stoję na nogach, to pierwszy raz, kiedy robię coś więcej, niż tylko czołgam się za potrzebą do metalowej miednicy w kącie, umieszczonej tam przez Raven. Przykucnięta w ciemności, ze spuszczoną głową i drżącymi udami - jak zwierzę, już nie człowiek.

Jestem tak słaba, że z trudem docieram do drzwi, gdzie muszę zrobić przerwę i oprzeć się o framugę. Czuję się koślawa i nieproporcjonalna, jak jedna z tych szarych czapli, widywanych czasem w zatoce w Portland, które przykuwały uwagę swoimi pękatymi dziobami i brzuchami oraz chudymi patykowatymi nogami.

Mój pokój wychodzi na długi, czarny korytarz, również cały z kamienia i pozbawiony okien. Słyszę rozmowy i śmiechy, szuranie krzesel i plusk wody - odgłosy kuchni. Odgłosy jedzenia. Korytarz jest wąski, dzięki czemu mogę się przytrzymywać obiema rękami ścian, posuwając się do przodu, odzyskując na nowo czucie w nogach i ciele. Framuga po mojej lewej, pozbawiona drzwi, wychodzi na wielkie pomieszczenie, w którym znajdują się z jednej strony lekarstwa, środki opatrunkowe i środki czystości, czyli gaza, mnóstwo tubek bacitracinu, setki kostek mydła, bandaże, a z drugiej cztery wąskie materace położone bezpośrednio na podłodze, pokryte stertą ubrań i koców. Nieco dalej mijam następne pomieszczenie, które musi być

wykorzystywane w całości jako sypialnia: tutaj materace pokrywają niemal każdy centymetr kwadratowy podłogi, tak że pokój wygląda jak ogromna patchworkowa kołdra.

Ogarniają mnie wyrzuty sumienia. Najwyraźniej dostałam najlepsze łóżko i najlepszy pokój. Wciąż zdumiewa mnie, jak bardzo myliłam się przez te wszystkie lata, kiedy wierzyłam w kłamstwa i pogłoski. Myślałam, że Od-mieńcy to bestie. Myślałam, że rozerwą mnie na strzępy. Ale ci ludzie ocalili mnie, dali mi najwygodniejsze łóżko i pielęgowali podczas choroby, nie oczekując niczego w zamian.

Okazało się, że zwierzęta są po drugiej stronie granicy — to tamte potwory w mundurach. Potrafią mówić cichym i łagodnym głosem, opowiadać kłamstwa i podrzynać ci gardło z uśmiechem na ustach.

Korytarz ostro skręca w lewo i głosy narastają. Gdy dochodzi do mnie zapach gotowanego mięsa, zaczyna mi burczeć w brzuchu. Mijam kolejne pomieszczenia, niektóre przeznaczone do spania i jedno pełne niemal pustych półek: w jednym kącie stoi kilka puszek fasoli, do połowy zużyte opakowanie mąki i, co dziwne, zakurzony ekspres do kawy, w drugim zaś wiadra, puszki kawy i mop.

Kolejny skręt w prawo i nagle korytarz kończy się w dużej sali, o wiele lepiej oświetlonej od innych. Kamienny zlew, podobny do tego w moim pokoju, biegnie wzdłuż całej ściany. Powyżej wisi długa półka, a na niej stoi kilka latarenek na baterie, które wypełniają pokój ciepłym światłem. Pośrodku ustawione są dwa duże, wąskie drewniane stoły, a wokół nich jest pełno ludzi.

Gdy wchodzę, rozmowy nagle milkną: dziesiątki oczu kierują się w moją stronę i nagle uświadamiam sobie, że

mam na sobie tylko wielki brudny podkoszulek, który sięga mi ledwo do połowy ud.

Razem z kobietami siedzą tu też mężczyźni, ludzie w różnym wieku, wszyscy nieleczeni — i jest to tak dziwne i różne od tego, co znałam, że oddech więźnie mi w gardle. Jestem jak sparaliżowana. Otwieram usta, ale nie wychodzą z nich żadne słowa. I wciąż czuję ciężar ciszy, podczas gdy przewiercają mnie dziesiątki spojrzeń.

Na szczęście Raven przychodzi mi na ratunek. Wstaje i mówi:

— Musisz być głodna. — Wskazuje na chłopca siedzącego na końcu stołu, który może mieć jakieś trzynaście, czternaście lat: jest chudy, ale umięśniony, z twarzą upstrzoną kilkoma pryszczami. — Squirrel — zwraca się do niego ostrym tonem. Wiewiórka. Kolejne dziwaczne przezwisko. — Skończyłeś jeść?

Chłopak wpatruje się smętnie w swój pusty talerz, jak gdyby chciał siłą woli zmaterializować na nim więcej jedzenia.

— Tak — mówi powoli, spoglądając to na mnie, to na talerz. Otulam się rękami.

— Wobec tego wstań. Lena nie ma gdzie usiąść.

— Ale... — Squirrel próbuje protestować, lecz Raven nie spuszcza z niego wzroku.

— Wstawaj, Squirrel. Niech będzie z ciebie jakiś pożytek. Leć sprawdzić gniazda, może przyszły jakieś wiadomości.

Squirrel rzuca mi spojrzenie spode łba, ale posłusznie wstaje i wkłada do zlewu swój talerz, który ląduje z brzękiem na kamiennym dnie. Raven, która zdążyła już usiąść, krzyczy: „Psujesz — kupujesz, Squirrel!”, co wywołuje kilka

chichotów, a potem chłopak, tupiąc ostentacyjnie, wchodzi po kamiennych schodach znajdujących się w odległym końcu kuchni.

— Sara, przynieś Lenie coś do jedzenia — rzuca Raven, wróciwszy do własnego posiłku: góry szarawej papki na środku talerza.

Dziewczyna ochoczo zrywa się z miejsca. Ma ogromne oczy i gibkie, prężne ciało. Właściwie każdy tutaj to tylko skóra, kości i mięśnie.

— Chodź, Lena. — Wydaje się delektować moim imieniem, jak gdyby jego wypowiedzianie było wielkim przywilejem. — Nałożę ci na talerz. — Wskazuje ręką w stronę kąta: na starym piecu opalanym drewnem stoi ogromny wgnieciony metalowy kocioł i wypaczona patelnia z przykrywką. Obok zaś leżą bez ładu i składu talerze i półmiski nie od kompletu oraz kilka desek do krojenia.

Ale żeby tam dotrzeć, muszę przejść obok obu stołów. Jeśli moje nogi przedtem były jak z waty, to teraz boję się, że w każdej chwili mogą się pode mną ugiąć. Co dziwne, męskie spojrzenia mają inną fakturę. Kobięce są ostre, oceniające, ich zaś gorętsze i bardziej przytłaczające, jak dotyk. Ciężko mi się oddycha.

Idę niepewnie w stronę pieca, przy którym stoi Sara i zachęcająco kiwa do mnie głową, jak gdybym była małym dzieckiem — chociaż sama nie może mieć więcej niż dwanaście lat. Staram się iść blisko zlewu, by mieć się czego złapać na wypadek, gdybym się potknęła.

Twarze w pokoju rozmazują się, zlewają w różnobarwną plamę, ale kilka z nich się wyróżnia: widzę obserwującą mnie Blue z ogromnymi oczami i chłopca, przypuszczalnie w moim wieku, z dziwaczną strzechą blond

włosów, który wygląda, jakby w każdej chwili miał wybuchnąć śmiechem. Następny chłopak, nieco starszy, patrzy na mnie spode łba, i kobieta z długimi, rudawymi włosami, które opadają jej luźno na plecy. Przez chwilę nasze oczy spotykają się i serce mi staje. Myślę: mama. Dopiero teraz dociera do mnie, że ona może tu być — że musi tu być, gdzieś tu, w Głuszy, w jednej z osad lub azylów, czy jak to zwa. Ale wtedy kobieta porusza się i gdy odsłania twarz, stwierdzam, że nie, oczywiście, to nie ona. Jest o wiele za młoda, pewnie w wieku mojej mamy, kiedy ostatni raz ją widziałam, dwanaście lat temu. Nie jestem pewna, czy w ogóle bym ją rozpoznała, gdybym ją znowu zobaczyła. Moje wspomnienia o niej są rozmazane, zniekształcone przez warstwy czasu i snów.

— Oto paćka — mówi Sara, gdy dochodzę do pieca. Przejście przez salę wyczerpało mnie. Nie mogę uwierzyć, że to samo ciało jeszcze do niedawna wyprawiało się na dziesięciokilometrowe biegi oraz potrafiło przebiec sprintem w górę i w dół Munjoy Hill jak gdyby nigdy nic.

-Co?

— Paćka. — Podnosi pokrywkę blaszanego garnka. — Tak to nazywamy. To właśnie jemy, kiedy kończą nam się zapasy. Owsianka, ryż, czasem trochę chleba: wszystkie zboża, jakie nam zostały. Wygotowuje się z tego całe gówno i tak powstaje paćka.

To zaskakujące słyszeć przekleństwo w jej ustach.

Sara bierze plastikowy talerz z dziecięcego zestawu, na którym sylwetki zwierząt w większości już się zamazały, i nakłada na jego środek porządną porcję brei. Za moimi plecami, przy stołach, ludzie wrócili już do rozmowy. Pokój wypełnia niski pomruk konwersacji, a ja zaczynam się

czuć nieco lepiej. Przynajmniej oznacza to, że nie jestem już w centrum uwagi.

— Dobra wiadomość jest taka — Sara nie przestaje szczebiotać — że Roach ostatniego wieczoru wrócił z prezentem.

— To znaczy? — Staram się odszyfrować ich slang. — Przywiózł prowiant?

— Lepiej. — Sara szczyrzy zęby w uśmiechu i zsuwa pokrywkę z drugiej patelni. W środku znajduje się złoci-stobrazowe mięso, smażone i kruchutkie, a jego rozkoszny zapach niemal doprowadza mnie do łez. — Królika.

Nigdy przedtem nie jadłam królika — nigdy nawet nie myślałam, że jego mięso można jeść, a już tym bardziej na śniadanie — ale z wdzięcznością przyjmuję od niej talerz i z trudem powstrzymuję się od zatopienia zębów w mięsie od razu, na stojąco. Szczerze mówiąc, nawet wolałabym stać. Wszystko wydaje się lepsze niż siedzenie wśród tyłu obcych.

Sara musiała wyczuć mój niepokój.

— Chodź — mówi. — Usiądziesz obok mnie. — Chwyta mnie za łokieć i prowadzi w stronę stołu. To również jest zaskakujące. W Portland, jak i w innych miastach, ludzie rzadko się dotykają. Nawet Hana i ja prawie nigdy się nie obejmowałyśmy ani nie zarzucałyśmy sobie rąk na szyję, a przecież była to moja najlepsza przyjaciółka.

Przez nogę przebiega mi skurcz i zginam się, o mało co nie upuszczając talerza.

— Spokojnie. — Po drugiej stronie stołu siedzi jasnowłosy chłopak, ten, który wyglądał przedtem tak, jakby z trudem powstrzymywał śmiech. Podnosi brwi. Są tak samo jasne jak jego włosy, niemal niewidoczne. Tak jak Raven

ma bliznę pod lewym uchem i podobnie jak u niej pewnie nie jest prawdziwa. Tylko niewyleczeni mieszkają w Głuszy. Tylko ludzie, którzy wybrali to miejsce lub zostali zmuszeni do ucieczki z miast. — Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie. Nagle wraca do mnie całe moje dawne życie spędzone wśród lęku i ostrzeżeń, a przez głowę przelatują szybko słowa: nielegalne, złe, sympatyk, choroba. Biorę głęboki oddech, próbuję odpędzić złe skojarzenia. To są słowa z Portland, stare słowa. One, tak jak i dawna ja, zostały za ogrodzeniem.

— Nic jej nie jest — wtrąca się Sara. — Jest po prostu głodna.

— Nic mi nie jest — powtarzam o kilka sekund za późno. Chłopak znowu śmieje się ze mnie.

Sara siada na ławce i uderza ręką w puste miejsce obok siebie, które właśnie opuścił Squirrel. Przynajmniej siedzimy na samym końcu stołu i nie muszę się martwić o to, że z drugiej strony dosiadzie się ktoś jeszcze. Wbijam wzrok w talerz. Znowu czuję na sobie spojrzenia wszystkich. Na szczęście dalej toczy się rozmowa, odgradzając mnie od reszty kojącą zasłoną hałasu.

— No dalej. — Sara zachęca mnie ruchem głowy. Jest co najmniej sześć lat młodsza ode mnie, ale traktuje mnie, jakbym to ja była dzieckiem. I zresztą tak się przy niej czuję.

— Nie mam widelca — mówię cicho. Blondyn wybucha śmiechem, głośnym i przeciągłym. Tak samo Sara.

— Nie mamy tu widelców — odpowiada. — Ani łyżek. Niczego. Po prostu jedz.

Gdy ośmielam się podnieść wzrok, widzę, że ludzie wokół obserwują mnie i uśmiechają się, najwyraźniej

rozbawieni. Jeden z nich, siwy mężczyzna, który musi mieć co najmniej siedemdziesiąt lat, spoglądając na mnie, kiwa głową zachęcająco, więc szybko spuszczam wzrok. Ze wstydu zalewa mnie fala gorąca. Mogłam się domyślić, że wszyscy tutaj mają w nosie sztucce i podobne zbytki.

Biorę do rąk porcję królika i odrywam od kości mały kawałek mięsa. I nagle łyzy szczęścia napływają mi do oczu: chyba nigdy w życiu nie jadłam czegoś tak pysznego.

— Dobre, nie? — pyta Sara, ale potrafię się zdobyć jedynie na kiwnięcie głową. Nagle zapominam, że znajduję się w sali pełnej obcych i że wszyscy mnie obserwują. Wgryzam się w mięso jak zwierzę. Zagarniam palcami nieco brei i wkładam do ust. Nawet mi to smakuje. Ciotka Carol byłaby w szoku, gdyby mnie teraz ujrzała. Gdy byłam mała, nie byłam w stanie nawet jeść groszku, jeśli stykał się z kurczakiem na talerzu. Robiłam wyraźne przegródki na poszczególne części składowe obiadu.

Talerz robi się pusty stanowczo zbyt szybko — nie licząc kilku pozostałych na nim kości, jest absolutnie czysty. Wylizuję palce z resztek brei i wycieram usta wierzchem dłoni. A wtedy nadchodzi mdłości i by je stłumić, zamykam oczy.

— No dobra — mówi Raven, podnosząc się nagle. — Czas na obchód.

Następuje nagłe poruszenie: ludzie podrywają się z ławek, docierają do mnie strzępy niejasnych dla mnie rozmów („założyłem wczoraj pułapki”, „dzisiaj twoja kolej na Babcie”). Mijają mnie, z brzękiem wkładają talerze do zlewu, a potem tupiąc głośno, znikają na schodach znajdujących się po mojej lewej stronie, tuż obok pieca. Czuję ich ciała niemal fizycznie, czuję też ich zapach: są dla mnie

jak strumień, jak ciepła, ludzka fala. Powieki mam wciąż zamknięte, a gdy sala pustoszeje, mdłości nieco ustępują.

- Jak się czujesz?

Otwieram oczy i widzę stojącą naprzeciw mnie Raven, z rękami opartymi o stół. Sara wciąż siedzi obok mnie. Postawiwszy nogę na ławce, przyciągnęła ją do piersi i obejmuje kolano. W tej pozycji wreszcie wygląda na swój wiek.

- Lepiej - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Możesz pomóc Sarze w zmywaniu naczyń, jeśli się czujesz na siłach.

- Jasne — mówię, a ona kiwa głową.

- Dobrze. A potem, Sara, zajmij się Leną. Lena, możesz rozejrzeć się po osadzie. Tylko nic na siłę. Nie mam ochoty znowu wlec cię z lasu.

- Jasne - powtarzam, a ona uśmiecha się z zadowoleniem. Najwyraźniej jest przyzwyczajona do wydawania rozkazów. Zastanawiam się, ile ma lat. Ma władczy głos, z którego przebija pewność siebie, chociaż musi być młodsza od połowy mieszkańców osady. Przychodzi mi do głowy myśl, że Hana pewnie by ją polubiła, i ból powraca, wbijając ostrze tuż pod żebrami.

- Jeszcze jedno, Sara - Raven kieruje się w stronę schodów. - Znajdź dla Leny jakieś spodnie w magazynie, okej? Nie musi paradować półnaga.

Czuję, że znowu się czerwienię i odruchowo ściągam podkoszulek bardziej na uda. Na ten widok Raven wybucha śmiechem.

- Nie przejmuj się - mówi. - Wszystko to widzieliśmy już wcześniej. - A potem rusza po schodach, po dwa stopnie naraz, i znika.

W domu Carol zmywałam naczynia co wieczór i nie sprawiało mi to żadnego problemu. Ale zmywanie w Głuszy to inna sprawa. Po pierwsze: woda. Sara prowadzi mnie z powrotem korytarzem do jednego z pomieszczeń, które mijalam w drodze do kuchni.

— To jest magazyn spożywczy — mówi i marszczy na chwilę brew na widok pustych półek i w większości zużytych opakowań mąki. — Trochę kończą nam się zapasy — wyjaśnia, jak gdybym sama tego nie zauważyła. Ogarnia mnie poczucie winy z powodu niej, Blue i wszystkich tutaj, z powodu tej ich kościstości.

— Tutaj trzymamy wodę. Przynosimy ją co rano. Nie ja, jestem na to jeszcze za mała. Robią to głównie chłopcy, czasami też Raven. — Pochyla się w kącie nad wiadrami, które, jak teraz dostrzegam, są pełne. Łapie obiema rękami za uchwyt jednego z nich, stękając z wysiłku. Wiadro jest za duże, sięga jej niemal do pasa. — Jeszcze jedno by się przydało — mówi do mnie. — To małe powinno wystarczyć. — Wytacza się z pokoju z wysiłkiem, niosąc wiadro przed sobą.

Z zażenowaniem stwierdzam, że z trudem mogę unieść jedno z najmniejszych wiader. Metalowy uchwyt wbija mi się boleśnie w dłoń — a nie zdążyły z nich jeszcze zniknąć strupy i pęcherze, których nabawiłam się w czasie spędzonym samotnie w Głuszy — i nawet nie doszłam do korytarza, a już muszę postawić wiadro na ziemi i oprzeć się o ścianę.

— Wszystko w porządku!? — krzyczy do mnie Sara.

— Tak! — odpowiadam nieco zbyt gwałtownie. Nie mogę pozwolić, by przyszła mi z pomocą. Podnoszę wiadro

znowu, posuwam się z trudem o kilka kolejnych kroków, stawiam je na ziemi, odpoczywam. W górę, parę kroczków, w dół, odpoczynek. W górę, parę kroczków, w dół, odpoczynek. Gdy wreszcie docieram do kuchni, brak mi tchu, a do tego jestem mokra od potu i sól piecze mnie w oczy. Na szczęście Sara tego nie dostrzega. Przykucnięta przy piecu, grzebie w środku zwęglonym końcem patyka, by rozniecić ogień.

— Gotujemy wodę rano — mówi — żeby ją odkazić. Nie mamy wyjścia, bez tego pewnie siedzielibyśmy na kiblu od rana do wieczora. — W ostatnich słowach rozpoznaję Raven. To musi być jedna z jej mantr.

— Skąd pochodzi ta woda? — pytam, zadowolona, że Sara jest teraz odwrócona do mnie plecami i mogę na chwilę odpocząć na ławce.

— Z Coheco River — odpowiada. — To niezbyt daleko. Półtora kilometra, może dwa.

Nie mogę w to uwierzyć: po prostu nie potrafię sobie wyobrazić dźwigania tych wiader wypełnionych wodą przez dwa kilometry.

— Rzeką przyplywa też nasze zaopatrzenie — terkocze dalej Sara. — Nasi przyjaciele zza granicy spławiają je. Coheco River przepływa przez Rochester. — Chichocze. — Raven mówi, że niedługo każą rzece wypełniać deklarację celną.

Dokłada do ognia drewno ze stosu stojącego w kącie. Wreszcie podnosi się i oznajmia:

— Podgrzejemy wodę. Lepiej się zmywa gorącą.

Na jednej z wysokich półek nad zlewem znajduje się ogromny blaszany gar, na tyle duży, że można by w nim bez problemu wykopać dziecko. Nim zdążę zaofiarować

pomoc, Sara wspina się na zlew - balansując ostrożnie na jego krawędzi, jak gimnastyczka — i stanąwszy na nim, ściąga naczynie z półki. Potem zeskakuje, lądując miękko na ziemi.

- Okej. - Odgarnia z twarzy włosy, które wymknęły się jej z kucyka. - Teraz woda idzie do gara, a gar wędruje na piec.

Wszystko w Głuszy jest metodycznym i powolnym procesem, krok po kroku. Każda czynność zajmuje tutaj mnóstwo czasu. Gdy czekamy, aż zagrzeje się woda, Sara wymienia imiona mieszkańców osady, długi ciąg, którego i tak nie pamiętam: Dziadek jest najstarszy, potem Lu, skrót od Lucky, Szczęściara, która straciła palec na skutek paskudnej infekcji, ale przeżyła i zachowała w całości resztę kończyn, dalej Bram, skrót od Bramble, Jeżyna, którego pewnego dnia znaleziono w Głuszy, w płataninie jeżyn i cierni, jak gdyby podrzuciły go tam wilki. Każde imię ma swoją historię, nawet Sara. Kiedy siedem lat temu przybyła do Głuszy ze swoją starszą siostrą, prosiła osadników, by dali jej nowe, odlotowe imię. Krzywi się na wspomnienie tego, jak marzyła o jakimś twardym pseudonimie, na przykład Ostrze albo Stal, ale Raven tylko się roześmiała, położyła rękę na jej głowie i powiedziała: „Dla mnie wyglądasz po prostu jak Sara”. I tak została Sarą.

- Która to twoja siostra? - pytam. Przed oczyma staje mi nagle moja siostra Rachel. Nie ta, którą zostawiłam po tamtej stronie granicy, wyleczona, pusta i skryta za maską, ale Rachel, którą pamiętam z dzieciństwa - i zamykam oczy na chwilę, by odgonić tę wizję.

- Nie ma jej już tutaj. Opuściła naszą osadę na początku tego lata. Dołączyła do RO. Wróci po mnie, jak tylko

będę na tyle duża, bym mogła się do czegoś przydać. -W jej głosie słycać nutkę dumy, więc kiwam głową, chociaż nie mam pojęcia, co to takiego RO.

Kolejne imiona: Hunter, Myśliwy, jasnowłosy chłopak, który siedział przy stole naprzeciwko mnie („To jego imię z czasów »sprzed« - mówi Sara, wymawiając słowo »sprzed« nieco ciszej, jak gdyby było nieczyste - tak właściwie nie umie polować"). Jest jeszcze Tack, Pinezka, który przybył z północy kilka lat temu.

- Każdy mówi, że ma paskudny charakter - oświadcza Sara i znów w jej głosie słycać Raven. Bawi się swoim podkoszulkiem, który jest już tak przetarty, że prześwituje. - Ale ja tak nie myślę. Dla mnie jest zawsze miły.

Z jej opisu wynika, że Tack to ten czarnowłosy chłopak, który patrzył na mnie wilkiem, gdy weszłam do kuchni. Jeśli zawsze spogląda w ten sposób, rozumiem, dlaczego ludzie twierdzą, że ma paskudny charakter.

- Dlaczego zwie się Tack? — pytam.

- Bo jest taki ostry - chichocze Sara. - Dziadek tak go nazwał.

Postanawiam trzymać się z dala od Tacka, o ile w ogóle tu zostanę. Nie sędzę, żebym miała jakiś wybór, ale czuję, że nie pasuję do tego miejsca, a chwilami żałuję, że Raven nie zostawiła mnie w lesie na pastwę losu. Byłabym wtedy z Alekssem. Był tuż-tuż, po drugiej stronie długiego czarnego tunelu. Wystarczyło przejść przez ciemność, by być z nim z powrotem.

- Woda jest gotowa — oznajmia wreszcie Sara.

To boleśnie żmudny proces: napełniamy jeden ze zlewów gorącą wodą, potem Sara nalewa płynu do zmywania,

powoli, odmierzając dokładnie, żeby nie zmarnować ani kropli. Oto kolejna rzecz, która rzuca się tutaj w oczy: wszystko jest używane wiele razy — dopóki tylko się da, wszystko jest racjonowane, drobiazgowo odmierzane.

— A co z Raven? — pytam, zanurzając ręce w gorącej wodzie.

— O co dokładnie pytasz? - Twarz Sary się rozjaśnia. Widać, że uwielbia Raven.

— Jaka jest jej historia? Skąd przyszła? Co robiła przedtem?

— Nie wiem, dlaczego tak drażę ten temat. Pewnie jestem zwyczajnie ciekawa, jak stała się tym, kim jest: pewną siebie, zaciętą przywódczynią.

Twarz dziewczyny się zachmurza.

— Nie ma „przedtem” — ucina krótko temat, a potem milknie, po raz pierwszy od godziny. Zmywamy naczynia, nie zamieniając ani słowa.

Po zmywaniu, kiedy przychodzi pora, by znaleźć dla mnie ubranie, Sara znowu się ożywia. Prowadzi mnie do małego pokoju, który wcześniej wzięłam za jedną z sypialń. Ubrania — mnóstwo ubrań — leżą porozrzucane wszędzie, na podłodze i na półkach.

— To jest nasz magazyn — oznajmia, chichocząc, i wskazuje ręką wewnątrz pokoju.

— Skąd macie te wszystkie ciuchy? — Wchodzę ostrożnie do środka, deptając po koszulach i zwiniętych w kulkę skarpetkach. Spod ubrań nie prześwituje nawet kawałek podłogi.

— Znajdujemy je — odpowiada Sara ogólnikowo. A potem dodaje z nagłą zaciętością: — Blitz wcale nie wyglądał

tak, jak mówili. Zombie kłamali w tej sprawie, tak jak kłamią w każdej innej.

- Zombie?

Sara uśmiecha się szeroko.

-Tak nazywamy wyleczonych, po zabiegu. Raven twierdzi, że równie dobrze mogliby być zombie. Mówi, że po remedium ludzie głupieją.

- To nieprawda - odpowiadam odruchowo i niemal ją poprawiam: to namiętności ogłupiają ludzi, upodabniają ich do zwierząt. Wolny od miłości jest blisko Boga. To stara maksyma z *Księgi szczęścia, zdrowia i zadowolenia*. Remedium miało nas uwolnić od skrajnych emocji, przywrócić nam jasność myśli i uczuć.

Ale kiedy przypominają mi się zimne oczy ciotki Carol, moja siostra i jej twarz bez wyrazu, stwierdzam, że określenie „zombie” jest właściwie całkiem trafne. I prawdą jest, że nasi nauczyciele nas oszukali, tak jak wszystkie podręczniki do historii kłamali w sprawie blitzu. Mówili, że Głusza została zupełnie wyludniona podczas bombardowań. Ze Odmieńcy - albo osadnicy - nie powinni nawet istnieć.

Sara wzrusza ramionami.

- Jeśli jesteś mądry, troszczysz się o innych. A jeśli się troszczysz, to kochasz.

- Czy to też powiedziała ci Raven? Sara znowu się uśmiecha.

- Raven jest najmądrzejsza na świecie. Grzebanie w ciuchach zajmuje mi trochę czasu, ale

wreszcie udaje mi się wybrać parę zielonych wojskowych spodni i bawełniany podkoszulek z długim rękawem. Noszenie cudzej bielizny to dla mnie jednak zbyt wiele, więc zatrzymuję tę, którą mam na sobie. Sara chce, żebym się jej

zaprezentowała w swoim nowym ubraniu. Najwyraźniej ją to bawi — ciągle mnie prosi, bym przymierzyła różne rzeczy, i po raz pierwszy widzę, że zachowuje się jak normalne dziecko. Ale kiedy mówię jej, żeby się odwróciła, abym się mogła przebrać, spogląda na mnie jak na wariatkę. Domyślam się, że w Głuszy raczej trudno o intymność. Mimo to po chwili wzrusza ramionami i odwraca się do ściany.

Fajnie zrzucić z siebie ten długi podkoszulek, który nosiłam przez wiele dni. Wiem, że niezbyt przyjemnie pachnę, i marzę o prysznicu, ale na razie cieszę się z tych względnie czystych ciuchów. Spodnie dobrze leżą, spoczywają mi nisko na biodrach i gdy kilka razy podwijam je w pasie, nawet nie zamiatają ziemi, podkoszulek zaś jest miękki i wygodny.

— Nieźle — stwierdza Sara, odwróciwszy się w moją stronę.

— Wyglądasz prawie jak człowiek.

— Dzięki.

— Powiedziałam: prawie. — Znowu chichocze.

— Wobec tego prawie dzięki.

Z butami idzie gorzej. W Głuszy większość ludzi w lecie obywa się bez obuwia, a Sara z dumą prezentuje mi brązowe i zgrubiałe podeszwy swoich stóp. Wreszcie znajduję parę butów do biegania, które są na mnie tylko trochę za duże. Z grubymi skarpetkami będą jak ulał.

Kiedy przyklekam, by zawiązać adidas, moje serce znowu przeszywa ból. Robiłam to tak wiele razy — przed zawodami w biegach przełajowych, w szatni, siedząc obok Hany, przekomarzając się, która z nas szybciej biega — i zawsze uważałam to za rzecz naturalną.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że lepiej by było, gdybym nie uciekła z Portland, i natychmiast

odsuwam od siebie tę myśl. Niczego nie cofnę, a Alex oddał za to życie. Nie ma sensu oglądać się za siebie. Nie wolno mi.

— Jesteś gotowa, by zobaczyć resztę osady? — pyta Sara. Zabawa w przebieranie wykończyła mnie, ale gorąco pragnę świeżego powietrza i przestrzeni.

— Chętnie dam się oprowadzić.

Wracamy przez kuchnię do wąskich kamiennych schodów za piecem. Sara wybiega naprzód i znika mi z oczu, gdy schody ostro skręcają.

— Jesteśmy prawie na miejscu! — Słyszę jej krzyk. Ostatni zakręt i nagle schody się kończą: wita mnie

ośniewająca jasność i miękki grunt pod nogami. Potykam się, zdezorientowana i oślepią blaskiem. Przez chwilę czuję się, jak gdybym wkroczyła w sen i stoję przez jakiś czas nieruchomo, mrugając oczami i próbując nadać sens temu innemu światu.

Sara stoi kilka kroków przede mną i się śmieje. Podnosi do góry skapane w promieniach słońca ręce.

— Witaj w naszej osadzie — mówi, odstawiając skoczny taniec na trawie.

Okazuje się, że miejsce, gdzie spałam, znajduje się pod ziemią - tego mogłam się domyślić po braku okien i po wilgoci — a schody wiodły na powierzchnię i nagle wyrzuciły nas na zewnątrz. Tu, gdzie powinna być naziemna część domu, znajduje się tylko wielka porośnięta trawą polana pokryta resztkami zwęglonego drewna i ogromnymi kamieniami.

Nie byłam przygotowana na blask słońca ani na ten wszechogarniający zapach roślin, zapach życia. Otaczają nas zewsząd ogromne drzewa, których liście, zabarwione

na żółto, jak gdyby przechwytywały słoneczny blask, tworzą na ziemi mozaikę naprzemiennych plam światła i cienia. Ten widok dotyka najczulszych strun w mojej duszy, sięga aż do samej głębi, tak że mam ochotę paść na ziemię i płakać z radości albo rozłożyć ręce i zacząć się kręcić wkoło. Po tak długim czasie spędzonym w zamknięciu pragnę upajać się tą przestrzenią, tą rozciągającą się wokół jasnością.

— To był kiedyś kościół — oznajmia Sara. Wskazuje ręką na rozłupane kamienie i poczerńnięte drewno za moimi plecami. — Ale bomby nie dosięgły piwnicy. W Głuszy jest mnóstwo podziemi ocalałych z bombardowań. Zobaczysz.

— Kościół? — powtarzam zaskoczona. W Portland kościoły to stal, szkło i czyste białe gipsowe ściany. To sterylne miejsca, gdzie cud życia i doskonałość Bożej nauki są celebrowane i ukazywane za pomocą mikroskopów i wirników.

— Jeden ze starych kościołów — wyjaśnia Sara. — Ich też jest tu mnóstwo. Na zachód od Rochester stoi nawet jeden w całości. Pokażę ci go kiedyś, jeśli będziesz chciała. Chodź. — Ciągnie mnie za podkoszulek. — Jest mnóstwo do zobaczenia.

Wcześniej byłam w Głuszy jedynie raz, z Alekssem. Przekradliśmy się przez granicę, żeby mógł mi pokazać swój dom. Tamta osada, podobnie jak ta, mieściła się na dużej polanie, zamieszkaney jeszcze przed blitzem, na terenie, ktÓTego drzewa i roślinność nie zdołały zagarnąć. Ale ta polana jest dużo większa, ogromna, widzę na niej zrujnowane mury oraz kamienne łuki, a w jednym miejscu betonowe schody, które wędrują od ziemi w górę i nagle

się urywają. Na ostatnim stopniu kilka ptaków uwiło sobie gniazda.

Oddech więźnie mi w gardle, gdy powoli torujemy sobie z Sarą drogę przez wilgotną i miejscami sięgającą niemal do kolan trawę. To zrujnowany świat, miejsce absurdałne, pozbawione sensu. Drzwi, które wiodą donikąd. Zardzewiała ciężarówka bez kół stoi pośrodku jasnozielonej trawy, a drzewo wyrasta z jej środka. Kawałki błyszczącego, poskręcane metalu są wszędzie, stopione i powyginane w nierozpoznawalne kształty.

Sara maszeruje obok mnie radosnym, skocznym krokiem. Tutaj, na zewnątrz, ekscytacja aż od niej bije. Z łatwością omija kamienie i metalowe odpadki zaśmiecające trawę, podczas gdy ja nie odrywam oczu od ziemi. To powolna i wyczerpująca droga.

— To kiedyś było miasto — mówi Sara. — A to pewnie główna ulica. W wielu miejscach rosną młode drzewa, ale za to nie ma tam żadnych śladów budynków. Stąd wiemy, gdzie stały domy. Drewno pali się dużo łatwiej. Wiadomo. — Ścisza głos do szeptu, a jej oczy robią się duże i okrągłe. — Wiesz, to nawet nie same bomby uczyniły największe szkody, tylko pożary, które wywołały.

Z wysiłkiem kiwam głową.

— Tu była szkoła. — Wskazuje na następny duży obszar porośnięty niską roślinnością, mniej więcej w kształcie prostokąta. Drzewa na jego obwodzie noszą ślady ognia: spalone do białości i właściwie bezlistne wyglądają jak wysokie, patykowate upiory. — Niektóre szafki stały tu z dyndającymi otwartymi drzwiczkami. W kilku były jeszcze ubrania i inne rzeczy. — Przez chwilę na jej twarzy maluje się poczucie winy i wtedy dociera do mnie, skąd

wzięły się ubrania w magazynie, spodnie i podkoszulek, które mam na sobie.

— Zatrzymaj się na chwilę. — Czuję, że brakuje mi tchu, więc przystajemy przed starą szkołą, bym mogła zebrać siły. Stoimy w plamie słońca, a ja z rozkoszą chłonę jego ciepło. Świergoczące ptaki fruują nad naszymi głowami jak małe szybkie cienie na tle nieba. Z oddali dochodzą mnie radosne krzyki i śmiechy włóczących się po lesie mieszkańców osady. Wokół nas wirują opadające żółto-zielone liście.

Na najwyższym stopniu dawnego wejścia do szkoły przycupnęła wiewiórka i ogryza trzymany w łapkach orzeszek. Schody osiadły na warstwie miękkiej ziemi i polnych kwiatów. Myślę o dzieciach, które musiały przechodzić w miejscu, gdzie siedzi teraz wiewiórka. Myślę o wszystkich tych małych, ciepłych dłoniach przekręcających zamek szyfrowy w szkolnych szafkach, o wszystkich tych głosach, o pospiesznym tupocie tyłu nóg. Myślę o tym, jak musiało tu być podczas blitzu: panika, krzyk, popłoch, ogień.

W szkole zawsze uczono nas, że blitz — Wielkie Oczyszczenie - odbył się szybko. Widzieliśmy na filmach pilotów machających z kokpitów, gdy bomby spadały na odległy kobierzec zieleni, drzewa tak małe, że wyglądały jak zabawki, a potem wąskie smugi dymu wznoszące się jak pióropusz ponad roślinnością. Nie było chaosu, bólu, nie było krzyków. Po prostu cała populacja ludzi, którzy stawili opór i odmówili przeprowadzenia się w miejsca objęte rządową jurysdykcją, niewierzących i skażonych, została skasowana za jednym zamachem, obrócona w nicość ruchem szybkim jak uderzenie w klawiaturę.

Ale rzeczywistość była inna. Pełne szafki są wystarczającym świadectwem. Mam przed oczyma dzieci, które, zaskoczone atakiem, przepychają się w panice w stronę wyjścia. Niektórym z nich — bardzo niewielu — udało się może uciec i urządzić sobie dom w Głuszy, ale większość z nich zginęła. Nasi nauczyciele przynajmniej w tej sprawie nie kłamali. Zamykam oczy i czuję, jak chwieję się na nogach.

— Wszystko w porządku? — pyta Sara. Kładzie mi na plecach rękę, która jest chuda i silna. — Jeśli chcesz, możemy już wrócić.

— Nic mi nie jest. — Otwieram oczy. Odeszliśmy zaledwie kilkadziesiąt metrów od kościoła. Większość ulicy jest wciąż przed nami, a ja chciałabym zobaczyć tutaj wszystko.

Teraz idziemy jeszcze wolniej, a Sara wskazuje na puste miejsca i popękane fundamenty w miejscu dawnych budynków: restauracja („Pizzeria, to stąd wzięliśmy piec”), bar („Wciąż widać szyld. Widzisz? Trochę jakby pogrzebany, o tam. Kanapki na zamówienie”), sklep spożywczy.

Jego widok najwyraźniej przygnębił Sarę. Ziemia tutaj jest zryta, a trawa świeższa niż gdzie indziej. Musiano w tym miejscu kopać przez wiele lat.

— Przez długi czas znajdowaliśmy tu w ziemi jedzenie. Puszki, a nawet jakąś pakowaną żywność, która ocalała z pożarów. — Wzdycha melancholijnie. — Ale już nic nie zostało.

Idziemy dalej. Kolejna restauracja, po której jedynymi pozostałościami są ogromny metalowy bar i dwa krzesła z metalowym oparciem stojące obok siebie w plamie światła. Sklep z artykułami żelaznymi („Ocalił nam życie

mnóstwo razy"). Obok niego stoi stary bank. Tutaj także znajdują się schody, które znikają nagle w ziemi, jak otwarte szeroko usta wcinające się w grunt. Ciemnowłosy chłopak — ten o niemiłym spojrzeniu — właśnie pojawia się na zewnątrz ze strzelbą przewieszoną przez ramię.

— Cześć, Tack — mówi Sara nieśmiało. Chłopak, mijając ją, mierzwi jej włosy.

— Tylko dla facetów — mówi. — Wiesz o tym.

— Tak, wiem, wiem. — Sara przewraca oczami. — Pokazuję tylko Lenie okolicę. To właśnie tutaj śpią chłopcy — wyjaśniam.

A więc nawet Odmieńcy nie odeszli zupełnie od segregacji. Witam z ulgą ten mały kawałek normalności, czegoś znajomego.

Oczy Tacka zatrzymują się na mnie i chłopak marszczy brew.

— Cześć — odzywam się piskliwym głosem. Próbuję się uśmiechnąć, ale bez powodzenia. Chłopak jest bardzo wysoki i, jak wszyscy tutaj, chudy, ale ręce ma bardzo muskularne, a szczękę kwadratową i silną. On również ma znak po zabiegu, potrójną bliznę za lewym uchem. Zastanawiam się, czy jest podrobiona, tak jak u Aleksa. Czy też, być może, remedium na niego nie podziałało.

— Tylko trzymajcie się z dala od skarbcza. — Słowa kieruje do Sary, ale nie spuszcza ze mnie wzroku. Jego spojrzenie jest zimne, oceniające.

— Tak jest — odpowiada Sara. Gdy chłopak odchodzi, dziewczyna szepcze do mnie: — Zachowuje się tak wobec wszystkich.

— Rozumiem już, co ma na myśli Raven, mówiąc o paskudnym charakterze.

— Ale nie czuj się źle. To znaczy nie bierz tego do siebie.

— Nie będę — odpowiadam, ale prawda jest taka, że to krótkie spotkanie wyprowadziło mnie z równowagi.

Wszystko tutaj jest na opak: drzwi, które otwierają się do góry, niewidzialne konstrukcje — budynki, drogowskazy i ulice, które wciąż rzucają na wszystko cień przeszłości. Słyszę tupot setek stóp i dawny śmiech unoszący się wśród świergotu ptaków: miejsce to zbudowane jest ze wspomnień i echa.

Nagle ogarnia mnie całkowite znużenie. Pokonałyśmy dopiero połowę ulicy, ale mój wcześniejszy zamiar, by obejrzeć cały teren, wydaje się teraz absurdalny. Blask słońca, powietrze i rozległa przestrzeń — to wszystko mnie przytłacza. Odwracam się — zbyt szybko i niezdarnie — po czym potykam się o kamienną płytę upstrzoną ptasimi odchodami i ląduję twarzą w ziemi.

— Lena! — Sara natychmiast przyskakuje do mnie i pomaga mi wstać. Przygryzłam sobie język i czuję w ustach metaliczny smak krwi. — Wszystko w porządku?

— Za chwilę dojdę do siebie — mówię z cichym jękiem. Siadam na kamieniu. Dociera do mnie, że nie wiem nawet, jaki dziś dzień ani miesiąc. — Którego dziś mamy? — pytam Sarę.

— Dwudziestego siódmego sierpnia — odpowiada, wciąż przypatrując mi się z troską.

Dwudziestego siódmego sierpnia. Opuściłam Portland dwudziestego pierwszego. Straciłam niemal tydzień w Głuszy, w tym miejscu, gdzie wszystko wywrócone jest do góry nogami.

To nie jest mój świat. Mój świat rozciąga się wiele kilometrów stąd: świat, w którym drzwi prowadzą do

pokoi, świat czystych białych ścian i cichego szumu lodówek, świat równych ulic i chodników bez dziur na każdym kroku. Czuję kolejne ukłucie bólu i zginam się wpół, łapiąc za kolana. Za niecały miesiąc Hana będzie po zabiegu.

Alex był jedyny, który rozumiał tę rzeczywistość. Mógłby odbudować dla mnie tę zrujnowaną ulicę, zmienić ją w miejsce, gdzie panuje porządek i sens. Miał mnie przeprowadzić przez tę dzikość. Z nim wszystko byłoby dobrze.

— Przynieść ci coś? — Głos dziewczyny jest niepewny.

— Nic mi nie będzie. — Z bólu z trudem cedzę słowa. — To tylko jedzenie. Nie jestem do niego przyzwyczajona.

Zaraz znowu zwymiotuję. Chowam głowę między kolanami i kaszlę, by z powrotem wdusić w siebie wstrząsający mną szloch.

Sara jednak musiała się domyślić, ponieważ mówi bardzo cichym głosem:

— Z czasem się przyzwyczaisz.

I chyba nie mówi tylko o śniadaniu.

Po tym nie pozostaje nam nic innego, jak zawrócić: zbombardowaną drogą, między odłamkami metalu błyszczącymi w wysokiej trawie jak przyczajony, czyhający na ofiarę wąż.

Smutek to uczucie, jak gdyby się tonęło, jak gdyby grzebano cię w ziemi. Zanurzam się w wodzie, która ma płowy kolor rozkopanej gleby. Każdy oddech dusi. Nie ma niczego, czego można by się przytrzymać, niczego, w co można by się wbić pazurami. Nie ma wyjścia, trzeba odpuścić.

Odpuścić. Poczuć wokół siebie ciężar, poczuć kurczenie się płuc, powoli narastające ciśnienie. Pozwolić sobie na to, by opaść głębiej. Nie ma nic, tylko dno. Nie ma nic, tylko smak metalu, echo dawnego życia i dni, które zlewają się w ciemność.

TERAZ

Oto dziewczyna, jaką byłam wówczas: idąca chwiejnym krokiem, tonąca, zagubiona w jasności i przestrzeni. Moja przeszłość została wymazana, sprana do nieskazitelnej bieli.

Przyszłość można jednak zbudować z czegokolwiek, z niczego. Wystarczy jakiś odłamek czy impuls. Wystarczy pragnienie, by iść dalej, powoli: najpierw jedna noga, potem druga. Wiem już, że da się odbudować miasto z ruin.

A oto dziewczyna, jaką jestem teraz: kolana razem, ręce na udach. Jedwabna bluzka zapięta ciasno pod szyją, spódnica z wełnianym pasem, mundurek z herbem szkoły Quincy Edwards. Jest szorstki. Chciałabym się podrapać, ale nie mogę. Wzięłaby to za oznakę zdenerwowania, a ja nie jestem zdenerwowana, już nigdy w życiu nie będę.

Mruga oczami. Nie ja. To pani Tulle, nasza dyrektorka, z twarzą przypominającą rybę przyciśniętą do szyby. Jej wielkie oczy sprawiają wrażenie wyłupiastych.

— Czy w domu wszystko w porządku, Magdaleno? Dziwnie jest słyszeć w jej ustach moje pełne imię.

Wszyscy zawsze mówili do mnie Lena.

— Tak — odpowiadam.

Przekłada dokumenty na biurku. W jej gabinecie panuje nieskazitelny porządek, wszystkie krawędzie są ułożone prostopadle lub równolegle do innych. Nawet szklanka z wodą stoi dokładnie na środku podkładki. Wyleczeni zawsze lubili porządek: prostowanie, dopasowywanie, poprawianie. Czystość stoi obok Pobożności, a Porządek jest Zbawieniem. Domyślam się, że dzięki temu mają co robić, mają czym wypełnić długie, puste godziny.

— Mieszkasz ze swoją siostrą i jej mężem, zgadza się? Kiwam głową i powtarzam historię mojego nowego życia:

— Moi rodzice zginęli w jednym z Incydentów.

To akurat nie jest do końca kłamstwem. Dawna Lena również była sierotą, a przynajmniej przez długi czas tak myślała.

Nie muszę wyjaśniać, o co chodzi. Wszyscy już słyszeli o Incydentach: w styczniu ruch oporu przeprowadził pierwsze duże, brutalne ataki. W kilku miastach członkowie ruchu — wspomagani przez sympatyków, a czasami również przez młodych nieleczonych — podłożyli bomby w ważnych budynkach rządowych.

W Portland ruch oporu zdecydował się wysadzić część Krypt. Zginęło wtedy paru cywilów. Policja po jakimś czasie przywróciła porządek, ale kilkuset więźniom udało się zbiec.

Co za ironia losu. Moja mama przez ponad dziesięć lat kopała tunel, by uciec z tego miejsca, podczas gdy wystarczyło poczekać kilka miesięcy...

Pani Tulle się krzywi.

— Wiem, widziałam w twojej kartotece. — Nawilżacz powietrza za jej plecami brzęczy cicho. Mimo to powietrze jest suche. Gabinet pachnie papierem i lakierem do włosów. Strużka potu spływa mi po plecach. Gotuję się w tej spódnicy.

— Niepokoją nas twoje problemy z przystosowaniem się — mówi, wpatrując się we mnie tymi swoimi rybimi oczyma. — Jadasz sama lunch. — To jest oskarżenie.

Nawet tej nowej Lenie robi się głupio. Jedyną rzeczą gorszą od braku przyjaciół jest współczucie z powodu ich braku.

— Jeśli mam być szczerą, to mam pewien problem z dziewczynami z klasy. Wydają mi się nieco... niedojrzałe. — Gdy to mówię, przechylam lekko głowę, żeby zobaczyła potrójną bliznę za lewym uchem: znak zabiegu, znak wyleczenia.

Jej twarz natychmiast łagodnieje.

— No tak, oczywiście. Wiele z nich jest w końcu młodszych od ciebie. Nie mają osiemnastu lat, nie są wyleczone.

Rozkładałam ręce, jak gdybym chciała powiedzieć: „no właśnie”.

Dyrektorka jednak jeszcze ze mną nie skończyła, choć zwraca się już do mnie łagodniejszym tonem.

— Pani Fierstein mówiła, że znowu zasnąłeś na lekcji. Martwimy się, Leno. Uważasz, że masz za dużo pracy? Nie możesz spać w nocy?

— Jestem nieco zestresowana — przyznaję. — To przez tę całą sprawę z AWD.

Pani Tulle unosi brwi.

— Nie wiedziałam, że należysz do AWD.

— Sekcja A — wyjaśniam. — Planujemy manifestację na przyszły piątek. Tak w ogóle to dziś po południu na Manhattanie mamy spotkanie organizacyjne. Nie chciałabym się spóźnić.

— Oczywiście, oczywiście. Dużo słyszałam o tej manifestacji. — Pani Tulle bierze dokumenty, wyrównuje je o blat biurka i wkłada do szuflady. Domyślam się, że to już koniec rozmowy. AWD to magiczny skrót: Ameryka Wolna od Delirii. Słowo wytrych, otwierające wszystkie drzwi. Teraz dyrektorka jest wcieleniem życzliwości. — To chwalebne, Leno, że próbujesz pogodzić pozalekcyjne obowiązki z nauką. A my wspieramy działania AWD. Tylko postaraj się znaleźć złoty środek. Nie chciałabym, żeby twoje wyniki w nauce ucierpiały z powodu pracy społecznej, nawet tak ważnej.

— Rozumiem. — Spuszczam głowę z pokorą. Nowa Lena jest dobrą aktorką.

Pani Tulle uśmiecha się do mnie.

— A teraz już idź. Nie powinnaś się spóźnić na spotkanie. Podnoszę się, zakładając torbę na ramię.

— Dziękuję.

Wskazuje głową w stronę drzwi: znak, że mogę opuścić gabinet.

Idę wyłożonymi wyszorowanym linoleum korytarzami, mijając kolejne białe ściany. Robi się coraz ciszej. Wszyscy już poszli do domu.

Wreszcie wychodzę przez dwuskrzydłowe drzwi na oślepiająco biały krajobraz: nieoczekiwany marcowy śnieg, ostre jasne światło, drzewa skute grubą, ciemną warstwą lodu. Otulam się szczelniej kurtką i wychodzę przez żelazną bramę na Osmą Aleję.

Oto dziewczyna, jaką jestem teraz. Moja przyszłość jest tutaj, w tym mieście, gdzie sople lodu zwisają jak sztylety, gotowe w każdej chwili opaść.

W życiu nie widziałam takiego ruchu ulicznego jak w siostrzanych miastach. Mało kto w Portland miał działający samochód. W Nowym Jorku ludzie są bogatsi i mogą sobie pozwolić na benzynę. Kiedy przybyłam do Brooklynu, zdarzało mi się iść na Times Square tylko po to, by je oglądać - czasami jechało ich nawet kilkanaście z rzędu, jeden za drugim.

Mimo to kiedy kieruję się na Manhattan, ulice są niemal puste. Mój autobus utknął na Trzydziestej Pierwszej Ulicy za śmieciarką, która wjechała w pokrytą sadzą zaspę, i gdy docieram do Javits Center, spotkanie AWD już się rozpoczęło. Na schodach nie ma nikogo, tak samo jak w ogromnym hallu, a z dala dobiega mnie głośny pisk mikrofonu i huk braw. Spieszę do wykrywacza metalu i zdejmuję torbę, a potem stoję z rozłożonymi rękami i nogami, podczas gdy strażnik przejeżdża obojętnie detektorem po moich piersiach i między nogami. Takie procedury już dawno przestały mnie wprawiać w zakłopotanie. Potem podchodzę do składanego stolika tuż przed parą ogromnych dwuskrzydłowych drzwi. Zza nich dochodzą mnie kolejne brawa i wzmocniony głos w mikrofonie, donośny i żarliwy. Słów nie jestem w stanie rozróżnić.

- Dowód - cedzi przez zęby siedząca przy stoliku ochotniczka i obejrzawszy go, ruchem głowy zaprasza mnie do środka.

Sala konferencyjna jest ogromna. Może pomieścić co najmniej dwa tysiące ludzi, a jak zwykle niemal pęka w szwach. Widzę kilka wolnych miejsc z brzegu, po lewej, blisko sceny i okrążam salę, starając się dotrzeć tam, nie rzucając się w oczy. Ale nie muszę się martwić. Wszyscy w sali wpatrują się jak zahipnotyzowani w mężczyznę na mównicy. Powietrze jest przepełnione dziwną energią, jak gdyby wisiały w nim tysiące nabrzmiąłych kropeł.

— ... nie wystarczy, by zapewnić nam bezpieczeństwo — mówi mężczyzna. Głos rozlega się donośnie po całej sali. Pod zawieszonymi wysoko fluorescencyjnymi światłami czarne włosy mówcy lśnią jak hełm. To Thomas Fineman, założyciel AWD. — Mówią nam o ryzyku i potencjalnych problemach, o możliwościach uszkodzeń i efektach ubocznych. Ale jakie koszty poniesiemy jako naród, jako społeczeństwo, jeśli nie będziemy działać? Jeżeli nie będziemy nalegać na ochronę całości, co nam przyjdzie z tego, że zaledwie część będzie zdrowa?

Rozlegają się nieśmiałe brawa. Thomas poprawia mankiety i bardziej nachyla się nad mikrofonem.

— Powinniśmy się zjednoczyć w tym dążeniu. To właśnie jest celem naszej manifestacji. Domagamy się, by nasz rząd, nasi naukowcy i instytucje naszego kraju nas chronili. Domagamy się, by byli lojalni wobec swojego narodu, wobec Boga i Jego porządku. Czy sam Bóg w swoim dążeniu do udoskonalania stworzenia nie odrzucił przez tysiące lat milionów gatunków, które były w jakiś sposób wybrakowane lub skażone? Czy nie uczy nas to, że czasami trzeba wyeliminować słabe i chore jednostki, by uformować lepsze społeczeństwo?

Brawa narastają. Ja również do nich dołączam. Lena Morgan Jones klaszcze.

To jest moja misja, zadanie, które przydzieliła mi Raven: obserwować AWD. Przypatrywać się im. Wtopić w tłum. Nic więcej mi nie powiedzieli.

- Nadszedł czas, by domagać się od rządu, aby wypełnił obietnicę z *Księgi SZZ*: zapewnił szczęście, zdrowie i zadowolenie naszym miastom i naszemu narodowi.

Obserwuję więc wszystko, jak mi przykazano: rzędy wysokich świąteł, twarzy z profilu, bladych, naburmuszonych, przestraszonych i wdzięcznych - twarzy wyleczonych. Szarą wykładzinę, przetartą po przejściu tyłu butów. Grubego mężczyznę po mojej prawej, sapiącego, z paskiem u spodni zapiętym wysoko ponad wydatnym brzuchem. Niewielki obszar odgradzony od sceny, trzy krzesła, tylko jedno z nich zajęte.

Chłopak.

Z tego wszystkiego on jest najbardziej interesujący. Inne rzeczy — wykładzina, twarze — są te same na każdym spotkaniu AWD. Nawet ten grubas. Czasem jest gruby, czasem chudy, czasem zamiast niego jest kobieta. Ale to ciągle to samo — oni są zawsze tacy sami.

Chłopak ma jasne, falujące włosy sięgające mu za uszy, oczy zaś ciemnoniebieskie, koloru nieba podczas burzy. Mimo marcowej aury włożył czerwoną koszulkę polo z krótkim rękawem i eleganckie ciemne dżinsy. Na nogach ma nowe mokasyny, a na nadgarstku błyszczący srebrny zegarek - widać, że jest bogaty. Trzyma ręce splecione na kolanach - widać, że jest ułożony. Nawet chłodny, nieprzenikniony wyraz twarzy, gdy patrzy na swojego

ojca na scenie, jest doskonale wyćwiczony. To uosobienie kontrolowanej obojętności wyleczonych.

Ale oczywiście nie jest wyleczony, jeszcze nie. To Julian Fineman, syn Thomasa Finemana, który, choć ma już osiemnaście lat, nie przeszedł jeszcze zabiegu. Lekarze nie wyrazili na to zgody. W następny piątek, w ten sam dzień, kiedy planowana jest wielka manifestacja AWD na Times Square, to ma się zmienić. Zaaplikują mu remedium i zostanie wyleczony.

Być może. Ale możliwe też, że umrze albo jego zdrowie psychiczne zostanie poważnie nadszarpnięte, co właściwie oznacza śmierć. Mimo to i tak poddadzą go zabiegowi. Jego ojciec na to nalega. Nalega na to i sam Julian.

Nigdy wcześniej nie widziałam go na żywo, aczkolwiek znam jego twarz z plakatów i ulotek. Julian jest sławny. Jest męczennikiem za sprawę, bohaterem AWD i przewodniczącym sekcji młodzieżowej.

Jest wyższy, niż się spodziewałam. I dużo przystojniejszy. Zdjęcia nie oddawały sprawiedliwości zarysowi jego szczęki i szerokości jego ramion — ma ciało atlety.

Na scenie Thomas Fineman podsumowuje swoją część przemówienia.

- Nie zaprzeczamy, że istnieje ryzyko związane z wcześniejszymi zabiegami - mówi. - Ale twierdzimy, że niebezpieczeństwo ich opóźnienia jest jeszcze gorsze. Jesteśmy gotowi przyjąć konsekwencje. Mamy tyle odwagi, by poświęcić kilka jednostek dla dobra ogółu. - Milknie na chwilę, gdy rozlegają się brawa, i przekrzywia głowę z satysfakcją, dopóki wrzawa nie umilknie. Światło odbija się od jego zegarka: on i syn mają identyczne modele.

— A teraz chciałbym wam przedstawić kogoś, kto uosabia wszystkie wartości AWD. Ten młody człowiek rozumie lepiej niż ktokolwiek inny wagę zabiegu, nawet wśród tych, którzy nie osiągnęli jeszcze pełnoletności, nawet wśród tych, dla których jego przeprowadzenie wiąże się z ogromnym zagrożeniem. Ten młody człowiek rozumie, że aby nasz kraj mógł się rozwijać, abyśmy wszyscy żyli bezpiecznie i szczęśliwie, trzeba czasem poświęcić potrzeby jednostki. Poświęcenie to bezpieczeństwo, a zdrowie powinno dotyczyć całości. Członkowie AWD, powitajcie mojego syna, Juliana Finemana.

Rozlegają się gromkie brawa — Lena klaszcze razem z resztą tłumu. Thomas opuszcza scenę, a wchodzi na nią Julian. Na schodach wymieniają krótkie skinięcie głowy. Nie dotykają się.

Julian przyniósł z sobą notatki i kładzie je na mównicy. Przez chwilę po sali rozchodzi się wzmocniony przez mikrofon szelest papieru. Oczy Juliana lustrują tłum i przez chwilę zatrzymują się na mnie. Otwiera lekko usta i serce mi zamiera: zachowuje się tak, jak gdyby mnie znał. Ale zaraz jego wzrok wędruje dalej, a mnie serce zaczyna walić w piersi jak oszalałe. Powoli popadam w paranoję.

Chłopak dopasowuje mikrofon do swojego wzrostu. Jest jeszcze wyższy od ojca. To niesamowite, jacy są różni: Thomas ciemny, z surową miną, jego syn wysoki, postawny i jasnowłosy, a do tego te nieprawdopodobnie niebieskie oczy. Tylko mocny zarys szczęki jest ten sam.

Przejeżdża ręką po włosach i zastanawiam się, czy się denerwuje. Ale kiedy zaczyna mówić, jego głos jest mocny i spokojny.

— Miałem dziewięć lat, kiedy powiedziano mi, że umieram — zaczyna i znowu czuję w powietrzu dziwną energię, oczekiwanie na coś niezwykłego, które niemal fizycznie przyciąga nas ku niemu. — To właśnie wtedy zaczęły się ataki. Pierwszy był tak ciężki, że mało co nie odgryzłem sobie języka. Podczas drugiego uderzyłem głową o kominek. Moi rodzice zaczęli się niepokoić.

Czuję ostry ból w żołądku — głęboko w środku, pod pancerzem, który zbudowałam przez ostatnie pół roku, pod fałszywą Leną z podrabianymi papierami i potrójną blizną za uchem.

Oto świat, w którym żyjemy, świat bezpieczeństwa, szczęścia i porządku, świat bez miłości. Świat, gdzie dzieci rozbijają sobie głowy o kamienne kominki i niemal odgryzają język, a rodzice są zaniepokojeni. Nie na skraju załamania, szaleństwa czy rozpacz. Niepokoją się — tak jak wtedy, gdy oblewasz egzamin z matematyki, jak wtedy, gdy nie rozliczą się na czas z urzędem skarbowym.

— Lekarze powiedzieli mi, że w moim mózgu powstał guz i to on powodował ataki. Operacja jego usunięcia zagrażałaby życiu. Wątpili, bym ją przeżył. Ale gdyby mnie nie zoperowali, gdyby pozwolili, by guz rósł i się rozprzestrzeniał, z pewnością nie miałbym żadnych szans.

Julian milknie i wydaje mi się, że rzuca ukradkowe spojrzenie w kierunku ojca. Thomas Fineman, ze skrzyżowanymi nogami i twarzą niewyrażającą żadnych emocji, siedzi teraz tam, gdzie przed chwilą siedział jego syn.

— Żadnych szans — powtarza Julian. — Tak więc ta narośl, chora tkanka, musiała zostać wycięta. Musiała zostać oddzielona od zdrowej części. W przeciwnym razie rozprzestrzeniałaby się tylko, aż choroba ogarnęłaby cały mózg.

Julian przekłada kartki i nadal patrząc w notatki, czyta na głos:
— Pierwsza operacja zakończyła się sukcesem i na jakiś czas napady ustały. Lecz gdy miałem dwanaście lat, powróciły. Rak zaatakował znowu, tym razem guz uciskał na podstawę pnia mózgu.

Widzę, jak jego ręce zaciskają się na mównicy. Na chwilę zapada cisza. Ktoś kaszle. Napięcie rośnie: wszyscy na tej sali jesteśmy jak krople czekające, aż ktoś przechyli naczynie, aż ktoś wskaże kierunek, w którym mamy płynąć.

Julian podnosi wzrok. Za jego plecami znajduje się ekran, na którym wyświetlana jest jego powiększona kilkunastokrotnie postać. Jego oczy są mieszaniną błękitu, zieleni i złota, jak powierzchnia oceanu w słoneczny dzień, i wydaje mi się, że za maską bez wyrazu oraz wystudiowanym spokojem widzę błysk czegoś innego — jednak zbyt przelotny, bym była w stanie to zidentyfikować.

— Od tamtej pierwszej operacji przeszedłem jeszcze trzy — mówi. — Usuwali mi guza cztery razy, a on trzy razy się odradzał, tak jak odradzają się wszystkie choroby, dopóki się ich nie usunie szybko i gruntownie. — Milknie na chwilę, by do słuchaczy dotarło znaczenie jego słów. — Teraz jestem wolny od raka już dwa lata.

Rozlegają się brawa. Julian podnosi rękę i na sali na powrót zalega cisza. Chłopak uśmiecha się, a wraz z nim jego powiększona postać na ekranie.

— Lekarze powiedzieli, że następne operacje mogą zagrozić mojemu życiu. Zbyt dużo tkanki już usunięto, zbyt wiele razy ingerowano w mózg. Jeśli poddam się zabiegowi, mogę zupełnie utracić zdolność panowania nad

emocjami. Mogę przestać mówić, widzieć, chodzić. — Wzdryga się mimowolnie. — Możliwe, że mój mózg całkowicie odmówi posłuszeństwa.

To jest silniejsze ode mnie: podobnie jak pozostali słuchacze, ja również wstrzymuję oddech. Tylko na Thomasie Finemanie te słowa nie robią żadnego wrażenia. Zastanawiam się, ile razy słyszał przemowę syna.

Julian przysuwa się jeszcze bliżej mikrofonu i teraz mam wrażenie, jakby zwracał się do każdego z nas osobiście: jego głos jest cichy i pospieszny, jak gdyby szeptem powierzał nam sekret.

— Z tego powodu odmówiono mi remedium. Przez ponad rok walczyliśmy o wyznaczenie daty zabiegu i wreszcie nam się udało. Dwudziestego trzeciego marca, w dzień naszej manifestacji, zostanę wyleczony.

Kolejne brawa, ale głos Juliana przebija się przez nie. Jeszcze nie skończył.

— To będzie historyczny dzień, choć dla mnie może okazać się ostatni. Nie myślcie, że nie pojmuję ogromu ryzyka, jakie się z tym wiąże, wręcz przeciwnie. — Prostuje się, a jego głos staje się donośniejszy, bardziej grzmiący. Oczy na ekranie są teraz pełne światła, niemal oślepiają swoim blaskiem. — Ale nie ma innego wyjścia, tak samo jak wtedy, kiedy miałem dziewięć lat. Musimy usunąć chorobę. Musimy ją wyciąć, niezależnie od ryzyka. Inaczej się rozrośnie. Rozprzestrzeni się jak najbardziej złośliwy nowotwór i narazi nas wszystkich, każdą osobę urodzoną w tym wielkim i przepięknym kraju, na niebezpieczeństwo. Więc oświadczam wam: musimy wyplenić chorobę z każdego zakątka i zrobimy to. Dziękuję.

Stało się. Uczynił to. Pociągnął nas jeszcze bardziej ku sobie. Przechylił naczynie, krople się przelały i teraz płyniemy ku niemu na fali gromkich okrzyków i braw. Lena bije brawo wraz ze wszystkimi innymi, aż bołą ją ręce. Ciągłe klaszcze, aż traci w nich czucie. Połowa sali wstaje, wznosząc okrzyki. Ktoś zaczyna skandować: „AWD! AWD!”. Wkrótce wszyscy krzyczymy te słowa — to ogłuszający, rozsadzający bębenki ryk. W którymś momencie Thomas dołącza do syna na scenie i stoją tam uroczyście, jeden obok drugiego — jeden jasny, drugi ciemny — jak dwie strony księżyca czuwającego nad nami, którzy dalej klaszczemy, skandujemy, wyrażamy krzykiem swoje poparcie. Oni są księżycem. My jesteśmy przyływem, falą, która pod wpływem ich przyciągania zmiecie chorobę z powierzchni świata.

WTEDY

W Głuszy zawsze ktoś jest chory. Gdy sama odzyskuję siły na tyle, by się przenieść z infirmerii na materac na podłodze, moje miejsce zajmuje Squirrel, a po Squirrelu przychodzi kolej na Dziadka. W nocy podziemie rozbrzmiewa kaszlem, wymiotami i gorączkowym mamrotaniem: odgłosami choroby, które przenikają przez ściany i napełniają nas lękiem. Problemem jest przestrzeń i bliskość. Żyjemy jedno na drugim, oddychamy i kichamy na siebie, wszystko jest wspólne. A do tego nic i nikt nie jest tak naprawdę czysty.

Głód nie daje nam spokoju, rozstraja nas nerwowo. Po pierwszej próbie eksploracji osady wycofuję się z powrotem pod ziemię, niczym zwierzę, które chowa się szybko do bezpiecznej nory. Mija dzień, potem dwa. Prowiant jeszcze nie przybył. Każdego ranka ktoś wychodzi, by sprawdzić informacje. Domyślam się, że w jakiś sposób komunikują się z sympatykami i ruchem oporu po drugiej

stronie. I to wszystko, co mam tu do roboty: słuchać, obserwować, siedzieć cicho.

Popołudniami śpię, a gdy nie mogę spać, zamykam oczy i wyobrażam sobie, że jestem znowu w opuszczonym domu przy Brooks Street i że obok mnie leży Alex. Idę po omacku przez mgłę. Wyobrażam sobie, że jeśli zdołam jakoś rozsunać dni, które minęły od naszej ucieczki, załatać dziury w czasie, uda mi się go odzyskać.

Ale za każdym razem, gdy otwieram oczy, wciąż jestem tutaj, na leżącym na podłodze materacu, i burczy mi w brzuchu.

Gdy mijają kolejne cztery dni, u wszystkich można już zaobserwować powolność i ociężałość, jak gdybyśmy znajdowali się pod wodą. Garnki wydają mi się niewiarygodnie ciężkie, niemożliwe do podniesienia. Kiedy zbyt gwałtownie wstaję, kręci mi się w głowie. Muszę spędzać więcej czasu w łóżku, a kiedy z niego wychodzę, wydaje mi się, że wszyscy się na mnie gapią, i czuję niechęć tych ludzi, namacalną i twardą jak mur. Może to tylko moja wyobraźnia, a może nie — w końcu to ja jestem przyczyną ich problemów.

Łowy też przynoszą marne skutki. Roach, ku ogólnej radości, złapał kilka królików. Ale mięso okazało się twarde i żylaste, a gdy podano je na stół, z trudem udało się obdzielić nim wszystkich.

Pewnego dnia podczas zamiatania w magazynie — Raven nalega, byśmy dalej pracowali i utrzymywali azyl w czystości — słyszę z góry krzyki, śmiech i odgłosy bieganiny. Czyjeś kroki dudnią po schodach. Hunter wchodzi do kuchni radosnym krokiem, a za nim starsza kobieta, Miyako. Od wielu dni nie widziałam ich — ani nikogo innego — tak pełnych energii.

— Gdzie jest Raven? — pyta zdyszany Hunter.

— Nie wiem. — Wzruszam ramionami.

Miyako cmoka zniecierpliwiona i oboje z Hunterem zawracają w stronę schodów.

— A co się dzieje? — pytam.

— Dostaliśmy wiadomość z drugiej strony — odpowiada Hunter. „Drugą stroną” tutejsi nazywają mieszkańców miast, kiedy są w dobrych nastrojach, kiedy zaś nie są, używają nazwy Zombieland. — Dzisiaj przyjdzie zaopatrzenie. Potrzebujemy pomocy przy odbiorze towaru.

— Może ty mogłabyś pomóc? — pyta Miyako, mierząc mnie wzrokiem. Jest szeroka w ramionach i bardzo wysoka, jeśliby miała wystarczająco dużo jedzenia, mogłaby być prawdziwą atletką. W tutejszych warunkach jest tylko żylastą, umięśnioną kobietą.

Kręcę głową.

— Nie... nie mam tyle siły.

Hunter i Miyako wymieniają znaczące spojrzenia.

— Poszukamy kogoś innego — mówi Hunter, a potem wbiegają z powrotem po schodach i znów zostają sama.

Jakiś czas później wracają, w dziesięć osób, dźwigając duże, mocne worki na śmieci, śliskie od wody. Umieszczono je w Coheco River przy granicy, skąd przy płynęły do nas rzeką. Nawet Raven nie jest w stanie zaprowadzić porządku w grupie ani zapanować nad własną ekscytacją. Wszyscy rozrywają worki na strzępy, wydając radosne okrzyki, gdy przysłane dobra wysypują się na podłogę: puszki fasoli, tuńczyka, kurczaka i zupy, opakowania ryżu, mąki, soczewicy i znowu fasoli, suszone mięso, worki orzechów i płatków śniadaniowych, jajka na twardo włożone do koszy z ręcznikami, plastry opatrunkowe, wazelina,

pomadki do ust oraz sprzęt medyczny, nawet nietknięta paczka z bielizną, zawiniątko z ubraniami, butelki płynu do zmywania naczyń i szamponu. Sara przyciska suszone mięso do piersi, Raven wtyka nos w mydło i rozkoszuje się jego zapachem. To jak przyjęcie urodzinowe, ale lepsze, jest bowiem nasze wspólne. Przez chwilę czuję przyływ szczęścia. Przez chwilę czuję, jakbym była częścią grupy.

Najwyraźniej nasz los się odmienił, ponieważ kilka godzin później Tack ustrzelą jelenia.

Tego wieczoru jemy pierwszy porządny posiłek od mojego przybycia. Nakładamy sobie ogromne porcje brązowego ryżu z mięsem duszonym w sosie pomidorowym i suszonych ziołach. To jest tak pyszne, że aż chce mi się płakać, a Sara naprawdę zalewa się łzami nad talerzem. Miyako otacza ją ramieniem i mruczy jej coś we włosy. Ten gest przywołuje mi na myśl mamę. Kilka dni wcześniej pytałam o nią Raven, ale bez rezultatu.

— Jak ona wygląda? — spytała wtedy Raven, a ja musiałam wyznać, że nie mam pojęcia. Gdy byłam mała, miała długie, delikatne miedziane włosy i okrągłą twarz. Ale po ponad dziesięciu latach spędzonych w Kryptach, portlandzkim więzieniu, gdzie przebywała przez całe moje życie, podczas gdy ja myślałam, że ona nie żyje, wątpię, by przypominała kobietę z moich mglistych dziecięcych wspomnień.

— Na imię ma Annabel — dodałam, lecz Raven już kręciła głową.

— Jedz, jedz — zachęca Miyako Sarę, która je, tak jak my wszyscy, zachłannie: nabieramy ryż rękami, wylizujemy talerze do czysta. Ktoś z drugiej strony pomyślał nawet, by dołączyć do paczki whisky, owinąwszy ją starannie

w bluzę od dresu, i butelka krąży teraz wokół stołu, a wszyscy wznoszą toast. Alkohol piłam zaledwie kilka razy w życiu i nigdy nie rozumiałam, co ludzie w tym widzą, ale kiedy nadchodzi moja kolej, pociągam z butelki. Whisky pali mnie w gardle i zaczynam kaszleć. Hunter uśmiecha się szeroko i klepie mnie po plecach, ale Tack niemal wyrywa mi butelkę z rąk, mówiąc oschle:

— Nie pij, jeśli masz zmarnować.

— Przywykniesz do tego — Hunter szepcze mi do ucha to samo, co rzekła mi Sara tydzień temu. Nie wiem, czy mówi o whisky, czy o charakterze Tacka. W każdym razie ciepło alkoholu już rozchodzi mi się w żołądku. Gdy butelka trafia do mnie w drugiej rundzie, pociągam nieco większy łyk, a potem kolejny i ciepło wędruje mi do głowy.

Po jakimś czasie wszystko przed oczami rozbija się na oderwane od siebie obrazy, jak zdjęcia ułożone w przypadkowej kolejności. Miyako i Lu tańczą w kącie, chwyciwszy się pod ramiona, podczas gdy reszta rękami wybija rytm. Blue śpi zwinięta w kłębek na ławce, a potem Squirrel wynosi ją śpiącą z pokoju. Raven stoi na jednej z ławek i wygłasza mowę o wolności. Ona też się śmieje, jej ciemne włosy wyglądają jak migocząca zasłona. Potem Tack pomaga jej zejść: jego brązowe ręce chwytają ją w talii i przez chwilę dziewczyna zawisa w powietrzu, w jego ramionach. Ten obraz przywołuje mi na myśl lecące ptaki. A to z kolei — Aleksa.

Pewnego dnia Raven zwraca się do mnie niespodziewanie:

— Jeśli chcesz tu zostać, musisz pracować.

— Przecież pracuję.

— Sprzątasz — prostuje. — I gotujesz wodę. Reszta z nas przynosi ją, szuka jedzenia, sprawdza wiadomości. Nawet Babcia nosi wodę, ponad dwa kilometry, w ciężkich wiadrach. A ma sześćdziesiąt lat.

— Tyle że ja... — Oczywiście Raven ma rację i jestem tego świadoma. Poczucie winy towarzyszy mi codziennie, ciężkie i gęste jak duszne powietrze. Słyszałam raz, jak Tack mówił Raven, że tylko marnuję dobre łóżko. Następne pół godziny spędziłam skulona w magazynie, obejmując rękami kolana, dopóki nie przestałam się trząść. Hunter jest jedynym z osadników, który jest dla mnie miły, ale on jest miły dla wszystkich. — Nie jestem gotowa. Nie mam tyle siły.

Raven obserwuje mnie przez chwilę w milczeniu, pozwalając, by kłępująca cisza rozciągnęła się między nami i żebym poczuła absurdalność swoich słów. Jeśli nie odzyskałam sił do tej pory, jest to tylko moja wina.

— Wkrótce się stąd wynosimy. Wyruszamy za kilka tygodni. Potrzebna nam będzie każda pomoc.

— Wynosimy się? — powtarzam.

— Idziemy na południe. — Raven odwraca się w stronę wyjścia. — Zamykamy azyl na zimę. A jeśli chcesz z nami iść, musisz nam pomóc. — To rzekłszy, zatrzymuje się w pół ruchu. — Rzecz jasna, możesz też zostać tu — dodaje, odwracając się i podnosząc brew. — Aczkolwiek zimy są tutaj zabójcze. Gdy rzeka zamarza, odcina drogę zaopatrzenia. Ale może tego właśnie chcesz?

Nie odpowiadam.

— Do jutra masz czas na zastanowienie — rzuca mi na odchodne.

Następnego ranka Raven potrząsa mną, budząc mnie z koszmaru. Podnoszę się na materacu, dysząc ciężko. Pamiętam, że spadałam, pamiętam też mnóstwo czarnych ptaków. Pozostałe kobiety śpią, a pokój wypełnia spokojny rytm ich oddechów. W korytarzu musi stać dogasająca świeca, która rzuca do środka wątłe światło. Dostrzegam tylko kształty Raven, przykucającej przede mną, i widzę, że jest już ubrana.

— I co postanowiłaś? — pyta mnie szeptem.

— Chcę iść z wami — odpowiadam, ponieważ nic innego nie jestem w stanie powiedzieć. Serce wciąż mocno bije mi w piersi.

Nie mogę dostrzec, czy się uśmiecha, ale wydaje mi się, że to słyszę: jej usta rozciągają się, dociera też do mnie krótkie westchnienie, które mogłoby być uśmiechem.

— Dobra decyzja. — Podnosi wgniezione wiadro. — Idziemy po wodę.

Raven wychodzi z pokoju, a ja po ciemku szukam ubrań. Kiedy tutaj przybyłam, pokój sypialny jawił mi się niczym jeden wielki chaos, płatanina szmat, ubrań i osobistych drobiazgów. Z czasem dotarło do mnie, że ten nieporządek jest pozorny. Każdy ma swoje terytorium, małą przestrzeń wydzieloną na jego rzeczy. Narysowałyśmy niewidzialne kółka wokół naszych łóżek, koców albo materaców, i wszystkie pilnujemy tych przestrzeni tak zaciekle, jak psy strzegą swojego terenu. Musisz trzymać wszystkie rzeczy w obrębie swojego kółka. Jeśli wyjdą poza nie, przestają być twoje. Ubrania, które wybrałam z magazynu, leżą złożone w rogu mojego koca.

Wygrzebuje się z pokoju i po omacku idę korytarzem. Znajduję Raven w kuchni, otoczoną pustymi wiadrami, jak roznieca ogień z zeszłego wieczoru tępym, zwęglonym końcem wielkiego patyka. Tutaj też nie zapaliła latarenek. To by było marnowanie baterii. Zapach dymiącego drewna, migotliwe cienie oraz ramiona Raven spowite pomarańczowym blaskiem - to wszystko sprawia, że mam wrażenie, jak gdybym wciąż śniła.

- Gotowa? - Usłyszawszy moje kroki, prostuje się i bierze wiadro do każdej ręki.

Potakuję, a ona ruchem głowy wskazuje na pozostałe wiadra.

Idziemy w górę krętymi schodami i nagle wynurzamy się na powierzchnię: wyjście na świeże powietrze jest tak samo oszałamiające jak wtedy, gdy poznawałam osadę z Sarą. Pierwszą rzeczą, która mnie uderza, jest zimno. Lodowaty wiatr przenika przez podkoszulek i z mojej piersi wydobywa się mimowolny jęk.

- O co chodzi? - Raven mówi już normalnym tonem, skoro wyszliśmy na zewnątrz i nie musi się obawiać, że kogoś obudzi.

- Zimno mi - odpowiadam. Powietrze pachnie już zimą, chociaż na drzewach ciągle utrzymują się liście. Na horyzoncie, ponad postrzępioną linią drzew, słońce pnie się w górę, rozsiewając jasny złoty blask. Cały świat jest mieszaniną szarości i fioletów. Zwierzęta i ptaki dopiero budzą się do życia.

- Za niecały tydzień zaczyna się październik - mówi Raven, wzruszając ramionami, a gdy potykam się o wystający z ziemi kawałek pogiętego metalu, dodaje: - Patrz pod nogi.

Wtedy dociera do mnie, że chociaż śledziłam upływ dni, to w rzeczywistości udawałam, że podczas gdy ja siedziałam zaszyta głęboko pod ziemią, świat na zewnątrz również stanął w miejscu.

— Jeślibym szła zbyt szybko, daj znać — mówi Raven.

— Okej — odpowiadam głosem rozbrzmiewającym jakoś dziwnie w tym rzadkim jesiennym powietrzu.

Ruszamy ulicą. Raven idzie pewnym krokiem, omijając rozwalone kawałki betonu i powykręcane metalowe odpadki niemal instynktownie, tak jak robiła to Sara. Przy wejściu do starego skarbca bankowego, gdzie nocują mężczyźni, czeka na nas Bram, chłopak o ciemnych włosach i jasnobrązowej skórze. Jest jednym ze spokojniejszych mężczyzn, jednym z nielicznych, którzy mnie nie przerażają. On i Hunter są nierozłączni, a ich widok przypomina mi Hanę i mnie: jedno ciemne, drugie jasne. Raven bez słowa wręcza mu kilka wiader, a on dołącza do nas w milczeniu. Ale uśmiecha się do mnie i ten uśmiech dodaje mi otuchy.

Mimo że powietrze jest zimne, po kilku chwilach jestem złana potem, a serce boleśnie kołacze mi w piersi. W ciągu ostatniego miesiąca nie uszłam naraz więcej niż dwadzieścia metrów. Mam osłabione mięśnie i niesienie nawet pustych wiader wywołuje wkrótce ból w ramionach. Ciągłe zmieniam ułożenie dłoni na uchwytach. Nie chcę się skarżyć ani prosić Raven o pomoc, chociaż z pewnością widzi, że mam problem z dotrzymaniem im kroku. Nie chcę nawet myśleć o tym, jak długa i żmudna będzie droga powrotna z pełnymi wiadrami.

Zostawiwszy za sobą osadę i ulicę, skręcamy w stronę drzew. Liście mieniają się odcieniami złota, oranżu, brązu i czerwieni. Wygląda to tak, jak gdyby cały las płonął

spokojnym, pięknym ogniem. Chłonę każdą cząstką siebie przestrzeń wokół mnie, bezkresną, jasną i otwartą. Dobiega mnie też szelest zwierząt skrytych przed naszym wzrokiem wśród suchych liści.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - krzyczy do mnie Raven. — Świetnie ci idzie, Lena.

- Dzięki - odpowiadam, ledwo dysząc. Pot kapie mi do oczu i aż trudno mi uwierzyć, że jeszcze przed chwilą było mi zimno. Nie dbam nawet o wystające gałęzie. Idący przede mną Bram przepycha się między nimi, więc uderzają mnie z impetem w ręce i nogi, boleśnie smagając skórę. Jestem jednak zbyt zmęczona, by się tym przejmować. Mam wrażenie, że idę tak godzinami, ale przecież Sara mówiła, że rzeka jest niecałe dwa kilometry od osady. Zresztą słońce dopiero wzeszło.

Wreszcie poza świergotem ptaków i szumem wiatru między gałęziami dobiega nas ciche szemranie płynącej wody. Potem drzewa rzedną, ziemia przechodzi w kamienie i oto stoimy nad brzegiem szerokiego, płytkiego strumyka. Światło odbija się w pokrytej zmarszczkami wodzie, jakby pod jej powierzchnią błyskały monety. Kilkanaście metrów na lewo znajduje się miniaturowy wodospad, w którym strumyk kłębi się nad skupiskami małych, czarnych, omszałych kamieni. Nagle zbiera mi się na płacz. Dociera do mnie, że to miejsce istniało od zawsze: kiedy zbombardowano miasta i obrócono je w perzynę, kiedy postawiono graniczne mury, ten potok płynął już w tym miejscu i obmywał kamienie, przepełniony swoim tajemniczym śmiechem.

Zdaję sobie też sprawę, jak małymi i głupimi stworzeniami jesteśmy. Przez większość życia uważałam naturę za

bezrozumną siłę: ślepa, zwierzęca, destrukcyjną. Wydawało mi się, że my, ludzie, stoimy wyżej, bo mamy rozum, dbamy o porządek, umiemy się kontrolować. Bo podporządkowaliśmy sobie resztę świata, stłamsiliśmy ją, wtłoczyliśmy pod szkiełko mikroskopu i między strony *Księgi szz*.

Raven i Bram już stoją w rzece i napełniają wiadra wodą.

— Chodź — mówi Raven szorstko. — Pozostali zaraz się obudzą.

Oboje weszli do wody bosy, więc przykucam, by zdjąć buty. Palce mam opuchnięte z zimna, pomimo że już go nie czuję. Gorąco pulsuje w całym moim ciele. Mam problemy z rozwiązaniem sznurówek i gdy wreszcie podchodzę do strumienia, Raven i Bram zdążyli już napełnić swoje wiadra i ustawić je w rzędzie na brzegu. Po ich powierzchni pływają kawałki trawy i martwych owadów. Trzeba będzie je usunąć, a potem przegotować wodę, by ją w ten sposób zdezynfekować.

Pierwszy krok w głąb strumienia niemal ścina mnie z nóg. Nawet tuż przy brzegu prąd jest dużo silniejszy, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Wymachuję gwałtownie rękami, starając się utrzymać równowagę, i upuszczam wiadro. Stojący na brzegu Bram wybucha śmiechem, który jest wysoki i zaskakująco melodyjny.

— No dobra. — Raven daje mu kuksańca. — Koniec tej zabawy. Możesz już iść. Zobaczymy się w azylu.

Bram salutuje posłusznie.

— Do zobaczenia, Lena — mówi i uświadamiam sobie, że po raz pierwszy od tygodnia odezwał się do mnie ktoś inny niż Raven, Sara czy Hunter.

— Do zobaczenia — odpowiadam.

Dno strumienia jest pokryte małymi, śliskimi kamykami, które twardo wbijają mi się w stopy. Łapię upuszczone wiadro i żeby je napełnić, przykucam nisko, tak jak przedtem Raven i Bram. Wyciągnięcie go na brzeg jest trudniejsze. Mam słabe ręce, a metalowy uchwyt boleśnie wbija mi się w dłoń.

— Jeszcze drugie - mówi Raven, obserwując mnie ze skrzyżowanymi na piersi rękami.

Drugie wiadro jest nieco większe niż pierwsze i dużo ciężiej nim manewrować, gdy już jest pełne. Muszę trzymać uchwyt w obu rękach, zgięta w pół, a do tego wiadro obija mi się o golenie. Gdy wychodzę ze strumienia, stawiam je na ziemi z westchnieniem ulgi. Nie mam pojęcia, jak dojdę do osady, niosąc oba wiadra naraz. To niemożliwe. A nawet jeśli się uda, to zajmie mi długie godziny.

— Gotowa do drogi? — pyta Raven.

— Daj mi chwilę - mówię, kładąc dłonie na kolanach. Ręce już mi się trzęsą. Chciałabym zostać tutaj jak

najdłużej, czuć na sobie słońce przebijające się przez drzewa, słuchać strumienia mówiącego swoim własnym, dawno zapomnianym językiem i obserwować cienie ptaków przecinających niebo. Aleksowi by się tu spodobało — przychodzi mi do głowy mimowolnie, choć cały czas staram się nie wymawiać nawet w myślach jego imienia, nawet nie oddychać wyobrażeniem o nim.

Na drugim brzegu widzę małego niebieskiego ptaka czyszczącego piórka. I nagle dopada mnie nieprzeparata ochota, by zrzucić z siebie ubranie i zanurkować, zmyć z siebie te wszystkie warstwy brudu i potu, których nie byłam w stanie wyszorować w azylu.

— Odwrócisz się? — zwracam się do Raven. Przewraca oczami, najwyraźniej rozbawiona, ale spełnia moją prośbę.

Zdejmuję spodnie i majtki, ściągam podkoszulek i rzuca je na trawę. Wejście z powrotem do strumienia sprawia mi jednocześnie przyjemność i ból — to czyste uczucie zimna, które przenika aż do szpiku kości. Gdy brnę w stronę środka nurtu, kamienie pod moimi stopami stają się większe i bardziej płaskie, a prąd silniej napiera na moje nogi. Mimo iż strumień nie jest zbyt szeroki, tuż za miniaturowym wodospadem znajduje się ciemna przestrzeń, gdzie koryto rzeki osiąga najniższy poziom, tworząc głębszy zbiornik, w sam raz do pływania. Stoję, trzęsąc się, woda opływa mi kolana, i w ostatniej chwili odwaga mnie opuszcza. Jest bardzo zimno, a do tego woda wydaje się taka mroczna, czarna i głęboka.

— Nie będę czekać na ciebie w nieskończoność! — krzyczy odwrócona plecami Raven.

— Pięć minut! — odpowiadam i wyciągam ramiona, by zanurkować w głębi wody. Zderzenie z nią jest brutalne: zimno jest jak mur, lodowaty i nieprzenikniony, szarpie każdym nerwem mojego ciała, czuję wokół pęd strumienia i w uszach mi dzwoni. Brakuje mi w płucach powietrza, więc wypływam na powierzchnię i zachłannie je wdycham. Słońce wznosi się coraz wyżej, a niebo, jakby po to, by móc je utrzymać, nabiera coraz większej głębi i ostrości.

I wtedy nagle zimno znika. Znowu zanurzam głowę i pływam w miejscu, pozwalając, by prąd rzeki ciągnął mnie i na mnie napierał. Z głową pod wodą niemal słyszę jej śpiew, szemranie, bulgotanie. Słyszę, jak powtarza imię, o którym tak bardzo starałam się nie myśleć: Alex, Alex, Alex. I słyszę też, jak porywa je z sobą. Wychodzę ze

strumienia, drżąca i roześmiana, po czym szcękając zębami, zgrabiałymi, sinymi palcami zakładam ubranie.

— Po raz pierwszy słyszę, jak się śmiejesz — oznajmia Raven. I rzeczywiście. Nie śmiałam się, od kiedy przybyłam do Głuszy. To niesamowite uczucie. — Gotowa?

— Gotowa — odpowiadam.

Jestem w stanie unieść tylko jedno wiadro naraz, trzymając je obiema rękami, wychlapując przy tym wodę, pocąc się i klnąc. Wlokę się jak żółw. Kładę jedno wiadro na ziemi i wracam po drugie. Posuwam się o kilka kroków. Potem przerwa, odpoczynek, kilka głębokich oddechów.

Raven idzie przede mną. Czasami zatrzymuje się i kładzie wiadra na ziemi, zdziera korę z drzew i rozsypuje ją na drogę, bym się nie zgubiła, nawet gdy stracę ją z oczu. Wraca za pół godziny, przynosząc metalowy kubek z wodą, już zdezynfekowaną, a także migdały i rodzynki zawinięte w małą bawełnianą szmatkę, żebym się posiliła. Słońce świeci teraz wysoko na niebie, a jego jasne promienie niczym noże przeszywają korony drzew.

Raven idzie teraz przy mnie, chociaż nie proponuje mi pomocy, a ja o nią nie proszę. Obserwuje moją zmudną drogę do osady spokojnie, z założonymi rękami.

Ostateczny wynik: dwie godziny. Trzy pęcherze na dłoniach, w tym jeden wielkości czereśni. Ręce trzęsą mi się tak strasznie, że ledwo mogę unieść je do twarzy, by zmyć pot. Skórę na jednej dłoni, tam, gdzie wrzynał się w nią metalowy uchwyt wiadra, mam otartą aż do żywego mięsa.

Za to przy kolacji Tack nakłada mi największą porcję ryżu i fasoli i mimo pęcherzy na rękach oraz tego, że Squirrel przypalił ryż, mam wrażenie, że to najlepszy posiłek, od kiedy przybyłam do Głuszy.

Po kolacji jestem tak zmęczona, że zasypiam w ubraniu, gdy tylko przykładam głowę do poduszki. Zapominam nawet pomodlić się do Boga, bym już się nie obudziła.

Dopiero następnego ranka uświadamiam sobie, jaki mamy dzień: dwudziestego szóstego września.

Wczoraj Hana miała zabieg.

Hana zniknęła.

Nie płakałam od śmierci Aleksa. Alex żyje.

To staje się moją mantrą, bajką, którą powtarzam sobie codziennie, gdy bladym, mglistym świtem wychodzę na zewnątrz i powoli, w bólu, wznawiam treningi.

Jeśli uda mi się przebiec całą drogę do starego banku - mimo klucia w płucach i drżenia ud - wtedy Alex będzie żył.

Najpierw to jest dziesięć metrów, potem dwadzieścia, potem dwie minuty z rzędu, potem cztery.

Jeśli uda mi się dobiec do tamtego drzewa, Alex wróci.

Alex stoi tuż za tamtym wzgórzem. Jeśli uda mi się wbiec na jego szczyt bez zatrzymywania, będzie tam stał.

Na początku kilka razy się potykam i o mało co nie skręcam kostki. Nie jestem przyzwyczajona do tak nierównego terenu, a do tego niewiele widzę w nieprzeniknionym świetle poranka. Ale wreszcie albo moje oczy się przystosowują, albo stopy uczą się drogi, bo po kilku tygodniach moje ciało przyzwyczaja się do nierówności terenu, do geometrii zniszczonych ulic i budynków, i wreszcie jestem w stanie przebiec całą długość głównej ulicy bez patrzenia pod nogi.

A potem dalej, i szybciej.

Alex żyje. Nieco więcej wysiłku, przyspieszenie na ostatniej prostej, i zobaczysz.

Kiedy razem z Haną biegałyśmy w drużynie lekkoatletycznej, stosowałyśmy różne tego rodzaju triki, żeby się motywować. Bieganie jest sportem psychicznym bardziej niż jakikolwiek inny sport. O tym, jaki jesteś dobry, decydują twoje treningi, a o tym, jakie są twoje treningi, decyduje to, co masz w głowie. Wmawiałyśmy sobie takie na przykład rzeczy: jeśli pokonamy całe dziesięć kilometrów bez przechodzenia w marsz, dostaniemy maksimum punktów na egzaminie z historii. Czasami to działało, czasami nie. Czasami poddawałyśmy się ze śmiechem na dziewiątym kilometrze, mówiąc: „Ups, chyba musimy się pożegnać z dobrą oceną”.

Ale w tym tkwiło sedno tej zabawy: wcale tak naprawdę nam nie zależało. Świat bez miłości jest także światem bez ryzyka.

Alex żyje. Dalej, dalej, dalej. Biegnę, aż stopy mi puchną, aż krwawią i pokrywają się pęcherzami. Raven przygotowuje dla mnie wiadra z zimną wodą, żebym mogła wymoczyć w nich nogi, ale z naganą w głosie nakazuje mi ostrożność, przestrzega przed zakażeniem. Antybiotyki są tutaj trudne do zdobycia.

Następnego ranka owijam palce kawałkiem materiału, zakładam buty i wznawiam biegi. Jeśli ci się uda... jeszcze trochę dalej... jeszcze trochę szybciej... zobaczysz, zobaczysz, zobaczysz. Alex żyje.

Nie, nie zwariowałam. Wiem, że rzeczywistość jest inna. Gdy po skończonym biegu kuśtykam z powrotem do podziemi kościoła, uderza mnie głupota i bezcelowość

tego wszystkiego. Aleksa już nie ma i choćbym nie wiem, ile biegała, ile włożyła w to wysiłku, zdierała skórę do krwi, nic mi go nie wróci.

Tak, dobrze o tym wiem. Ale chodzi o to, że kiedy biegam, zawsze pojawia się ten moment, gdy na ułamek sekundy rozdziera mnie ból, kiedy z trudem oddycham i wszystko zdaje się jedynie rozmazaną barwną plamą. W tej właśnie chwili, gdy ból osiąga swoje maksimum i wydaje się nie do zniesienia, przechodzi przeze mnie jasność, widzę po lewej błysk koloru - miedziane włosy, płonąca koronę z liści - i wiem, że gdy tylko odwrócę głowę, on będzie tam stał, wpatrzony we mnie, roześmiany, wyciągając do mnie rękę.

Rzecz jasna nigdy nie odwracam głowy. Ale pewnego dnia to zrobię. Pewnego dnia to zrobię, a on wróci, i wszystko będzie dobrze.

A do tego czasu nie pozostaje mi nic innego, jak biegać.

TERAZ

Po spotkaniu AWD ruszam za tłumem wylewającym się na wczesnowiosenne słońce. Energia, która powstała podczas spotkania, wciąż nas przepełnia, pulsuje w nas, ale w świetle słońca i chłdzie wydaje się mniej szlachetna, bardziej agresywna: to impuls do destrukcji.

Kilka autobusów czeka przy krawężniku, a na schodach Javits Center ustawiają się kręte kolejki. Czekam od pół godziny, w tym czasie odjechały już trzy tury autobusów, kiedy uświadamiam sobie, że w sali konferencyjnej zostawiłam rękawiczkę. Powstrzymuję się od przekleństw. Znajduję się w tłumie wyleczonych, więc nie mogę wzbudzać żadnych podejrzeń.

W kolejce przede mną stoi już tylko dwadzieścia osób i przez chwilę zastanawiam się, czy nie darować sobie rękawiczki. Ale ostatnie pół roku nauczyło mnie szanować rzeczy: w Głuszy marnowanie czegokolwiek jest praktycznie grzechem i uważa się, że może przynieść nieszczęście.

Kto dziś marnuje, jutro pożaruje — oto kolejna z ulubionych mantr Raven.

Wychodzę z kolejki, przyciągając zdziwione spojrzenia, i ruszam z powrotem w górę schodów, w stronę lśniących szklanych drzwi. Porządkowy z wykrywaczem metalu już zniknął, chociaż zostawił włączone przenośne radio i kubek z niedopitą kawą. Kobieta, która sprawdzała mi dowód, również zniknęła, tak jak i ulotki AWD ze składanego stolika. Światła na górze wyłączono i w półmroku sala wydaje się jeszcze większa niż zazwyczaj.

Gdy popycham drzwi do sali konferencyjnej, na chwilę staję jak wryta. Oto spoglądam z lotu ptaka na szczyt pokrytej śniegiem góry. Zdjęcie jest wyświetlane na tym ogromnym ekranie, na którym wcześniej widniała powiększona twarz Juliana Finemana. Ale światło w sali jest zgaszone, więc obraz jest ostry i żywy. Widzę gęsty pierścień drzew jak ciemne futro u stóp góry i ostre niczym nóż szczyty zwieńczone koronkową białą pokrywą. Piękno tego widoku zapiera mi dech w piersiach.

Po chwili obraz się zmienia. Tym razem spoglądam na jasną, piaszczystą plażę i skłębiony błękitnozielony ocean. Podchodzę kilka kroków w głąb sali, tłumiąc szloch. Nie widziałam oceanu, od kiedy opuściłam Portland.

Kolejne zdjęcie. Teraz ekran wypełniają ogromne drzewa, strzeliście wyciągające się w stronę nieba, które ledwo prześwituje przez baldachim gęstych konarów. Słońce pada ukośnie na czerwonawe pnie i podszycie porośnięte kwiatami i kędzierzawymi zielonymi paprociami. Znowu podchodzę kilka kroków do przodu — urzeczona, zahipnotyzowana — i wpadam na metalowe składane krzesło. W tej samej chwili osoba siedząca w pierwszym rzędzie

podskakuje i po ekranie przebiega cień sylwetki, zakrywając część lasu. A potem ekran blaknie i światła się zapalają, a sylwetka nabiera kształtów Juliana Finemana. Chłopak trzyma w ręku pilot do rzutnika.

— Co ty tu robisz? — warczy na mnie, zupełnie zbity z tropu. Nie czekając na odpowiedź, dodaje: — Spotkanie już się skończyło.

Pod jego agresją wyczuwam coś innego — zawstydzenie. Pewnie właśnie poznałam sekret Juliana Finemana: lubi siedzieć w ciemności, oglądać piękne zdjęcia i wyobrażać sobie siebie w innych miejscach.

Z zaskoczenia ledwo jestem w stanie wyjąkać odpowiedź:

— Yyy... zgubiłam rękawiczkę.

Julian odwraca wzrok i zaciska palce na pilocie. Ale gdy jego oczy znów wędrują w moją stronę, widzę, że odzyskał już panowanie nad sobą, a wraz z nim dobre maniery.

— Gdzie siedziałaś? Pomogę ci jej szukać.

— Nie trzeba — odpowiadam pośpiesznie.

Wciąż jestem w szoku. Atmosfera między nami jest napięta, tak jak podczas spotkania. Gdzieś głęboko w środku szarpie mnie ból — widok oceanu, zdjęcia powiększone na ekranie sprawiły, że miałabym ochotę zanurkować z wysoka w sam środek tego lasu i zlizywać śnieg ze szczytu góry, jakby to była bita śmietana. Chciałabym, by wyłączył światła i znowu mi to pokazał.

Tyle że to Julian Fineman, uosobienie wszystkiego, czego nienawidzę, dlatego o nic nie będę go prosić.

Szybko ruszam w stronę miejsca, gdzie siedziałam. Julian nie spuszcza ze mnie wzroku. Stoi bez ruchu przed

białym ekranem, tylko jego oczy są ruchome, żywe. Czuje jego spojrzenie na skórze, na plecach, wplątane w moje włosy. Bez problemu odnajduję rękawiczkę i podnoszę ją wysoko, by pokazać Julianowi.

— Znalazłam — oznajmiam, unikając jego spojrzenia, i ruszam szybko w stronę wyjścia. Zatrzymuje mnie pytaniem:

— Długo tak stałaś?

— Co? — Odwracam się w jego stronę. Jego twarz jest nieodgadniona, nie wyraża żadnych emocji.

— Jak długo tu jesteś? Ile zdjęć widziałaś? Zastanawiam się, czy to jakiś rodzaj testu.

— Widziałam góry — odpowiadam po chwili.

Julian wbija wzrok w ziemię, a potem znowu spogląda na mnie. Nawet z tej odległości zdumiewa mnie jasność jego oczu.

— Szukamy obozów — mówi, zadzierając do góry brodę, jakby spodziewał się, że będę próbowała mu zaprzeczyć. — Baz Odmieńców. Używamy do tego różnych technik inwigilacji.

Właśnie dowiedziałam się o nim kolejnej rzeczy: Julian Fineman jest kłamcą.

Jednocześnie trzeba uznać za postęp, że ktoś taki jak on w ogóle używa tego słowa. Dwa lata temu Odmieńcy nie mieli nawet prawa istnieć. Oficjalnie głośzono, że zostaliśmy wymordowani podczas blitzu. Byliśmy postaciami z legend, jak jednorożce i wilkołaki. Tyle że to było przed Incydentami, zanim ruch oporu zaczął domagać się swoich praw przy użyciu siły — potem zaprzeczanie naszemu istnieniu stało się niemożliwe.

Zmuszam się do uśmiechu i mówię:

— Mam nadzieję, że ich znajdziecie. Że wytropicie ich co do jednego.

Julian kiwa głową.

A odwracając się, dodaje pod nosem:

— Zanim oni znajdą was.

Jego głos rozlega się ostro i donośnie:

— Co powiedziałaś?

Rzucam mu spojrzenie przez ramię.

— Zanim oni znajdą nas — odpowiadam i wychodzę, a drzwi zamykają się za mną z impetem.

Gdy wreszcie docieram do Brooklynu, słońce zdażyło już zejść. W mieszkaniu jest zimno. Żaluzje są opuszczone, a w hallu pali się jedno światło. Na szafce w korytarzu leży niewielki stos poczty.

NIKT NIE JEST BEZPIECZNY, DOPÓKI WSZYSCY NIE SĄ WYLECZENI — głosi napis na pierwszej kopercie, wydrukowany nad naszym adresem. A poniżej: AWD PROSI O WSPARCIE.

Obok poczty spoczywa mała srebrna tacka z naszymi dokumentami. Koło siebie leżą dwa dowody: Rebecki Ann Sherman i Thomasa Clive'a Shermana. Oboje mają na zdjęciach poważne miny i patrzą przed siebie wzrokiem bez wyrazu. Rebecca ma kruczoczarne włosy, równiutki przedziałek i okrągłe oczy. Włosy Thomasa są przycięte tak krótko, że trudno stwierdzić, jakiego są koloru. Opadające ciężko powieki sprawiają, że wygląda, jak gdyby zasypiał.

Pod dowodami leżą spięte ich dokumenty. Można z nich odczytać istotne fakty z życia Rebecki i Thomasa:

daty i miejsca urodzenia, imiona rodziców i dziadków, wysokość dochodów, oceny szkolne, przypadki wykroczeń, wyniki ewaluacji i egzaminów końcowych, datę i miejsce ceremonii ślubnej, wszystkie poprzednie adresy.

Oczywiście Rebecca i Thomas są nie bardziej prawdziwi niż Lena Morgan Jones: dziewczyna o szczupłej twarzy, która na zdjęciu w swoim dowodzie również się nie uśmiecha. Kładę go obok dowodu Rebecki. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się zdarzyć nalot albo zjawić rachmistrz przeprowadzający spis ludności. Lepiej, żeby nie trzeba było wtedy rozglądać się w poszukiwaniu dokumentów. A najlepiej, by nikt nigdy nie grzebał w tym mieszkaniu.

Dopiero gdy przeprowadziłam się do Nowego Jorku, zrozumiałam obsesję Raven z Głuszy dotyczącą porządku: wszystkie powierzchnie muszą być czyste, bez skazy, nigdzie ani okruszka. W ten sposób nie zostawiamy żadnego śladu, który mógłby zdradzić cokolwiek.

Zasłony w salonie są zaciągnięte. To zatrzymuje w środku ciepło i chroni przed spojrzeciami — sąsiadów, porządkowych, przechodzących patroli. W Zombielandzie zawsze ktoś obserwuje. Ludzie nie mają nic innego do roboty. Nie myślą. Nie odczuwają żadnych namiętności, nienawiści ani smutku. Jedyne, co czują, to strach i chęć kontroli. Więc obserwują i wtrącają się do cudzego życia.

Na tyłach apartamentu znajduje się kuchnia. Nad stołem wiszą dwa zdjęcia: jedno Thomasa Finemana, drugie Cormaca T. Holmesa, któremu przypisuje się przeprowadzenie pierwszego udanego zabiegu.

Obok kuchenki we wnęce jest spiżarnia. Wąskie półki wypełnione są po brzegi jedzeniem. Nie da się wymazać z pamięci długich chwil głodu, więc my wszyscy, którzy

poznaliśmy tamto życie, mamy teraz skłonność do chomikowania. Pakujemy batony muesli do toreb i wypychamy kieszenie torebkami cukru. Nigdy nie wiadomo, kiedy głód znowu zaatakuje.

Jedna z trzech ścian spizarni to tak naprawdę ukryte drzwi. Otwieram je i moim oczom ukazują się drewniane schody. Z piwnicy bije przyćmione światło, docierają do mnie też strzępy rozmowy. Raven i Tack się kłócą — to akurat nic nowego — a Tack oznajmia zboliałym głosem:

— Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możemy być wobec siebie szczerzy. W końcu jesteśmy po tej samej stronie.

Raven odpowiada ostro:

— Wiesz, że to niewykonalne, Tack. Tak będzie lepiej. Musisz mi zaufać.

— I ty mówisz o zaufaniu? To przecież ty masz z tym problem...

Jego głos milknie nagle, gdy zamykam za sobą drzwi, nieco głośniejszy niż zrobiłabym to normalnie, by wiedzieli, że tu jestem. Nie znoszę słuchać, jak się kłócą — nigdy nie byłam świadkiem kłótni dorosłych, zanim uciekłam do Głuszy — choć z czasem zaczęłam się do tego przyzwyczajać. Musiałam. Wygląda na to, że zawsze muszą się o coś sprzeczać.

Gdy schodzę po schodach, Tack się odwraca, przejeżdżając ręką po twarzy. Raven mówi do mnie szorstko:

— Spóźniłaś się. Spotkanie skończyło się dobrych kilka godzin temu. Co się stało?

— Nie załapałam się na pierwszą turę autobusów. — I zanim Raven zacznie kazanie, dodaję szybko: — Zostawiłam w środku rękawiczkę i musiałam po nią wrócić. Rozmawiałam z Julianem Finemanem.

— Co takiego? — wybucha Raven, a Tack wzdycha i pociera czoło.

— Tylko przez chwilę. — Już mam im powiedzieć o zdjęciach, ale w ostatniej chwili zmieniam zdanie. — Spokojnie. Nic się nie stało.

— Nie byłbym tego taki pewien, Lena — odzywa się Tack. — Co ci mówiliśmy? Mamy się nie rzucać w oczy.

Czasami mam wrażenie, że Tack i Raven traktują rolę Thomasa i Rebecki — surowych opiekunów — nieco zbyt poważnie, i z trudem się powstrzymuję, by nie przewrócić oczami.

— To przecież nie ma znaczenia — powtarzam.

— Wszystko może mieć znaczenie. Nie rozumiesz? My... Raven przerywa mu.

— Doskonale rozumie. Słyszała to już tysiące razy. Daj jej spokój, dobra?

Tack wpatruje się w nią przez chwilę w milczeniu, z zaciśniętymi ustami. Raven śmiało spogląda mu w oczy. Wiem, że są na siebie źli o coś innego — nie chodzi tu tylko o mnie — ale i tak zalewa mnie gorąca fala wyrzutów sumienia. Czuję, że pogorszyłam sprawę.

— Jesteś niemożliwa — cedzi przez zęby Tack, nie zważając na moją obecność, po czym mija mnie i z tupotem wbiega po schodach.

— Dokąd się wybierasz? — woła za nim Raven i przez chwilę widzę coś dziwnego w jej oczach, jakieś pragnienie albo lęk, ale mija tak szybko, że nie mam szans tego zidentyfikować.

— Przejść się — odpowiada Tack, nie zatrzymując się. — Tutaj nie ma czym oddychać. — Wchodzi do spiżarni, drzwi na górze zamykają się i zostaję sam na sam z Raven.

Przez chwilę stoimy w milczeniu, a potem Raven macha ręką i oznajmia z wymuszonym śmiechem:

— Nie przejmuj się nim. Wiesz, jaki jest Tack.

— Jasne — odpowiadam, speszona. Atmosfera po ich kłótni wydaje się ciężka i gęsta. Zazwyczaj to moje ulubione miejsce w tym domu, moja kryjówka — tak samo jak Tacka i Raven. To jedyne miejsce, gdzie możemy zrzucić fałszywą skórę, fałszywe imiona, fałszywe życiorysy.

Przynajmniej ten jeden pokój wydaje się naprawdę zamieszkały. Na górze wszystko wygląda jak normalny dom, pachnie jak normalny dom i pełno tam rzeczy jak w normalnym domu. Ale jest w nim coś dziwnego, jak gdyby jego fundamenty były przekrzywione o kilka centymetrów.

W przeciwieństwie do reszty mieszkania piwnica to pobożowisko. Raven nie nadała ze sprzątnięciem wszystkiego, co Tack znosi i czym nabałagani. Książki — prawdziwe książki, te stare, zakazane — rozrzucone są wszędzie. Tack je kolekcjonuje. Choć tak właściwie „kolekcjonuje” to nie jest odpowiednie słowo. On je gromadzi w ten sam sposób, w jaki reszta z nas chomikuje jedzenie. Próbowалаm czytać kilka z nich, by się dowiedzieć, jak to było przed remedium i przed wzniesieniem granic, ale rozmyślanie o tym, wyobrażanie sobie tamtej wolności, emocji i życia pełną piersią wywoływało ból w sercu. O wiele lepiej nie myśleć o tym zbyt dużo.

Alex uwielbiał książki. To on pokazał mi poezję. To jeszcze jeden powód, dla którego nie jestem w stanie czytać.

Raven wzdycha i zaczyna przekładać jakieś papiery porzucane na rozklekotanym drewnianym stole stojącym na środku pokoju.

— To ta cholerna manifestacja — mówi. — Wszyscy są podminowani.

— A na czym polega problem? Macha niedbale ręką.

— Na tym co zawsze. Pogłoski o zamieszkach. Podziemie mówi, że Hieny dadzą znać o sobie, że szykują coś poważnego. Ale to nic potwierdzonego.

Głos Raven staje się nieprzyjemny. Ja sama nie lubię nawet wymawiać słowa „Hieny”. Zostawia w ustach zły smak, jakby czegoś zgniłego albo popiołu. My wszyscy — Odmieńcy, ruch oporu — nienawidzimy Hien. Psują nam opinię. Wszyscy są zgodni co do tego, że rujną — że już zrujnowały — wiele z tego, co chcemy osiągnąć. Hieny są Odmieńcami, tak jak my, ale nie walczą o nic. My chcemy usunięcia granic i zlikwidowania remedium. Hieny zaś dążą wyłącznie do zniszczenia — chcą palić, kraść i zabijać, chcą, aby cały świat stanął w płomieniach.

Zetknęłam się z nimi tylko raz, ale do tej pory dręczą mnie po tym koszmary.

— Nie uda im się. — Siłę się na pewność w głosie. — Nie są zorganizowani.

Raven wzrusza ramionami.

— Miejmy nadzieję. — Układa książki jedna na drugiej i wyrównuje ich brzegi. Przez chwilę robi mi się jej żal: próbuje zaprowadzić porządek w całym tym bałaganie, jakby miało to jakieś znaczenie, jakby mogło to coś zmienić.

— Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Nie przejmuj się. — Raven rzuca mi wymuszony uśmiech.

— To moja robota, jasne?

Oto kolejne z ulubionych powiedzeń Raven. Tak jak jej uparte powtarzanie, że przeszłość jest martwa, które stało

się rodzajem mantry. Wystarczy, że ja się martwię, a ty rób, co każe. Wszyscy pewnie tego potrzebujemy: słów, które powtarzamy sobie na okrągło i które dodają nam sił, by iść dalej.

— Okej. — Przez chwilę stoimy w milczeniu.

To dziwne. Na wiele sposobów Raven naprawdę jest dla mnie jak rodzina — w każdym razie jest osobą mi najbliższą — ale czasem dociera do mnie, że nie znam jej teraz ani odrobinę lepiej niż wtedy, w sierpniu, kiedy mnie znalazła. Wciąż nie wiem zbyt wiele o tym, jaką osobą była przed przybyciem do Głuszy. Zamknęła tę część siebie, schowała gdzieś głęboko, gdzie nikt nie ma dostępu.

— No idź — mówi, wskazując głową na schody. — Jest już późno. Powinnaś coś zjeść.

W drodze do wyjścia przejeżdżam palcami po metalowej tablicy rejestracyjnej przytwierdzonej do ściany. Znaleźliśmy ją w Głuszy, do połowy zagrzebaną w błocie, podczas wędrówki na południe. Wszyscy byliśmy wtedy głodni i wyczerpani, chorzy i przemarznięci, bliscy śmierci. To Bram ją zauważył. A gdy ją podnosił z ziemi, słońce przedarło się przez zasłonę chmur i metal rozbłysnął bielą, niemal mnie oślepiając, tak że ledwo mogłam przeczytać słowa wydrukowane pod numerami.

Dawne słowa — słowa, które prawie rzuciły mnie na kolana.

Wolność albo śmierć.

Trzy słowa. Siedemnaście liter. Krawędzie, zawijasy, wypukłości pod palcami.

Kolejna z naszych mantr. Uczepiamy się jej kurczowo i nasza wiara staje się prawdą.

WTEDY

Z dnia na dzień robi się coraz chłodniej. Rano trawa powleczone jest szronem. Podczas biegania powietrze kłuje mnie w płucach. Rzeka przy brzegach pokryta jest cienką warstwą lodu, który łamie się pod ciężarem naszych stóp, kiedy wchodzimy z wiadrami do wody. Słońce jest ociężałe, opada za horyzont coraz wcześniej, po niemrawej wędrówce przez niebo.

Z każdym dniem nabieram siły. Jestem kamieniem odsłoniętym przez leniwy nurt wody. Jestem drewnem zwęglonym przez ogień. Mięśnie mam twarde, sprężyste, a nogi jak ze stali. Dłonie zrogowaciały, podobnie jak podeszwy stóp, są grube i niewrażliwe niczym skała. Biegam codziennie, codziennie też zgłaszam się na ochotnika do noszenia wody, chociaż powinniśmy chodzić po nią na zmianę. Wkrótce jestem w stanie nieść dwa wiadra przez całą drogę do azylu bez ani jednego przystanku.

Alex mija mnie, wyłania się i znika w ciemności, krąży między czerwono-żółtymi drzewami. W lecie był pełniejszy: widziałam jego oczy, włosy, ręce. Gdy liście zaczynają wirować ku ziemi i coraz więcej wokół nagich drzew, Alex jest już tylko czarnym cieniem, migoczącym mi w kątku oka.

Poza tym dużo się uczę. Hunter pokazuje mi, jak przekazuje się nam informacje, jak sympatycy z drugiej strony powiadają nas o przyszłej dostawie.

— Chodź — mówi do mnie pewnego ranka po śniadaniu. Blue i ja siedzimy w kuchni i szorujemy naczynia. Mała nigdy się przede mną do końca nie otworzyła. Odpowiada na moje pytania półsłówkami albo ruchami głowy. Jej szczupła budowa, drobne kości i nieśmiałość mimowolnie przywodzą mi na myśl Grace.

Dlatego unikam jej, jak mogę.

— Gdzie mam iść? — pytam Huntera. Szczyrzy zęby w uśmiechu.

— Umiesz się wspinać?

— Raczej tak — odpowiadam zaskoczona i nagle przypomina mi się, jak wdrapywałam się na ogrodzenie z Alekssem. Zastępuję szybko ten obraz innym: oto wspinam się na liściastą gałąź jednego z wielkich klonów w Deering Oaks Park, jasne włosy Hany błyskają w dole pod warstwami zieleni, gdy otaczając pień ze śmiechem, dopinguje mnie, bym weszła wyżej.

Natychmiast próbuję usunąć ją z pamięci. Nauczyłam się tego tutaj, w Głuszy. Wyrzucam ją z głowy — jej głos, lśniące włosy — i zostawiam w sobie jedynie doznanie wysokości, kołyszące się liście, widok zielonej trawy.

— Wobec tego czas pokazać ci gniazda — mówi Hunter.

Na samą myśl o wyjściu na zewnątrz przechodzą mnie dreszcze. Ostatniej nocy było przenikliwie zimno. Wiatr świszczał w gałęziach, wdarł się po schodach, spenetrował wszystkie szczeliny i pęknięcia naszego azylu swoimi długimi, lodowatymi palcami. Wróciłam dziś z porannego biegu na pół zamarznięta, ze zgrabiałymi rękami. Ale jestem ciekawa tych gniazd — słyszałam, jak inni o nich mówili — a do tego marzę, by uciec od Blue.

— Dokończysz tę robotę sama? — pytam małą, a ona kiwa głową i przygryza dolną wargę. Grace też tak robiła, gdy była zdenerwowana. Czuję ostre wyrzuty sumienia. To nie wina Blue, że przypomina mi Grace.

To nie wina Blue, że zostawiłam Grace po drugiej stronie granicy.

— Dzięki, Blue — mówię i kładę jej rękę na ramieniu. Czuję, jak jej ciało drży.

Zimno jest ścianą, fizyczną siłą. Znalazłam jakąś starą wiatrówkę w stercie ubrań, ale jest o wiele za duża, by powstrzymać wiatr od wgryzania mi się w szyję i palce, wślizgiwania pod kołnierz i skuwania lodem serca w mojej piersi. Ziemia jest zamarznięta, a pokryta szronem trawa skrzypi nam pod nogami. Idziemy szybko, by ogrzać się choć trochę. Z naszych ust wydobywają się kłęby pary.

— Jak to się stało, że nie lubisz Blue? — pyta mnie nieoczekiwanie Hunter.

— Co? Lubię ją — odpowiadam szybko. — To znaczy nie rozmawia ze mną za bardzo, ale... Czy to takie widoczne?

Hunter wybucha śmiechem.

— A więc jednak jej nie lubisz.

— Przypomina mi kogoś, i tyle — odpowiadam, a Hunter poważnieje.

— Z czasów sprzed? — pyta.

Kiwam głową, a on wyciąga rękę i dotyka mojego łokcia na znak zrozumienia. Hunter i ja rozmawiamy

o wszystkim, z wyjątkiem czasów „sprzed”. Ze wszystkich osadników z nim czuję się najbardziej związana. Siadamy naprzeciwko siebie przy kolacji, a czasami rozmawiamy jeszcze długo potem, dopóki kuchnia nie zasnuje się dymem z dogasającego ognia.

Hunter doprowadza mnie do śmiechu, chociaż przez długi czas myślałam, że już nigdy w życiu się nie zaśmieję.

Nie było łatwo poczuć się swobodnie w jego towarzystwie. Ciężko było zrzucić z siebie wszystkie lekcje, których nauczyłam się po drugiej stronie, w Portland, ostrzeżenia wpojone mi przez wszystkich, których podziwiałam

i którym ufałam. Choroba, jak mnie uczyli, miała się rozwijać w przestrzeni między mężczyznami i kobietami, chłopcami i dziewczynami, miała przechodzić między nimi w spojrzeniach, uśmiechach i w dotyku, aby zapuszczać w nich korzenie jak grzyb, który psuje drzewo od środka.

Hunter jest dla mnie tylko przyjacielem, nikim więcej, i nigdy się nie boję, kiedy jestem z nim.

Kierujemy się na północ. Jest jeszcze wczesnie, wokół panuje cisza, którą zakłóca jedynie skrzypienie naszych butów na grubej warstwie opadłych liści. Nie było deszczu od kilku tygodni. Las jest spragniony wody. To dziwne, jak nauczyłam się odczuwać las, rozumieć go: jego nastroje i kaprysy, jego eksplozje radości i barw. Jest tak

różny od parków i starannie wypielegnowanych terenów zielonych w Portland. Tamte miejsca przywodziły mi na myśl zwierzęta w zoo: zamknięte w klatce, a do tego pozbawione duszy. Głusza jest piękna, nieokiełznana i pełna życia. Mimo trudów tutejszej egzystencji zaczynam ją kochać.

— Jesteśmy już prawie na miejscu — mówi Hunter. Wskazuje głową na lewo. Ponad gołymi gałęziami widzę koronę z drutu kolczastego, wijącą się na szczycie ogrodzenia, i nagle zalewa mnie gorąca fala strachu. Nie miałam pojęcia, że podeszliśmy tak blisko granicy. Zapewne jesteśmy na obrzeżach Rochester. — Nie martw się. — Hunter wyciąga rękę i ściska mnie za ramię. — Ta strona granicy nie jest patrolowana.

Mieszkam w Głuszy od półtora miesiąca i w tym czasie niemal zapomniałam o granicy. To niesamowite, jak blisko byłam przez cały ten czas mojego dawnego życia. A mimo to czuję, że dystans, który mnie od niego oddziela, jest ogromny.

Idziemy dalej i ogrodzenie znowu znika nam z oczu. Wkrótce wchodzimy w obszar ogromnych drzew, nagich gałęzi, szarych i powykręcanych jak artretyczne palce. Pewnie nie kwitną już od lat — wydają się martwe. Ale gdy dzielę się z Hunterem moim spostrzeżeniem, on tylko się śmieje i kręci głową.

— Nie są martwe. — Stuka pięścią w mijane drzewo. — Po prostu czekają na swój czas. Gromadzą energię. Chowają życie głęboko w środku, na zimę. Gdy się ociepli, znowu zakwitną. Zobaczysz.

Jego słowa działają na mnie kojąco. „Zobaczysz” oznacza „wrócimy tu”. Oznacza też „jesteś teraz jedną z nas”.

Przesuwam po drzewie palcami, czuję łuszczącą się pod nimi korę. Trudno mi sobie wyobrazić, że ten twardy pień może kryć pod sobą życie, ruch, krążenie życiodajnych soków.

Hunter zatrzymuje się tak nagle, że o mało na niego nie wpadam.

— Jesteśmy na miejscu — mówi, uśmiechając się szeroko. — Oto gniazda.

Wskazuje ręką w górę. Wysoko wśród gałęzi widnieją ogromne kłębowiska ptasich gniazd: poskręcane i sterczące gałązki, kawałki mchu i wiszące pnącza, wszystko splecione z sobą tak, że sprawia wrażenie, jakby drzewa były zwieńczone włosami.

Ale co najdziwniejsze, gałęzie są różnobarwne. Korę pokrywają krople niebieskiej i żółtej farby, gniazda zaś — delikatne odciski łap, również kolorowe.

— O co...? — Widzę dużego ptaka, mniej więcej wielkości wrony, który szybuje w stronę gniazda nad naszymi głowami. Przysiada na gałęzi i obserwuje nas z zaciekawieniem. Cały ptak jest czarny, z wyjątkiem nóg, które połyskują żywym odcieniem błękitu. Po chwili upuszcza do gniazda coś, co trzymał w dziobie, i dobiega nas chór popiskiwań.

— Niebieski — mówi Hunter i wygląda na zadowolonego. — To dobry znak. Dzisiaj przyjdzie zaopatrzenie.

— Nie rozumiem — oznajmiam, przechadzając się pod płataniną gniazd. Muszą ich tu być setki. Niektóre rozciągają się między gałęziami różnych drzew, tworząc gęsty baldachim. Pod nimi jest jeszcze zimniej niż gdzie indziej. Słońce rzadko tutaj dociera.

— Chodź — mówi Hunter. — Pokażę ci coś.

Podciąga się na najbliższe drzewo, wspinając się bez problemu na górę, korzystając z licznych gałęzi i nierówności pnia, które tworzą podpórki na ręce i nogi.

Podążam za nim niezdarnie, kładąc ręce i nogi tam gdzie on. Już od dawna nie wspinałam się po drzewach, ale z dzieciństwa wspominam to jako czynność niewymagającą wysiłku: podciągałam się na gałęziach lekko i bez trudu, instynktownie znajdowałam na drzewie wgłębienia i wypukłości. Teraz jest to dla mnie czynność mozolna i męcząca.

Wreszcie udaje mi się dotrzeć do jednej z grubszych spośród nisko wiszących gałęzi. Hunter siedzi na niej okrakiem i czeka na mnie, a ja przykucam za nim. Nogi mi drżą, więc chłopak sięga ręką do tyłu i łapie mnie za kostkę, żebym nie spadła.

W gniazdach jest zatrzęsienie ptaków: widzę mnóstwo lśniących czarnych piór i błyszczących oczu. Stworzenia podskakują energicznie i wybierają nasiona z brązowej sterty zgromadzonej na zimę. Kilka z nich, zaniepokojonych naszym pojawieniem się, z krzykiem i krakaniem podrywa się ku niebu.

Gniazda pokryte są tą samą jaskrawą niebieską farbą, tworzącą sieć rozcapierzonych odcisków powstałych podczas przemieszczania się ptaków pomiędzy gniazdami.

— Wciąż nie rozumiem. Skąd bierze się ten kolor?

— Z drugiej strony — odpowiada Hunter i słyszę w jego głosie dumę. — Z Zombielandu. W lecie po drugiej stronie granicy rosną krzaki jagód. Ptaki zapuszczają się tam w poszukiwaniu jedzenia. Już wiele lat temu tamtejsi ludzie zaczęli zostawiać dla nich nasiona i karmę, by zimą nie pomarły z głodu. Kiedy chcą nam przekazać

wiadomość, ustawiają rynny wypełnione farbą: trochę nasion, trochę farby. Ptaki przylatują po jedzenie, a potem wracają tutaj, by zrobić zapasy. Gniazda się barwią, a my tym samym dostajemy wiadomość. Niebieską, żółtą albo czerwoną. Niebieska oznacza, że wszystko jest w porządku, możemy się spodziewać przesyłki. Żółta to znak, że jest jakiś problem albo opóźnienie.

— Ale czy te kolory się nie mieszają?

Hunter odwraca głowę i spogląda na mnie błyszczącymi oczami.

— To jest w tym wszystkim najgenialniejsze — mówi i znów wskazuje głową do góry. — Ptaki nie lubią kolorów, bo przyciągają drapieżniki, więc ciągle przebudowują gniazda, by je przywrócić do stanu pierwotnego. Dlatego każdego dnia przypomina to malowanie na czystym płótnie.

I nawet teraz, na moich oczach, ptak w najbliższym gnieździe wybiera dziobem zabarwione na niebiesko gałązki: przycina, wyciąga, urywa, jak ogrodnik oczyszczający ogród z chwastów. Gniazdo w ciągu kilku chwil zamienia się w szarobrazową strukturę, odzyskuje naturalny kolor.

— To niesamowite — stwierdzam z podziwem.

— Taka właśnie jest natura. — Głos Huntera poważnieje. — Ptaki zdobywają pożywienie i składają jaja. Możesz je pomalować na jakikolwiek kolor, wysłać na drugi koniec świata, a i tak zawsze wrócą do swoich gniazd, pokażą swoje prawdziwe barwy, swoją prawdziwą naturę. Tak właśnie robią zwierzęta.

Gdy słucham jego słów, nagle wraca do mnie wspomnienie nalotu z ubiegłego lata, kiedy to umundurowani

porządkowi wdarli się szturmem na nielegalną imprezę, wymachując kijami baseballowymi i policyjnymi pałkami, wypuszczając w tłum ujadające bulmastify z pianą na pyskach. Przypomina mi się wielka plama krwi na ścianie, trzask czaszek pękających pod ciężkim drewnem. Odznaki i puste spojrzenia wyleczonych kryją serca pełne zimnej, przerażającej nienawiści. Są pozbawieni namiętności, ale i współczucia.

Chociaż podają się za stróżów porządku, tak naprawdę to bestie. Nie mogłabym tam zostać. Nigdy tam nie wrócę. Nie chcę być jednym z żywych trupów.

Dopiero gdy po zejściu z drzewa ruszamy w stronę osady, przypomina mi się jeszcze jedna rzecz, którą powiedział Hunter.

— A co oznacza czerwony? — pytam.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, pogrążeni w rozmyślaniach, i teraz chłopak spogląda na mnie zaskoczony. -Co?

— Niebieski oznacza dostawę. Żółty to opóźnienie. A co oznacza czerwony?

Widzę błysk strachu w jego oczach i nagle znów przenika mnie chłód.

— Uciekać.

Przygotowania do przeprowadzki wkrótce ruszają pełną parą. Przeniesiemy się wszyscy, całą osadą, na południe. To ogromne przedsięwzięcie, więc Raven i Tack spędzają mnóstwo godzin na planowaniu, rozmowach i kłótniach. To nie pierwszy raz, kiedy organizują przenosiny,

ale wnioskuję, że dotychczasowe przeprowadzki były trudne i niebezpieczne, a Raven uważa je za porażkę.

Ale spędzanie zimy na północy było jeszcze cięższe i pociągało za sobą więcej ofiar, więc idziemy. Raven uparcie twierdzi, że tym razem obejdzie się bez strat w ludziach. Każdy, kto opuści osadę, dojdzie bezpiecznie do celu.

— Tego nie możesz zagwarantować — słyszę, jak Tack odpowiada jej pewnej nocy. Jest późno, lecz obudziły mnie odgłosy wymiotów z infirmerii. Teraz przyszła kolej na Lu.

Wyślizgnęłam się z łóżka i ruszyłam do kuchni po wodę, kiedy uświadomiłam sobie, że Tack i Raven wciąż tam siedzą w blasku dogasającego ognia. Kuchnia jest ciemna, wypełniona dymem. Zatrzymuję się w korytarzu.

— Każdy przeżyje — powtarza Raven uparcie, ale jej głos lekko drży.

Tack wzdycha. W jego głosie słychać zmęczenie, i jeszcze coś. Delikatność. Troskę. Tack zawsze kojarzył mi się z psem, który warczy i gryzie. Nie podejrzewałam go o wrażliwość.

— Nie możesz ocalić wszystkich, Rae — mówi.

— Ale mogę próbować — odpowiada Raven. Wracam do łóżka bez wody, naciągając koce aż do podbródka. Pokój wypełniają dziwne cienie i ruchome kształty.

Gdy opuścimy azyl, liczyć się będą dwie rzeczy: jedzenie i schronienie. Istnieją inne osady — zamieszkane przez inne grupy Odmieńców — usytuowane bardziej na południe, ale jest ich niewiele i rozdzielają je ogromne połacie niezamieszkanego lasu. Jesienią i zimą północna Głusza jest bezlitosna: surowa, niegościnna i jałowa, a do tego

na każdym kroku można się natknąć na dzikie, wygłodniałe zwierzęta.

Przez lata migrujący Odmieńcy wyznaczyli trasę swojej wędrówki: oznaczyli drzewa systemem wyżłobień i nacięć, by wskazać najłatwiejszą drogę na południe.

W następnym tygodniu grupa zwiadowców wyruszy na wyprawę przygotowawczą. Sześć osób powędruje do dużego obozu ulokowanego ponad sto dwadzieścia kilometrów na południe, taszcząc zaopatrzenie w plecakach oraz przymocowane do własnych ciał. Kiedy dotrą na miejsce, zakopią połowę prowiantu w ziemi, żeby nie zjadły go dzikie zwierzęta, i oznaczą to miejsce stertą kamieni. Dwójka wróci do osady, pozostała czwórka pomaszeruje kolejne dziewięćdziesiąt kilometrów, gdzie zakopie połowę tego, co zostało. A potem kolejna dwójka wróci do osady.

Piąty zwiadowca zaczeka tam, podczas gdy szósty przejdzie ostatecznie sześćdziesiąt kilometrów z resztą jedzenia. Powrócą do osady razem, polując po drodze oraz zbierając grzyby i jagody. Do tego czasu my dokończymy pakowanie i inne przygotowania.

Kiedy pytam Raven, czemu im dalej na południe, tym obozy są coraz bliżej siebie, ledwo zaszczyca mnie spojrzeniem.

— Zobaczysz — zbywa mnie. Włosy ma zaplecione w dziesiątki małych warkoczyków — robota Blue — a do ich końcówek przyczepiła złote liście i wysuszone owoce kaliny.

— Czy nie lepiej przejść każdego dnia tyle, ile się da? — drażę temat. Nawet trzeci obóz jest oddalony o sto pięćdziesiąt kilometrów od naszego ostatecznego celu, chociaż gdy będziemy kierować się na południe, znajdziemy inne

osady, tereny obfitsze w zwierzynę i ludzi, którzy podziela się z nami jedzeniem i dachem nad głową. Raven wzdycha.

- Opadniemy z sił do tego czasu - odpowiada, prostując się wreszcie, i spogląda na mnie. - Będziemy przemarznięci. Głodni. Pewnie będzie padał śnieg. Głusza wysysa z ciebie życie, wierz mi. To nie to samo co twoje poranne przebieżki. Nie można po prostu ślepo brnąć przed siebie. Widziałam... - Urywa, kręcąc głową, jakby chciała odpędzić wspomnienia, i po chwili dodaje: - Musimy zachować najwyższą ostrożność.

Czuję, jakbym dostała w twarz, i z oburzenia przez chwilę nie jestem w stanie wydobyć z siebie słowa. Raven nazwała moje treningi „przebieżkami”, potraktowała je jak dziecinną zabawę. Tymczasem ja zostawiłam tam część siebie - zdartą skórę, krew, pot i wymiociny - kawałki Leny Haloway, które odpadały fragmentami i teraz spoczywają gdzieś tam, w ciemności.

Raven wyczuwa, że mnie uraziła.

- Pomożesz mi z tym? - pyta. Robi małe torebki z zestawem pierwszej pomocy dla każdego z nas i pakuje do nich środki przeciwbólowe, plastry opatrunkowe i chusteczki antybakteryjne. Układa je na środku kwadratowego kawałka materiału, wyciętego ze starych prześcieradeł, a potem zawija je i wiąże drucikiem. — Mam takie grube palce, że ciężko mi się to wiąże.

To nieprawda: palce Raven są szczupłe, podobnie jak reszta ciała, i wiem, że chce po prostu, bym się poczuła lepiej. Mimo to odpowiadam:

- Tak, jasne.

Raven rzadko prosi o pomoc. Jeśli już to robi, nie odmawia się jej.

Zwiadowcy będą wykończeni. Mimo że będą nieśli prowiant, jest on przeznaczony do zmagazynowania, nie do jedzenia, tylko odrobina będzie dla nich. Ostatni zwiadowca, ten, który przejdzie całe dwieście siedemdziesiąt kilometrów, musi być najsilniejszy. Bez żadnych wcześniejszych ustaleń od razu wiadomo, że będzie nim Tack.

Pewnego wieczoru zbieram się na odwagę, by do niego podejść. Jest w dobrym nastroju, co nie zdarza się często. Bram przyniósł dziś trzy króliki, które złapały się w pułapkę, i chociaż raz wszyscy najedliśmy się do syta.

Po kolacji Tack siedzi obok kominka, skręcając sobie papierosa. Nie podnosi na mnie wzroku.

— Co? — pyta szorstkim tonem, ale w jego głosie nie ma zwykłej opryskliwości.

Biorę głęboki oddech i wyrzucam z siebie:

— Chcę być jednym ze zwiadowców.

Dreczyłam się cały tydzień tym, co mam powiedzieć Tackowi — ułożyłam w głowie całą przemowę — ale w końcu z moich ust wydobywa się tylko tych pięć słów.

— Nie — odpowiada Tack krótko. I tym jednym słowem grzebie wszystkie moje plany i nadzieje.

Moje uczucia oscylują między rozczarowaniem a gniewem.

— Jestem szybka — mówię. — I silna.

— Niewystarczająco silna.

— Chcę pomóc. — Nie daję za wygraną, świadoma, że do mojego głosu zakrada się lament, świadoma, że brzmię jak Blue, gdy od czasu do czasu zdarzają jej się napady złości.

Tack przejeżdża językiem po bletce i skręca papierosa kilkoma wprawnymi ruchami. Gdy wreszcie podnosi na mnie wzrok, uświadamiam sobie, że prawie nigdy na mnie nie patrzył. Jego spojrzenie jest przenikliwe, taksujące i błyska w nim coś dziwnego, jakiś przekaz, którego nie jestem w stanie rozszyfrować.

- Później - mówi, po czym wstaje i minąwszy mnie, rusza w górę schodów.

TERAZ

Poranek w dniu manifestacji jest bardzo ciepły jak na tę porę roku. Ta niewielka ilość śniegu, która jeszcze została na ziemi i na dachach, spływa strumieniami przez rynny, kapie z ulicznych lamp i gałęzi drzew. Słońce oślepia swoim blaskiem. Kałuże na ulicach odbijają jego promienie jak wypolerowany metal.

Raven i Tack wychodzą razem ze mną, chociaż poinformowali mnie, że na miejscu się rozdzielimy. Moim zadaniem jest trzymać się jak najbliżej sceny. Mam obserwować Juliana, zanim odwiozą go do Columbia Memorial, gdzie zostanie poddany zabiegowi.

— Nie spuszczaaj go z oczu, choćby nie wiem co — instruuje mnie Raven. — Choćby nie wiem co, jasne?

— Dlaczego? — pytam, choć wiem, że moje pytanie pozostanie bez odpowiedzi. Mimo że jestem członkiem ruchu oporu, nie wiem prawie nic o tym, jak ruch funkcjonuje ani co chce osiągnąć.

— Ponieważ ja tak mówię.

Ostatnią część zdania wymawiam bezgłośnie razem z nią, odwrócona do niej plecami.

Na przystankach autobusowych potworzyły się długie kolejki, co jest w tym mieście rzadkością. Dwaj porządkowi rozdają numerki oczekującym pasażerom. Raven, Tack i ja mamy pojechać autobusem numer pięć, niezależnie od tego, kiedy przyjedzie. Miasto zwiększyło czterokrotnie liczbę autobusów. Na demonstracji oczekuje się dwudziestu pięciu tysięcy osób: około pięciu tysięcy członków AWD oraz tysięcy widzów i obserwatorów.

Będzie tam też wiele grup, które sprzeciwiają się AWD i koncepcji wcześniejszych zabiegów. Należy do nich duża część społeczności naukowej. „Zabieg po prostu nie jest jeszcze bezpieczny dla dzieci — mówią — i konsekwencją mogą być straszliwe straty społeczne: stworzymy w ten sposób naród wariatów i idiotów”. AWD twierdzi z kolei, że tamci są zbyt bojaźliwi. Ich zdaniem korzyści o wiele przewyższają ryzyko. A jeśli zajdzie taka potrzeba, po prostu powiększy się więzienia i poupycha tam uszkodzone jednostki, by nie drażniły swym widokiem reszty społeczeństwa.

— Ruszać się, ruszać. — Porządkowy z przodu kolejki kieruje nas do autobusu. Przesuwamy się w stronę drzwi, pokazujemy dowody i po wejściu do środka przejeżdżamy nimi raz jeszcze przez czytnik magnetyczny. Trudno mi się pozbyć wrażenia, że przypominamy stado zwierząt, które bezwolnie wloką się przed siebie.

Raven i Tack nie rozmawiają z sobą, pewnie znowu się pokłócili. Wyczuwam panujące między nimi napięcie, co tylko wzmacnia mój niepokój. Raven znajduje dla nich dwa

wolne miejsca obok siebie z tyłu autobusu, ale Tack, o dziwo, siada koło mnie.

— Co ty wyprawiasz? — pyta Raven, nachylając się do przodu. Musi uważać, by nie podnosić głosu. Wyleczeni się nie kłócą. To jedno z dobrodziejstw zabiegu.

— Chcę się upewnić, że Lena dobrze się czuje — mruczy w odpowiedzi Tack. Dodaje mi otuchy szybkim uściskiem ręki. Kobieta siedząca naprzeciwko spogląda na nas ze zdziwieniem. — Czy wszystko w porządku?

— Nic mi nie jest — odpowiadam zduszonym głosem. Rano nie byłam zdenerwowana, dopiero teraz udzielił mi się ich niepokój. Najwyraźniej martwią się o coś i wydaje mi się, że znam tego przyczynę: pewnie wierzą, że pogłoski o Hienach okażą się prawdziwe. Pewnie uważają, że Hieny zamierzają zorganizować atak, że spróbują w jakiś sposób zakłócić manifestację.

Nawet przejazd przez Most Brooklyński nie działa na mnie tak kojąco jak zwykle. Po raz pierwszy jest zakorkowany, tyle samochodów i autobusów wiezie ludzi na wiec.

Gdy zbliżamy się do Times Square, moje zdenerwowanie się nasila. Nigdy w życiu nie widziałam tak wielkiego tłumu. Musimy wysiąść na Trzydziestej Czwartej Ulicy, ponieważ autobusy nie są w stanie ruszyć się ani odrobinę dalej. Na ulicach roi się od ludzi, którzy tworzą jeden wielki kalejdoskop twarzy, płynącą rzekę kolorów. Są tu też porządkowi, zarówno ochotnicy, jak i zawodowi, w nieskazitelnych mundurach, oraz uzbrojeni strażnicy stojący nieruchomo w rzędzie, patrzący wprost przed siebie, podobni do żołnierzyków dla zabawy ustawionych w szeregu, gotowych do wymarszu. Tyle że ci prawdziwi noszą ogromne pistolety, a ich lufy połyskują groźnie w słońcu.

Gdy tylko wchodzę w tłum, ludzka fala napiera na mnie ze wszystkich stron i chociaż Raven i Tack idą tuż za mną, kilkakrotnie tracę ich z oczu. Teraz już rozumiem, dlaczego wszystkie instrukcje dali mi wcześniej. Nie ma szans, żebyśmy utrzymali z sobą kontakt.

Jest potwornie głośno. Porządkowi kierują ruchem pieszych za pomocą gwizdków, a z oddali dochodzą mnie śpiewy i bicie bębnów. Demonstracja oficjalnie ma się zacząć za dwie godziny, ale już teraz słyszę rytm pieśni AWD: „W liczbach nasze schronienie, nic więcej nam nie trzeba...”.

Posuwamy się na północ powoli, otoczeni ze wszystkich stron wysokimi budynkami. Gdzieś na balkonach stoją ludzie i obserwują, co się dzieje na dole. Widzę setki powiewających białych chorągwi, znaków poparcia dla AWD — i tylko kilka szmaragdowych, symboli opozycji.

— Lena! — Odwracam się. Tack przepycha się przez tłum i wciska mi do ręki parasol. — Zapowiadali na później deszcz.

Po idealnym, bladoniebieskim niebie płyną pasemka pierzastych chmur, jak białe kosmyki włosów.

— Nie sądzę... — zaczynam, ale Tack przerywa mi.

— Po prostu go weź — mówi. — Zaufaj mi.

— Dzięki. — Siłę się na wdzięczność w głosie. Podobna troskliwość to rzadkość u Tacka.

Widzę, jak przygryza wargę. Taką samą minę widziałam u niego, kiedy w naszym nowojorskim mieszkaniu siedział nad układanką i nie mógł dopasować wszystkich elementów. Wydaje mi się, że chce mi powiedzieć coś ważnego, dać jakąś radę, ale w ostatniej chwili najwyraźniej zmienia zdanie, bo mówi tylko:

— Muszę dogonić Rebeckę — przy czym zacina się przy oficjalnym imieniu Raven.

— Okej. — Zdażyliśmy już stracić ją z oczu. Zabieram się do pakowania parasola, łowiąc przy tym

nieprzyjazne spojrzenia sąsiadów — w tym ścisku nie ma gdzie wetknąć szpilki, więc ściąganie plecaka jest zachowaniem zupełnie nie na miejscu — kiedy nagle dociera do mnie, że nie wiem, co mam zrobić po demonstracji, ani gdzie się z nimi spotkać.

— A co z... — Podnoszę wzrok, ale Tack już zniknął. Wokół same nieznajome twarze. Ze wszystkich stron otaczają mnie obcy. Obracam się wokół własnej osi, kiedy nagle czuję ostre dźgnięcie między żebra. To porządkowy szturcha mnie pałką.

— Blokujesz ruch — mówi głosem bez emocji. — Ruszaj się.

Czuję w piersi wibrujący niepokój, jak rój motyli. Muszę oddychać głęboko. Nie ma się o co martwić. To jak spotkanie AWD, tylko większe.

Przy Trzydziestej Ósmej Ulicy mijam wraz z tłumem barierki, przy których musimy przystanąć w kolejce, aby pozwolić się przeszukać policjantom z wykrywaczami metalu. Sprawdzają także szyje — niewyleczeni podczas manifestacji znajdują się w osobnym sektorze — i skanują dowody, choć na szczęście nie wrzucają wszystkiego do SWD, Systemu Weryfikacji Danych. Nawet z tym przejście całej kontroli zajmuje godzinę. Za bramkami bezpieczeństwa ochotnicy rozdają chusteczki antybakteryjne: małe, białe paczuszki z wydrukowanym logo AWD.

CZYSTOŚĆ IDZIE W PARZE Z POBOŻNOŚCIĄ.
BEZPIECZEŃSTWO TKWI W DETALACH. SZCZĘŚCIE
LEŻY W METODZIE.

Srebrnowłosa kobieta wciska mi paczuszkę do rąk.

Aż wreszcie jesteśmy na miejscu. Dudnienie bębnow jest tutaj potwornie głośnie, a śpiewy rozbrzmiewają monotonicznie, niczym huk fal rozbijających się o brzeg. Serce podchodzi mi do gardła w ich rytm.

Widziałam raz zdjęcie Times Square sprzed ery remedium, sprzed zamknięcia granic. Tack znalazł je niedaleko Ocalenia — azylu w New Jersey, niedaleko Nowego Jorku, po drugiej stronie rzeki. Mieszkaliśmy tam przez jakiś czas, czekając na podrobione dokumenty. Pewnego dnia Tack pod stosem kamieni i zwęglonych belek znalazł nietknięty album ze zdjęciami. Wieczorami przeglądałam go i udawałam, że te zdjęcia — to życie wśród przyjaciół oraz roześmianych twarzy — należą do mnie.

Times Square wygląda teraz zupełnie inaczej niż wtedy. Gdy wreszcie ukazuje się moim oczom, oddech więźnie mi w gardle.

Na końcu ogromnego placu pod największym billboardem, jaki w życiu widziałam, została wzniesiona wysoka scena pod gołym niebem. Wszędzie widać znaki AWD: czerwone i białe kwadraty powiewające lekko na wietrze.

Zjednoczony Kościół Religii i Nauki zajął jeden billboard i oznaczył go swoim symbolem: ogromną dłoń trzymającą cząsteczkę tlenu. Inne rysunki — a są ich dziesiątki na gigantycznych białych ścianach — są wyblakłe i nieczytelne, więc nie da się stwierdzić, co niegdyś przedstawiały. Wydaje mi się, że na jednym z nich widzę upiorny uśmiech.

Oczywiście wszystkie światła są wyłączone.

Tamto stare zdjęcie zostało zrobione nocą, ale mogło to równie dobrze być w samo południe: nigdy w życiu nie

widziałam tylu świateł, nawet nie byłabym w stanie sobie czegoś takiego wyobrazić: wszystkie błyszczały i migotały feerią kolorów, przywodząc na myśl plamki, które biegają przed oczami, gdy spojrzysz się w słońce.

Żarówki wciąż tu są, ale od dawna nie świecą. Na wielu z nich siedzą gołębie. W Nowym Jorku i siostrzanych miastach limituje się zużycie prądu, tak samo jak w Portland — i chociaż samochodów i autobusów jest tu więcej, przerwy w dostawie prądu są częstsze i bardziej dotkliwe. Po prostu za dużo tu ludzi i nie da się wszystkich zadowolić.

Na scenie, która jest płataniną kabli i mikrofonów, stoi też kilka krzeseł. W tle widnieje ogromny ekran, podobny do tego, z jakiego AWD korzysta na swoich spotkaniach. Mężczyźni w uniformach dokonują ostatnich poprawek. Tu właśnie będzie stał Julian. Muszę się więc przedostać bliżej sceny.

Powoli i wytrwale przeciskam się przez tłum. Nie jest to łatwe, muszę się rozpychać łokciami, mamrocząc co chwila „przepraszam”. Nawet niski wzrost nie pomaga. Tłok jest wprost niewyobrażalny — nie ma żadnej luki, w którą można by się wcisnąć.

I wtedy właśnie panika ogarnia mnie na nowo. Jeśli Hieny rzeczywiście zaatakują — albo jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak — nie będzie dokąd uciec. Ludzie w popłochu zaczną się pchać do wyjścia, tratując się nawzajem. Znajdziemy się w pułapce.

Ale Hieny się nie zjawiają. Nie ośmielają się. To dla nich zbyt ryzykowne. Times Square roi się teraz od policji i uzbrojonych porządkowych.

Przeciskam się obok rzędu otwartych trybun otoczonych taśmą, gdzie siedzą członkowie młodzieżówki

AWD: oczywiście dziewczęta i chłopcy w oddzielnych sektorach, wszyscy pilnują się, by nie patrzeć na siebie nawzajem.

Wreszcie udaje mi się podejść pod samą scenę. Podest jest wysoki na ponad trzy metry i wiodą nań strome drewniane schody. Pod samą sceną gromadzi się grupa ludzi, wśród których rozpoznaję Thomasa i Juliana Finemanów w otoczeniu ochroniarzy i policjantów.

Julian i jego ojciec są identycznie ubrani. Włosy chłopaka zaczesane są gładko do tyłu, tworząc loki tuż za uszami. Julian przestępuje z nogi na nogę, najwyraźniej próbując ukryć zdenerwowanie.

Ciekawi mnie, dlaczego jest taki ważny — dlaczego Tack i Raven kazali mi nie spuszczać go z oka. Oczywiście jest symbolem AWD — poświęcenia w imię bezpieczeństwa publicznego — ale zastanawiam się, czy stanowi jakieś dodatkowe zagrożenie.

Wracam myślami do tego, co powiedział na spotkaniu: „Miałem dziewięć lat, kiedy powiedziano mi, że umieram”.

Zastanawiam się, jak to jest umierać powoli.

Zastanawiam się, jak to jest umierać szybko.

Zaciskam pięści, wbijając paznokcie w dłonie, aby odegnąć wspomnienia.

Bębnienie dochodzi z za sceny, z niewidocznej stąd części placu, gdzie musi być ulokowana orkiestra. Śpiew się wzmaga i teraz każdy się do niego przyłącza, cały tłum mimowolnie kołysze się w jego rytm. Z oddali dochodzą mnie inne dźwięki, chaotyczne okrzyki:

— AWD jest zagrożeniem dla wszystkich! Remedium powinno chronić, nie krzywdzić!

Przeciwnicy AWD. Muszą być zgromadzeni gdzie indziej, z dala od sceny.

Coraz głośniejsze i głośniejsze. Przyłączam się, pozwalam, by moje ciało odnalazło rytm, poczuło mruczenie tych tysięcy ludzi wibrujące przez podeszwy stóp w górę, aż do piersi. I chociaż nie wierzę w to wszystko - w te słowa, w tę sprawę ani w otaczających mnie ludzi - zdumiewa mnie energia, którą daje bycie w tłumie, ta elektryzująca moc, to poczucie siły.

To niebezpieczne.

Nagle, gdy śpiew osiąga apogeum, Thomas Fineman opuszcza krąg ochroniarzy i wchodzi na scenę, pokonując po dwa stopnie naraz. Rytm rozpada się na fale krzyków i oklasków. Białe transparenty i flagi pojawiają się wszędzie i rozpostarte powiewają na wietrze. Niektóre pokryte są hasłami związanymi z AWD. Reszta osób ma po prostu wycięte podłużne kawałki tkaniny. Times Square wygląda, jakby wypełniało go mnóstwo wąskich, białych macek.

- Dziękuję! - mówi Thomas Fineman do mikrofonu, a jego głos niesie się tubalnie ponad placem. A potem słychać pisk w mikrofonie. Fineman krzywi się, zakrywa go ręką i odchyliwszy głowę, mruczy coś do obsługi. Wszystkim zebranym ukazuje się jak na dłoni powiększona na ekranie potrójna blizna po zabiegu.

Spoglądam w stronę Juliana. Stoi z założonymi na piersi rękoma za murem ochroniarzy i obserwuje ojca. Ma na sobie jedynie marynarkę, musi mu być zimno.

- Dziękuję. - Thomas Fineman próbuje raz jeszcze i gdy mikrofon nie wydaje z siebie żadnych pisków, dodaje: — Teraz dużo lepiej. Drodzy przyjaciele...

I wtedy się zaczyna.

Pyk, pyk, pyk.

Trzy małe eksplozje, jak petardy, które odpalaliśmy na Eastern Promenade w Dzień Niepodległości.

Pojedynczy krzyk, wysoki i rozpaczliwy.

A potem jedna wielka ściana hałasu.

Postaci ubrane na czarno pojawiają się znikąd, zewsząd. Wynurzają się z kanałów, wyrastają jak spod ziemi, wyłaniają się w oparach cuchnącego dymu. Opuszczają się z budynków niczym pająki na długich, czarnych linach. Wdzierają się w tłum, trzymając w ręku lśniące, ostre ostrza, zabierając ludziom portfele oraz zrywając naszyjniki z szyi i pierścionki z palców. Trach. Trach.

Hieny. Nogi się pode mną uginają, a oddech więźnie w gardle.

Ludzie w panice zaczynają się przepychać w stronę wyjścia. Hieny nas otoczyły. — Na ziemię! Na ziemię!

Powietrze wypełnia huk wystrzałów z broni palnej. To policja otworzyła ogień. Jednemu z napastników opuszczających się po ścianie budynku udało się pokonać połowę drogi w stronę ziemi. Kula trafia go w plecy, jego ciałem wstrząsa spazm, a potem zwisa bezładnie na końcu liny, kołysząc się na wietrze. Jeden z transparentów AWD zaplątał się w jego ekwipunek. Widzę plamę krwi rozprzestrzeniającą się powoli na białym materiale.

To jest koszmar. Koszmar z przeszłości. To się nie dzieje naprawdę.

Ktoś popycha mnie z tyłu i ląduję jak długa na chodniku. Uderzenie o beton przywraca mi przytomność umysłu. Ludzie biegną w panice i żeby uniknąć ciężkich butów, przetaczam się szybko z boku na bok. Wiem, że muszę

podźwignąć się na nogi, ale kiedy próbuję się podnieść, znowu zostaję przewrócona. Tym razem czuję czyjś ciężar na plecach, nie mam czym oddychać. I nagle strach wyostrza mi zmysły. Muszę, po prostu muszę się podnieść.

Tuż przede mną leży kawałek odłupanego drewna z połamanej przez tłum policyjnej barykady. Pochwyciwszy go, zaczynam dźgać na oślep w tłumie spanikowanych ludzi, a drewno trafia w nogi, mięśnie, skórę. Gdy czuję, że ciężar zelżał, podrywam się do góry i ruszam pędem w stronę sceny.

Julian zniknął. A przecież miałam go pilnować, choćby nie wiem co.

Wszędzie wokół przenikliwe krzyki, zapach dymu.

Aż nagle spoglądam w lewo i go dostrzegam. Poganiają go w stronę starego wejścia do metra, jak wszystkie inne zabitego deskami, ale widzę, że jeden z ochroniarzy popycha sklejkę do przodu. A więc to nie zaporą, lecz drzwi.

Potem znikają w środku, a wejście zamyka się z powrotem.

Kolejne strzały. Potężna fala krzyków. Jednego z napastników postrzelono właśnie w chwili, gdy zaczynał się opuszczać w dół, i teraz spada z balkonu wprost na tłum. Ludzie kołyszają się jak fala: morze głów, rąk, wykrzywionych strachem twarzy.

Biegnę w stronę wejścia do metra, w którym zniknął Julian. Powyżej widzę wyblakły ciąg liter i cyfr z dawnego oznaczenia stacji: N, Q, R, i, 2, 3, 7. Pośrodku całego tego zamieszania jest coś uspokajającego: kod starego świata, znak z innego życia. Zastanawiam się, czy to możliwe, aby stary świat był gorszy niż to — tamta epoka oślepiających światła, brzęczącego prądu i ludzi, którzy

otwarcie okazywali uczucia. Zastanawiam się, czy oni także w panice trатовali jeden drugiego na śmierć i zwracali broń przeciwko swoim sąsiadom.

Znowu czyjś cios pozbawia mnie tchu i lecę do tyłu. Łąduję na lewym łokciu, słyszę chrupnięcie. Ból przeszywa mnie na wskroś.

Nade mną pojawia się Hiena. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Napastnik ubrany jest na czarno i ma kominiarkę opuszczoną nisko, aż na szyję.

— Oddawaj plecak — warczy, ale mnie nie oszuka. To dziewczyna. Stara się, by jej głos brzmiał niżej, ale słysząc w nim melodyjność.

Sama nie wiem czemu, ale to tylko wzmacnia moją wściekłość. Jak śmiesz? — chciałabym rzucić jej w twarz. Zepsułaś wszystko! Ale siadam i zdejmuję plecak z ramion, czując fajerwerki bólu promieniujące od łokcia do ramienia.

— No ruszaj się. Szybko. — Dziewczyna przestępuje nerwowo z nogi na nogę, jednocześnie dotykając długiego, ostrego noża zatkniętego za pas.

W myślach szacuję ciężar wszystkich rzeczy, które mam w plecaku. Metalowa butelka, pusta. Parasol Tacka. Dwa batony muesli. Klucze. *Księga SZZ* w twardej oprawie. Tack nalegał, bym ją zabrała, i teraz się z tego cieszę. To prawie sześćsetstronicowa cegła. Plecak powinien być wystarczająco ciężki. Chwytam go za szelki prawą ręką i ściskam je mocno.

— Powiedziałam: ruszaj się.

Hiena, zniecierpliwiona, pochyla się, by wyrwać mi plecak, a wtedy ja, pokonując ból, biorę zamach z całej

siły. Plecak uderza ją w skroń z taką siłą, że zwala ją z nóg - przewraca się na bok i ląduje twardo na ziemi. Zrywam się na równe nogi. Dziewczyna łapie mnie za kostki, ale z całej siły wymierzam jej dwa kopniaki w żebra.

Księża i naukowcy mają rację co do jednej rzeczy: w głębi serca, w swojej naturze, nie jesteśmy lepsi od zwierząt.

Hiena zwija się z jękiem, a ja przeskakuję ponad nią i ruszam przed siebie, omijając wszystkie policyjne barykady, które leżą połamane na ziemi. Natężenie krzyków nie maleje, teraz przemieniły się w jedno wielkie wycie przypominające przeraźliwie głośnie syrenę.

Udaje mi się dotrzeć do wejścia do metra. Kładę rękę na drewnianej desce i przez chwilę stoję przed nią nieruchomo. Jej faktura jest kojąca, zahartowana deszczem i wiatrem, spalona słońcem: mały kawałek normalności w środku tego całego oblędu.

Kolejny wystrzał z karabinu. Słyszę, jak gdzieś z tyłu czyjeś ciało osuwa się ciężko na ziemię. Znowu krzyki.

Wreszcie popycham drzwi. Gdy się otwierają, uderza mnie ostry, stęchły zapach, a moim oczom ukazuje się nieprzenikniona ciemność.

Wchodzę do środka.

Zamykam za sobą drzwi. Przez chwilę stoję nieruchomo, czekając, aż oczy przyzwyczajają się do półmroku, i nasłuchuję głosów albo kroków. Nic. Zapach jest tu ostrzejszy. To won śmierci i rozkładu, zwierzęcych kości i gnicia.

Zakrywam nos rękawem i biorę wdech. Gdzieś po lewej rozlega się monotonne kapanie. Poza tym jest cicho.

Rozciągające się przede mną schody pokryte są kawałkami pomiętych gazet, pogniecionych jednorazowych kubków, niedopałków papierosów, a wszystko jest słabo oświetlone elektryczną latarenką, z rodzaju tych, jakich używaliśmy w Głuszy. Ktoś musiał je tu wcześniej postawić.

Ruszam w stronę schodów z maksymalnie natężoną uwagą. Ochroniarze Juliana mogli słyszeć, jak otwieram drzwi. Mogą się na mnie czaić. Przeklinam w myślach wszystkie skanery ciała i wykrywacze metalu. Oddałabym wszystko za nóż albo scyzoryk.

A wtedy przypominam sobie o kluczach. Znowu zdejmuję plecak. Kiedy zginam łokieć, ból promieniuje aż do ramienia, tamując mi dech w piersi. Szczęście w nieszczęściu, wyładowałam na lewej ręce — z unieruchomioną prawą nie byłoby ze mnie żadnego pożytku.

Znajduję klucze na dnie plecaka, poruszając się bardzo powoli, żeby nie robić hałasu, po czym przekładam je przez palce, tak jak nauczył mnie Tack. Raczej kiepska broń, ale lepsze to niż nic. A potem ruszam w dół po schodach, przepatrując cienie w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu, jakichś nieoczekiwanych kształtów wyłaniających się w ciemności.

Nic. Wszystko jest zupełnie nieruchome i ciche.

Na dole schodów stoi brudna szklana kabina, wciąż poplamiona odciskami palców. W tunelu za nią znajduje się długi rząd zardzewiałych obrotowych bramek wejściowych: są ich dziesiątki, wyglądają jak unieruchomione miniaturowe wiatraki. Przeskakuję ponad jedną

z nich. Stąd korytarz rozwidla się na kilka ciemnych tuneli, z których każdy oznaczony jest innym znakiem — kolejne litery i liczby. Julian mógł pójść którymkolwiek z nich. A każdy pograżony jest w mroku, światło latarenki nie sięga tak daleko. Zastanawiam się, czy po nią nie wrócić, ale stwierdzam, że lepiej nie, że światło mogłoby mnie wydać.

Znowu przystaję i nastawiam uszu. Na początku nie słyszę nic. Potem wydaje mi się, że z tunelu po lewej stronie dobiega mnie przytłumione, głuche uderzenie, ale gdy tylko ruszam w tamtą stronę, znowu nastaje cisza. Musiałam się przesłyszeć. Przystaję, sfrustrowana, nie wiedząc, co robić dalej. Zawaliłam, to pewne — i to swoje pierwsze zadanie dla ruchu oporu. Ale przecież Raven i Tack nie mogą mnie winić za zgubienie Juliana, kiedy zaatakowały Hieny. Nie mogłam tego przewidzieć ani przygotować się na chaos. Nikt nie mógł.

Stwierdzam, że najlepsze, co mogę zrobić, to przeczekać tutaj następne kilka godzin, dopóki policja nie zaprowadzi porządku. Jeśli będzie trzeba, zostanę tu na noc. Jutro jakoś dostanę się z powrotem na Brooklyn.

Nagle po lewej przemyka jakiś cień. Obracam się, gotowa do zadania ciosu, ale moja ręka trafia w próżnię. Przede mną, tuż przed moim butem, przemyka gigantyczny szczur. Wypuszczam z płuc powietrze, obserwując, jak czmycha w stronę następnego tunelu, a jego długi ogon ciągnie się po brudnej posadzce. Rany, jak ja nienawidzę szczurów.

I właśnie wtedy dochodzi mnie ten dźwięk, wyraźny i nie do pomylenia — dwa głuche uderzenia i cichy jęk: — Błagam...

To głos Juliana.

Całe moje ciało tężeje. Strach szarpie mi wnętrzności. Głos dobiega z głębi całkowicie czarnego tunelu.

Przylegam płasko plecami do ściany. Poruszam się powoli do przodu, czując pod palcami śliskie, omszałe kafelki. Staram się nie zrobić żadnego hałasu, nawet nie oddychać za głośno. Po kilku krokach przystaję i nasłuchuję z nadzieją, że usłyszę następny dźwięk, że Julian znowu coś powie. Ale nie słyszę nic, z wyjątkiem monotonnego kap, kap, kap. Gdzieś tu musi przeciekać rura.

A wtedy mój wzrok pada tam.

Z kraty u sufitu zwisa ciało mężczyzny, z paskiem zaciśniętym wokół nabrzmiałej szyi. Nad nim na metalowej rurze skrapla się woda i skapuje na posadzkę tunelu.

Kap, kap, kap.

Jest tak ciemno, że nawet nie widzę jego twarzy — krata wpuszcza jedynie smużkę szarego światła z góry — ale po szerokości barków poznaję w nim jednego z ochroniarzy Juliana. U jego stóp leży drugi ochroniarz, zwinięty w pozycji płodowej, a z jego pleców wystaje długa rękojeść noża.

Cofam się chwiejnie, zapominając o tym, że powinnam być cicho. A wtedy znowu słyszę głos Juliana, cichszy: — Błagam...

Ogarnia mnie przerażenie. Nie wiem, z której strony dochodzi ten dźwięk, a moja jedyna myśl, to wydostać się stąd, uciec jak najdalej. Wolałabym już stanąć twarzą w twarz z Hieną na zewnątrz, niż zostać tutaj, w potrzasku jak szczur, w ciemności. Nie, nie umrę pod ziemią.

Zaczynam biec na oślep, z rękami wyciągniętymi przed siebie, i najpierw uderzam o ścianę, a dopiero potem udaje

mi się trafić na środek tunelu. Panika czyni ze mnie niezdare.
Kap, kap, kap.

Błagam. Zabierzcie mnie stąd. Nigdy nie biegłam tak szybko.
Zaraz serce wyrwie mi się z piersi. Nie mogę oddychać.

Nagle z obu stron wyrastają dwa czarne kształty i w moim
przerażeniu jawią mi się niczym ogromne czarne ptaki,
wyciągające skrzydła, żeby mnie nimi zakryć.

Mężczyzna łapie mnie za nadgarstek. Klucze wypadają mi z
ręki.

— Nie tak szybko — mówi jeden z nich. A potem prze-
szywający ból, błysk bieli. I pochłania mnie ciemność.

WTEDY

Na końcu w infirmerii ląduje Miyako, która miała być jednym ze zwiadowców.

— Jutro z powrotem stanie na nogi — pociesza nas Raven. — Zobaczycie. Jest twarda. Nic jej nie złamie.

Ale następnego dnia kaszel Miyako pogarsza się do tego stopnia, że słyhać go nawet przez ściany. Jej oddech staje się gęsty i flegmisty. Choć poci się jak mysz, ciągle się skarży, że jest jej zimno, przeraźliwie zimno.

Zaczyna kaszleć krwią. Kiedy nadchodzi moja kolej, by się nią opiekować, widzę krew zakrzepniętą w kącikach jej ust. Przecieram je szmatką, ale Miyako jest wciąż na tyle silna, że mnie odpycha. W gorączce widzi różne kształty i cienie. Odgania się od nich, mamrocząc coś pod nosem.

Nie ma siły dłużej stać, nawet gdy Raven i ja próbujemy ją przytrzymać. Krzyczy z bólu, więc rezygnujemy z tych prób i tylko potem zmieniamy zmoczone prześcieradło. Moim zdaniem powinniśmy je spalić, ale Raven

twierdzi, że nie możemy. Widzę ją tej nocy, jak szoruje je wściekle, a para unosi się nad wodą. Ręce ma całe czerwone od wrzątku.

Aż wreszcie pewnej nocy budzę się i wokół panuje absolutna cisza, jak ciemna, niezmacona tafla wody. Przez chwilę, wciąż wyłaniającą się z oparów snów, przechodzi mi przez myśl, że Miyako musiała poczuć się lepiej. Jutro zastanę ją w kuchni, przykucniętą przed piecem, dorzucającą drewno do ognia. Pójdziemy razem na obchód i będę się przyglądać, jak zakłada pułapkę swoimi długimi, smukłymi palcami. Kiedy napotka mój wzrok, uśmiechnie się.

Jest jednak zbyt cicho. Podnoszę się z posłania, a w piersi zaciska mi się węzeł strachu. Podłoga jest lodowata.

Raven siedzi w nogach łóżka Miyako, wpatrzona w przestrzeń. Włosy ma rozpuszczone, a migotliwe cienie ze stojącej obok świeczki sprawiają, że jej oczy wyglądają jak dwie wydrążone jamy.

Powieki Miyako są zamknięte i nie mam wątpliwości, że nie żyje. W piersi wzbiera mi chęć, by się rozeźmiać, histeryczna i nie na miejscu. Aby ją stłumić, pytam:

— Czy ona...?

— Tak — odpowiada Raven krótko.

— Kiedy?

— Nie jestem pewna. Przysnęłam na chwilę. — Przesuwa ręką po oczach. — Kiedy się obudziłam, już nie oddychała.

Ogarnia mnie najpierw fala gorąca, a zaraz potem fala zimna. Nie wiem, co powiedzieć, więc po prostu stoję przez chwilę w milczeniu, starając się nie patrzeć na ciało Miyako: nieruchome, blade, na jej twarz wychudzoną przez chorobę, wyostrome rysy. Jedyne, o czym jestem

w stanie myśleć, to jej dłonie, które zaledwie kilka dni temu z taką gracją wybijały na kuchennym stole miękki rytm, podkład do śpiewu Sary. Poruszała nimi tak szybko, że wyglądały jak skrzydła kolibra, były pełne życia. Coś łapie mnie za gardło.

— Tak... tak mi przykro.

Raven przez chwilę milczy. A potem mówi:

— Nie powinnam jej kazać nosić wody. Mówiła, że nie czuje się najlepiej. Powinnam pozwolić jej odpocząć.

— Nie możesz się za to winić.

— A dlaczego nie? — Raven podnosi na mnie wzrok. W tej chwili wygląda bardzo młodo, wręcz prowokująco: tak spoglądała moja kuzynka Jenny, kiedy ciotka Carol oznajmiała, że czas na zadanie domowe. Prawie zapomniałam, że Raven naprawdę jest młoda, że ma dwadzieścia jeden lat, niewiele więcej ode mnie. Głusza dodaje człowiekowi lat.

Zastanawiam się, ile ja tu wytrzymam.

— Ponieważ to nie jest twoja wina. — Znowu na mnie nie patrzy. Fakt, że nie mogę dojrzeć jej oczu, odbiera mi pewność siebie. — Nie możesz... nie możesz czuć się źle.

Raven wstaje, biorąc do ręki świecę.

— Jesteśmy teraz po drugiej stronie granicy, Lena — mówi zmęczonym głosem, mijając mnie. — Nie rozumiesz? Nie możesz mi dyktować, co mam czuć.

Następnego dnia pada śnieg. Przy śniadaniu Sara pochlipuje cichutko, nakładając sobie owsiankę. Była mocno związana z Miyako.

Zwiadowcy — Tack, Hunter, Roach, Buck, Lu i Squirrel — opuścili osadę pięć dni temu i zabrali z sobą łopate, potrzebną im do zakopania prowiantu. Zamiast niej

bierzemy więc kawałki metalu i drewna, wszystko, co może się przydać do kopania.

Na szczęście śnieg jest miękki. Na razie zdążył pokryć ziemię zaledwie na centymetr. Ale jest bardzo zimno i ziemia jest zamarznięta. Po półgodzinnym kopaniu udało nam się zrobić tylko niewielkie wgłębienie, a Raven, Bram i ja jesteśmy cali zlani potem. Sara, Blue i kilkoro innych, trzęsąc się z zimna, przycupnęli kilka kroków od nas.

— To nie ma sensu — oświadcza wreszcie Raven, po czym ciska o ziemię pokrzywiony kawałek metalu, którego używała jako łopaty, i kopie go z całej siły. A potem odwraca się i rusza z powrotem w stronę azylu. — Będziemy ją musieli spalić.

— Spalić? — powtarzam z niedowierzaniem. — Nie możemy jej spalić. To...

Raven odwraca się do mnie z błyszczącymi oczami.

— No co? Co innego proponujesz? Zostawić ją w infirmerii?

Zazwyczaj wycofuję się, kiedy Raven podnosi głos, ale tym razem jest inaczej.

— Miyako zasługuje na pogrzeb — oświadczam, przeklinając w myślach drzenie w swoim głosie.

Raven pokonuje dzielącą nas odległość dwoma susami.

— To strata energii — syczy i wtedy dostrzegam, ile w niej wściekłości i rozpacz. Przypominam sobie, co powiedziała Tackowi: „Wszyscy przeżyją”. — A nie możemy sobie pozwolić na jej marnowanie.

Znowu odwraca się do mnie plecami i oznajmia na głos, żeby usłyszeli ją i inni:

— Musimy ją spalić.

Owijamy ciało Miyako w prześcieradła, które Raven wyprała do czysta. Może już wtedy wiedziała, że się do tego przydadzą. Ciągle mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

— Lena — mówi ostrym tonem Raven. — Chwyć ją za nogi.

Więc chwytam. Ciało Miyako stało się po śmierci niemożliwie ciężkie, jak kamień. Jestem wściekła na Raven, tak wściekła, że mam ochotę rzucić się na nią z pięściami. To właśnie robi z nami Głusza, do tego nas redukuje: głodujemy, umieramy, owijamy naszych przyjaciół w stare, podarte prześcieradła, żeby potem spalić ich pod gołym niebem. Wiem, że to nie wina Raven — to wina tych z drugiej strony, Ich, zombie, ludzi, których do niedawna uznawałam za swoich - ale ten gniew nie chce się rozpuścić, wypala mi dziurę w gardle.

Niecałe pół kilometra od osady znajduje się jar, którym niegdyś musiał płynąć strumień. Zanosimy tam Miyako, a Raven polewa jej ciało niewielką ilością benzyny, jako że nie ma jej zbyt wiele. Śnieg pada coraz intensywniej. Na początku ciało nie chce się palić. Blue zaczyna głośno płakać, a Babcia odsuwa ją szorstkim gestem od ognia, mówiąc:

— Cicho, Blue. Nie pomagasz.

Blue chowa twarz w obszernej sztruksowej kurtce Babci, by stłumić szloch. Sara jest spokojna, ale blada jak ściana i roztrzęsiona.

Raven leje więcej benzyny, aż wreszcie ciało zajmuje się ogniem. Powietrze natychmiast wypełnia dławiący dym i swąd palonych włosów. Towarzyszą temu okropne dźwięki, trzaski, które przywodzą na myśl mięso odpadające od kości. Raven nie jest nawet w stanie wygłosić całej

mowy pogrzebowej, kiedy zaczyna się dusić. Odwracam się, łązy zaczynają mnie piec w oczy — od dymu albo z gniewu, sama nie wiem.

Nagle nachodzi mnie nieodparta ochota, by kopać w ziemi, by ryc w niej, choćby i pazurami. Ruszam ślepo i bezwiednie z powrotem w stronę azylu. Znalezienie bawełnianych szortów i starej podartej koszulki, które miałam na sobie, gdy przybyłam do Głuszy, zabiera mi nieco czasu. Używaliśmy tej koszulki jako ścierki do zmywania. To są jedyne rzeczy, które mi zostały z czasów „sprzed”, pozostałości mojego dawnego życia.

Reszta zebrała się w kuchni. Bram dokłada drewna do ognia, a Raven gotuje w garnku wodę na kawę. Sara tasuje talię pomarszczonych od wilgoci i pozaginanych kart. Pozostali siedzą w milczeniu.

Wepchnęłam szorty i podkoszulek pod kurtkę i przyciskam je ciasno do brzucha, otulając się rękami. Sama nie wiem czemu, ale nie chcę, by ktokolwiek wiedział, co robię, a zwłaszcza Raven.

Gdy mijam Sarę, ta mnie zaczepia:

— Hej, Lena. Chcesz pograć w wojnę?

— Nie teraz — odwarkuję. Głusza sprawia także, że człowiek staje się uszczypliwy i twardy, traci ogłode.

— Możemy zagrać w coś innego, na przykład w...

— Powiedziałam nie. — I wbiegam szybko po schodach, by nie widzieć, jak bardzo ją zraniłam.

Powietrze na zewnątrz jest gęste: wszystko rozmazuje się w białą niewyraźną plamę. Zimno oszałamia mnie do tego stopnia, że zdezorientowana stoję przez chwilę nieruchomo, mrugając oczami. Wszystko pokrywa się coraz grubszą warstwą śniegu. Wciąż czuję swąd palonego ciała

i wyobrażam sobie, że wraz ze śniegiem wiatr przywie-je w naszą stronę popiół. Wyobrażam sobie, jak pokryje nas podczas snu, zamknie w naszym azylu i podusimy się tam, pod ziemią.

Na skraju osady, gdzie zwykle zaczynam i kończę biegi, rosną krzaki jałowca. Ziemia pod nimi pokryta jest zaledwie cienką warstwą białego puchu, którą odgarniam rękawem kurtki. A potem zaczynam kopać.

Wbijam się w ziemię pazurami. Gniew i smutek wciąż pulsują mi w głębi czaszki, czyniąc mnie ślepą na wszystko inne. Nie czuję nawet zimna ani bólu w rękach, nie zwracam uwagi na to, że na dłoniach tworzy mi się skorupa ziemi i krwi.

I właśnie tam, pod jałowcem, w śniegu, grzebię resztki siebie.

Minęły dwa dni od pogrzebu Miyako, a śnieg dalej pada. Każdego dnia Raven z niepokojem spogląda w niebo, klnąc pod nosem. Najwyższy czas wyruszyć w drogę. Lu i Squirrel, pierwsi ze zwiadowców, wrócili. Cała osada jest już spakowana, aczkolwiek ciągle gromadzimy to, co przyplynie rzeką, i nie zaprzestajemy polowań. Jednak nie jest łatwo złapać cokolwiek, gdyż z powodu śniegu zwierzęta pochowały się pod ziemią.

Gdy tylko wróci reszta zwiadowców, wyruszymy w drogę. Teraz mogą się zjawić lada dzień — to właśnie wszyscy mówimy Raven, by ją uspokoić. Śnieg pada powoli, jednostajnie, zamieniając świat w białe dryfowanie.

Zaczęłam codziennie sprawdzać gniazda w poszukiwaniu wiadomości. Na oblodzone drzewa trudniej się teraz

wspiać. Zawsze po powrocie do azylu moje palce pulsują boleśnie, gdy wraca do nich czucie. Przez ostatnie tygodnie zaopatrzenie przychodziło do nas regularnie, niemniej czasami znajdowaliśmy je uwięzione w górze rzeki, na płyciźnie, gdzie woda szybciej zamarza. Musieliśmy wyłamywać lód uchwytami od mioteł. Roach i Buck również wrócili do osady, wyczerpani, ale zadowoleni z siebie. Śnieg wreszcie przestał padać. Teraz pozostaje nam tylko czekać na Huntera i Tacka.

A potem, pewnego dnia, gniazda okazują się żółte. Kolejnego dnia również są żółte.

Kiedy trzeciego dnia kolor jest żółty, Raven odciąga mnie na bok.

— Martwię się — mówi. — Coś po drugiej stronie musi być nie tak.

— Może znowu wzmocnili patrole — pocieszam ją. — Może podłączyli ogrodzenie do prądu.

Raven przygryza wargę i kręci głową.

— Cokolwiek to jest, musi to być coś poważnego. Wszyscy wiedzą, że wkrótce mamy wyruszyć w drogę. Potrzeba nam jak najwięcej zapasów.

— Jestem przekonana, że to tylko chwilowe. Na pewno jutro przyjdzie przesyłka.

Raven znowu kręci głową.

— Nie możemy sobie pozwolić na to, by dłużej czekać — oznajmia zduszonym głosem. Wiem, że nie ma na myśli tylko dostawy. Myśli też o zwiadowcach.

Następnego dnia niebo jest bladoniebieskie, a słońce wysyła rozkosznie ciepłe promienie, które przedzierają się przez konary drzew i zamieniają lód w strumienie płynącej wody. Śnieg przyniósł z sobą ciszę, ale teraz las odżył

na nowo, rozbrzmiewając kapaniem, świergotem i trzaskami — tak jakby Głusza została uwolniona z kagańca.

Wszyscy jesteśmy w dobrych nastrojach — wszyscy z wyjątkiem Raven, która dalej patrzy w niebo i mruczy tylko:

— To nie potrwa długo.

Gdy idę ośnieżonymi ścieżkami w stronę gniazd, jest mi tak ciepło, że muszę zdjąć kurtkę i zawiązać ją wokół pasa. Gniazda będą dzisiaj niebieskie, czuję to. Będą niebieskie, przyjdzie zaopatrzenie, powrócą zwiadowcy i wszyscy razem ruszymy na południe. Słoneczny blask odbija się od połyskujących gałęzi i oślepia, przed oczami błyskają mi czerwone i zielone plamki.

Dotarłszy do gniazd, odwiązuję kurtkę i zawieszam ją na jednej z niższych gałęzi. Zrobiłam się dobra we wspinaniu — moje ciało znajduje drogę bez problemu i czuję w piersi tę musującą radość, której nie doznawałam od dawna. Z oddali dobiega mnie nieokreślone buczenie, ciche wibrowanie, które przypomina mi cykanie świerszczy latem.

Mamy przed sobą ogromny świat, bezkresną przestrzeń, której nie ograniczają mury i zasady. Przebędzie-my ją bez przeszkód. Czuję, że wszystko będzie dobrze.

Wspinam się coraz wyżej, już prawie dotarłam do gniazd. Znalazłszy lepsze oparcie dla nóg, podciągam się w stronę ostatniej gałęzi.

Właśnie wtedy omiata mnie jakiś cień — tak nagle i niespodziewanie, że przez chwilę przechylam się, przerażona, i czuję muśnięcie zimnego powietrza, jak gdybym spadała — ale w ostatniej chwili udaje mi się odzyskać równowagę. Mimo to jeszcze przez chwilę serce wali mi jak oszalałe.

I wtedy dostrzegam, co mnie tak wystraszyło. To był ptak. Ptak przedzierający się przez kleistą maź, pokryty farbą, miotający się w swoim gnieździe, rozbryzgujący kolor na wszystkie strony.

Czerwony. Czerwony. Czerwony.

Ptaków są dziesiątki: widzę między gałęziami trzepoczące brązowe pióra pokryte grubą warstwą czerwonej farby.

Czerwony znaczy: uciekać.

Nie mam pojęcia, jak dostaję się na dół. Ześlizguję się z drzewa w panice, nieporadnie. Czerwony znaczy: uciekać. Wyciągam ręce i nogi i skaczę na śnieg, który szybko przenika przez moje spodnie i sweter. Łapię kurtkę i rzucam się do biegu, tak jak kazał Hunter, przez oślepiający, biały świat, wprost przed siebie, nie oglądając się na nic. Każdy krok jest nadludzkim wysiłkiem i czuję się jak w koszmarze, kiedy człowiek próbuje uciekać, ale nie może się ruszyć.

Teraz buczenie, które słyszałam wcześniej, staje się głośniejsze — to nie świerszcze. Raczej szerszenie. Albo silniki.

Przedzieram się przez śnieg w stronę osady, w płucach czuję ogień, a w piersi ból, i do oczu napływają mi piekące łzy. Chce mi się krzyczeć. Chciałabym móc rozwinąć skrzydła i odlecieć. I przez chwilę myślę: może to tylko pomyłka, może nic złego się nie stanie.

Wtedy buczenie zamienia się w ryk i ponad drzewami widzę pierwszy samolot, przecinający niebo z krzykiem.

Ale to nie on krzyczy. To krzyczę ja.

Biegnę i krzyczę. Krzyczę też, kiedy spada pierwsza bomba i wszystko wokół mnie staje w ogniu.

TERAZ

Gdy otwieram oczy, czuję ból. Na początku wszystko jest wielobarwną plamą i na chwilę ogarnia mnie totalna panika — Gdzie ja jestem? Co się stało? — ale wtedy świat odzyskuje kształty. Leżę na łóżku polowym w kamiennym pomieszczeniu bez okien. W pierwszej chwili przychodzi mi do głowy, że może jestem z powrotem w azylu, w in-firmerii.

Ale nie. Ten pokój jest mniejszy i bardziej zapuszczony. Nie ma tu zlewów, w kącie stoi tylko jedno wiadro, a materac, na którym leżę, jest poplamiony, cienki i pozbawiony prześcieradła.

Powracają wspomnienia: manifestacja w Nowym Jorku, wejście do metra, zabici ochroniarze. Przypominam sobie chrapliwy głos szepczący mi do ucha: „Nie tak szybko”.

Staram się podnieść na łóżku i natychmiast muszę zamknąć oczy, zalana falą bólu w głębi czaszki, świdrującego niczym nóż.

— Napij się wody, zrobi ci się lepiej.

Tym razem, mimo bólu, udaje mi się usiąść i odwrócić. Na wąskim łóżku polowym ustawionym za moimi plecami siedzi Julian Fineman i opierając głowę o ścianę, obserwuje mnie spod ciężkich powiek. Podaje mi metalowy kubek.

— Przynieśli to wcześniej — mówi. Od jego brwi do szczęki biegnie długa, cienka rana, pokryta skorupą zaschniętej krwi, a po lewej stronie czoła, tuż pod linią włosów, widnieje siniak. W jasnym świetle wiszącej wysoko pod sufitem żarówki jego włosy mają kolor zboża.

Mój wzrok natychmiast wędruje w stronę drzwi, ale chłopak kręci głową.

— Zamknięte od drugiej strony. A więc jesteśmy więźniami.

— Kim oni są? — pytam, chociaż i tak wiem. Hieny. To one musiały nas tu zamknąć. Przypomina mi się, co zobaczyłam w tunelu: powieszony ochroniarz, i drugi, z nożem w plecach... Tylko Hieny byłyby do tego zdolne.

Julian kręci głową. Widzę też, że ma siniaki wokół szyi. Musieli go dusić. Jest bez kurtki, a koszulę ma rozerwaną. Wokół nosa również widać krew, która pobrudziła mu ubranie. Mimo to chłopak wydaje się niesamowicie opanowany. Ręka, w której trzyma kubek, ani drgnie.

Tylko jego oczy są elektryzujące, niespokojne — ten żywy, nieprawdopodobny błękit, czujny i uważny.

Wyciągam rękę po kubek, ale w ostatniej chwili chłopak cofa go o centymetr.

— Pamiętam cię — mówi. - Ze spotkania. — Widzę błysk w jego oczach. — Zgubiłaś rękawiczkę.

— Tak. — Znowu wyciągam rękę.

Woda ma posmak mchu, ale na moje gardło działa zbawiennie. Po pierwszym łyku stwierdzam, że chyba nigdy w życiu nie byłam tak spragniona. Trudno mi oderwać usta od kubka. Wypijam niemal całą jego zawartość jednym haustem, dopiero wtedy uświadamiając sobie z poczuciem winy, że Julianowi też coś się należy. Podaję mu kubek, choć niewiele w nim już zostało.

— Możesz wypić do dna — oznajmia, a ja nie protestuję. Gdy piję, znowu czuję na sobie jego wzrok, a kiedy spoglądam w jego stronę, widzę, że wpatruje się w potrójną bliznę na mojej szyi. Najwyraźniej go to uspokaja.

Co dziwne, wciąż mam przy sobie plecak. Nie mam pojęcia, dlaczego pozwolili mi go zatrzymać. To mi daje nadzieję. Może i są bezwzględni, ale najwyraźniej niezbyt wprawieni w porywaniu ludzi. Wyjmuję z plecaka batonik, stwierdzam jednak, że lepiej zostawić go na później. Nie jestem jeszcze bardzo głodna, a nie mam pojęcia, jak długo będą mnie tu trzymać. Nauczyłam się tego w Głuszy: lepiej poczekać, jeśli jeszcze jest się w stanie. Przyjdzie chwila, kiedy człowiek nie będzie mógł się kontrolować.

Reszta rzeczy, które z sobą zabrałam — *Księga SZZ*, głupi parasol Tacka, butelka po wodzie, którą wypiałam całą w autobusie jadącym na Manhattan, leżący na samym dnie tusz do rzęs, należący pewnie do Raven. Są bezużyteczne. Teraz już rozumiem, dlaczego nie skonfiskowali mi plecaka. Mimo to wyjmuję wszystko, kładę ostrożnie na łóżku, po czym wywracam plecak do góry nogami i potrząsam nim mocno, jak gdyby nagle miał z niego wylecieć nóż, wytrych albo jakiś inny sposób na cudowne ocalenie.

Nic. Ale przecież musi istnieć sposób, żeby się stąd wydostać.

Wstaję i ruszam w stronę drzwi, zginając lewą rękę. Ból w łokciu przeszedł w tępe pulsowanie. A zatem nie jest pęknięty - to również dobry znak.

Podchodzę do drzwi. Są zamknięte, tak jak powiedział Julian, i wykonane z ciężkiej stali. Nie da się ich wyłamać. Na dole mają wbudowane małe drzwiczki wielkości klapki dla kota. Przykucam i oglądam je. Zawiasy przytwierdzono w ten sposób, że drzwiczki można otworzyć tylko od drugiej strony.

- To właśnie tędy podają wodę - mówi Julian. - I jedzenie.

- Jedzenie? - pytam zaskoczona. - Dali ci jedzenie? -Trochę chleba. Do tego parę orzechów. Zjadłem wszystko. Nie wiedziałem, jak długo będziesz nieprzytomna. — Odwraca wzrok.

- Nie przejmuj się. - Podnoszę się i zaczynam badać ściany w poszukiwaniu pęknięć lub szczelin, które mogłyby kryć tajemne drzwi, albo słabszego fragmentu muru, który dałoby się sforsować. - Ja zrobiłabym tak samo.

Jedzenie, woda, podziemna cela - to są fakty. Po plamie u sufitu domyślałam się, że jesteśmy pod ziemią: to szczególny rodzaj grzyba, który cały czas towarzyszył nam w azylu, występujący w sąsiedztwie wilgotnej ziemi. Znaczy to, że w zasadzie jesteśmy pogrzebani.

Ale jeśli chcieliby nas zabić, już bylibyśmy martwi. To również jest faktem. Jednak trudno to uznać za pocieszenie. Jeśli Hieny do tej pory zachowały nas przy życiu, powodem może być jedynie to, że przygotowały dla nas coś dużo gorszego niż śmierć.

— Co zapamiętałeś? — pytam Juliana. -Co?

— Co zapamiętałeś? Z ataku? Jakies dźwięki, zapachy, kolejność wydarzeń? — Kiedy spoglądam na niego, odwraca wzrok.

Oczywiście ma za sobą lata tresury — segregację, zasady unikania, Ochronną Trójkę: Dystans, Obojętność, Beznamiętność. Mam ochotę przypomnieć mu, że kontakt wzrokowy z osobą wyleczoną nie jest zakazany. Ale wydaje mi się absurdalne dyskutować w tych warunkach o tym, co dobre, a co złe.

Jest w fazie wyparcia. Dlatego pozostaje taki spokojny.

— Niczego nie pamiętam. — Wzdycha i przesuwa ręką po włosach.

— Postaraj się.

Julian kręci głową, jak gdyby próbował szperać w pamięci, opiera się znowu o ścianę i wbija wzrok w sufit.

— Kiedy Odmieńcy pojawili się na manifestacji... Mimowolnie krzywię się na dźwięk tego słowa. Muszę się ugryźć w język, by go nie poprawić: Hieny. Nie Odmieńcy. To nie to samo.

— No mów — poganiam go. Obchodzę teraz całą celę, przesuwając dłońmi po betonowych ścianach. Sama nie wiem, czego tak właściwie szukam. Znaleźliśmy się w potrzasku i tyle. Ale wygląda na to, że Julianowi łatwiej mówić, kiedy na niego nie patrzę.

— Bill i Tony, ochroniarze mojego taty, zaciągnęli mnie w stronę wyjścia ewakuacyjnego. Taki był wcześniej umówiony plan, w razie gdyby coś poszło nie tak. Mieliśmy zejść do podziemi i tam poczekać na ojca. — Przy słowie „ojciec” Julian odkasłuje. — Pod ziemią było ciemno. Tony

poszedł szukać latarek, które schował tam wcześniej. Wtedy usłyszeliśmy... wtedy usłyszeliśmy krzyk i chrupnięcie. Jakby zgniatanie orzecha.

Julian głośno przełyka ślinę. Przez chwilę robi mi się go żal. Zobaczył zbyt wiele w zbyt krótkim czasie. Ale zaraz przypominam sobie, że tacy jak on i jego ojciec to główny powód tego, że Hieny w ogóle istnieją — powód, który je zmusił do zaistnienia. AWD i organizacje do niej podobne zapragnęły usunąć ze świata wszystkie emocje. Położyły rękę na gejzerze, by nie dopuścić do erupcji. Tyle że ciśnienie i tak narastało, wybuchu nie dało się uniknąć.

— Wtedy Bill ruszył przodem, żeby sprawdzić, czy z To-nym wszystko w porządku. Kazał mi się nie ruszać, więc czekałem w tamtym miejscu. A wtedy... poczułem, jak czyjeś ręce zaciskają się od tyłu na moim gardle. Nie mogłem oddychać. Wszystko rozmyło mi się przed oczami. Widziałem, że ktoś się zbliża, ale nie byłem w stanie rozróżnić żadnych rysów twarzy. Potem oberwałem. — Wskazuje na nos i koszulę. — Straciłem przytomność. Kiedy się ocknąłem, byłem już tutaj. Z tobą.

Właśnie skończyłam obchód celi. Pulsuje we mnie nerwowa energia i nie mogę się zmusić do tego, by usiąść. Dalej chodzę tam i z powrotem, wbijając wzrok w ziemię.

— I nic więcej nie pamiętasz? Żadnych innych dźwięków ani zapachów?

-Nie.

— Nikt nic nie mówił? Nikt nic do ciebie nie powiedział?

— Nie — odpowiada, ale po dłuższym wahaniu.

Nie jestem pewna, czy mówi prawdę. Ale nie drażę tematu. Nagle ogarnia mnie potworne zmęczenie. Ból

w głowie powraca, wywołując eksplozje kolorowych plamek pod powiekami. Siadam ciężko na podłodze i przyciągam kolana do piersi.

-1 co teraz? - pyta Julian. Wyczuwam nutkę desperacji w jego głosie. Uświadamiam sobie, że wcale nie jest w fazie wyparcia. Nie jest też spokojny. Jest przerażony, ale próbuje z tym walczyć.

Opieram głowę z powrotem o ścianę i zamykam oczy.

— Teraz czekamy.

Nie da się w żaden sposób stwierdzić, która jest godzina, ani nawet czy to noc, czy dzień. Zawieszona wysoko żarówka rzuca na wszystko płaskie białe światło. Godziny mijają. Na szczęście Julian potrafi siedzieć cicho. Nie rusza się z łóżka i gdy tylko na niego nie patrzę, wyczuwam na sobie jego spojrzenie. To najprawdopodobniej pierwszy raz, kiedy jest dłużej sam na sam z dziewczyną w jego wieku, i czuję, jak jego wzrok wędruje po moich włosach, nogach i rękach, jak gdybym była rzadkim okazem zwierzęcia w zoo. Mam przez to ochotę włożyć kurtkę, zakryć się, ale jest za gorąco.

- Kiedy miałaś zabieg? - pyta mnie w pewnym momencie.

- W listopadzie - odpowiadam automatycznie. Mój umysł wałkuje ciągle na nowo te same pytania. Dlaczego nas tu sprowadzili? Dlaczego trzymają nas przy życiu? Jeśli chodzi o Juliana, to rozumiem. Jest czegoś wart. Widocznie zrobili to dla okupu. Ale ja nic nie jestem warta. I ta świadomość bynajmniej mnie nie uspokaja.

— Czy to bolało? — pyta.

Podnoszę na niego wzrok. Ponownie uderza mnie jasność jego oczu: teraz mają kolor czystej rzeki ze smugami fioletowych i granatowych cieni.

— Niezbyt — odpowiadam, choć to nieprawda.

— Nie znoszę szpitali — mówi Julian, odwracając wzrok. — Laboratoriów, naukowców, lekarzy. Tego wszystkiego.

Na chwilę zapada cisza.

— Nie przyzwyczyłeś się do tego? — pytam, bo to silniejsze ode mnie.

Lewy kącik jego ust unosi się do góry — uśmiecha się delikatnie i spogląda na mnie z ukosa.

— Myślę, że są rzeczy, do których nie można się przyzwyczywać — mówi, a wtedy, sama nie wiem dlaczego, przychodzi mi na myśl Alex i czuję skurcz żołądka.

— Pewnie tak — odpowiadam tylko.

Po jakimś czasie coś zakłóca ciszę. Leżałam na łóżku, by nie marnować sił, ale teraz się podnoszę.

— Co się dzieje? — pyta Julian, ale przykładam palec do ust, żeby go uciszyć.

Słyszę kroki za drzwiami, coraz bliżej. A potem zgrzyt otwieranych u dołu drzwiczek.

Momentalnie padam na ziemię, by dojrzeć chociaż buty jednego z naszych porywaczy. Łąduję twardo na prawym ramieniu dokładnie w momencie, gdy słyszę stuknięcie tacy o drzwiczki, które z powrotem się zamykają.

— Cholera. — Siadam, masując ramię. Na tacy leżą dwa grube kawałki chleba i kilka pasków suszonej wołowiny.

Dali nam też metalową butelkę pełną wody. Nie jest źle, zważywszy na niektóre rzeczy, jakie jadałam w Głuszy.

— Zobaczyłaś coś? — pyta Julian. Kręcę głową.

— Pewnie nie za dużo by to nam pomogło. — Po chwili wahania ześlizguje się z łóżka i siada obok mnie na ziemi.

— Każda informacja jest cenna — odpowiadam ostro. To kolejna rzecz, której nauczyłam się od Raven. Ale co on o tym może wiedzieć. Ludzie tacy jak on nie chcą nic wiedzieć, myśleć ani wybierać. Właśnie tak funkcjonuje system.

Oboje sięgamy po wodę i nasze ręce się stykają. Julian cofa dłoń jak oparzony.

— Śmiało — mówię.

— Nie, ty pierwsza — odpowiada.

Sięgam po wodę i zaczynam pić, nie przestając obserwować Juliana, który rozrywa chleb na mniejsze kawałki. Widać, że próbuje jak najdłużej delectować się jedzeniem. Musi być bardzo głodny.

— Jeśli chodzi o chleb, możesz wziąć moją porcję. — Sama nie wiem, dlaczego mu to proponuję. To niezbyt mądra decyzja. Będę potrzebować siły, żeby się stąd wydostać.

Julian wbija we mnie wzrok. Co dziwne, pomimo włosów koloru zboża i karmelu oraz niebieskich oczu jego rzęsy są czarne i gęste.

— Jesteś pewna?

— Weź go — powtarzam, powstrzymując się przed dodaniem: zanim się rozmyślę.

Je chciwie, obiema rękami. Gdy podaję mu butelkę z wodą, Julian dopiero po chwili wahania podnosi ją do ust.

— Nie możesz tego złapać ode mnie, wiesz przecież — mówię mu.

— Co? — Wzdryga się, jak gdybym niespodziewanie przerwała długą ciszę.

— Choroby. *Amor deliria nervosa*. Nie możesz jej złapać ode mnie. Jestem bezpieczna. — Alex powiedział mi kiedyś dokładnie to samo. Odsuwam wspomnienia w odległe zakamarki pamięci. — Zresztą nie złapiesz jej, jedząc czy pijąc z tego samego naczynia. To przesąd.

— Możesz ją złapać przez całowanie — mówi Julian po chwili. Przy ostatnim słowie wyczuwam lekkie zawahanie. Nie używa się go zbyt często, a już na pewno nie publicznie.

— To co innego.

— Zresztą wcale się tym nie przejmuję — dodaje Julian z naciskiem i bierze długi łyk wody na potwierdzenie swoich słów.

— To o co wobec tego się martwisz? — Biorę swoją porcję wołowiny, opieram się o ścianę i zaczynam ją żuć.

Dalej unika mojego wzroku.

— Po prostu nigdy nie spędzałem tak wiele czasu z...

— Z dziewczynami? Kręci głową.

— Z nikim — odpowiada. — Z nikim w moim wieku. Przez chwilę nasze spojrzenia spotykają się i przenika

mnie elektryczny impuls. Ze zdumieniem zauważam, że jego oczy zmieniły kolor — teraz krystaliczne wody pogłębiły się i stały się oceanem wirujących barw: zieleni, złota i fioletu.

Julian uznał pewnie, że powiedział zbyt dużo. Wstaje, podchodzi do drzwi i wraca. To pierwszy objaw poruszenia, jaki u niego widzę. Przez cały dzień był niezwykle spokojny.

— Jak myślisz, czemu nas tutaj trzymają? — pyta.

— Pewnie dla okupu. — To jedyne wyjaśnienie, które ma sens.

Julian przesuwa palcem po ranie na wardze, rozważając moje słowa.

— Mój ojciec zapłaci — mówi po chwili. — Jestem cenny dla naszego ruchu.

Nie komentuję. W świecie bez miłości tym właśnie są dla siebie ludzie: wymiernymi korzyściami, zobowiązaniami, liczbami i danymi. Mamy ciężar, mamy rozmiary, mamy wymiar ilościowy, tyle że sam człowiek nie znaczy nic.

— Ale nie będzie chciał pertraktować z Odmieńcami — dodaje.

— Przecież nie wiesz, kto jest za to odpowiedzialny — mówię szybko, lecz natychmiast tego żałuję. Nawet tutaj Lena Morgan Jones musi się zachowywać zgodnie z założeniem.

Julian spogląda na mnie spode łba.

— Przecież widziałaś ich na demonstracji, prawda? — Kiedy nie odpowiadam, dodaje: — Nie wiem. Może nawet dobrze się stało. Może teraz ludzie rozumieją, do czego zmierza AWD. Może rozumieją, dlaczego remedium jest konieczne.

Chłopak mówi to takim tonem, jakby zwracał się do tłumu. Zastanawiam się, ile razy te same słowa i myśli wbijano mu do głowy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek miał wątpliwości.

Nagle ogarnia mnie obrzydzenie: do niego i tej jego niewzruszonej pewności na temat świata, jak gdyby całe życie można było rozebrać na czynniki pierwsze i dokładnie opisać, niczym obiekt badań w laboratorium. Ale zachowuję te myśli dla siebie. Lena Morgan Jones musi grać zgodnie z rolą.

— Mam nadzieję — oświadczam z przekonaniem i wracam na swoje łóżko, zwijając się w kłębek twarzą do ściany, by wiedział, że skończyłam rozmowę. Ze złości powtarzam bezgłośnie słowa. Stare, zakazane słowa, których nauczyła mnie Raven, pochodzące z jednej ze starych religii:

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

*Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:
orzeźwia moją duszę.*

*Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach
przez wzgląd na swoje imię.*

*Chociażbym chodził ciemną doliną,
zła się nie ulękne...*

W pewnym momencie odpływam w sen. Gdy otwieram oczy i nic nie widzę, tłumię krzyk. Światło wyłączono, cela pogrążona jest w ciemności. Jest mi gorąco i niedobrze, więc zsuwam wełniany koc, delektując się kojącym chłodem na skórze.

— Nie możesz spać?

Wzdrygam się, zaskoczona. Po głosie poznaję, że chłopak nie leży na swoim łóżku. Widzę zaledwie zarys jego sylwetki. Jest tylko wielkim czarnym kształtem na ciemnym tle.

— Spałam — odpowiadam. — A ty?

— Ja nie. — Jego głos brzmi teraz delikatnie, łagodnie, jak gdyby ciemność w jakiś sposób go zmiękczyła. — To głupie, ale...

— Ale co? — Obrazy ze snu wciąż przelatują mi przez głowę, krążąc po peryferiach świadomości. Śniłam o Głuszy. Była tam Raven, był też Hunter.

— Miałem złe sny. Koszmary. — Julian wypowiada te słowa pospiesznie, najwyraźniej zawstydzony. — Zawsze mi się śnią.

Przez ułamek sekundy czuję lekkie szarpnięcie w piersi, jak gdyby jakiś zacisk się w niej poluzował. Odsuwam od siebie to uczucie. Ja i Julian jesteśmy po przeciwnych stronach barykady. Nie może być między nami żadnej sympatii.

— Podobno po zabiegu będzie lepiej — mówi niemal przeproszającym tonem i zastanawiam się, czy w myślach dopowiada rzecz oczywistą: „jeśli go przeżyję”.

Nie odpowiadam, a Julian kaszle i odchrząkuje.

— A ty? — pyta. — Miałaś kiedyś koszmary? To znaczy przed zabiegiem.

Myślę o setkach tysięcy wyleczonych, którym noce upływają bez snów w ich małżeńskich łóżach, o ich głowach spowitych mgłą, słodkim i mdłym dymem.

— Nie — odpowiadam, odwracając się, po czym naciągam koc z powrotem na nogi i udaję, że śpię.

WTEDY

Nie mamy czasu na opuszczenie osady w sposób, jaki planowaliśmy. Łapiemy, co mamy pod ręką, i uciekamy, a tymczasem Głusza za nami przeradza się w huk, ogień i dym. Trzymamy się blisko rzeki z nadzieją, że woda zapewni nam ochronę, jeśli pożar się rozprzestrzeni.

Raven trzyma w ramionach zbielełą z przerażenia Blue. Ja prowadzę za rękę Sarę. Dziewczyna płacze cicho, owinięta w ogromną kurtkę Lu. Nie miała czasu na zabranie własnej i Lu musi się teraz obyć bez okrycia. Gdy temperatura spada, Raven i ja na zmianę dajemy jej swoje płaszcze. Zimno jest bezlitosne, chwyta nas za wnętrzności, wyciska łzy z oczu.

A za nami rozpętało się piekło.

Piętnaściorgu z nas udało się bezpiecznie wydostać z osady. Squirrel i Babcia zaginęli. Przez pośpiech, w jakim opuszczaliśmy naszą kryjówkę, nikt nie pamięta, czy ich widział. Jedna z bomb wryła się głęboko w ziemię

obok azylu, wysadzając ścianę infirmerii i zasypując korytarz kamieniami, ziemią i robakami. A potem wszystko zamieniło się w jeden wielki wrzask i chaos.

Gdy zniknęły samoloty, nadleciały helikoptery. Przez wiele godzin krążą nad nami, a powietrze jest poszatowane i rozbite na strzępy przez nieustający huk śmigieł. Spryskują Głuszę chemikaliami, które palą nas w gardle, szczypią w oczy, duszą. Owijamy podkoszulki i inne szmaty wokół szyi i ust i brniemy przez opary. Przynajmniej nie wysłali na nas oddziałów naziemnych. Możemy więc chyba mówić o szczęściu.

Wreszcie robi się za ciemno, by kontynuować atak. Nocne niebo zasnutę jest dymem. Las wypełniają dalekie odgłosy przypominające pęknięcie — to trzeszczą drzewa trawione przez ogień — ale przynajmniej posunęliśmy się na tyle daleko w dół rzeki, by nie dosięgną! nas żywioł. W każdym razie Raven uważa, że możemy bezpiecznie przystanąć i odpocząć oraz przejrzeć wszystko, co udało nam się zabrać.

Mamy zaledwie jedną czwartą jedzenia, które zgromadziliśmy, a do tego zero lekarstw i sprzętu medycznego. Bram uważa, że powinniśmy wrócić po zapasy żywności.

— Nie uda nam się dotrzeć na południe z tym, co mamy — twierdzi. Raven w tym czasie próbuje rozpalić ognisko i widzę, jak się trzęsie. I^edwo jest w stanie potrzebować zapalniczkę. Ręce musi mieć skostniałe. Moje zdrętwiały już wiele godzin temu.

— Nie rozumiesz? Już po osadzie. Nie możemy wrócić. Zamierzali dzisiaj wykończyć nas wszystkich. Gdyby nie ostrzeżenie Leny, byłoby już po nas.

— A co z Tackiem i Hunterem? — Bram nie daje za wygraną.
— Co zrobią, gdy po nas wrócą?

— Do cholery, Bram! — Głos Raven jest bliski hysterii i Blue, zwinięta w kłębek między kocami, porusza się niespokojnie przez sen. Wreszcie Raven udaje się rozpaść ognisko. Podnosi się, robi krok w tył i wpatruje się w pierwsze kolorowe języki ognia.

— Będą musieli sami się o siebie zatroszczyć — dodaje spokojniej i chociaż odzyskała panowanie nad sobą, słyszę w jej słowach ból zabarwiony strachem i smutkiem. — Musimy iść dalej bez nich.

— To wszystko jest popieprzone — wzdycha Bram, ale bez przekonania. Wie, że Raven ma rację.

Dziewczyna stoi nieruchomo przez dłuższy czas, podczas gdy kilka osób krząta się w ciszy nad rzeką i rozbija obóz: opierają o siebie plecaki, żeby zapewnić sobie schronienie od wiatru, odpakowują i przepakowują jedzenie, wydzielają nowe porcje. Podchodzę do Raven i przez chwilę stoję obok niej. Chciałabym ją objąć, ale nie potrafię. Takich rzeczy nie robi się z Raven. W głębi duszy dobrze wiem, że teraz musi być twardsza niż kiedykolwiek. Mimo to chcę ją jakoś pocieszyć. Więc mówię cicho, tak by nikt inny mnie nie usłyszał:

— Tack da sobie radę. Jeśli ktoś potrafi tu przetrwać bez względu na wszystko, to właśnie on.

— Tak, wiem o tym — odpowiada. — Nie martwię się. Udamu się.

Ale kiedy na mnie spogląda, widzę w jej oczach martwość i pustkę, jak gdyby właśnie gdzieś głęboko w środku zamknęła jakieś drzwi — i wiem, że nawet ona w to nie wierzy.

Ranek wstaje szary i zimny. Znowu zaczął prószyc śnieg. Nigdy w życiu nie było mi tak zimno. Długo muszę tupać, by przywrócić czucie w nogach. Wszyscy spaliśmy pod gołym niebem. Raven bała się, że namioty mogłyby przykuć uwagę i zrobić z nas łatwe cele, gdyby helikoptery lub samoloty wróciły. Ale niebo jest puste, a las spokojny. Drobiny popiołu mieszają się ze śniegiem, przynosząc z sobą nikłą woń spalenizny.

Ruszamy w stronę pierwszego obozowiska, które przygotowali dla nas Roach i Buck: mamy do przejścia ponad sto dwadzieścia kilometrów. Na początku wszyscy wędrujemy w ciszy, od czasu do czasu zerkając w niebo, ale po kilku godzinach panujące wśród nas napięcie nieco odpuszcza. Śnieg dalej pada, zmiękczejac krajobraz i oczyszczając powietrze, aż wreszcie zapach dymu znika całkowicie.

Wtedy ośmielamy się rozmawiać nieco swobodniej. Jak nas znaleźli? Dlaczego zaatakowali? Dlaczego teraz?

Przez lata Odmieńcy mogli liczyć na jedną ważną rzecz: oficjalnie w ogóle nie istnieli. Rząd zaprzeczał, że ktokolwiek zamieszkuje Głuszę, i dlatego jej mieszkańcy mogli się czuć względnie bezpiecznie. Każdy fizyczny atak na większą skalę ze strony rządu byłby równoznaczny z przyznaniem się do błędu. Wygląda jednak na to, że to się zmieniło.

Dużo później dowiemy się dlaczego: oto ruch oporu zmienił zasady gry. Zmęczył się czekaniem, pomniejszych akcjami i protestami. I stąd Incydenty: podkładanie ładunków wybuchowych w więzieniach, ratuszach i urzędach w całym kraju.

Sara, która wysforowała się naprzód, wraca do mnie.

- Jak myślisz, co się stało z Tackiem i Hunterem? Myślisz, że nic im się nie stanie? Myślisz, że nas znajdą?

— Ciii — uciszam ją ostro, jako że Raven idzie przed nami. Zerkam w jej stronę, by sprawdzić, czy słyszała. -Nie martw się o to. Tack i Hunter umieją o siebie zadbać.

- A co ze Squirrelem i Babcią? Myślisz, że wyszli z tego cało?

Przypominam sobie gwałtowny wstrząs, kamienie i ziemię wsypujące się do środka, panikę i dym. Było tyle hałasu, tyle ognia. Próbuję odnaleźć w pamięci Squirrela i Babcie, przypomnieć sobie, czy uciekali do lasu, ale we wspomnieniach mam jedynie niewyraźne sylwetki, krzyki i głośnie rozkazy, ludzi zamieniających się w dym.

— Zadajesz zbyt wiele pytań. Powinnaś oszczędzać siły. Sara, która truchtała do tej pory jak piesek, zwalnia.

— Czy my umrzemy? — pyta poważnie.

- Nie bądź głupia. Przecież nieraz już się przenosiłaś.

— Ale ludzie z tamtej strony... — Przygryza wargę. — Chcą nas zabić, prawda?

Czuję zimne palce gniewu zaciskające się na moim sercu i jednocześnie wybuch głębokiej nienawiści. Kładę rękę na jej głowie.

- Jeszcze nas nie zabili — mówię i wyobrażam sobie, że pewnego dnia przelecę samolotem nad Portland, nad Rochester, nad każdym miastem tego kraju, i zrzucę na nie bomby, mnóstwo bomb, a potem będę obserwować, jak ich budynki palą się na popiół, jak ich mieszkańcy roztapiają się w płomieniach, jak się wykrwawiają, i z satysfakcją będę patrzeć na ich ból.

Jeśli nam coś zabierzecie, odbierzemy wam to siłą. Spróbujcie nam coś skraść, a i tak to do nas wróci. Pochwyćcie nas, a uderzymy.

Właśnie tak działa teraz świat.

Do pierwszego obozowiska docieramy trzeciego dnia przed północą, po dylemacie pod koniec trasy, czy przy wielkim drzewie wywróconym do góry nogami, z korzeniami w stronę nieba, które Roach oznaczył czerwoną bandaną, skierować się na wschód czy na zachód. Tracimy godzinę, idąc w złym kierunku, i musimy zawrócić, ale gdy tylko dostrzegamy małą piramidkę z kamieni, którą Roach i Buck ułożyli w miejscu, gdzie zagrzebali jedzenie, następuje wybuch ogólnej radości. Biegniemy ostatnie kilkanaście metrów do małej polany z krzykiem na ustach, pełni nowej energii.

Pierwotnie planowaliśmy zostać w tym obozowisku dzień, góra dwa, ale Raven uważa, że powinniśmy zatrzymać się tu nieco dłużej, by nałapać jak najwięcej zwierzyny. Robi się coraz zimniej i coraz trudniej będzie nam coś upolować, a nie mamy tyle jedzenia, by starczyło na całą drogę na południe.

Teraz możemy bezpiecznie rozbić namioty. Przez chwilę można nawet zapomnieć, że to ucieczka, że straciliśmy członków grupy, zapomnieć o wszystkich rzeczach, które zostawiliśmy w azylu. Zapalamy ognisko. Siedzimy w jego blasku, grzejemy ręce i opowiadamy sobie historie, by zapomnieć choć na chwilę o głodzie i chłodzie, i o tym, że w powietrzu coraz bardziej czuć zimę.

TERAZ

— Opowiedz mi jakąś historię. -Co?

Głos Juliana wrywa mnie z zamyślenia. Siedział w milczeniu od dłuższego czasu. Ja znowu zaczęłam się przechadzać, rozmyślając o Raven i Tacku. Czy udało im się uciec z manifestacji? Czy myślą, że zostałam ranna albo nie żyję? Czy będą mnie szukać?

— Poprosiłem, żebyś mi opowiedziała jakąś historię. — Julian siedzi na swoim łóżku ze skrzyżowanymi nogami. Zauważyłam, że potrafi trwać w tej pozycji przez długi czas, z półprzymkniętymi oczami, jak gdyby medytował. Jego spokój zaczyna mnie już irytować. — Dzięki temu czas będzie płynął szybciej — dodaje.

Kolejny dzień, kolejne godziny wlokące się w nieskończoność. Znowu światło, o poranku znowu śniadanie — znowu woda, chleb i wołowina. Tym razem przywarłam płasko do podłogi i udało mi się dojrzeć ciemne spodnie

i ciężkie buty. Warkliwy męski głos kazał mi podać przez otwór starą tackę, co też zrobiłam.

— Nie znam żadnych historii — odpowiadam. Julian spogląda już na mnie swobodnie, szczerze mówiąc, zbyt swobodnie. Gdy przechadzam się po celi, czuję na sobie jego wzrok, jak delikatny dotyk.

— Opowiedz mi wobec tego coś o sobie. To nie musi być nic specjalnego.

Wzdycham, przebiegając myślami życiorys, jaki Raven pomogła mi stworzyć dla Leny Jones.

— Urodziłam się w Queens. Do podstawówki chodziłam najpierw do Unity, a od szóstej klasy przeniosłam się do Szkoły Najświętszej Doktryny. W zeszłym roku przeprowadziłam się do Brooklynu, gdzie chodzę do Quincy Edwards. Jestem teraz w klasie maturalnej. — Julian nie spuszcza ze mnie wzroku, jak gdyby czekał na więcej. Macham niecierpliwie ręką i dodaję: — Zabieg przeszłam w listopadzie. Ale do ewaluacji przystąpię dopiero w tym semestrze, z całą resztą. Nie mam jeszcze pary. — Nie wiem, co mogłabym jeszcze powiedzieć. Lena Jones, jak wszyscy wyleczeni, jest raczej nudną postacią.

— To są fakty — stwierdza Julian. — To nie jest opowieść.

— No dobra. — Siadam na łóżku, kuląc nogi pod siebie, i odwracam się w jego stronę. — Skoro jesteś takim ekspertem, to może sam opowiesz mi jakąś historię?

Spodziewałam się, że go tym wkurzę, ale on tylko odchyła głowę w zamyśleniu i wypuszcza powietrze z policzków. Rana na jego wardze wygląda dzisiaj nawet gorzej, jest sina i opuchnięta. Wokół szczęki pojawiły się żółte

i zielone sińce. Mimo to nie uskarża się ani na to, ani na ból w poszarpanej ranie na policzku.

Po chwili milczenia odzywa się wreszcie:

— Pewnego razu, gdy byłem naprawdę mały, widziałem dwoje ludzi całujących się publicznie.

— Chodzi ci o ceremonię ślubną? O jej przypieczętowanie?

Julian kręci głową.

— Nie. Na ulicy. To był jakiś protest, wiesz? Przed siedzibą AWD. Nie mam pojęcia, czy byli nieleczeni, czy zabieg nie zadziałał, czy co. Miałem wtedy może z sześć lat. A oni... — W ostatniej chwili Julian milknie.

-Co?

— Używali do tego języków. — Wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem szybko odwraca wzrok. Całowanie z języczkiem jest teraz więcej niż nielegalne. Jest uważane za brudne, obrzydliwe, jest symptomem, że choroba zapuściła korzenie.

— I co zrobiłeś? — Wbrew sobie nachyliam się z ciekawością w jego stronę. Fascynująca jest nie tylko sama historia, ale i fakt, że Julian mi ją opowiada.

Chłopak uśmiecha się.

— Chcesz usłyszeć coś zabawnego? Na początku pomyślałem, że on ją zjada.

Nic na to nie poradzę: parskam śmiechem. I gdy tylko zaczynam się śmiać, nie potrafię się już powstrzymać. Całe napięcie z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin puszcza i śmieję się tak mocno, że łzy napływają mi do oczu. Mam wrażenie, że cały świat został wywrócony do góry nogami, a my znaleźliśmy się w gabinecie śmiechu.

Julian również zaczyna się śmiać, a potem krzywiąc się, dotyka skaleczonej wargi.

— Auć — wzdycha, przez co rechoczę jeszcze bardziej. To wywołuje ponowny atak śmiechu u niego i zaraz znowu jęczy: — Auć.

Wkrótce oboje śmiejemy się bez opamiętania. Julian ma zaskakująco miły śmiech, niski i melodyjny.

— Okej, teraz twoja kolej — oznajmia wreszcie, już spokojny.

— Zaraz... zaraz — pytam, wciąż z trudem łapiąc oddech. — Co się stało potem?

Julian spogląda na mnie z uśmiechem. Ma dołeczek w prawym policzku, a między jego brwiami pojawiła się drobna zmarszczka.

— Co się stało z tamtą parą? Z tymi, którzy się całowali? Zmarszczka między brwiami pogłębia się i chłopak kręci głową.

— Przyjechała policja — mówi takim tonem, jakby to było oczywiste. — Zabrali ich na kwarantannę do więzienia na Rikers Island. Pewnie nadal tam są.

I nagle czuję, jakbym dostała cios prosto w pierś, i cała wesołość ze mnie ulatuje. Przypominam sobie, że Julian jest jednym z Nich — zombie, wrogów. Ludzi, którzy odebrali mi Aleksa. Robi mi się niedobrze. Przed chwilą się z nim śmiałam. Coś nas łączyło. Spoglądał na mnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi, jakbyśmy byli do siebie podobni. Na samą myśl o tym mam ochotę wymiotować.

— No więc teraz ty.

— Nie znam żadnych historii — odpowiadam burkliwie.

— Każdy zna... — zaczyna Julian.

— Ale ja nie — przerywam mu i znowu schodzę z łóżka. Całe ciało mnie świerzbi. Mam nadzieję, że gdy trochę pochodzę, mrowienie zniknie.

Przez resztę dnia nie zamieniamy z sobą ani słowa. Kilka razy Julian sprawia wrażenie, jakby chciał się odezwać, więc w końcu kładę się do łóżka i zamykam oczy, udając, że śpię. Ale nie śpię. W mojej głowie ciągle krąży myśl: musi być stąd jakieś wyjście, musi być stąd jakieś wyjście.

Sen przychodzi dużo później, kiedy żarówka znowu gaśnie. Jest jak powolne tonięcie, jak zanurzanie się we mgle. Budzę się za wcześnie i siadam na łóżku z walącym sercem.

Julian wykrzykuje przez sen jakieś bezsensowne słowa. Jedyne, co rozumiem, to „nie”. Czekam chwilę, czy sam się obudzi. Ale on tylko miota się na łóżku, wierzgając nogami, aż grzechocze metalowa rama.

— Hej — odzywam się, lecz chłopak dalej mamrocze pośpiesznie, więc podnoszę się na łóżku i mówię nieco głośniejszym głosem: — Hej, Julian.

Wciąż zero reakcji. Wyciągam rękę i szukam po omacku jego ramienia. Jego pierś jest mokra od potu. Wreszcie odnajduję ramię i potrząsam nim lekko.

— Julian, obudź się.

Chłopak budzi się z ciężkim westchnieniem i odskakuje ode mnie jak oparzony. Siada na łóżku. Słyszę szelest materaca, gdy Julian się porusza, i jedyne, co jestem w stanie odróżnić, to jego kształt: masywna czerń i krzywizna jego kręgosłupa. Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a Julian

oddycha ciężko i chrapliwie. Kładę się znowu i w ciemności wsłuchuję się w jego oddech, a gdy wreszcie się uspokaja, pytam:

— Znowu koszmar?

— Tak — odpowiada po chwili.

Sama nie wiem, co robić. Z jednej strony mam ochotę przewrócić się na drugi bok i spać. Ale cała ta sytuacja wybiła mnie ze snu, a ciemność jest przytłaczająca.

— Chcesz o tym porozmawiać?

Następuje długa chwila ciszy, a potem Julian zaczyna mówić pospiesznie:

— Byłem w laboratorium otoczonym ogromnym ogrodzeniem. I był tam... Nie wiem, jak to opisać, w każdym razie nie był to zwyczajny płot. Był zrobiony z ludzkich ciał. Ze zwłok. Powietrze było czarne od much.

Znowu milknie.

— Mów dalej — zachęcam go szeptem. Chłopak przełyka głośno ślinę.

— Kiedy przyszedł czas na mój zabieg, przywiązali mnie do stołu i kazali otworzyć usta. Dwóch lekarzy siłą otwarło mi szczękę, a mój tata, bo on też tam był, wziął ogromną kacz beton i wiedziałem, że chce mi go wlać do gardła. Krzyczałem i próbowałem się opierać, a on ciągle powtarzał, że nic mi nie będzie, że mi się polepszy, i wtedy beton zaczął wypełniać mi usta i nie mogłem oddychać...

Julian milknie. Czuję ciężar na piersi. Przez chwilę nachodzi mnie szalona myśl, by go przytulić — ale to by było złe i niewłaściwe, z którejkolwiek strony by na to spojrzeć. Po opowiedzeniu snu Julian musiał się poczuć lepiej, ponieważ kładzie się z powrotem.

— Ja też miewam koszmary — odzywam się, a potem szybko się poprawiam: — To znaczy miewałam.

Nawet w ciemności czuję, że Julian wpatruje się we mnie.

— Chcesz o tym porozmawiać? — powtarza moje słowa sprzed kilku chwil.

Myślę o koszmarach, w których śniła mi się mama: kiedy spoglądałam bezradnie, jak spada z klifu. Nikomu

o nich nie mówiłam. Nawet Aleksowi. Ustały, kiedy dowiedziałam się, że mama wcale nie umarła, że przebywała w Kryptach przez wszystkie te lata, kiedy myślałam, że nie żyje. Teraz jednak moje koszmary przybrały nowy kształt. Jest w nich mnóstwo ognia, Alex i ciernie, które stają się łańcuchami i ciągną mnie do ziemi.

— Miałam koszmary związane z moją mamą — mówię. Słowo „mama” z trudem przechodzi mi przez gardło

i mam nadzieję, że Julian nie zauważył zmiany w moim głosie.

— Zmarła, gdy miałam sześć lat. — To poniekąd jest prawda. Już nigdy jej nie zobaczę.

Słyszę szelest na łóżku Juliana, a kiedy się odzywa, po głosie poznaję, że jest odwrócony w moją stronę.

— Opowiedz mi o niej — mówi delikatnie. Wpatruję się w ciemność, która zdaje się pełna kłębiących się kształtów.

— Lubiła eksperymentować w kuchni — zaczynam powoli. Nie mogę mu powiedzieć zbyt dużo. Nie mogę powiedzieć nic, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Ale mówienie w ciemności wydaje się ulgą, więc ciągnę dalej. — Lubiłam siadać na blacie i obserwować, jak krząta się po kuchni. Większość z tego, co zrobiła, lądowało w koszu. Ale to zawsze było zabawne i doprowadzało

mnie do śmiechu. — Milknę na chwilę. — Pamiętam, jak kiedyś zrobiła naleśniki z ostrej papryki. Wcale nie były takie złe.

Julian siedzi w milczeniu. Oddycha już spokojnie.

— Oprócz tego bawiła się ze mną — dodaje.

— Naprawdę? — W głosie Juliana słychać zdumienie.

— Tak. Również w takie prawdziwe zabawy, nie tylko w te rozwojowe, które zalecają w *Księdze SZZ*. Udawała... — Gryzę się w język, w obawie, że posunęłam się za daleko.

— Udawała, że co?

Czuję w piersi narastające ciśnienie i nagle wszystko to powraca — moje prawdziwe życie, moje dawne życie — stary dom w Portland, szum wody i zapach oceanu. Pociemniałe mury Krypt i szmaragdowozielone plamy słońca przeświecającego przez drzewa w Głuszy. Wszystkie inne tożsamości, ułożone jedna na drugiej i ukryte tak, by nikt ich nie odnalazł. I nagle czuję, że muszę mówić dalej: jeśli tego nie zrobię, eksploduję.

— Miała klucz i udawała, że otwiera on drzwi do innych światów. Był to taki zwyczajny klucz. Nie wiem, skąd go wzięła, pewnie wyszperała gdzieś na pchlim targu, ale trzymała go w czerwonym pudełku i wyjmowała jedynie na specjalne okazje. A gdy to robiła, udawałyśmy, że wyruszamy w podróż do innego wymiaru. W jednym ze światów to zwierzęta doglądały ludzi i wyprowadzały ich na spacer, w innym jeździłyśmy na ogonach spadających gwiazd. Był też podwodny świat i jeden taki, w którym ludzie spali cały dzień i tańczyli całą noc. Moja siostra też się w to bawiła.

— Jak ma na imię?

— Grace. — Czuję, jak coś łapie mnie za gardło. Mieszam teraz osobowości i miejsca, łączę życiorysy. W końcu moja mama zniknęła, zanim Grace przyszła na świat. Poza tym Grace była moją kuzynką. Ale, o dziwo, potrafię to sobie wyobrazić: moja mama podnosi Grace i obraca nią dookoła, podczas gdy z głośników sączy się muzyka; nasza trójka pędzi długimi drewnianymi korytarzami i udajemy, że łapiemy gwiazdę. Otwieram usta, by jeszcze coś dodać, tyle że nie potrafię wydobyć z siebie słów. Czuję ściskanie w gardle i jestem bliska łez, ale ze wszystkich sił staram się nie rozkleić.

Julian przez chwilę siedzi cicho. Wreszcie mówi:

— Ja też kiedyś udawałem różne rzeczy.

— Tak? — Chowam twarz w poduszkę, by ukryć drżenie w głosie.

— Tak. Głównie w szpitalach i w laboratorium. — Znowu chwila ciszy. — Wyobrażałem sobie, że jestem z powrotem w domu, a w myślach zmieniałem jedne dźwięki na inne, wiesz? Na przykład pikanie urządzeń monitorujących serce: wyobrażałem sobie, że to pikanie automatu do kawy. A kiedy słyszałem kroki, udawałem, że to moi rodzice, chociaż to nigdy nie byli oni. I udawałem, że ten zapach... Kojarzysz, jak pachną szpitale? Głównie chemią, a tylko trochę kwiatami... Ze bierze się on stąd, że moja mama właśnie wyprała pościel.

Ucisk w gardle rozluźnił się i teraz oddycham swobodniej. Czuję wdzięczność wobec Juliana. Za to, że nie powiedział, iż zachowanie mojej mamy wydaje się dziwne, za to, że nie jest podejrzliwy i nie zadaje zbyt wielu pytań.

— Pogrzeby też tak pachną. Jak chemia. I jak kwiaty.

— Nie lubię tego zapachu — mówi Julian cicho. Gdyby był mniej wytresowany i mniej ostrożny, powiedziała by „nienawidzę”. Ale nie może tego powiedzieć. To zbyt bliska namiętności, a namiętność jest zbyt bliska miłości, a miłość to *amor deliria nervosa*, najbardziej niebezpieczna choroba na świecie. To przyczyna zabaw w udawanie, ukrywanych osobowości i ściskania w gardle. Julian mówi dalej: - Udawałem też, że jestem podróżnikiem. Myślałem, jak by to było pojechać do... innych miejsc.

Przypomina mi się, jak zaskoczyłam go po spotkaniu AWD: siedział samotnie w ciemności, wpatrzony w oszłamiające leśne i górskie pejzaże.

— Na przykład gdzie? — pytam, a moje serce zaczyna szybciej bić.

— Po prostu pojeździć po okolicy — oznajmia po chwili milczenia. - Na przykład do innych amerykańskich miast.

Coś mi mówi, że Julian znowu kłamie. Zastanawiam się, czy tak naprawdę mówi o Głuszy albo o innych częściach świata — miejscach bez murów, gdzie miłość wciąż istnieje, choć mówiono nam, że zniszczyła już wszystkich ich mieszkańców.

Może Julian wyczuł, że mu nie wierzę, ponieważ dodaje szybko:

— To były takie dziecinne mrzonki, którymi zajmowałem się nocami w laboratorium, kiedy miałem badania i zabiegi. Tak, żeby mniej się bać.

W ciszy czuję ciężar wielu warstw ziemi znajdujących się ponad nami, masywnych i przytłaczających. Próbuję zwalczyć ogarniający mnie teraz lęk, że utkniemy tu na zawsze.

— Boisz się teraz? — pytam.

Odpowiada dopiero po ułamku sekundy.

— Bałbym się bardziej, gdybym był sam.

— Ja też. — Znowu czuję przyływ sympatii do niego. — Julian?

-Tak?

— Wyciągnij rękę. — Nie wiem, dlaczego to mówię. Może to przez fakt, że nie mogę go zobaczyć. Swobodniej się z nim czuję w ciemności.

— Po co?

— Po prostu to zrób — odpowiadam i słyszę poruszenie na łóżku. Julian wyciąga rękę w moją stronę. Gdy odnajduję jego dłoń: chłodną, dużą i suchą, chłopak wzdryga się.

— Myślisz, że jesteśmy bezpieczni? — pyta ochrypłym głosem.

Nie jestem pewna, czy mówi o delirii, czy o naszych porywaczach, ale pozwala spleść swoje palce z moimi. Poznaje, że nigdy nie trzymał nikogo za rękę. Przez chwilę jego dłoń zachowywała się nieporadnie, zanim zrozumiał, na czym to polega.

— Nic nam nie będzie. — Nie wiem, czy w to wierzy, czy nie. Ku mojemu zaskoczeniu dodaje mi otuchy szybkim ściśnięciem dłoni. Domyślam się, że to przychodzi naturalnie, nawet jeśli nigdy wcześniej się tego nie robiło. Trzymamy się za ręce w ciemności i po chwili słyszę, jak jego oddech zwalnia i pogłębia się, więc zamykam oczy i myślę o falach przybijających powoli do brzegu. Po chwili i ja zasypiam. Śnię o tym, że jestem na karuzeli z Grace i ze śmiechem obserwuję, jak drewniane konie powoli odrywają się i zaczynają galopować do nieba.

WTEDY

Przez trzy dni pogoda się utrzymuje. Drzewa i rzeka uwalniają się z lodu, przez co las staje się symfonią trzasków. Grube krople wody mieniające się kolorami padają na nasze głowy, gdy przedzieramy się przez las w poszukiwaniu jagód, kryjówek zwierząt i terenów do polowania. W powietrzu czuć odprężenie i atmosferę święta, niemal jak gdyby naprawdę przyszła wiosna, chociaż wiemy, że to tylko chwilowe wytchnienie. Raven jest jedyną osobą, która nie wygląda na szczęśliwszą.

Cały czas poświęcamy teraz na poszukiwanie żywności. Trzeciego ranka Raven wybiera mnie, bym poszła z nią sprawdzić pułapki. Za każdym razem, gdy znajdujemy pustą, Raven klnie pod nosem. Większość zwierząt już pochowała się po norach.

Gdy zbliżamy się do ostatniej pułapki, słyszymy jakieś poruszenie i Raven przyspiesza kroku. Spomiędzy szeleszczących liści dochodzą nas dźwięki gorączkowej

szamotaniny oraz rozpaczliwe piski. Okazuje się, że to niemałych rozmiarów królik, którego tylna łapa utknęła w metalowych zębach pułapki. Na futrze widnieją krople ciemnej krwi. Spanikowane zwierzę próbuje się wyrwać, ale tylko przewraca się na bok, dysząc ciężko.

Raven przykuca i wyciąga z torby nóż z długą rękojeścią. Jest ostry, pokryty plamami rdzy i, jak się domyślam, zaschniętej krwi. Wiem, że jeśli zostawimy tu królika, będzie się szamotał, aż się wykrwawi — albo, co bardziej prawdopodobne, podda się i powoli skona z głodu. Raven uczyni mu więc przysługę, zabijając go jednym szybkim pchnięciem. Mimo to nie chcę na to patrzeć. Nigdy nie byłam w grupie sprawdzającej pułapki. Mam na to za słaby żołądek.

Raven przez chwilę nad czymś się zastanawia, a potem nagle wciska mi do ręki nóż.

— Masz — mówi. — Ty to zrób. — Wiem, że to nie kwestia jej przewrażliwienia; w końcu poluje cały czas. To po prostu kolejny z jej testów.

Nóż jest zaskakująco ciężki. Spoglądam na szamoczące się wśród pisków zwierzę.

— Ja... ja nie mogę. Nigdy niczego przedtem nie zabiłam. Spojrzenie Raven jest nieubłagane.

— Zatem pora się nauczyć. — Aby unieruchomić królika, kładzie na nim obie ręce: jedną na głowie, a drugą na brzuchu. Zwierzę musiało uznać, że Raven chce mu pomóc, bo przestało się wiercić, chociaż dalej oddycha pospiesznie i rozpaczliwie.

— Nie każ mi tego robić — mówię, jednocześnie zawstydzona, że muszę ją prosić, i wściekła na nią, że mnie do tego zmusza.

— Mam wrażenie, że ty wciąż czegoś nie rozumiesz — oznajmia Raven, podnosząc się. — To nie jest zabawa, Lena. I nie skończy się tu, ani kiedy dojdziemy na południe, ani kiedykolwiek. To, co się stało w azylu... — urywa, kręcąc głową. — Nigdzie nie ma dla nas miejsca. Nie ma, dopóki coś się nie zmieni. Będą na nas polować. Będą bombardować i palić nasze osady. Granice się rozszerzą, miasta powiększą, z Głuszy nie zostanie nic, nie będzie nikogo, kto mógłby walczyć, i niczego, za co by można walczyć. Rozumiesz?

Nie odpowiadam. Gorąco wpęła mi na kark, przyprawiając o zawroty głowy.

— Nie zawsze będę przy tobie, by ci pomóc — dodaje i klęka z powrotem na jedno kolano. Tym razem rozsuwa futro królika palcami, odsłaniając różowy fragment szyi, pulsującą tętnicę.

— Tutaj — mówi. — Zrób to.

Nagle uderza mnie podobieństwo królika do nas samych: schwytanych w pułapkę, wygnanych z własnego siedliska, desperacko walczących o każdy oddech, o kilka centymetrów przestrzeni. I jednocześnie zaślepia mnie wściekłość na Raven — za jej kazania, za upór i myślenie, że sposobem na pomaganie ludziom jest przypieranie ich do ściany i bicie, dopóki sami nie zaczną atakować.

— Dobrze wiem, że to nie zabawa — odpowiadam, nie kryjąc nawet gniewu w głosie.

-Tak?

— Wydaje ci się, że jesteś jedyną, która wie wszystko. — Zaciskam pięści, jedną na rękojeści noża, a drugą przy udzie. — Wydaje ci się, że jesteś jedyną, która wie, co to strata albo gniew. I jedyną, która wie, co znaczy

uciekać. — Myślę teraz o Aleksie i za to również jej nienawidzę. Za to, że przywołała wspomnienia. Smutek i gniew wzbierają we mnie czarną falą.

— Wcale nie uważam, że jestem jedyna. Wszyscy coś straciliśmy. To teraz norma, nieprawdaż? Nawet w Zom-bielandzie. Oni może nawet stracili najwięcej. — Podnosi na mnie wzrok. Sama nie wiem, dlaczego tak strasznie się trzęsę. — Jest jeszcze coś, czego również możesz się teraz nauczyć — dodaje cicho, ale dobitnie. — Jeśli czegoś chcesz, jeśli bierzesz to dla siebie, zawsze jednocześnie odbierasz to komuś. Tak jest ten świat skonstruowany. I coś musi zginąć, by inni mogli żyć.

Brakuje mi powietrza. Na chwilę świat przestaje wirować i nie ma nic poza ciszą i oczami Raven.

— Ale ty dobrze o tym wiesz, prawda, Lena? — Nie podnosi głosu, czuję jednak te słowa fizycznie: pod czaszką zaczyna mi pulsować, a pierś przeszywa palący ból. Mam w głowie jedną myśl: nie mów tego, nie mów tego, nie mów tego! I wpadam w długi ciemny tunel jej oczu, wracając do straszliwego świtu przy granicy, kiedy słońce sączyło się powoli nad zatoką niczym plama krwi. — Czy nie próbowałaś aby przekroczyć granicy z kimś jeszcze? Doszły do nas pewne pogłoski. Byłaś z kimś... — mówi to tak, jak gdyby właśnie sobie przypomniała, aczkolwiek teraz widzę, że wiedziała to, oczywiście, że wiedziała, przez cały czas, i nienawiść pomieszana z wściekłością wzbierają we mnie tak gwałtownie, że chyba zaraz w nich utonę. — Miał na imię Alex, nieprawdaż?

Rzucam się na nią w mgnieniu oka. Wbiję jej ten nóż prosto w gardło, niech się wykrwawi na śmierć, wypatroszę ją i zostawię jej ciało na pastwę dzikich zwierząt.

Raven uderza mnie w żebra, wytrącając z równowagi. W tym samym czasie zaciska lewą rękę wokół mojego prawego nadgarstka i ciągnie mnie mocno na dół, wbijając nóż prosto w kark królika, dokładnie w miejsce, gdzie przedtem odsłoniła tętnicę. Z mojej piersi wydobywa się krzyk. Raven zaciska palce wokół mojej ręki, bym nie wypuściła noża. Ciałem królika wstrząsa pojedynczy spazm, a potem zwierzę nieruchomieje. Przez chwilę wydaje mi się, że wciąż czuję bicie jego serca pod swoimi palcami, jak szybkie echo. Jego ciało jest ciepłe. Spod końcówki noża wycieka mała strużka krwi.

Raven i ja jesteśmy tak blisko siebie, że czuję jej oddech i prze pocone ubranie. Próbuję się jej wyrwać, ale ona tylko ścisza mnie mocniej.

— Nie wściekaj się na mnie. To nie ja to zrobiłam. — Na podkreślenie swoich słów naciska mocniej na moją dłoń i nóż zagłębia się w ciele królika o kolejny centymetr, a plama pianistej krwi wokół rany powiększa się jeszcze.

— Pieprz się — rzucam jej i nagle wybucham płaczem, po raz pierwszy od kiedy przybyłam do Głuszy, po raz pierwszy od śmierci Aleksa. Czuję ucisk w gardle i ledwo mogę wykrztusić z siebie słowa. Mój gniew powoli ustępuje, wypierany przez chory smutek z powodu głupiego, ufego zwierzęcia, które biegło zbyt szybko i nie patrzyło, gdzie stawia łapy, i nawet miotając się w pułapce, wierzyło, że może uciec. Głupie, głupie!

— Przykro mi, Lena. Tak to właśnie działa. — I naprawdę Raven wygląda, jakby jej było przykro. Jej oczy teraz złagodniały i widzę, jak bardzo jest zmęczona i zawsze musiała być: długimi latami takiego życia, walką o każdy centymetr przestrzeni do oddychania.

Aż wreszcie mnie puszcza i szybkim, sprawnym ruchem uwalnia martwego królika z pułapki. Wyszarpuje nóż z jego ciała, wyciera go o ziemię i chowa za pas, po czym przywiązuje króliczą łapę do metalowego kółka przy swoim plecaku. Kiedy wstaje, ciało zwierzęcia zwisające głową w dół kołysze się jak wahadło.

— A teraz możemy przeżyć kolejny dzień — oznajmia, wbijając we mnie wzrok, po czym odwraca się i rusza w drogę powrotną.

Czytałam kiedyś o pewnym rodzaju grzyba pasożytującego na drzewach. Wdziera się do systemu, który transportuje wodę i odżywia drzewo od korzeni aż po gałęzie. Niszczy ten system kawałek po kawałku, wypiera go. Wkrótce to grzyb — i tylko grzyb — transportuje wodę i wszystkie związki chemiczne potrzebne drzewu do życia. Jednocześnie, krok po kroku, powoli rozkłada drzewo od środka.

Właśnie tak samo działa nienawiść. Będzie cię żywić, a jednocześnie niszczyć od środka.

Jest twarda, chropowata i głęboko zakorzeniona, to system blokad. Jest wszystkim, to siła totalna.

Nienawiść jest jak wysoka wieża. W Głuszy zaczynam ją budować i piąć się do góry.

TERAZ

Budzi mnie warkliwy głos:

— Taca!

Podnoszę się na łóżku i widzę, jak Julian rzuca się do drzwi. Przykuca na czworakach, tak jak ja wczoraj, starając się podejrzeć naszych porywaczy.

— Wiadro! — brzmi następne polecenie i z ulgą, a zarazem i współczuciem obserwuję, jak Julian bierze z kąta blaszane wiadro, które wypełnia celę smrodem uryny.

Wczoraj załatwialiśmy się na zmianę. Julian kazał mi się odwracać plecami, zatykać uszy, a do tego mruczeć. Kiedy była moja kolej, mówiłam mu tylko, żeby się odwrócił — ale on i tak zatykał uszy i śpiewał. Ma okropny głos, koszmarnie fałszował, ale za to robił to głośno i radośnie, jakbyśmy się znajdowali w zupełnie innym położeniu. Była to piosenka, której nie słyszałam od wieków, będąca częścią dziecięcej zabawy.

Pojawia się nowa taca i czyste wiadro. A potem klapka znowu opada ze szcękami i kroki milkną w korytarzu. Julian podnosi się z ziemi.

— Widziałeś coś? — pytam, chociaż znam odpowiedź. Mam ochrypnięte gardło, a do tego czuję się niezręcznie. Ostatniej nocy powiedziałam za dużo. I on też.

Julian znowu nie potrafi na mnie spojrzeć.

— Nic — odpowiada.

Posiłek — tym razem jest to mała miska orzechów i kolejna porcja chleba — spożywamy w milczeniu. Pod jasnym światłem żarówki dziwnie by było siedzieć na podłodze, blisko siebie, więc jem na stojąco, chodząc po celi. Cisza między nami wydaje się namacalna. W celi panuje napięcie, którego przedtem nie było. Wiem, że to niedorzeczne, ale mam to za złe Julianowi. To on nakłonił mnie wczorajszej nocy do zwierzeń, a nie powinien. A jednocześnie to ja wyciągnęłam do niego rękę. Teraz wydaje się to nie do pomyślenia.

— Zamierzasz tak przez cały dzień? — pyta Julian rozdrażnionym tonem. I on z pewnością wyczuwa panujące między nami napięcie.

— Jeśli ci się to nie podoba, nie musisz się gapić — odwaruję.

Kolejna chwila ciszy, a potem chłopak mówi:

— Mój ojciec mnie stąd wyciągnie. Na pewno wkrótce zapłaci.

Nienawiść do niego znowu we mnie wzbiera. Musi wiedzieć, że nie mam nikogo, kto by mi pomógł się stąd wydostać. Musi też wiedzieć, że kiedy nasi porywacze — kimkolwiek są — zorientują się w sytuacji albo mnie zabiją, albo zostawią tu na powolną śmierć.

Ale nic nie mówię. Wspinam się po stromych, gładkich ścianach wieży. Odgradzam się głęboko w jej środku i buduję między nami kamienny mur.

Godziny tutaj są płaskie i okrągłe, niczym szare dyski ułożone jeden na drugim. Pachną kwaśno i pizmowo, jak oddech kogoś, kto od dawna nic nie jadł. Przesuwają się powoli, z wysiłkiem, tak że wydaje się, iż nie poruszyły się wcale. Napierają tylko w dół, bez końca w dół.

Aż nagle, bez ostrzeżenia, światło gaśnie i zanurzamy się gwałtownie w ciemności. Odczuwam ulgę tak silną, że bliską radości — przetrwałam kolejny dzień. W ciemności część mojego skrepowania ustępuje. W świetle Julian i ja jesteśmy dla siebie realnymi, ostrymi kształtami, które wbrew ich woli umieszczono razem w zbyt ciasnej przestrzeni. Ale w ciemności cieszę się, gdy słyszę, jak wierci się na łóżku, i wiem, że jest tuż obok. Jego obecność jest kojąca. Nawet cisza zdaje się teraz inna — bardziej komfortowa, bardziej wyrozumiała. Po chwili Julian odzywa się:

— Spisz?

— Jeszcze nie.

Po jego głosie poznaję, że odwraca twarz w moją stronę.

— Chcesz usłyszeć jeszcze jedną historię? — pyta. Kiwam głową, chociaż on tego nie widzi, i bierze moje milczenie za zgodę.

— Było sobie kiedyś potężne tornado... — zaczyna i wyjaśnia od razu: — A tak w ogóle to jest wymyślona historia.

— Rozumiem — mówię i zamykam oczy. Wracam pamięcią do Głuszy, oczy pieką mnie od dymu ogniska i przez mgłę dochodzi mnie głos Raven.

— I była sobie dziewczynka, Dorotka, której dom podczas snu został porwany przez tornado i powirował w niebo. A gdy się obudziła, znalazła się w niezwykłej krainie małych ludzików. Okazało się, że jej dom podczas lądowania przygniół złą czarownicę. Więc wszyscy ci mali ludzie, Manczkinowie, byli Dorotce za to bardzo wdzięczni i dali jej parę magicznych pantofelków. — Po tych słowach Julian milknie.

— I co? Co było dalej?

— Nie wiem — odpowiada.

— Co to znaczy, że nie wiesz? Znowu słysząc szelest materaca.

— Tylko do tego kawałka doszedłem — wyznaje. — Nie przeczytałem reszty.

Zaciekawiona nastawiam uszu.

— Nie wymyśliłeś więc tego?

— Nie — mówi Julian po chwili wahania. Mój głos pozostaje spokojny, bezbarwny.

— Nigdy wcześniej nie słyszałam tej historii. Nie pamiętam jej z żadnego elementarza. Myślę, że bym ją zapamiętała, gdyby była w programie nauczania. — Bardzo niewiele tekstów zatwierdza się do użytku i rozpowszechniania. Co najwyżej dwa, trzy na rok, a czasem w ogóle. Jeśli nie słyszałam tej historii, to najprawdopodobniej dlatego, że nigdy nie została zatwierdzona.

Julian odkaśluje.

— Nie było jej tam. To znaczy w programie nauczania. — Chwila ciszy. — Była zakazana.

Nagle przebiega mnie dreszczyk emocji.

— Gdzie znalazłeś zakazaną opowieść?

— Mój ojciec zna wiele grubych ryb z AWD. Członków rządu, księży i naukowców. Ma więc dostęp do... do tajnych dokumentów i rzeczy z tamtych czasów. Z czasów choroby.

Nic nie mówię. Słyszę, jak przetyka ślinę, po czym kontynuuje:

— Kiedy byłem mały, mój ojciec miał gabinet... tak właściwie miał dwa gabinety. Jeden taki normalny, gdzie wykonywał większość pracy dla AWD. Mój brat i ja często pomagaliśmy mu tam składać ulotki, nieraz przez całą noc. To zabawne, do dzisiaj północ kojarzy mi się z zapachem papieru.

Zaskakuje mnie wzmianka o bracie. Nigdy o nim nie słyszałam, nigdy nie widziałam jego zdjęcia w materiałach AWD ani w „Słowie” — gazecie o zasięgu krajowym. Ale nie chcę mu przerywać.

— Ten drugi gabinet był zawsze zamknięty na cztery spusty. Nikomu nie wolno było tam wchodzić, a mój ojciec chował klucz. Tyle że... — Znowu szelest materaca. — Tyle że pewnego dnia zobaczyłem, gdzie go ukrywał. Było już późno. Powinienem być spać. Wszedłem ze swojego pokoju po wodę i zobaczyłem go z półpiętra. Podszedł do biblioteczki w salonie. Na najwyższej półce trzymał małą porcelanową figurkę koguta. Zobaczyłem, jak podnosi jego głowę i wkłada klucz do środka. Następnego dnia udałem, że jestem chory, żeby nie iść do szkoły. A kiedy moi rodzice wyszli do pracy, a brat na autobus, zszedłem na dół, wziąłem klucz i otworzyłem drugi gabinet taty. — Parska śmiechem. — Chyba nigdy w życiu tak się nie bałem. Ręce

trzęsły mi się tak okropnie, że upuściłem klucz trzy razy, zanim trafiłem nim do zamka. Nie miałem pojęcia, co znajdę w środku. Sam nie wiem, czego się spodziewałem: może trupów, a może zamkniętych Odmieńców.

Sztywnieję, jak zawsze kiedy słyszę to słowo. A potem się odprężam, pozwalam, by to po mnie spłynęło.

Julian znowu parska śmiechem.

— Byłem wkurzony, gdy wreszcie otworzyłem drzwi i zobaczyłem wszystkie te książki. Nawet nie wyobrażasz sobie tego rozczarowania. Ale wtedy dostrzegłem, że to nie były zwykłe książki. Nie były w niczym podobne do tych, z którymi spotykamy się w szkole albo czytamy w kościele. I wtedy uświadomiłem sobie, że musiały być zakazane.

Wbrew mojej woli dawno pogrzebane wspomnienie wypływa teraz na powierzchnię — wspomnienie chwili, gdy weszłam po raz pierwszy do przyczepy Aleksa i ujrzałam dziesiątki dziwnych tytułów na rozpadających się grzbietach błyszczących w świetle świec, i kiedy po raz pierwszy usłyszałam słowo „poezja”. W naszym kraju każda opowieść musi mieć jakiś cel. Ale zakazane książki są czymś więcej. Niektóre z nich są jak pajęczce sieci — poruszasz się wzdłuż jej nici, ale możesz zaledwie przeczuwać, co czai się w mrocznych i tajemniczych zakamarkach. Inne są jak balony płynące po niebie — niezależne, nieosiągalne, ale cieszą oko. A najlepsze książki są jak drzwi.

— Potem wślizgiwałem się do tego gabinetu za każdym razem, kiedy byłem w domu sam. Wiedziałem, że źle robię, ale nie mogłem się powstrzymać. Była tam też muzyka, zupełnie różna od tej zarejestrowanej na BAMF. Nie uwierzyłabyś w to, Lena. Pełna brzydkich słów, wszystkie

o delirii... ale bynajmniej nie wszystkie z nich były złe czy beznadziejne. Podobno każdy w dawnych czasach był niešťeśliwy, prawda? Podobno każdy był chory. Ale niektóre piosenki... — Przerywa i zaczyna śpiewać cicho: — *AU you need is love...*

Przechodzi przeze mnie dreszcz. Dziwnie jest słyszeć to słowo wymawiane głośno. Julian milknie na chwilę. A potem ciągnie dalej, jeszcze ciszej.

— Dasz wiarę? Wszystko, czego ci trzeba, to miłość... — Jego głos oddala się, jak gdyby się cofnął, uświadomiwszy sobie, jak blisko siebie leżymy. W ciemności jest zaledwie czarnym kształtem. — Ale tata w końcu mnie złapał. Zaczynałem właśnie czytać historię, którą ci opowiadałem. Nazywała się *Czarnoksiężnik z krainy Oz*. Nigdy w życiu nie widziałem go tak wściekłego. Przez większość czasu jest raczej spokojny, wiesz, dzięki remedium. Ale wtedy zaciągnął mnie do salonu i zbił tak, że aż zemdlałem. — Julian mówi to spokojnie, bez emocji, a mój żołądek zaciska się z nienawiści do jego ojca, z nienawiści do wszystkich jemu podobnych. Głoszą poszanowanie bliźniego i solidarność międzyludzką, ale w ich domach i sercach królują nienawiść i agresja.

— Powiedział, że to mnie nauczy, co mogą zrobić zakazane książki — mówi Julian. Potem dodaje niemal z zadumą: — Następnego dnia miałem pierwszy atak.

— Tak mi przykro — szepczę.

— Nie winię go za to ani nic takiego — dodaje chłopak szybko. — Lekarze powiedzieli, że właściwie ten atak mógł uratować mi życie. To właśnie w ten sposób odkryli guza. Poza tym ojciec tylko próbował mi pomóc. No wiesz, zapewnić mi bezpieczeństwo.

Moje serce wyrywa się w tej chwili ku niemu, ale zamiast dać się ponieść fali tego uczucia, wyobrażam sobie gładkie mury mojej wieży nienawiści, jak wspinam się po schodach, jak celuję stamtąd w ojca Juliana i patrzę, jak płonie.

Po chwili chłopak pyta:

— Myślisz, że jestem złym człowiekiem?

— Nie — odpowiadam przez ściśnięte gardło.

Przez chwilę oddychamy w jednym rytmie. Zastanawiam się, czy Julian to zauważył.

— Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego ta książka została zakazana — odzywa się chłopak po chwili. — Ta część musiała być później, po wiedźmie i pantofelkach. Od tamtej pory często się nad tym zastanawiam. To zabawne, jak niektóre rzeczy potrafią człowiekowi utknąć w głowie.

— A pamiętasz jakieś inne historie, które czytałeś?

— Nie. Ani żadnej piosenki. Tylko ten jeden kawałek: *All you need is...* — śpiewa znowu.

Przez chwilę leżymy w ciszy i moja świadomość zaczyna odpływać. Wędruję wzdłuż błyszczącej srebrnej wstęgi rzeki wijącej się przez las, mam na sobie buty, które połyskują w słońcu, jak gdyby zrobione były z monet... Przechodzę pod gałęzią i w moje włosy wplątują się liście. Sięgam ręką i czuję ciepło ręki — palce...

Momentalnie wraca mi przytomność. Ręka Juliana zawisła tuż nad moją głową. Przetoczył się na samą krawędź swojego łóżka. Czuję ciepło bijące z jego ciała.

— Co ty wyprawiasz? — Serce wali mi jak młot. Czuję, jak jego ręka drży delikatnie tuż koło mojego ucha.

— Przepraszam — szepcze, ale nie cofa ręki. — Ja tylko... — Nie widzę jego twarzy. Julian jest długim, zakrzywio-

nym cieniem zastygłym w bezruchu, jest jak figura wyrzeźbiona z polerowanego drewna. — Masz ładne włosy — mówi wreszcie.

Czuję, jak coś mnie ściska w piersi. W celi wydaje się tak gorąco jak nigdy.

- Czy mogę? - pyta głosem tak cichym, że ledwo go słyszę, a ja kiwam głową, ponieważ nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa. W gardle również mnie ściska.

Miękko i delikatnie Julian opuszcza rękę. Przez chwilę trzyma ją na moich włosach i znowu słyszę szybki wydech, jakby ulgi, i wszystko w moim ciele nieruchomieje, staje się białe i gorące, niczym wybuch gwiazdy, cicha eksplozja. A potem Julian wsuwa mi palce we włosy i odprężam się, ucisk mija i znowu oddycham pełną piersią. Ogarnia mnie pewność, że wszystko jest dobrze i wszystko się ułoży. Julian dalej przebiega ręką przez moje włosy, okręcając je wokół palców, zawijając wokół nadgarstka i upuszczając je znowu na poduszkę — i kiedy ponownie zamykam oczy i widzę błyszczącą srebrną rzekę, wchodzę do niej i pozwalam, aby uniosła mnie z prądem daleko stąd.

Gdy rano otwieram oczy, widzę błękit — wpatrzone we mnie oczy Juliana. Odwraca się szybko, ale niewystarczająco szybko. Obserwował mnie, kiedy spałam. Czuję się zawstydzona i zła, ale jednocześnie mi to pochlebia. Zastanawiam się, czy mówiłam przez sen. Czasem zdarzało mi się krzyczeć imię Aleksa i jestem prawie pewna, że tej nocy odwiedził mnie we śnie. Nie pamiętam niczego konkretnego, ale obudziłam się z tym doznaniem Aleksa, jak gdyby z wyrwą w środku piersi.

— Od jak dawna nie śpisz? — pytam. W świetle wszystko wydaje się znowu napięte i dziwne. Mam wrażenie, że wczorajszy wieczór był snem. Julian wplótł palce w moje włosy. Julian mnie dotknął. Pozwoliłam mu na to.

Jego dotyk sprawił mi przyjemność.

— Od jakiegoś czasu — odpowiada. — Nie mogłem spać.

— Znowu koszmary? — pytam. Atmosfera w celi jest duszna. Każde słowo przychodzi mi z trudem.

— Nie — odpowiada. Czekam, aż powie coś jeszcze, ale między nami zapada kłępująca cisza.

Siadam na łóżku. W celi jest gorąco i śmierdzi. Robi mi się niedobrze. Szukam w głowie jakichś słów, czegoś, co mogłoby usunąć napięcie. A wtedy Julian pyta:

— Myślisz, że nas zabiją? — I wrogość momentalnie znika. Dzisiaj jesteśmy po tej samej stronie.

— Nie — odpowiadam zdecydowanym tonem, choć wcale nie jestem tego taka pewna. Z każdym dniem ogarniają mnie coraz większe wątpliwości. Gdyby Hieny planowały wziąć okup za Juliana, na pewno zrobiłyby to do tej pory. Myślę o Thomasie Finemanie, jego błyszczących spinkach do mankietów, surowym, szerokim uśmiechu. Myślę o tym, jak zbił dziewięcioletniego syna aż do utraty przytomności. Może postanowił nie płacić. Choć w głowie kiełkuje mi ta drażniąca wątpliwość, próbuję ją zignorować.

Myśl o Thomasie Finemanie przypomina mi o czymś.

— Ile lat ma twój brat? -Co?

Julian siedzi plecami do mnie. Wiem, że musiał mnie słyszeć, ale i tak powtarzam pytanie. Widzę, jak jego ciało sztywnieje — wzdryga się lekko, prawie niedostrzegalnie.

— On nie żyje — odpowiada gwałtownie.

— Jak... jak umarł? — pytam delikatnie.

I znowu chłopak niemal wyrzuca z siebie odpowiedź:

— Wypadek.

Chociaż widzę, że Julian nie czuje się z tym komfortowo, postanawiam drażnić temat.

— Jaki wypadek?

— To było dawno temu — odpowiada lakonicznie, a potem nagle odwraca się do mnie. — A tak w ogóle co cię to obchodzi? Dlaczego tak mnie wypytyjesz? Ja nic o tobie nie wiem. I nie wiesz. Nie wierzę ci dziury w brzuchu.

Jestem tak zaskoczona jego wybuchem, że o mało mu nie odpyskuję. Ale nie mogę sobie na to pozwolić, i tak za dużo już zdradziłam. Więc zamiast tego chowam się za chłodnym spokojem Leny Jones: spokojem żywych trupów, spokojem wyleczonych.

— Byłam po prostu ciekawa — odpowiadam, jak gdyby nigdy nic. — Nic mi nie musisz mówić.

Przez chwilę wydaje mi się, że widzę panikę na jego twarzy — błyska tam jak przestroga, a potem znika, zastąpiona surowością, którą widziałam u jego ojca. Kiwa szybko głową, wstaje i zaczyna chodzić po celi. Odnajduję perwersyjną przyjemność w jego wzburzeniu. Na początku był taki opanowany. Sprawia mi satysfakcję patrzeć, jak stopniowo traci spokój: tu, na dole, ochrona i pewność, jaką zapewnia AWD, na niewiele się zdaje.

I tak oto znowu znaleźliśmy się po dwóch stronach barykady. Kamienna cisza poranka jest pokrzepiająca. Tak właśnie powinno być. To jest właściwe. Nie powinnam była pozwolić mu się dotykać. Nawet nie powinnam była

pozwolić mu się zbliżyć. W myślach powtarzam: przepraszam. Już będę ostrożna. Już nic więcej nie zdradzę. Sama nie wiem, czy słowa te skierowane są do Raven, czy do Aleksa, czy do nich obojga.

Tymczasem woda się nie pojawia. Ani jedzenie. A potem, późnym rankiem, następuje subtelna zmiana: docierają do nas inne dźwięki niż kapanie wody czy głuchy przepływ powietrza pod ziemią. Po raz pierwszy od kilku godzin Julian spogląda w moją stronę.

— Słyszysz... — zaczyna mówić, ale go uciszam.

W korytarzu rozlegają się głosy i ciężkie kroki — zbliża się więcej niż jedna osoba. Serce zaczyna mi szybciej bić i instynktownie rozglądam się wokół w poszukiwaniu broni. Z wyjątkiem wiadra nie ma tu zbyt wiele. Już próbowałam odkręcić metalowe słupki z łóżek, ale bez powodzenia. Mój plecak znajduje się z drugiej strony pokoju i w momencie, gdy rozważam rzucenie się po niego — każda broń jest lepsza niż żadna — zgrzyta zamek, drzwi otwierają się i do środka wchodzi dwie uzbrojone Hieny.

— Ty. — Mężczyzna z przodu, w średnim wieku, z najbliżej skórą, jaką w życiu widziałam, wskazuje kolbą karabinu na Juliana. — Idziesz z nami.

— Dokąd mnie zabieracie? — pyta chłopak, choć od razu wiadomo, że nie dostanie odpowiedzi. Stoi z rękami przyściśniętymi do boków tułowia. Jego głos jest spokojny.

— To my będziemy zadawać pytania — odpowiada błądy mężczyzna i uśmiecha się. Ma żółte zęby i dziąsła pokryte ciemnymi plamami. Ubrany jest w ciężkie wojskowe spodnie i starą wojskową kurtkę, ale bez cienia wątpliwości jest Hieną. Na jego lewej ręce znajduje się ledwo

widoczny niebieski tatuaż, a gdy wchodzi dalej do pokoju, krążąc wokół Juliana jak szakal wokół ofiary, ten widok mrozi mi krew w żyłach. On też ma znak po zabiegu, ale jego jest straszliwie spartaczony: trzy nacięcia na szyi, czerwone jak ziejące rany, a między nimi wytatuowany czarny trójkąt. Dziesiątki lat temu zabieg był bardziej ryzykowny niż teraz. W dzieciństwie raczono nas historiami o ludziach, których nie udało się wyleczyć i w wyniku remedium oszaleli, popadli w stan śmierci mózgowej albo stali się zupełnie nieczuli, niezdolni, by czuć cokolwiek do kogokolwiek.

Staram się zwalczyć narastającą we mnie panikę, która przyprawia mnie o szybkie, nieregularne bicie serca. Druga Hiena, dziewczyna, która mogłaby być w wieku Raven, opiera się o framugę drzwi, zagrządzając mi drogę. Jest wyższa niż ja, ale chudsza. Twarz ma mocno wykolczykowaną — doliczyłam się pięciu kolczyków na każdej brwi i po sztandze wbitej w podbródek i czoło, a do tego kółko przypominające obrączkę przewleczone przez przegrodę nosową. Wolę nie myśleć, skąd je wzięła. Ma pistolet przymocowany do pasa osadzonego nisko na biodrach. Próbuję oszacować, jak szybko mogłaby go wyjąć i wymierzyć w moją głowę.

Jej wzrok biegnie w stronę moich oczu. Musiała odczytać to z mojej twarzy, ponieważ mówi:

— Nawet o tym nie myśl.

Jej głos jest dziwnie zniekształcony, a gdy ziewa, widzę, że to dlatego, iż jej język błyszczy od metalu. Metalowe wkrętki, kółka i druty są wbite w jej język albo go oplatają, w rezultacie dziewczyna wygląda, jakby połknęła drut kolczasty.

Po gwałtownym poruszeniu widać, że Julian przez chwilę rozważał ucieczkę, ale zaraz się opanowuje. Gdy przechodzi przez drzwi, mając z jednej strony wykolczy-kowaną dziewczynę, a z drugiej albinosa, idzie z takim spokojem, jakby właśnie udawał się na piknik.

Nie spogląda w moją stronę ani razu. A potem drzwi znowu zamykają się ze zgrzytem, słysząc szcęk zamka i zostaję sama.

Oczekiwanie jest męczarnią. Moje ciało jest jednym wielkim ogniem. I chociaż jestem głodna, spragniona i osłabiona, nie potrafię usiedzieć na miejscu i chodzę w kółko po celi. Staram się nie myśleć, co zrobili z Julianem. Może jednak zapłacono za niego okup i został wypuszczony na wolność. Ale nie podobał mi się uśmiech albinosa ani sposób, w jaki powiedział: „To my będziemy zadawać pytania”.

W Głuszy Raven nauczyła mnie wszędzie szukać wskazówek: może to być umiejscowienie mchu na drzewach, poziom podszycia, kolor ziemi. Nauczyła mnie też szukać anomalii. Obszar niezwykle bujnej roślinności może oznaczać wodę. Nagły bezruch zwykle wskazuje, że w pobliżu jest duży drapieżnik. Więcej zwierząt niż zazwyczaj? Więcej jedzenia.

Wygląd Hien również różni się od normalnego wyglądu, a to mi się nie podoba.

Żeby czymś się zająć, przepakowuję plecak. A potem wypakowuję go znowu i rozkładam jego zawartość na podłodze, jak gdyby ten smutny zestaw był hieroglifem, który nagle odsłoni przede mną nowe znaczenie. Dwa papierki po

batonach muesli. Tubka tuszu do rzęs. Pusta butelka. *Księga SZZ*. Parasol. Podnoszę się, okrążam celę i siadam znowu.

Wydaje mi się, że przez ściany dochodzi mnie stłumiony wrzask. Tłumaczę sobie, że to tylko moja wyobraźnia.

Biorę *Księgę SZZ* na kolana i zaczynam kartkować. Chociaż psalmy i modlitwy są znajome, słowa wyglądają dziwnie, a ich znaczenie wydaje się nie do rozszyfrowania. To jak powrót gdzieś, gdzie nie było się od dziecka, a tam wszystko okazuje się mniejsze niż dawniej i nie robi już żadnego wrażenia. Przypomina mi się, jak kiedyś Hana wygrzebała skądś sukienkę, którą nosiła w pierwszej klasie. Siedziałyśmy w jej pokoju, nie mając nic lepszego do roboty, wyglupiałyśmy się, śmiejąc się do rozpuku, a ona ciągle powtarzała: „Wierzyć mi się nie chce, że byłam kiedyś taka mała”.

Czuję ukłucie w piersi. Wydaje się, jakby to było niewiarygodnie dawno temu — tamte czasy, kiedy siedziałam w przytulnym pokoju, kiedy mogłyśmy z Haną spędzać całe dni na wyglupach, nie robiąc niczego konkretnego. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy, jaki to był przywilej: nudzić się z najlepszą przyjaciółką, móc marnować czas.

W połowie *Księgi SZZ* strona ma zagięty róg. Zatrzymuję się na niej i widzę kilka podkreślonych linijek w akapicie. Fragment pochodzi z rozdziału 22 *Historia społeczna*:

„Kiedy się zastanawiamy, jak społeczeństwo może trwać w niewiedzy, trzeba się również zastanowić, jak długo potrafi trwać w złudzeniu. Głupotę przekształca się w nieuchronność, a całe zło obraca się w wartości pozytywne (wybór zostaje zamieniony w wolność, a miłość w szczęście), tak że człowiek nie ma dokąd uciekać”.

Dwa słowa zostały mocniej podkreślone: „trzeba” i „uciekać”.

Przewracam kilka następnych rozdziałów i znajduję kolejną stronę z zagiętym rogiem, na której słowa zostały zakreślone w kółko, na pierwszy rzut oka zupełnie przypadkowo. Cały ustęp głosi: „Narzędzia zdrowego społeczeństwa to posłuszeństwo, oddanie i zgoda. Odpowiedzialni są zarówno rząd, jak i obywatele. Odpowiedzialność spoczywa więc także w twoich rękach”.

Ktoś — Tack? Raven? — zakreślił w kółko kilka słów w tym akapicie: „narzędzia”, „są”, „w twoich rękach”.

Zaczynam sprawdzać każdą stronę. Wygląda to tak, jakby przewidzieli, że taka sytuacja się wydarzy. Wiedzieli, że mogę zostać schwytana. Nic dziwnego, że Tack nalegał, bym wzięła *Księgę SZZ*. Zostawił mi w niej wskazówki. Wzbiera we mnie uczucie czystej radości. Nie zapomnieli o mnie, nie opuścili mnie. Do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak byłam przerażona — bez Tacka i Raven nie mam nikogo. Przez ostatnie miesiące stali się dla mnie wszystkim: przyjaciółmi, rodzicami, rodzeństwem, mentorami.

Jest jeszcze tylko jedna zaznaczona strona — duża gwiazdka widnieje obok psalmu 37:

Choć wokół burze, deszcz i zawierucha, Niech będzie we mnie spokój. Niech będzie mi opoką, tarczą przeciw złemu Jak dłoń pomocna, ciepła, sucha.

Czytam psalm kilka razy i z każdym czytaniem narasta we mnie rozczarowanie. Liczyłam na jakąś ukrytą

informację, ale nie nasuwa mi się żadne głębsze znaczenie. Może Tack chciał mi tylko przywrócić spokój ducha. Albo może gwiazdka została zaznaczona wcześniej i nie ma z pozostałymi tekstami nic wspólnego. A może w ogóle źle to zrozumiałam i zaznaczenia są zupełnie przypadkowe.

Ale nie. Tack dał mi tę książkę, ponieważ wiedział, że może mi się przydać. Oboje z Raven są drobiazgowi, niczego nie robią przypadkiem ani bezcelowo. Kiedy się żyje w bezustannym ryzyku, nie ma miejsca na improwizację.

Choć wokół burze, deszcz i zawierucha...

Deszcz.

Parasol Tacka — ten, który kazał mi zabrać, chociaż na niebie nie było ani chmurki.

Drżącymi rękami biorę go na kolana i zaczynam go uważnie oglądać. Niemal natychmiast dostrzegam małą szczelinę — niezauważalną na pierwszy rzut oka — która biegnie wzdłuż rączki. Wsadzam w nią paznokiec i próbuję podważyć, ale nic z tego.

— Cholera jasna — mówię na głos, i robi mi się nieco lżej na duszy. — Cholera jasna, cholera jasna, cholera jasna. — Za każdym powtórzeniem staram się pociągnięciem zdemontować parasol, ale drewniana rączka ani drgnie.

— Cholera! — Coś we mnie pęka: to frustracja, oczekiwanie, ciężar ciszy. Z całej siły ciskam parasolem o ścianę, który uderza o nią z trzaskiem, a potem spada na ziemię, rączka rozpada się na pół i ze środka ze stukotem wypada nóż. Gdy wyciągam go ze skózanego futerału, rozpoznaję w nim jeden z noży Tacka. Ma rzeźbioną kościaną rączkę i jest bardzo ostry. Widziałam kiedyś, jak Tack wypatroszył nim całego jelenia, precyzyjnie, od gardła po

ogon. Teraz ostrze wypolerowane jest tak gładko, że widzę w nim swoje odbicie.

Nagle dobiega mnie hałas z korytarza: dudnienie ciężkich kroków i odgłos tarcia, jak gdyby coś ciągnięto w stronę celi. Napinam całe ciało, ściskając nóż, wciąż przykucnięta — mogłabym wybiec na korytarz, kiedy drzwi się otworzą, mogłabym zaatakować Hieny albo przynajmniej zranić i wtedy rzucić się do ucieczki — ale zanim mam czas na podjęcie jakiegokolwiek decyzji, drzwi otwierają się i wtacza się przez nie Julian, na wpół przytomny, tak posiniaczony i zakrwawiony, że rozpoznaję go jedynie po koszulce, a potem drzwi zatrzasują się znowu.

— O mój Boże.

Julian wygląda, jakby został zaatakowany przez dzikie zwierzę. Ubranie ma poplamione krwią i przez jedną przerażającą sekundę cofam się w czasie, pod ogrodzenie, spoglądam na czerwień sączącą się po koszuli Aleksa ze świadomością, że on umrze. A później wizja rozplywa się i jest to znowu Julian, na czworakach, kaszlący i plujący krwią.

— Co się stało? — Szybko wsuwam nóż pod materac i klękam obok chłopaka. — Co ci zrobili?

Z jego gardła wydobywa się bulgotanie, a potem znowu kaszel. Julian opada ciężko na łokcie, a w mojej piersi trzepocze strach: on umrze — stwierdzam z podsycaną przez panikę pewnością.

Nie. Tym razem jest inaczej. Tym razem jestem w stanie to naprawić.

— Cofam to, co powiedziałam. Nie próbuj mówić. Julian osuwa się na ziemię i zwija do niemal płodowej pozycji. Jego lewa powieka drga i nie jestem pewna, jak

dużo słyszy czy rozumie. Przesuwam delikatnie jego głowę na moje kolana i pomagam mu przewrócić się na plecy. Tłumię krzyk, który rodzi się w mojej piersi na widok jego twarzy: to jednolita krwawa masa. Opuchlizna zupełnie zamyka prawe oko, a z głębokiego rozcięcia nad prawą brwią płynie krew.

— Cholera — klnę pod nosem. Widziałam wcześniej poważne obrażenia, ale zawsze miałam wtedy pod ręką jakieś środki opatrunkowe, choćby podstawowe. Tutaj nie mam niczego. A ciało Juliana wykonuje dziwne, niespokojne ruchy. Boję się, że to może być atak.

— Nie odpływaj, proszę. — Staram się, by mój głos był cichy i spokojny, w razie gdyby chłopak był przytomny i mnie słuchał. — Muszę zdjąć z ciebie koszulę, okej? Postaraj się nie ruszać. Zrobię ci okład. Pomoże powstrzymać krwawienie.

Odpinam jego brudną koszulę. Przynajmniej klatka piersiowa jest nietknięta, nie licząc kilku dużych, paskudnych siniaków. Cała krew na ubraniu musi pochodzić z jego twarzy. Hieny nieźle go urządziły, ale najwyraźniej nie chciały go trwale okaleczyć. Choć Julian jęczy przy wyjmowaniu rąk z rękawów, udaje mi się zdjąć z niego koszulę. Przyciskam ją mocno do rany na czole, żałując, że nie mam czystej szmatki. Julian jęczy znowu.

— Ciii — mówię. Serce mi wali. Z jego skóry biją fale ciepła. — Nic ci nie będzie. Tylko oddychaj, okej? Wszystko będzie dobrze.

Na dnie kubka, który wczoraj nam przynieśli, zostawiliśmy odrobinę wody, na czarną godzinę. Moczę nią koszulę Juliana i przecieram mu twarz. Wtedy przypominam sobie o antybakteryjnych chusteczkach, które rozdawano

na manifestacji. Po raz pierwszy jestem wdzięczna AWD za obsesję na punkcie czystości. Wciąż mam jedną chusteczkę w tylnej kieszonce dżinsów. Kiedy ją odpakowuję, w nozdrza uderza mnie cierpki zapach alkoholu i wiem, że Juliana będzie boleć. Ale jeśli złapie zakażenie, nie wyjdzie z tego cało.

— Trochę zapieczę — ostrzegam go i przykładam mu chusteczkę do skóry.

Julian zaczyna wyć. Otwiera oczy — w każdym razie na tyle, na ile pozwala opuchlizna — i próbuje się podnieść. Muszę przycisnąć mu ramiona z powrotem do ziemi.

— To boli — jęczy, ale przynajmniej jest przytomny. Serce skacze mi w piersi. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że ledwo oddychałam.

— Nie zachowuj się jak dziecko — mówię, kontynuując przemywanie twarzy, podczas gdy Julian napina całe ciało i zaciska zęby. Otarłszy większość krwi, lepiej widzę jego obrażenia. Rana na wardze znowu się otwarła, widać też, że musiał być wielokrotnie bity w twarz, najprawdopodobniej pięścią albo jakimś tępym narzędziem. Najbardziej niepokojąca jest rana na czole, która wciąż pieni się krwią. Ale ogólnie rzecz biorąc, mogło być gorzej. Będzie żył.

— Masz — mówię i podsuwam mu blaszany kubek do ust, wspierając jego głowę na kolanach. Wody zostało tylko na dzień. — Pij.

Kiedy wypija wszystko, znowu zamyka oczy. Ale jego oddech się wyrównał, a drżenie ciała ustało. Biorę koszulę i rozdieram ją na długie pasy, próbując odpędzić wspomnienia, które zalewają mi pamięć — w końcu nauczyłam się tego od Aleksa. Kiedyś, w poprzednim życiu, uratował

mnie, gdy byłam ranna. Pomógł mi uciec przed porządkowymi, zabandażował mi nogę.

Na powrót chowam to wspomnienie głęboko w środku mnie.

— Unieś nieco głowę — mówię i Julian wykonuje polecenie, tym razem bezgłośnie. Zawiązuję mu kawałek koszuli nisko na czole, ciasno przy ranie, tak że tworzy rodzaj opaski uciskowej. A potem kładę jego głowę z powrotem na swoich udach.

— Czy możesz mówić? — pytam, a Julian kiwa głową. — Możesz mi opowiedzieć, co się stało?

Prawa strona jego ust jest tak opuchnięta, że głos, który się spomiędzy nich wydobywa, jest zniekształcony, jak gdyby Julian mówił przez poduszkę.

— Chcieli się dowiedzieć paru rzeczy — mówi, po czym bierze głęboki oddech i próbuje znowu. — Zadawali mi pytania.

— Jakiego rodzaju pytania?

— O dom rodziców. O Charles Street. O kody bezpieczeństwa. O ochroniarzy: ilu ich jest i o jakich porach.

Nie komentuję tego. Nie jestem pewna, czy Julian jest świadomy, co to oznacza, jak poważna staje się sytuacja. Hieny straciły cierpliwość. Planują teraz atak na jego dom, chcą wykorzystać Juliana, żeby się tam dostać. Być może planują nawet zabójstwo Thomasa Finemana. A może tylko szukają typowych łupów: biżuterii i sprzętu elektronicznego, które mogliby wymienić na czarnym rynku, pieniędzy i, oczywiście, broni. Hieny zawsze gromadzą broń.

To może oznaczać tylko jedno: ich plany wymiany Juliana za okup wzięły w łeb. Thomas Fineman nie chwycił przynęty.

— Nic im nie powiedziałem — ciągnie Julian. — Powie-
dzieli... że jeszcze kilka dni... jeszcze kilka przesłuchań... i
wszystko wyśpiewam.

Teraz już wiem na pewno, że musimy się stąd wydostać jak
najszybciej. Kiedy Julian wreszcie zacznie mówić — co kiedyś
na pewno nastąpi — ani on, ani ja nie będziemy mieć dla
porywaczy żadnej wartości. A Hieny nie są znane ze zwyczaju
wypuszczania zakładników.

— Dobra, posłuchaj. — Staram się mówić cicho, mając
nadzieję, że nie odczyta niepokoju w moim głosie. — Wy-
dostaniemy się stąd, jasne?

Julian z niedowierzaniem kręci głową.

— Niby jak? — pyta zachrypniętym głosem.

— Mam plan — oznajmiam. Nie jest to w tym momencie
prawda, ale na pewno coś wymyślę. Muszę. Raven i Tack liczą na
mnie. Myśl o nożu i o wiadomościach, jakie mi zostawili,
napełnia mnie znowu ciepłem. Nie jestem sama.

— Broń. — Julian przetyka ślinę, a potem próbuje znowu. —
Oni są uzbrojeni.

— My też. — Moje myśli koncentrują się teraz na korytarzu:
kroki zbliżają się i oddalają, tylko jedno naraz. Tylko jeden
strażnik w porze posiłków. To dobrze. Jeśli w jakiś sposób uda
nam się go nakłonić, żeby otworzył drzwi... Jestem tak
pochłonięta planowaniem, że nawet nie panuję nad tym, co
mówię.

— Posłuchaj, byłam już w nieciekawych sytuacjach. Zaufaj
mi. Wtedy w Massachusetts...

— Kiedy... byłaś... w Massachusetts? — przerywa mi Julian.

I właśnie wtedy uświadamiam sobie, że się zdradziłam. Lena
Jones nigdy nie była w Massachusetts i Julian

o tym wie. Przez chwilę zastanawiam się nad kolejnym kłamstwem, a w tym czasie Julian dźwiga się na łokciach, obraca się i odsuwa tyłem, by spojrzeć mi w oczy, cały czas z grymasem na twarzy.

— Daj temu spokój. Lepiej, żebyś nie wiedział.

— Kiedy byłaś w Massachusetts? — powtarza, powoli i wyraźnie cedząc każde słowo.

Może to przez jego opłakany wygląd, przez ten zakrwawiony pas koszuli zawiązany wokół czoła i oczy tak opuchnięte, że ledwo na nie patrzy, jak zranione zwierzę. A może dlatego, iż nagle dociera do mnie, że Hieny nas zabiją — jeśli nie jutro, to pojutrze albo popojutrze.

A może po prostu jestem głodna, zmęczona i mam dość udawania.

W każdym razie nagle postanawiam wyznać mu prawdę.

— Posłuchaj — zaczynam. — Nie jestem tą osobą, za którą mnie bierzesz.

Julian leży zupełnie nieruchomo. Znowu przypomina mi zwierzę. Kiedyś znaleźliśmy małego szopa pracza, tonącego w jamie błota powstałej w ziemi po odwilży. Bram chciał mu pomóc, ale kiedy się zbliżył, szop znieruchomiał w taki sam sposób jak teraz Julian — był to pełen napięcia bezruch, bardziej czujny i agresywny niż jakikolwiek rodzaj walki.

— I nic z tego, co ci mówiłam, o dorastaniu w Queens i powtarzaniu klasy, nie było prawdą.

Kiedyś byłam po drugiej stronie, w sytuacji Juliana. Stałam po szyję w wodzie, uderzana prądami morskimi, a Alex wyznawał mi to samo. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Wciąż pamiętam, jak płynęłam potem do brzegu. Była to najdłuższa i najtrudniejsza trasa w moim życiu.

— Nie musisz wiedzieć, kim jestem, okej? Nie musisz wiedzieć, skąd tak naprawdę pochodzę. Ale Lena Jones to wymyślona postać. Nawet to — dotykam palcami szyi, przebiegając nimi po potrójnej bliźnie — nie jest prawdziwe.

Julian wciąż milczy, aczkolwiek cofnął się jeszcze bardziej i oparłszy się o ścianę, podniósł do siadu. Kolana ma zgięte, ręce i stopy płasko na podłodze, jak gdyby chciał się zerwać do ucieczki.

— Wiem, że nie masz teraz wielu powodów do tego, by mi ufać - ciągnę dalej. - Ale i tak proszę cię o zaufanie. Jeśli tu zostaniemy, zabiją nas. A ja mogę nas stąd wydostać. Tyle że będzie mi potrzebna twoja pomoc.

W moich słowach zawarte było pytanie, więc teraz czekam na odpowiedź Juliana.

Przez długi czas chłopak milczy, a potem odzywa się chrapliwym głosem:

-Ty.

Zaskakuje mnie jad w jego głosie. -Co?

— Ty — powtarza. — Ty mi to zrobiłaś.

Serce zaczyna mi bić w piersi mocno i boleśnie. Przez chwilę wydaje mi się — niemal mam nadzieję — że ma jakiś atak, halucynacje lub przywidzenia.

— O czym ty mówisz?

— Twoi ludzie — wyrzuca z siebie, a ja czuję w ustach smak goryczy i wiem, że jest teraz absolutnie świadomy. I dokładnie wiem, co ma na myśli. - Twoi ludzie to zrobili.

— Nie — odpowiadam. Potem powtarzam nieco dobitniej: — Nie. My nie mamy nic wspólnego z...

— Jesteś Odmieńcem. To właśnie mi powiedziałaś, prawda? Jesteś zarażona. - Palce Juliana drżą i stukają lekko

o podłogę, co brzmi jak bębnienie deszczu. Jest wściekły, uświadamiam sobie, a pewnie i przerażony. — Jesteś chora. — Niemal wypływa z siebie to słowo.

— Tamci to nie są moi ludzie — oświadczam znowu i teraz sama muszę powstrzymać wściekłość, która jest czarną siłą, falą pochłaniającą peryferie mojego umysłu, by mnie nie zalała i nie pociągnęła w dół. — Tamci nie są... — Już mam powiedzieć: „nie są ludźmi”. — Nie są Odmieńcami.

— Kłamiesz — warczy Julian. Dokładnie tak jak szop, wydobyty wreszcie przez Brama z błota, który rzucił się na swego wybawcę i zatopił zęby w jego rękę.

Gorycz z gardła spływa mi aż do żołądka. Podnoszę się, mając nadzieję, że Julian nie zauważy, że i ja się trzęsę.

— Nie masz pojęcia, o czym mówisz — wyrzucam z siebie. — Nic o nas nie wiecie, a ty nic nie wiesz o mnie.

— To mi opowiedz — mówi Julian, a pod spokojem w jego głosie czają się wściekłość i chłód. Każde słowo jest ostre i nieprzyjemne. — Kiedy to złapałaś?

Wybucham śmiechem, chociaż to wcale nie jest zabawne. Świat wywrócił się do góry nogami i wszystko jest do niczego, a moje życie rozpadło się na pół i teraz istnieją dwie różne Leny, równoległe do siebie, stara i nowa, i nigdy, przenigdy nie będą już całością. I wiem, że teraz Julian mi nie pomoże. Byłam idiotką, myśląc, że może być inaczej. On jest zombie, tak jak mówiła Raven. A zombie robią to, do czego zostały stworzone: idą bezmyślnie przed siebie, ślepo posłuszne, dopóki nie zgniją do reszty.

Ale ja nie jestem jedną z nich. Wyciągam nóż spod materaca i siadam na łóżku, a potem zaczynam ostrzyć go energicznie o metalowy słupek, znajdując przyjemność w obserwowaniu, jak odbija światło.

— To nie ma znaczenia — odpowiadam. — Nic z tego nie ma znaczenia.

— Jak to się stało? — Chłopak nie daje za wygraną. — Kto to był?

Ciemna przestrzeń wewnątrz mnie powiększa się o kolejny centymetr.

— Niech cię diabli wezmą — mówię Julianowi, tym razem spokojniej. I wbijam wzrok w nóż, który migocze jak znak wskazujący drogę w ciemności.

WTEDY

W pierwszym obozowisku pozostajemy cztery dni. W noc poprzedzającą zwinięcie obozu Raven bierze mnie na bok.

— Już czas — oznajmia.

Wciąż jestem na nią zła za słowa wypowiedziane przy pułapce, ale teraz wściekłość została zastąpiona tępą, głuchą urazą. A więc przez cały czas wiedziała o mnie wszystko. Czuję, jakby sięgnęła głęboko do środka mnie i coś zniszczyła.

— Czas na co? — pytam.

Za moimi plecami ognisko już dogasa. Blue, Sara oraz kilkoro innych, którzy zasnęli na zewnątrz, jedno obok drugiego, tworzą plątaninę włosów i nóg. Zaczęli sypiać w ten sposób, jak ludzki patchwork, by obronić się przed chłodem. Lu i Dziadek rozmawiają cicho. Dziadek żuje resztki tytoniu, plując czasem w ogień, który wybucha zielonym płomieniem. Reszta musiała pójść do namiotów.

Raven uśmiecha się do mnie delikatnie.

— Czas na twoje remedium.

Serce skacze mi w piersi. Noce są przenikliwie zimne i każdy głębszy oddech wywołuje ból w płucach. Raven wyprowadza mnie poza obóz. Idziemy kilkadziesiąt metrów wzdłuż rzeki i zatrzymujemy się w miejscu, gdzie brzeg jest szeroki i gdzie każdego ranka przebijamy grubą warstwę lodu, by nabrać wody.

Bram już tu jest. Rozpalił drugie ognisko, które płonie wysokim i jasnym płomieniem. Oczy pieką mnie od popiołu, chociaż stoję jakieś dwa metry od niego. Ponad drewnem ułożonym na kształt tipi wystrzelają w stronę nieba niebieskie i białe płomienie, a dym rozmazuje gwiazdy nad naszymi głowami.

— Gotowy? — pyta Raven.

— Prawie — odpowiada Bram. — Daj mi jeszcze pięć minut.

— Przykuca obok drewnianego wiadra ustawionego między polanami na skraju ogniska. Musi być ciągle nasiąknięte wodą, żeby nie zajęło się ogniem. Jednak wysoka temperatura sprawi, że po jakimś czasie woda w nim się zagotuje. Widzę, jak Bram wyciąga małe, wąskie narzędzie z leżącej u jego stóp torby. Wygląda jak korkociąg, ma cienki, okrągły trzonek i ostry, połyskujący koniec. Wrzuca je do wiadra, a potem wstaje i obserwuje, jak końcówka plastikowej rączki powoli obraca się we wrzącej wodzie.

Robi mi się niedobrze. Spoglądam na Raven, ale ona wpatruje się w ogień z nieodgadnioną twarzą.

— Masz. — Bram podchodzi do mnie i wciska mi do rąk butelkę whisky. — Może ci się przydać.

Nienawidzę smaku whisky, ale posłusznie otwieram butelkę, zamykam oczy i pociągam długi łyk. Gdy ognisty płyn spływa mi do gardła, muszę stłumić kaszel, ale kilka sekund później ciepło rozchodzi mi się po żołądku, odbiera czucie w gardle i ustach i powleka mój język dziwnym nalotem, dzięki czemu łatwiej przychodzi mi drugi łyk, a potem trzeci.

Do czasu gdy Bram oznajmia, że jesteśmy gotowi, zdążyłam opróżnić jedną czwartą butelki, a gwiazdy nade mną, zasłone dymu, obracają się powoli i błyszczą jak metalowe ostrza. Moja głowa wydaje się odłączona od ciała. Siadam ciężko na ziemi.

— Spokojnie — mówi Bram. Jego białe zęby błyskają w ciemności. — Jak się teraz czujesz, Lena?

— W porządku — odpowiadam. Ciężko mi wydobywać z siebie słowa.

— Jest gotowa — oznajmia chłopak, a potem dodaje: — Raven, weź koc, dobra? — Słyszę za sobą jej ruchy, a wtedy Bram każe mi się położyć na plecach. Z ulgą wykonuję jego polecenie, zawroty głowy stają się mniej dokuczliwe.

— Chwyć ją za lewą rękę — mówi mu Raven, klękając obok mnie. Jej kolczyki — piórko i srebrny wisiołek, oba przeciągnięte przez prawe ucho — kołyszą się jak wahadło. — A ja chwycę za prawą.

Oboje łapią mnie mocno z obu stron. Wtedy zaczyna mnie ogarniać lęk.

— Ej. — Staram się podnieść. — To boli.

— Musisz leżeć zupełnie nieruchomo — mówi Raven, a po chwili dodaje: — Będzie przez chwilę bolało. Ale szybko przejdzie, okej? Nie bój się.

Strach na nowo rozbłyska mi w piersi. Bram bierze do ręki metalowe narzędzie, świeżo wysterylizowane, którego ostrze wydaje się skupiać na sobie cały bijący z ogniska blask i połyskuje gorąco, biało i upiornie. Jestem zbyt przerażona, by próbować stawiać opór, zresztą wiem, że na nic by się to zdało. Raven i Bram są zbyt silni.

— Przygryź to — mówi Bram i wpycha mi do ust pasek skóry, który czuć tytoniem Dziadka.

— Zaczekaj... — próbuję powiedzieć, ale przez tę skórę nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Bram kładzie mi rękę na czole, odchylając mi mocno podbródek do góry, i pochyla się nade mną z narzędziem w dłoni. Ostrze przywiera mi do skóry za lewym uchem i chciałabym krzyknąć, ale nie mogę, chciałabym uciec, lecz też nie mogę.

— Witaj w ruchu oporu, Lena — szepcze Bram. — Postaram się załatwić to szybko.

Pierwsze nacięcie sięga głęboko. Wypełnia mnie palący ból. A potem wraca mi głos i krzyczę.

TERAZ

— Lena.

Dźwięk mojego imienia wyrywa mnie ze snu. Podnoszę się z walącym sercem.

Julian przesunął swoje łóżko bliżej drzwi, do ściany, byle jak najdalej ode mnie. Czuję na górnej wardze gęste krople potu. Minęło kilka dni, od kiedy ostatni raz brałam prysznic, a celę wypełnia zawieszisty, zwierzęcy odór.

— Czy to w ogóle twoje prawdziwe imię? — pyta Julian po chwili. Jego głos jest ciągle zimny, chociaż utracił nieco poprzedniej zawziętości.

— Tak — odpowiadam. Zaciskam mocno powieki, dopóki małe kolorowe plamki nie zaczynają wybuchać mi przed oczami. Miałam koszmar. Byłam w Głuszy i byli tam też Raven i Alex. Pamiętam również, że zabiliśmy jakieś ogromne zwierzę.

— Krzyczałaś przez sen: Alex — mówi Julian i czuję bolesny skurcz żołądka. Znowu chwila ciszy, a potem pytanie: — To był on, prawda? To on cię zaraził?

— A jakie to ma znaczenie? — Kładę się z powrotem na łóżku.

— Co się z nim stało? — dopytuje się Julian.

— Nie żyje — odpowiadam krótko, ponieważ wiem, że to chce usłyszeć. Wyobrażam sobie wysoką wieżę, z gładkimi murami, sięgającą aż do nieba. W ścianie wykute są kręte schody. Stawiam pierwszy krok, który zanurza mnie w chłód i mrok.

— Jak umarł? — nie daje za wygraną Julian. — Na de-lirię? — Wiem, że jeśli powiem „tak”, poczuje się lepiej. „A widzisz, mamy rację”, stwierdzi. „Zawsze ją mieliśmy. Niech ludzie umierają, skoro to potwierdza nasze przekonania”.

— Przez ciebie — odpowiadam. — Przez twoich ludzi. Julian szybko wciąga powietrze do płuc. Kiedy odzywa się znowu, jego głos jest łagodniejszy.

— Mówiłaś, że nigdy nie miałaś koszmarów. Zamurowuję się w środku wieży. Z jej wysokości ludzie na dole wyglądają jak mrówki, kropki, punkciki, które łatwo zetrzeć z powierzchni ziemi.

— Jestem Odmieńcem — odwarkuję. — A my kłamiemy.

Rankiem mój plan rysuje się jaśniej. Julian siedzi w kącie, obserwując mnie w ten sam sposób co na samym początku. Wciąż ma głowę owiniętą podartą koszulą, ale wygląda teraz przytomnie, a opuchlizna na twarzy się zmniejszyła.

Rozdzieram parasol i oddzielam nylonową powłokę od metalowych drutów. A potem kładę materiał na ziemi i tnę go na cztery długie paski, które wiążę z sobą i sprawdzam siłę węzłów. Jakoś ujdzie. Nie wytrzyma długo, ale mnie potrzeba nie więcej niż kilku minut.

— Co robisz? — pyta Julian i czuję, że ze wszystkich sił próbuje ukryć ciekawość. Nie odpowiadam mu. Nie przejmuję się już tym, co robi, czy pójdzie ze mną albo czy postanowi tu zostać i zgnić, byle tylko nie wchodził mi w drogę.

Odkręcenie zawiasów z klapki w drzwiach nie nastęcza mi problemów, są bowiem zardzewiałe i poluzowane, wystarczyło tylko trochę pokręcić końcówką noża. Potem popycham drzwiczki na zewnątrz, tak że wypadają z brzękiem na korytarz. To na pewno wkrótce tu kogoś sprowadzi. Serce zaczyna mi żywiej bić. Pora na zabawę, jak mawiał Tack, udając się na polowanie. Biorę *Księgę SZZ* na kolana i wydzieram stronę.

— Nie uda ci się przedostać przez tę dziurę — mówi Julian. — Jest za mała.

— Siedź cicho — warczę. — Możesz to dla mnie zrobić? Po prostu się nie odzywaj.

Otwieram tusz do rżęs, który miałam w plecaku, i w milczeniu dziękuję za niego Raven — teraz, w Zom-bielandzie, nie może się nacieszyć tymi małymi błyskotkami i zbytkownymi przedmiotami, które leżą na półkach jasno oświetlonych sklepów i są na wyciągnięcie ręki.

Czuję, że Julian mnie obserwuje. Gryzmołę wiadomość na pustej części strony.

Ona jest agresywna. Boję się, że może mnie zabić. Zacznę mówić, jeśli wypuścicie mnie stąd NATYCHMIAST.

Wyrzucam liścik przez otwór w drzwiach, a potem pakuję z powrotem do plecaka *Księgę SZZ*, pustą butelkę na wodę i kawałki rozłożonego na części parasola. Ściskam nóż w dłoni, staję przy drzwiach i czekam, próbując uspokoić oddech. Co jakiś czas przekładam nóż do drugiej ręki i wycieram spoconą dłoń o spodnie. Hunter i Bram zabrali mnie raz z sobą, żebym się przyjrzała, jak polują na jelenia, i właśnie tych chwil nie mogłam znieść: tego bezruchu, oczekiwania.

Na szczęście nie czekam zbyt długo. Ktoś musiał usłyszeć, jak spada klapka. Wkrótce w oddali trzaskają jakieś drzwi — oto kolejna informacja, a każda informacja jest dobra, oznacza to bowiem, że gdzieś tam są inne drzwi, a zatem i inne podziemne pomieszczenie — i słyszę zbliżające się kroki. Mam nadzieję, że to ta dziewczyna z kółkiem w nosie. A przede wszystkim liczę na to, że to nie albinos.

Ale kroki są ciężkie, a kiedy zatrzymują się tuż za drzwiami, rozlega się męski głos:

— Co jest, do diabła?

Całe moje ciało aż iskrzy emocjami, jak rozgrzany drut elektryczny. Będę mieć tylko jedną szansę, by zadać celny cios.

Teraz, bez klapki, widzę dokładnie ubłocone wojskowe buty i workowate zielone spodnie, takie jakie noszą pracownicy laboratoriów i zmiatacze ulic. Mężczyzna chrząka i butem przesuwa klapkę o kilka centymetrów, jak gdyby ruszał nogą mysz, by sprawdzić, czy żyje. A potem klęka i podnosi szybko wiadomość.

Zaciskam rękę na nożu. Mam wrażenie, że moje serce niemal przestało bić. Nie oddycham, a odległość między poszczególnymi uderzeniami serca zdaje się wiecznością.

Otwórz drzwi. Nie wołaj nikogo. Otwórz drzwi natychmiast. No dalej, dalej, dalej.

Wreszcie słyszę ciężkie westchnienie, brzęk kluczy oraz szcęk odbezpieczanej broni. Wszystko wydaje się ostre i spowolnione, jak gdyby oglądane pod mikroskopem. Drzwi zaraz się otworzą.

Gdy klucz przekręca się w zamku, Julian z krzykiem zrywa się na równe nogi. Przez chwilę nie dzieje się nic. A potem drzwi zaczynają się powoli otwierać do środka, w moją stronę — w stronę miejsca, gdzie stoję przyciśnięta do ściany, niewidzialna.

Czuję się jak na huśtawce: sekundy wpadają na siebie tak szybko, że z trudem za nimi nadążam. Wszystko jest rozmazane, działa tylko instynkt. Rzeczy dzieją się w jednej zwartej chwili: drzwi otwierają się na oścież, zatrzymując się zaledwie kilka centymetrów od mojej twarzy, mężczyzna robi krok w stronę celi, mówiąc: „zamieniam się w słuch”, a ja w tym czasie popycham drzwi obiema rękami, z całej siły. Strażnik wydaje z siebie krótki okrzyk, przekleństwo i jęk. Słyszę Juliana, jak powtarza: „ja pierniczę, ja pierniczę”.

Zamieniam się w instynkt, koniec z myśleniem. Wyskakuję zza drzwi i ląduję na plecach Hieny. Mężczyzna chwieje się na nogach, trzymając się za głowę, w którą dostał drzwiami, a siła mojego rozpędu powala go na ziemię. Wbijam mu kolano w plecy i przyciskam nóż do gardła.

— Nie ruszaj się. — Cała się trzęsę, ale mam nadzieję, że on tego nie wyczuwa. — Nie krzycz. Nawet nie waż się o tym myśleć. Po prostu leż grzecznie, a nic ci się nie stanie.

Julian obserwuje mnie w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Mężczyzna jest posłuszny i leży nieruchomo.

Przykładając mu nóż do gardła, z kolanem wbitym w jego plecy, biorę koniec nylonowej linki w zęby, wykręcam za plecami najpierw lewą rękę strażnika, a potem prawą i przytrzymuję je obie kolanem.

Julian nagle odrywa się od ściany i podchodzi do mnie.

— Co ty wyprawiasz? — warczę przez zaciśnięte zęby. Nie mogę się zajmować jednocześnie Julianem i Hieną. Jeśli mi przeszkodzi, już po wszystkim.

— Daj mi linkę — mówi spokojnie. Przez chwilę nie reaguję, więc dodaje: — Chcę ci pomóc.

Bez słowa wykonuję jego polecenie, a on przykłęka obok mnie. Gdy przypieram Hienę kolanem do ziemi, Julian wiąże mu ręce i nogi. Wyobrażam sobie przestrzeń między żebrami, miękką skórę, warstwy tłuszczu i mięsa, a pod nimi bijące serce. To byłoby tylko jedno szybkie dźgnięcie...

— Daj mi nóż — mówi Julian. Zaciskam dłoń na rękojeści.

— Po co?

— Po prostu mi go daj.

Podaję mu go po chwili wahania. Julian odcina nadmiar sznurka — robi to niezdarnie, więc chwilę mu to zajmuje — a potem oddaje mi nóż i resztę materiału.

— Powinnaś go zakneblować — dodaje rzeczowym tonem. — Żeby nie mógł zawołać pomocy.

Jest niewiarygodnie spokojny. Przekrzywiam głowę Hieny i wpycham mu do ust prowizoryczny knebel. Choć wierzga nogami i rzuca się jak ryba wyciągnięta z wody, udaje mi się zawiązać resztę materiału z tyłu jego głowy. Węzły są słabe — uwolni ręce za dziesięć, góra piętnaście minut — ale to nam powinno wystarczyć.

Zrywam się na nogi i zarzucam plecak na ramiona. Drzwi do celi dalej są otwarte na oścież. Już sam ten widok i ta namiastka wolności napełniają mnie taką wszechogarniającą radością, że mogłabym krzyczeć. Wyobrażam sobie Raven i Tacka obserwujących mnie z dumą. Nie zawiodę was.

Oglądam się za siebie. Julian podniósł się z ziemi.

— Idziesz czy nie?

Kiwa głową. Jego twarz jest wciąż w opłakanym stanie, zamiast oczu widać tylko wąskie szparki, ale usta ma zawzięcie zaciśnięte.

— Zatem chodźmy. — Wtykam nóż za pasek spodni. Nie będę się martwić, czy Julian będzie opóźniał ucieczkę. Może się nawet okazać pomocny. Przynajmniej stanowi drugi cel. Jeśli Hieny mnie zaatakują lub rzucą się za mną w pogoń, może odciągnąć ode mnie uwagę.

Ostrożnie zamykamy za sobą drzwi do celi, dzięki czemu przytłumione krzyki strażnika i szuranie jego butów o podłogę stają się cichsze. Korytarz jest długi, wąski i jasno oświetlony: czworo zamkniętych, metalowych drzwi biegnie wzdłuż ściany po lewej, a na końcu znajdują się kolejne. Nie tego się spodziewałam. Zakładałam, że nasza cela przylega bezpośrednio do tuneli metra i zaraz po wyjściu przywitają nas wilgoć i mrok. Ale najwyraźniej znajdujemy się w jakimś podziemnym kompleksie.

Głosy, które słyszałam wcześniej, dobiegają zza zamkniętych drzwi po lewej. Wydaje mi się, że rozpoznaję niski, mrukliwy głos albinosa. Udaje mi się wyłowić jedynie kilka słów z tej rozmowy:

— ... czekanie... to był zły pomysł od samego początku.

Potem docierają do mnie strzępy odpowiedzi i inny męski głos. Przynajmniej wiem, gdzie jest albinos, choć nie mam pojęcia, gdzie może być wykolczykowana dziewczyna. Oznacza to, że co najmniej cztery Hieny były zamieszane w nasze porwanie. Najwyraźniej stają się coraz lepiej zorganizowani. Bardzo, bardzo niedobrze.

Idziemy dalej, a rozmowa staje się głośniejsza i wyraźniejsza. Hieny się kłócą.

— ... trzymać się początkowych ustaleń...

— Nic nie jestem winien... nikomu...

Serce podchodzi mi do gardła, strach zapiera dech w piersiach. W momencie gdy mamy przemknąć obok drzwi, ze środka dobiega głośny huk, podobny do wystrzału z broni palnej. Zamieram. Klamka się porusza. Myślę: to już koniec.

A potem drugi głos — ten, którego nie rozpoznaję — mówi głośno:

— No co ty, nie denerwuj się tak. Porozmawiajmy o tym na spokojnie.

— Mam już dość gadania. — To albinos: zatem cokolwiek stało się w środku, to nie był huk wystrzału.

Julian również znieruchomiał. Oboje instynktownie przyłgnęliśmy do ściany, chociaż niewiele by nam to pomogło, gdyby tamci wyszli na korytarz. Gdy nasze ręce się stykają, czuję delikatny meszek na jego przedramionach. Wydaje się przewodzić prąd, małe elektryczne impulsy, więc odsuwam się od niego nieznacznie.

Klamka znowu drży i albinos oznajmia:

— No dobra, mów. — Słyszę, że jego kroki cofają się w głąb pokoju i skurcz w mojej piersi ustępuje. Przywołuję Juliana gestem, a on w odpowiedzi kiwa głową. Widzę

jego zaciśnięte nerwowo pięści i knykcie wyglądające jak małe białe półksiężycy.

Wszystkie pozostałe drzwi w korytarzu są zamknięte. Nie słyszymy już żadnych głosów ani nie widzimy śladów innych Hien. Zastanawiam się, co się kryje za tymi drzwiami: może w środku przetrzymywani są więźniowie, może leżą na łóżkach polowych i czekają, aż ktoś zapłaci za nich okup albo Hieny skazą ich na śmierć. Na myśl o tym robi mi się niedobrze, a nie mogę się w ten sposób rozpraszać. Oto kolejna zasada z Głuszy: najpierw myśl o sobie.

To druga strona wolności: kiedy jesteś zupełnie wolny, jesteś też całkowicie zdany na siebie.

Dochodzimy do drzwi na końcu korytarza. Naciskam klamkę. Nic. Wtedy dostrzegam zamek cyfrowy zamontowany tuż nad klamką, taki sam, jaki miała Hana przy wejściu do posesji.

Drzwi otwierają się na kod.

Julian również musiał to zauważyć, ponieważ mruczy: „cholera”.

— Spokojnie, na pewno coś wymyślimy — odpowiadam szeptem, siląc się na spokój w głosie. Ale mój umysł spowija mroźna mgła i jak burza śnieżna, ścinając mi krew w żyłach, nadciąga myśl: jestem załatwiona. Jestem w pułapce, a kiedy mnie odnajdą, przyjdzie mi odpokutować za posiniaczonego i związanego strażnika. Już nie będą dla mnie tacy mili. Koniec z jedzeniem podawanym przez klapkę w drzwiach.

— I co teraz zrobimy? — pyta Julian.

— My? — spoglądam na niego przez ramię. Widzę zaschniętą krew na jego głowie i odwracam wzrok, żeby

nie wezbrało we mnie współczucie. — Teraz już tkwimy w tym razem?

— Musimy działać razem — odpowiada. — Musimy sobie pomagać, jeśli chcemy stąd uciec. — Ku mojemu zaskoczeniu kładzie mi ręce na łokciach i delikatnie, acz stanowczo odsuwa mnie z drogi. Zatem mówił poważnie, kiedy wspomniał o odłożeniu na bok dzielących nas różnic. A jeśli on tak potrafi, to i ja.

— Nie uda ci się otworzyć drzwi. Potrzebny jest kod. Julian przejeżdża palcami po klawiaturze. Robi krok

do tyłu i przygląda się uważnie drzwiom, a potem przesuwając dłoń po framudze, jak gdyby sprawdzał solidność konstrukcji.

— Mamy podobny zamek przy bramie wejściowej w naszym domu — oznajmia, wciąż nie przestając badać futryny i pęknięć w gipsie. — Nigdy nie pamiętam kodu. Tata zmieniał go zbyt wiele razy, bo ciągle po naszym domu kręciły się jakieś grupy robotników. Dlatego musieliśmy stworzyć na własny użytek system wskazówek, taki jakby kod do kodu w postaci małych znaków umieszczonych w bramie lub gdzieś w pobliżu, więc gdy tylko szyfr się zmienia, od razu o tym wiem.

Rozumiem już, do czego zmierza, i nagle w głowie świta mi pomysł.

— Zegar. — Wskazuję na ten wiszący nad drzwiami, na którym mała wskazówka zawisała tuż nad dziewiątką, a druga stała na trzeciej. — Dziewięć i trzy. — Ale sama nie jestem przekonana. — Tyle że to tylko dwie cyfry. Większość zamków szyfrowych ma cztery, prawda?

Julian wstukuje 9593, a potem próbuje otworzyć drzwi. Nic z tego. 3939 również nie działa.

— Cholera. — Uderza ze złością w klawiaturę.

— Okej, bez nerwów. — Biorę głęboki oddech. Nigdy nie byłam dobra w zgadywankach i łamigłówkach. — Zastanówmy się nad tym spokojnie.

W tej chwili głosy w głębi korytarza stają się donośniejsze. Drzwi, które mijaliśmy, uchylają się nieznacznie. Albinos mówi:

— Jakoś mnie nie przekonałeś. Uważam, że skoro oni nie płacą, to przestajemy się w to bawić...

— Julian. — Wyciągam rękę i łapię go za łokieć, zdjęta nagłym przerażeniem. Albinos już jest w drzwiach. Lada chwila nas zobaczy.

— Cholera — wzdycha znowu Julian. Przeskakuje z nogi na nogę, jak gdyby było mu zimno, ale wiem, że musi być tak samo wystraszony jak ja. A potem nagle nieruchomieje. — Dziewiąta piętnaście — oznajmia dokładnie w chwili, gdy drzwi otwierają się szerzej, a głosy wydostają się na korytarz.

— Co? — Ściskam mocniej nóż, zerkając to na Juliana, to na tamte drzwi.

— Nie „dziewięć trzy”, ale „dziewiąta piętnaście”. Zero, dziewięć, jeden, pięć. — Pochyliwszy się znowu nad klawiaturą, wystukuje cyfry, po czym rozlega się ciche brzęczenie i kliknięcie. Julian opiera się o drzwi, które otwierają się w momencie, gdy głosy za nami stają się do-nośniejsze i wyraźniejsze. Wślizgujemy się do następnego pomieszczenia dokładnie w chwili, gdy tamte drzwi otwierają się na oścież i Hieny wychodzą na korytarz.

Znajdujemy się w kolejnym pokoju — ten jest wielki, z wysokim sufitem, jasno oświetlony. Ściany wyłożone są półkami, a te tak ciasno zapchane różnymi przedmiotami,

że miejscami drzewo zaczęło się uginać pod ich ciężarem: są to paczki jedzenia, wielkie kanistry z wodą i koce, ale także noże i sztucce oraz mnóstwo splątanej biżuterii, skórzane buty i kurtki. Do tego pistolety, pałki policyjne oraz puszki z gazem pieprzowym, a oprócz tego rzeczy na pozór niepotrzebne: części radia porozrzucane po podłodze, stara drewniana szafa, taborety obite skórą, kufer pełen połamanych plastikowych zabawek. Na drugim końcu pokoju znajdują się następne pancerne drzwi, pomalowane na wiśniowy kolor.

— Chodź. — Julian łapie mnie mocno za łokieć i ciągnie w tamtą stronę.

— Nie. — Wyrrywam mu się. Nie wiemy, gdzie jesteśmy. Nie mamy pojęcia, jak długo potrwa nasza ucieczka. — Tutaj jest jedzenie. Broń. Musimy się zaopatrzyć.

Julian już ma coś powiedzieć, kiedy z korytarza dobiegają nas krzyki, a potem dudnienie kroków. Najwyraźniej strażnik wszczął alarm.

— Musimy się ukryć. — Chłopak ciągnie mnie w stronę szafy.

Wchodzimy do środka i zamykam za sobą drzwi. Śmierdzi tu mysimi odchodami i pleśnią, a do tego jest tak ciasno, że praktycznie muszę usiąść na Julianie. Kładę plecak na kolanach. Moje plecy przylegają do jego piersi, czuję, jak unosi się oddechem. Mimo wszystko cieszę się, że ze mną jest. Nie jestem pewna, czy samej udałoby mi się dotrzeć choćby do tego punktu.

Zamek brzęczy znowu i drzwi od magazynu z hukiem uderzają o ścianę. Wzdrygam się mimowolnie, a ręce Juliana odnajdują moje ramiona i chłopak uściskiem dodaje mi otuchy.

— Cholera jasna! — To chrapliwy głos albinosa. Z jego słów bije wściekłość i agresja. — Jak to się stało, do diabła? Jakim cudem...

— Nie mogli uciec za daleko. Nie znają kodu.

— No to gdzie, do cholery, są? To w końcu tylko dwójka smarkaczy.

— Może ukryli się w jednym z pokoi — mówi ten drugi, nie albinos.

Inny głos — tym razem kobiety, pewnie wykolczykowa-nej — włącza się do rozmowy.

— Briggs je sprawdza. Dziewczyna zaatakowała i związała Matta. Ma nóż.

— Cholera.

— Teraz już na pewno są w tunelu — dodaje tamta. — Matt musiał im podać kod.

— Powiedział, że dał?

— A myślisz, że by powiedział?

— Dobra, posłuchajcie. — Znowu albinos. Pewnie on tu jest szefem. — Ring, razem z Briggsem przetrząsniesz celę. My przeszukamy wejścia do tuneli. Ty, Nick, sprawdzisz wschodnią stronę. My z Donem pójdziemy na zachód. Powiedzcie Briggsowi i Forestowi, że północ jest ich, a ja znajdę kogoś, kto zajmie się południem.

Notuję w myślach imiona i liczę: a więc mamy do czynienia z co najmniej siedmiorgiem Hien. Nie spodziewałam się aż tylu.

— Chcę mieć tych gówniarzy z powrotem za godzinę — mówi albinos. — Nie stracę pieniędzy z takiego powodu, jasne? Nie dlatego, że ktoś nawalił tuż przed wypłatą.

Wypłata. Na peryferiach mojej świadomości majaczy jakaś myśl, ale gdy próbuję się na niej skupić, rozmywa

się we mgle. Jeśli nie chodzi o kwestię okupu, to jakiego rodzaju wypłaty spodziewali się nasi porywacze? Może zakładali, że Julian puści farbę, że zdradzi kody, które są im potrzebne, by dostać się do jego domu. Ale to by było trudniejsze i bardziej niebezpieczne od zwykłego włamania, a do tego Hieny działają zwykle w inny sposób. Oni nie planują. Oni palą, terroryzują i biorą.

I wciąż nie wiem, gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce.

Teraz słysząc, jak ktoś coś przekłada, rozlega się odgłos ładowanej broni i trzask mocowanych pasków. I właśnie w tym momencie strach wraca do mnie ze zdwojoną siłą. Uświadamiam sobie, że po drugiej stronie cienkich drzwi ze sklejki znajdują się trzy Hieny z arsenałem godnym armii. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz zemdleję. Tak tu ciasno i gorąco. Koszulkę mam całą mokrą od potu. Nigdy nie uda nam się stąd uciec. Nie mamy szans. To niemożliwe.

Zamykam oczy i przypomina mi się Alex, jak wtedy na motorze przyciskałam swoje ciało do jego i miałam dokładnie tę samą pewność.

Znowu słyszę albinosa:

— Spotkamy się tu za godzinę. A teraz idźcie szukać tych gówniarzy i macie mi ich przynieść podanych na tacy, rozumiano? — Kroki kierują się w stronę przeciwnego kąta. Zatem wiśniowe drzwi muszą prowadzić do tuneli. Słysząc, jak ktoś je otwiera, a potem zamyka. Wreszcie następuje cisza.

Julian i ja przez chwilę siedzimy nieruchomo. Gdy wreszcie ośmielam się poruszyć, chłopak mnie powstrzymuje.

— Zaczekaj — szepcze. — Jeszcze chwila, dla pewności.

Teraz, gdy głosy ucichły i nic mnie nie rozprasza, w za-
kłopotanie wprawia mnie świadomość ciepła jego skóry i
oddechu łaskoczącego mój kark. Wreszcie staje się to nie do
zniesienia.

— Wystarczy — stwierdzam. — Możemy już wyjść.
Wychodzimy z szafy ostrożnie, w razie gdyby gdzieś
w okolicy kręciły się inne Hieny.

— Co teraz? — pyta mnie Julian cicho. — Szukają nas w tu-
nelach.

— Musimy zaryzykować. To jedyna droga wyjścia. Julian
odwraca wzrok i nie dyskutuje dłużej.

— Pakujmy rzeczy — mówię.

Chłopak podchodzi do jednej z półek i zaczyna grzebać w
stercie ubrań. Rzuca mi podkoszulek.

— Masz. Powinien pasować.

Mnie samej udaje się znaleźć parę czystych džinsów,
sportowy stanik i białe skarpetki. Przebieram się szybko za szafą.
Mimo że wciąż jestem brudna i spocona, cudownie jest założyć
czyste ubranie. Julian znajduje również dla siebie parę džinsów.
Są na niego nieco za duże, więc zawiązuje je w pasie kablem
zamiast paska. Wpychamy do mojego plecaka batony muesli i
wodę, a także dwie latarki, kilka paczek orzechów i suszone
mięso. Natrafiam na półkę z apteczką i wkładam do plecaka
maść, bandażę i chusteczki antybakteryjne. Julian obserwuje
mnie bez słowa. Kiedy nasze oczy się spotykają, nie mam
pojęcia, co myśli.

Pod apteczką znajduje się półka, na której stoi tylko jedno
drewniane pudełko. Zaciekawiona przykucam i unoszę wieczko.
Oddech więźnie mi w gardle.

Dowody tożsamości. Pudełko wypełnione jest setkami dowodów, związanych gumką recepturką. Jest tam również stos identyfikatorów AWD, połyskujących w ciemności.

— Julian, spójrz na to.

Chłopak staje obok mnie i obserwuje bez słowa, jak przeglądam laminowane karty: mnóstwo twarzy, danych, mnóstwo tożsamości.

— Chodź — mówi po chwili. — Czas na nas. Wyciągam pospiesznie ze stosu kilka kart, starając się

wybierać dziewczyny, które wyglądają mniej więcej na mój wiek, po czym zwiążuję dowody gumką i wkładam do kieszeni. Biorę również identyfikatory AWD. Mogą się kiedyś przydać.

Wreszcie czas na broń. Są jej całe skrzynie: stare karabiny rzucone na kupę, pokryte kurzem, które wyglądają jak płatanina gęstych cierni, poręczne i dobrze naoliwione pistolety, ciężkie pałki i pudełka amunicji. Podaję Julianowi pistolet, sprawdziwszy wcześniej, czy jest naładowany, a do plecaka wrzucam pudełko nabojów.

— Nigdy wcześniej nie strzelałem z broni palnej — mówi Julian, trzymając go ostrożnie, jak gdyby się bał, że wybuchnie mu w ręce. — A ty?

— Kilka razy — odpowiadam. Chłopak przygryza wargę.

— Ty go weź — mówi, więc wsuwam broń do plecaka, chociaż wolałabym nie być tak obciążona.

Noże zaś są przydatne nie tylko do obrony. Wyszukuję nóż sprężynowy i wsuwam go pod pasek sportowego stanika. Julian bierze jeden dla siebie i wsadza go do kieszeni.

— Gotowa? — pyta mnie, gdy już zarzuciłam plecak na ramiona.

Właśnie wtedy niepokój mający do tej pory na peryferiach umysłu narasta i uderza we mnie z całą siłą. To wszystko bardzo mi się nie podoba. To jest zbyt dobrze zorganizowane. Za dużo tu pomieszczeń, za dużo broni, za duży porządek.

— Oni muszą mieć wsparcie — stwierdzam, gdy ta myśl wreszcie klaruje mi się w głowie. — Hieny nigdy nie zrobiłyby tego same.

— Kto? — pyta niecierpliwie Julian, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę drzwi.

Wiem, że musimy już iść, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Czuję mrowienie przechodzące przeze mnie od stóp aż po czubek głowy. Teraz inna myśl zarysowuje się w zakątkach umysłu, przelotna impresja, coś, co kiedyś musiałam ujrzeć i utkwilo mi w pamięci.

— Hieny — wyjaśniam. — Oni są nieleczeni.

— Odmieńcy — mówi Julian matowym głosem. — Tak jak ty.

— Nie. Nie jak ja, ani nie jak Odmieńcy. Oni są inni. — Zaciskam mocno powieki i krystalizuje się pod nimi ten obraz: przyciskam ostrze noża do szyi Hieny, tuż ponad bladymi sinymi śladami, które wyglądały jakoś znajomo...

— O mój Boże. — Otwieram oczy. Mam wrażenie, jak gdybym dostała pięścią w brzuch.

— Lena, musimy już iść. — Julian wyciąga do mnie rękę, ale się odsuwam.

— AWD. — Wypowiadam z trudem. — Ten facet... tamten strażnik, ten, którego związaliśmy... miał tatuaż z orłem i strzykawką. Z symbolem AWD.

Julian sztywnieje, jakby został porażony prądem.

— To musi być zbieg okoliczności.

Kręcę głową. Słowa i myśli kotłują się w mojej głowie niczym wirująca rzeka, a wszystko płynie w jedną stronę i wszystko zaczyna mieć sens: rozmowa o wyplacie, cały ten sprzęt, tatuaż, pudełko z identyfikatorami. Ten wielki kompleks, ochrona — to wszystko przecież kosztuje.

— Muszą z sobą współpracować. Nie wiem dlaczego ani po co, ani...

— Nie — stwierdza chłopak dobitnie. — Mylisz się.

— Julian... Przerywa mi.

— Mylisz się, rozumiesz? To niemożliwe.

Zmuszam się, by nie odwrócić od niego wzroku, chociaż w jego oczach czai się coś dziwnego, wzburzenie i poruszenie, od czego kręci mi się w głowie, jak gdybym stała na krawędzi klifu, niebezpiecznie blisko upadku.

I właśnie tak stoimy, zastygli w bezruchu, kiedy drzwi otwierają się z hukiem i do środka wpadają dwie Hieny.

Przez chwilę nikt się nie porusza, co daje mi czas na zarejestrowanie podstawowych faktów: jedno z nich to mężczyzna (w średnim wieku), drugie to dziewczyna (granatowoczarne włosy, wyższa ode mnie), oboje widzę po raz pierwszy. Być może strach wyostrza mi zmysły, bo zwracam też uwagę na przedziwne detale: osobliwy sposób, w jaki opada lewa powieka mężczyzny, jak gdyby ciągnęła ją grawitacja, i to, jak stoi dziewczyna, z otwartymi ustami, przez co widać jej wiśniowoczerwony język. Musiała coś ssać, stwierdzam — cukierek albo lizaka — i mój umysł biegnie do Grace.

A wtedy pokój ożywa na nowo, dziewczyna sięga po broń i nie ma czasu na myślenie.

Rzucam się na nią i wytrącam jej broń z ręki, zanim ma okazję ją we mnie wymierzyć. Stojący za mną Julian coś krzyczy. Rozlega się strzał. Nie mogę się obejrzeć, by sprawdzić, kto go oddał. Dziewczyna bierze zamach i uderza mnie w szczękę. Nigdy przedtem nie dostałam pięścią i szok ogłusza mnie chyba bardziej niż ból. W tym ułamku sekundy udaje jej się wyciągnąć nóż i następną rzeczą, którą widzę, jest ostrze lecące w moją stronę. Robię unik i z całej siły uderzam ją ramionami w brzuch.

Dziewczyna stęka. Siła uderzenia zwała nas obie z nóg i spadamy na pudełko starych butów, które zapada się pod naszym ciężarem. Jesteśmy zwarte w uścisku tak ciasnym, że w ustach czuję smak jej włosów i skóry. Najpierw na górze jestem ja, potem ona. Przewraca mnie na plecy i uderzam głową o beton. Czuję, jak wbija mi kolana w żebra, a jej uda ściskają mnie tak mocno, że w płucach brakuje mi powietrza. Dziewczyna wyrywa zza pasa następny nóż. Próbuję sięgnąć po broń na podłodze, jakakolwiek, ale ona zbyt mocno mnie przygniata, a moje palce natrafiają tylko na powietrze i beton.

Julian i mężczyzna walczą jak zapaśnicy, ze spuszczoneymi głowami, dysząc ciężko. Przewracają się i uderzają o niską drewnianą szafkę z garnkami i patelniami, która chwieje się, a potem ląduje na ziemi. Garnki toczą się po pokoju, rozlega się kakofonia brzęków i szczęku metalu. Dziewczyna ogląda się za siebie, a ja korzystam z tej chwili nieuwagi i uderzam ją pięścią w policzek. Nie mogłam jej w ten sposób wyrzucić wielkiej krzywdy, ale

udaje mi się zrzucić ją z siebie, podnieść się i przetoczyć na nią, wyrywając jej z ręki nóż. Nienawiść i lęk zalewają mnie gorącą, elektryczną falą i bez zastanowienia unoszę nóż i wbijam jej go mocno w pierś. Dziewczyną wstrząsa spazm, z jej ust wydobywa się krzyk, a potem nieruchomieje. W głowie powtarzam na okrągło: to twoja wina, to twoja wina, to twoja wina. Skądś dobiega mnie zniekształcony szloch i dopiero po pewnym czasie uświadamiam sobie, że to ja płaczę.

A potem wszystko zasnuwa ciemność — ból przychodzi w ułamku sekundy po niej — gdy mężczyzna uderza mnie pałą w skroń. Rozlega się potężny trzask. Przewracam się, wszystko się rozmywa i rozbija na pojedyncze obrazy: Julian leżący twarzą w dół obok przewróconej szafki, stary zegar stojący w kącie, którego nie zauważyłam wcześniej, pęknięcia w betonowej podłodze, rozciągające się jak sieć, która ma mnie omotać. A potem przez kilka sekund nic się nie dzieje. Nagła zmiana kadru: leżę na plecach, sufit nade mną wiruje. Umieram. Co dziwne, myślę teraz o Julianie. Nawiązał całkiem wyrównaną walkę.

Mężczyzna przygniata mnie całym ciężarem, czuję na twarzy jego gorący, ciężki i nieświeży oddech. Pod jego okiem biegnie długa, poszarpana rana — niezła robota, Julian — z której krew kapie na moją twarz. Czuję pod brodą ostrze noża i cała nieruchomieję.

Spogląda na mnie z taką nienawiścią, że nagle ogarnia mnie niesamowity spokój. Umrę. On mnie zabije. Ta pewność daje mi odprężenie. Zanurzam się w biały śnieg. Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić Aleksa w sposób, w jaki o nim śniłam, stojącego na końcu tunelu. Czekam, aż się pojawi, wyciągnie do mnie rękę.

Odpywam i przypywam, unoszę się nad ziemią, a potem znowu wracam na podłogę. Czuję w ustach mulisty smak.

— Nie dałaś mi wyboru — dyszy napastnik, a ja otwieram oczy. Wyczuwam w jego głosie nutkę czegoś, czego się nie spodziewałam, może żalu, a może przeprosin. Wraz z nią powraca nadzieja i zaraz potem przerażenie: błagam, błagam, błagam, pozwól mi żyć.

Jednak w tej samej chwili mężczyzna bierze głębszy oddech, jego ciało się napina, a nóż wbija mi się w skórę i wiem, że już po wszystkim...

Nagle wstrząsa nim spazm, nóż ze szczękiem wypada mu z dłoni, a oczy wywracają się białkami do góry: potworne, puste spojrzenie lalki. Jego ciało powoli opada na mnie i przygniata tak, że nie mogę złapać tchu. Nad nim stoi Julian, dysząc ciężko. Cały się trzęsie. Teraz widzę, że z pleców Hieny wystaje rękojeść noża.

Leży na mnie martwy człowiek. W mojej piersi narasta histeria, która natychmiast wybucha na zewnątrz, i zaczynam bełkotać:

— Zabierz go ze mnie. Zabierz go ze mnie! Julian w oszołomieniu kręci głową.

— Ja... ja nie chciałem.

— Na litość boską, Julian. Zabierz go ze mnie! Musimy uciekać!

Chłopak wzdryga się, mruga oczami i skupia spojrzenie na mnie. Dłużej nie zniosę tego ciężaru.

— Julian, błagam!

Wreszcie Julian otrząsa się z szoku. Pochyla się i dźwiga martwe ciało, a ja zrywam się na nogi. Czuję, jak serce mi wali, a skóra mrowi. Nagle rozpaczliwie pragnę się

wykapać, zmyć z siebie całą tę śmierć. Obie martwe Hieny leżą tak blisko siebie, że prawie się dotykają, a plama krwi między nimi rozprzestrzenia się po podłodze jak motyl. Niedobrze mi.

— Nie chciałem, Lena. Ja tylko... zobaczyłem, że na tobie leży, chwyciłem nóż i po prostu... — Kręci głową. — To był wypadek.

— Julian. — Kładę mu ręce na ramionach. — Spójrz. Uratowałeś mi życie.

Chłopak na chwilę zamyka oczy, a potem z powrotem je otwiera.

— Uratowałeś mi życie — powtarzam. — Dziękuję. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć. Ale tylko kiwa

głową i zakłada mój plecak. Pod wpływem impulsu wyciągam rękę i ściskam jego dłoń. Nie odtrąca jej, to dobrze. Potrzebuję jego wsparcia. Potrzebuję jego pomocy, by się utrzymać na nogach.

— Pora uciekać — mówię i wreszcie chwiejnym krokiem zanurzamy się w rozbrzmiewającą echem zimną stęchlizną starych tuneli, w ciemność i mrok.

WTEDY

W trakcie wędrówki do drugiego obozowiska temperatura drastycznie się obniża. Nawet gdy śpię w namiocie, zamarzam. Kiedy nadchodzi moja kolej, by nocować na zewnątrz, często budzę się z kawałkami lodu we włosach. Sara jest spokojna, cicha i blada.

Blue dopada choroba. Pierwszego dnia budzi się ospała. Ma problem z dotrzymaniem nam kroku i po całym dniu wędrówki zasypia jeszcze przed rozpaleniem ogniska, skulona na ziemi jak zwierzątko. Raven zanoszą ją do swojego namiotu. Tej nocy budzą mnie przytłumione krzyki. Zrywam się, przestraszona. Nocne niebo jest czyste, a migoczące na nim gwiazdy wyglądają jak małe diamenciki. Powietrze pachnie śniegiem.

Z namiotu Raven dobiega szelest, jakieś jęki, a potem kojący szept. Blue ma koszmary.

Następnego dnia mała budzi się z gorączką. Nie ma wyboru: i tak musi iść. Wkrótce zacznie padać śnieg, a nam

wciąż zostało ponad czterdzieści kilometrów do drugiego obozu i o wiele więcej do zimowego azylu.

Blue płacze podczas marszu, coraz częściej potyka się i zatacza. Zaczynamy ją nieść na zmianę — ja, Raven, Hunter, Lu i Dziadek. Mała jest rozpalona. Ramiona, którymi oplata moją szyję, są jak pulsujące żarem elektryczne druciki.

Następnego dnia docieramy do drugiego obozowiska. Jest to gruzowisko usytuowane pod starym, do połowy zburzonym ceglany murem, który tworzy rodzaj bariery i częściowo chroni nas przed wiatrem. Zabieramy się do odkopywania zapasów, zakładania pułapek i przeszukiwania terenu — który musiał być kiedyś porządnej wielkości miastem — z nadzieją, że znajdziemy puszki z jedzeniem i inne przydatne rzeczy. Mamy tu zostać dwa dni, może trzy, w zależności od tego, jak owocne okażą się poszukiwania. Ponad pohukiwaniem sów i chrobotem nocnych zwierząt słyszymy odległy huk przejeżdżających ciężarówek. Jesteśmy kilkanaście kilometrów od międzymiastowej autostrady.

Dziwnie pomyśleć, jak blisko stąd do miejsc objętych rządową jurysdykcją, do normalnych miast pełnych jedzenia, ubrań, lekarstw. A mimo to równie dobrze mógłby to być inny wszechświat. Świat jest teraz rozwidlony, rozchodzi się równiutko na pół jak dach namiotu: mieszkańcy miast i Odmieńcy żyją na innych płaszczyznach, w innych wymiarach.

Nocne lęki Blue są coraz gorsze, jej krzyki przesywające. Mamrocze coś bez sensu bełkotliwym językiem snów. Kiedy nadchodzi pora, by ruszyć w stronę trzeciego obozowiska, mała niemal przestaje reagować. Dzień jest ponury,

od rana grube chmury zasnuwają gęsto niebo, a światło przyćmiewa ciemna szarość nadciągającego śniegu. Tego dnia dziewczynkę niesie Raven. Nie pozwala nikomu innemu się odciążyć, chociaż ona także jest słaba i często zostaje w tyle.

Maszerujemy w ciszy. Strach jest ciężki, przytłaczający, mamy wrażenie, jakbyśmy już brnęli przez śnieg — ponieważ wszyscy wiemy, że Blue umrze. I Raven też to wie. Na pewno.

Wieczorem Raven rozpala ognisko i kładzie przy nim Blue. Mimo że skóra małej jest rozpalona, dziewczynka trzęsie się z zimna i szczęka zębami. Reszta z nas chodzi wokół ogniska na palcach. Wyglądamy jak cienie spowite dymem. Zasypiam na zewnątrz, obok Raven, która cały czas czuwa i dokłada drew do ognia, by małej nie było zimno.

W środku nocy budzi mnie przytłumiony szloch. Otwieram oczy i widzę Raven, która klęczy pochylona nad Blue. Zdjęta przerażeniem czuję nagły skurcz żołądka. Nigdy przedtem nie widziałam Raven płaczącej. Boję się odezwać, odetchnąć, poruszyć. Wiem, że myśli, iż wszyscy śpią. W przeciwnym razie nigdy nie pozwoliłaby sobie na łzy.

Tyle że nie mogę też siedzieć w ciszy. Zaczynam się głośno wiercić w śpiworze i łkanie ustaje. Podnoszę się.

— Czy ona...? — pytam szeptem. Nie potrafię dokończyć: nie żyje.

Raven kręci głową.

— Coraz gorzej oddycha — mówi.

— Ale przynajmniej oddycha. — Zapada między nami długa chwila ciszy. Tak bardzo chciałabym pomóc. Wiem,

że jeśli stracimy Blue, stracimy także część Raven. A potrzebujemy jej, zwłaszcza teraz, kiedy Tack zaginał. — Wyzdrowieje — dodaje, żeby ją pocieszyć. — Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Raven odwraca się w moją stronę, a w jej oczach odbija się ogień, przez co błyszczą jak u zwierzęcia.

— Nie — odpowiada. — Nie wyzdrowieje.

W jej głosie jest taka pewność, że nie potrafię zaprzeczyć. Na chwilę znów zapada cisza. A potem Raven pyta:

— Wiesz, dlaczego nazwałam ją Blue?

— Myślałam, że to od koloru jej oczu — odpowiadam zaskoczona jej pytaniem.

Raven odwraca się z powrotem w stronę ogniska i obejmuje rękami kolana.

— Mieszkałam w Yarmouth, blisko granicy. To była biedna dzielnica. Nikt przecież nie chciał mieszkać blisko Głuszy. Pewnie pamiętasz, jak mówiono, że to przynosi nieszczęście.

Czuję nagły dreszcz i cała zamieniam się w słuch. Raven nigdy nie opowiadała o swoim życiu sprzed Głuszy. Zawsze powtarzała, że nie ma czegoś takiego. Nie ma „sprzed”.

— Niczym się nie różniłam od swoich rówieśników. Po prostu wierzyłam w to, co mi mówiono, i zbytnio się nad tym nie zastanawiałam. Tylko wyleczeni idą do nieba. Patrole są dla mojej ochrony. Nieleczeni są brudni, zmieniają się w zwierzęta. Choroba pożera cię od środka. Stabilność jest wyznacznikiem pobożności i szczęścia. — Wzrusza ramionami, jak gdyby chciała z siebie strząsnąć wspomnienie tego, kim była. — Tyle że nie byłam szczęśliwa. Nie rozumiałam dlaczego. Nie rozumiałam, dlaczego nie mogę być taka jak wszyscy.

Przychodzi mi na myśl Hana, która stała w swoim pokoju z wyciągniętymi ramionami, jak gdyby próbowała go objąć, i pytała: „Właśnie tak ci się wydaje? Że niczego mi w życiu nie brakuje?”.

— Latem, kiedy skończyłam czternaście lat, niedaleko granicy zaczęli nową budowę. Miały to być domy dla najbiedniejszych rodzin w Yarmouth: tych źle sparowanych albo o reputacji zrujnowanej przez odstępstwo, albo nawet plotki o nim. Zresztą nie muszę ci mówić, jak to było. Zaczęłam spędzać czas na zabawie na placu budowy, tak jak inne dzieci. Oczywiście dbaliśmy o to, by bawić się osobno, chłopcy i dziewczyny. Oddzielała nas granica, którą sami wytyczyliśmy: wszystko na wschód od linii było nasze, a to na zachód ich. — Śmieje się do siebie. — Teraz wydaje się to jak z zupełnie innej bajki. Ale wtedy było najnormalniejszą rzeczą na świecie.

— Nie było z czym tego porównać — wtrącam, a Raven spogląda na mnie i kiwa głową.

— Pewnego dnia zaczęło padać i padało przez tydzień. Budowę chwilowo wstrzymano i plac był pusty. Ale mnie deszcz nie odstraszał. Nie lubiłam siedzieć w domu. Mój tata... — Jej głos się rwie. — Po zabiegu nie wszystko było z nim w porządku. Remedium nie zadziało jak trzeba. Nastąpiły zakłócenia w funkcjonowaniu płatów skroniowych, które odpowiadają za regulację nastrojów. Tak to nazwali. Na ogół był w porządku, jak wszyscy inni. Ale czasami wpadał w furię... — Przez chwilę Raven w ciszy wpatruje się w ogień. — Mama pomagała mi zakryć siniaki i zatuszować je makijażem. Nie mogłyśmy nikomu o tym powiedzieć. Nie chcieliśmy, by wiedziano, że zabieg u mojego taty się nie powiódł. Słyszając takie historie,

ludzie wpadali w panikę. Tata mógł zostać zwolniony z pracy. Mama mówiła, że sąsiedzi zatruliby nam życie. Więc ukrywałyśmy to. Długie rękawy latem. Częste zwolnienia chorobowe. Do tego ciągle kłamstwa: przewróciłam się, uderzyłam w głowę, wpadłam na framugę.

Nigdy nie wyobrażałam sobie Raven młodszej niż teraz. Ale w tym momencie staje mi przed oczami szczupła, ale silna osoba o tych samych zaciętych ustach, która pokrywa korektorem siniaki na rękach, ramionach i twarzy.

— Przykro mi — mówię, ale słowa te wydają się banalne i puste.

Raven chrząka i prostuje plecy.

— To teraz bez znaczenia — odpowiada. Łamie długą, cienką gałązkę na kilka części i wrzuca je, kawałek po kawałku, do ognia. Kiedy zaczynam się zastanawiać, czy zapomniała już o początkowym wątku rozmowy: o imieniu Blue, Raven znowu się odzywa.

— Tamten tydzień, kiedy tak strasznie padało, był jednym z gorszych okresów taty, więc dużo czasu spędzałam na budowie. Pewnego dnia kręciłam się wokół jednego z fundamentów. Były tam same pustaki i dziury. Właściwie żadnego budynku jeszcze nie ukończono. A wtedy zobaczyłam to pudełko. Pudełko po butach. — Wciąga do płuc powietrze i nawet w ciemności wyczuwam jej napięcie.

Reszta opowieści płynie niepohamowanym strumieniem:

— Ktoś wetknął je w lukę pod fragmentem fundamentu, tyle że deszcze były tak intensywne, że z ziemi zrobiło się błoto, które spłynęło niżej i przeniosło pudełko na odsłonięty teren. Sama nie wiem, dlaczego zajrzałam do

środku. Było całe ubłocone. Pewnie myślałam, że znajdę w nim buty, a może biżuterię.

Teraz już domyślam się, co będzie dalej. Podchodzę do zabłoconego pudełka razem z nią i podnoszę przemoknięte wieczko. Groza i obrzydzenie wzbierają we mnie, czarne i dławiące niczym błoto.

Raven kontynuuje szeptem:

— Była owinięta w kocyk. W niebieski kocyk z żółtymi owieczkami. Nie oddychała. Myślałam... myślałam, że nie żyje. Była... była cała sina, prawie niebieska: jej skóra, paznokcie, usta i palce. Miała takie małe paluszki...

Czuję, jakby to błoto podeszło mi do gardła. Nie mogę oddychać.

— Nie wiem, dlaczego postanowiłam ją reanimować. To było wbrew zdrowemu rozsądkowi. Pracowałam tamtego lata jako ratownik i miałam certyfikat z resuscytacji, ale nigdy nie musiałam nikomu tak naprawdę ratować życia. A do tego ona była taka malutka... miała może tydzień albo dwa. Jednak udało się. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy zaczerpnęła oddechu i jej twarz nagle nabrała kolorów. Czułam, jakby cały świat otworzył się przede mną. I wszystko, czego w nim brakowało: wszystkie emocje i barwy, wszystko to przyszło do mnie wraz z jej pierwszym oddechem. Nazwałam ją Blue, Niebieska, żebym na zawsze zapamiętała ten moment i nigdy nie żałowała tego, co zrobiłam.

Nagle milknie, wyciąga rękę i poprawia śpiwór małej. W czerwonym blasku bijącym od ogniska widzę, że Blue jest blada. Czoło ma zroszone kropelkami potu, a oddech powolny, chrapliwy. Przepętnia mnie ślepa, wszechogarniająca furia, nieskierowana na nic konkretnego.

Po chwili Raven mówi dalej.

— Nawet nie wróciłam do domu. Po prostu zabrałam ją i uciekłam. Wiedziałam, że w Yarmouth nie będę mogła jej zatrzymać. Nie da się zachować w tajemnicy czegoś takiego. Już i tak trudno było ukryć siniaki. I wiedziałam, że musiała być nielegalna, pewnie była dzieckiem niespa-rowanej dziewczyny i niesparowanego chłopaka. Dziecko delirii. Wiesz, co się mówi o dzieciach delirii. Są skażone. Wyrastają na kaleki, zwichnięte fizycznie i umysłowo. Pewnie odebrano by mi ją i zabito. Nawet by jej nie pochowano, z lęku, że choroba może się rozprzestrzenić. Spalono by ją, a potem pewnie skończyłaby na śmietniku. — Raven bierze następną gałązkę i wrzuca ją do ognia, a jego gorący, biały język sięga po nią zachłannie. — Słyszałam wcześniej plotki o tym, że część ogrodzenia jest nieobwa-rowana. Chodziły słuchy o Odmieńcach, którzy nawiedzają miasto, by żywić się ludzkimi mózgami. Wiesz, jakie bzdury opowiadają sobie dzieci. Sama nie wiem, czy dalej w to wierzyłam, czy już nie. Ale postanowiłam spróbować. Wieki zajęło mi obmyślenie, jak przejść przez ogrodzenie z Blue, aż wreszcie po prostu przywiązałam koc do piersi. Do tego deszcz mi dopomógł. Strażnicy i porządkowi siedzieli w budkach. Przeszłam bez żadnych problemów. Nie wiedziałam, dokąd idę ani co zrobię, gdy już przekroczę granicę. Nie pożegnałam się ani z mamą, ani z tatą. Po prostu pobiegłam przed siebie. — Spogląda na mnie kątem oka. — Ale to wystarczyło. I chyba na ten temat też coś wiesz.

— Tak — odpowiadam ochryłym głosem. W gardle czuję pulsujący, rwący ból. W każdej chwili mogę się rozpłakać. Więc wbijam paznokcie, najmocniej jak potrafię,

w uda, jakbym chciała rozedrzeć skórę przez materiał spodni.

Blue mruczy coś niezrozumiałego i rzuca się przez sen. Z każdą chwilą jej oddech staje się coraz bardziej chrapliwy i rzeźący, pobrzmiewają w nim wilgotne echa flegmy. Raven pochyla się nad nią i odgarnia z jej czoła mokre od potu włosy.

— Ma coraz większą gorączkę — mówi.

— Przyniosę jej wody.

Rozpaczliwie pragnę coś zrobić — cokolwiek — by jej pomóc.

— To już niczego nie zmieni — odpowiada cicho Raven. Ale i tak muszę się ruszyć, więc w ciemności kieruję się

w stronę strumienia, pokrytego cienką warstwą lodu i pajęczyną pęknięć. Okrągły księżyc wysoko na niebie odbija się w srebrnej powierzchni i płynącej pod nią ciemnej wodzie. Przebijam lód dnem blaszanego wiadra i z mojej piersi wydobywa się cichy jęk, gdy zimna woda wpływa po moich palcach do środka.

Raven i ja nie śpimy całą noc. Na zmianę przykładamy zimny ręcznik do czoła Blue, aż jej oddech się uspokaja, a jego chrapliwość łagodnieje. Wreszcie mała przestaje się wiercić, leży już cicho i spokojnie. Zmieniamy okłady aż do brzasku, płynnej i bladej jutrzeńki, chociaż wtedy minęło już wiele godzin, od kiedy Blue wydała ostatnie tchnienie.

TERAZ

Razem z Julianem przedzieramy się przez duszną ciemność. Idziemy powoli, ostrożnie, choć oboje nie pragniemy niczego innego, jak po prostu wziąć nogi za pas i uciekać. Ale nie możemy robić hałasu ani włączyć latarki, to zbyt duże ryzyko. Mimo że podziemie musi tworzyć rozległą sieć tuneli, czuję się jak szczur w klatce. Nogi mam jak z waty. W ciemności co chwila rozlega się furkotanie, przed oczami przelatują mi wirujące kształty i muszę się przytrzymywać lewą ręką śliskiej, wilgotnej ściany tunelu, po której przemykają insekty.

Do tego szczury: co rusz przecinają nam drogę, z zakamarków dochodzi nas dzwonięcie ich ostrych zębów i chrobot pazurów o kamień.

Sama nie wiem, jak długo wędrujemy. Trudno to stwierdzić, kiedy zmysły nie doświadczają żadnej zmiany w otoczeniu, kiedy nie wiadomo, czy maszerujemy na wschód czy na zachód, czy też krążymy w kółko. Co

jakiś czas idziemy wzdłuż starych torów. To pewnie dawne tunele metra. Choć jestem wyczerpana, a nerwy mam w strzępach, nie mogę się nadziwić, że ktoś wpadł na pomysł stworzenia tych krętych, labiryntowych przestrzeni, po których w ciemności mknęły maszyny pełne ludzi.

Gdzieś tam tunelami płynie woda — czasem tylko cienka strużka, a czasem sięgająca kolan cuchnąca, brudna ciecz, pewnie cofka z kanału ściekowego. To by oznaczało, że musimy być blisko miasta.

Każdy mój krok jest coraz bardziej chwiejny. Od wielu dni nie jadłam niczego treściwego, a szyja, w miejscu gdzie zostałam zraniona przez Hienę, pulsuje bólem. Coraz częściej Julian podtrzymuje mnie, bym nie upadła. Wreszcie kładzie mi rękę na plecach i kieruje mnie do przodu. Jak to dobrze, że ze mną jest. Dzięki niemu męka wędrówki, ciszy i nerwowego nasłuchiwania Hien wśród echa i odgłosów kapiącej wody staje się łatwiejsza do zniesienia.

Maszerujemy bez przerwy przez wiele godzin. Wreszcie ciemność blednie. A potem widzę snop światła, długi srebrny strumień sączący się z góry. W suficie znajduje się pięć otworów zakrytych kratami. Ponad naszymi głowami, po raz pierwszy od wielu dni, widzę niebo: nocne, usiane gwiazdami, a na nim chmury. Mimowolnie z mojej piersi wydobywa się krzyk. Mam wrażenie, że nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego.

— Kraty — odzywam się. — Czy da się...?

Julian rusza przodem i wreszcie ośmiela się zapalić latarkę. Kieruje promień do góry, a potem kręci głową.

— Przytwierdzone od tamtej strony — oznajmia. Staje na palcach i stara się popchnąć kratę. — Nie da się jej ruszyć.

Gorycz rozczarowania pali mnie w gardle. Jesteśmy tak blisko wolności. Czuję ją — czuję wiatr i przestrzeń, i jeszcze coś. Deszcz. Niedawno musiało padać. Zapach deszczu sprawia, że łzy napływają mi do oczu. Widzę, że wyszliśmy na jakiś wysoki peron. Tory biegnące poniżej pokryte są kałużami i spadłymi przez kraty liśćmi. Po lewej stronie znajduje się wnęka wypełniona drewnianymi skrzyniami, na ścianie zaś wisi dobrze zachowany napis: UWAGA. STREFA BUDOWY. OBOWIĄZEK ZAKŁADANIA KASKU.

Nie jestem już w stanie dłużej ustać na nogach. Wyswobodziwszy się z uścisku Juliana, opadam ciężko na ziemię.

— Hej. — Przykłęka obok mnie. — Nic ci nie jest?

— Jestem tylko zmęczona. — Zwijam się w kłębek, kładąc głowę na ramieniu. Coraz trudniej mi utrzymać otwarte oczy. Kiedy unoszę powieki, widzę nad głową gwiazdy rozmazane w jedną wielką plamę światła, a potem znowu rozbijające się na części.

— Prześpij się — mówi Julian. Kładzie na ziemi mój plecak i siada obok mnie.

— A jeśli przyjdą Hieny?

— Ja będę czuwał i nasłuchiwał. — Po chwili kładzie się na plecach. Z góry, przez kraty, wieje wiatr, przyprawiając mnie o mimowolny dreszcz.

— Zimno ci? — pyta Julian.

— Trochę. — Z trudem wypowiadam słowa przez zziębnięte gardło.

Następuje chwila ciszy, po której Julian obraca się na bok, otacza mnie ramieniem i przysuwa się blisko mnie, a ja zwijam się w kłębek w zagłębieniu jego ciała. Czuję na plecach, jak jego serce bije dziwnym, urywanym rytmem.

- Nie boisz się, że złapiesz delirię? - pytam.

- Boję się - odpowiada. - Ale też mi zimno.

Po chwili bicie jego serca staje się bardziej regularne, a moje zwalnia, by dopasować się do jego.

- Lena? - szepcze Julian. Zamykam oczy. Księżyc świeci teraz wysoko nad naszymi głowami, przez kraty wpada do środka jego biały promień.

-Tak?

Czuję, jak jego serce zaczyna znowu żywiej bić.

- Chcesz wiedzieć, jak umarł mój brat?

- Mhm - odpowiadam, choć coś w jego głosie każe mi się bać tego, co usłyszę.

- On i tata nigdy się dobrze nie dogadywali - zaczyna. - Mój brat był uparty. Nieustępliwy. A do tego wybuchowy. Każdy mówił, że poprawi mu się po zabiegu. -Chwila ciszy. - Ale z wiekiem było tylko coraz gorzej. Rodzice zaczęli nawet mówić o przyspieszeniu daty zabiegu. To robiło złe wrażenie, wiesz, na AWD, i nie tylko. Był narwany, nie słuchał ojca, nie jestem nawet pewien, czy wierzył w remedium. Był ode mnie starszy o sześć lat. I... i bałem się go. Wiesz, o czym mówię?

Nie potrafię wydobyć z siebie słowa, więc tylko kiwam głową. Zalewają mnie wspomnienia, wypływają z ciemnych zakamarków, gdzie je uwięziłam: pamiętam ten ciągły niepokój, brzęczący gdzieś w tyle głowy, który odczuwałam jako dziecko, widząc, jak moja mama się śmieje, śpiewa, tańczy do jakiejś dziwnej muzyki dudniącej z głośników; pamiętam radość pomieszana ze strachem - strachem o Hanę, o Aleksa, strachem o nas wszystkich.

- Siedem lat temu mieliśmy w Nowym Jorku inny wielki zjazd. Właśnie w tamtym czasie AWD stawała się

organizacją ogólnokrajową. To było pierwsze spotkanie, w jakim brałem udział. Miałem wtedy jedenaście lat. Mój brat się z niego wymigał, wymyślił jakąś wymówkę, nie pamiętam już jaką.

Julian porusza się niespokojnie. Przez chwilę jego ramiona bezwiednie obejmują mnie ciaśniej, a potem chłopak znowu rozluźnia uścisk. Domyślam się, że nikomu wcześniej nie opowiadał tej historii.

— Zjazd zakończył się katastrofą. Protestanci, w tym wielu zamaskowanych, wdarli się szturmem do ratusza, gdzie odbywało się spotkanie. Rozpętała się walka, do budynku wpadła policja i nagle całe zajście zamieniło się w zwykłą jatkę. Skryłem się za podium, jak małe dziecko, choć potem było mi strasznie wstyd. Jeden z protestantów podszedł niebezpiecznie blisko sceny, blisko mojego taty. Krzyczał do niego coś, ale nie byłem w stanie dosłyszeć co. Było głośno, a on miał na głowie kominiarkę. Wtedy strażnik powalił go pałką. Co dziwne, tamten dźwięk usłyszałem wyraźnie. Pamiętam ten trzask drewna o jego kolano, łoskot, gdy upadł na podłogę. I właśnie wtedy tata to zauważył: na grzbiecie lewej dłoni napastnika widniało znamię w kształcie wielkiego półksiężyca. Dokładnie takie, jakie miał mój brat. Tata zeskoczył ze sceny, zdarł kominiarkę i... to był on. Na ziemi, z roztrzaskanym kolanem, wijąc się z bólu, leżał mój brat. Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie rzucił ojcu. Zupełnie spokojne, zrezygnowane, jak... jak gdyby wiedział, co się zaraz stanie. Wreszcie udało nam się stamtąd wydostać i policja eskortowała nas do domu. Brat leżał z tyłu furgonetki i jęczał. Chciałem go zapytać, jak się czuje, ale wiedziałem, że tata by mnie zabił. Przez całą drogę

do domu nie odezwał się ani słowem i nie oderwał oczu od drogi. Nie wiem, co czuła mama. Może niezbyt wiele. Ale przypuszczam, że martwiła ją ta sytuacja. *Księga SZZ* mówi, że zobowiązania wobec dzieci są święte, prawda? „A dobra matka skończy spełnianie swoich powinności w niebie...” — cytuje Julian cichym głosem. — Mówiła, żeby wezwać doktora, ale tata nie chciał o tym słyszeć. Kolano brata wyglądało fatalnie: nabrzmiałe, spuchnięte do wielkości piłki. Cały był zlany potem, zwijał się z bólu. Chciałem mu pomóc. Chciałem... — Ciałem Juliana wstrząsa dreszcz. — Gdy wróciliśmy do domu, tata zamknął go w piwnicy, na klucz. Zamierzał zostawić go tam na cały dzień, w ciemności. To miała być dla niego nauczka.

Przed oczami staje mi Thomas Fineman: jego nieskazitelnie wyprasowane ubranie i złote spinki do mankietów, które muszą być dla niego powodem do dumy, błyszczący zegarek i równo przycięte włosy. Zadbany, zawsze z siebie zadowolony. Człowiek, któremu nic nie spędza snu z powiek. Nienawidzę cię — mówię w myślach, przez wzgląd na Juliana. On sam nigdy nie poznał tych słów, nie wie, jaką przynoszą ulgę.

— Słyszeliśmy dochodzące zza drzwi krzyki mojego brata. Słyszeliśmy je nawet w jadalni przy kolacji. Ale tata nie pozwolił nam wstać od stołu. Nigdy mu tego nie wybaczę. — Ostatnie zdanie wypowiada szeptem. Odnajduję jego rękę, splatam swoje palce z jego i zaciskam dłoń. Julian odwzajemnia ten gest.

Przez chwilę leżymy w ciszy. Nagle z góry dobiega nas delikatny szum, a potem dźwięk rozdziela się i przemienia w tysiące kropel uderzających o chodnik. Woda spływa

przez kraty, bębni o drewniane paczki i dzwoni o metalowe szyny.

— A potem krzyki umilkły — mówi Julian i przypominam sobie dzień, kiedy na zmianę z Raven przecierałyśmy czoło Blue: słońce wznoszące się nad drzewami, długo po tym jak poczułyśmy, że ciało małej stygnie.

— Powiedzieli nam potem, że to był bardzo rzadki wypadek. Okazało się, że zakrzep z rany powędrował do mózgu. Możliwość jedna na milion. Tata nie mógł tego przewidzieć. Ale mimo to... — Chwila ciszy. — Od tamtej pory zawsze byłem bardzo ostrożny. Robiłem wszystko, czego ode mnie oczekiwano. Byłem idealnym synem, wzorem dla AWD. Nawet kiedy się dowiedziałem, że zabieg może mnie zabić. To było coś więcej niż strach — wyjaśnia pospiesznie. — Myślałem, że jeśli będę przestrzegał zasad, wszystko się ułoży. O to chodzi w remedium, prawda? Tu wcale nie chodzi o delirium, ale o porządek. To ścieżka dla każdego. Wystarczy nią podążać, a wszystko się ułoży. Taka idea przyświeca AWD. I w to właśnie wierzyłem. Musiałem w to wierzyć. W przeciwnym razie byłby tylko... chaos.

— Tęsknisz za nim?

Julian nie odpowiada od razu i domyślam się, że nikt wcześniej go o to nie pytał.

— Tak mi się wydaje — odpowiada wreszcie cichym głosem. — Tęskniłem przez długi czas. Mama... mama powiedziała mi, że po zabiegu będzie lepiej. Powiedziała, że nie będę już więcej myślał o nim w ten sposób.

— Tyle że to jest jeszcze gorsze — mówię delikatnie. — To wtedy odchodzą tak naprawdę.

Odliczam trzy długie chwile ciszy. Odmierzam je biciem serca Juliana, który przytula się do moich pleców.

Nie jest mi już zimno. Jeśli już, to jest mi raczej zbyt gorąco. Nasze ciała są tak blisko... skóra przylega do skóry, palce są splecione. Jego oddech łaskocze mnie w szyję.

— Już nie wiem, co się dzieje — szepcze Julian. — Niczego nie rozumiem. Nie wiem, co będzie dalej.

— Nie musisz wiedzieć — odpowiadam i szczerze w to wierzę. Tunele mogą być długie, kręte i ciemne, ale trzeba się w nie zagłębić.

Znowu następuje chwila ciszy, którą przerywa Julian:

— Boję się.

Słowa te są cichsze niż szept. Ale czuję ruch jego ust na swojej szyi, jak gdyby to na niej napisał.

— Wiem — odpowiadam. — Ja też.

Nie mam już siły dłużej walczyć z ogarniającą mnie sennością. Jestem niesiona w przeszłość i z powrotem, przez czas i przestrzeń, między tym deszczem a poprzednimi, jak gdybym dryfowała na fali. Julian otula mnie ramieniem, a potem na jego miejscu pojawia się Alex. Za chwilę Raven trzyma moją głowę na kolanach, a potem mama nuci mi piosenkę.

— Z tobą mniej się boję — wyznaje mi Julian. A może mówi to Alex, a może tylko przyśniły mi się te słowa. Otwieram usta, by mu coś odpowiedzieć, ale okazuje się, że nie jestem w stanie. Piję wodę, a potem pływam, a potem nie ma nic, tylko sen, płynność i głębia.

WTEDY

Chowamy Blue przy rzece. Zajmuje nam całe godziny przebicie się przez zamarzną ziemię i zrobienie w niej na tyle dużej dziury, by Blue się tam zmieściła. Muszę zdjąć z niej kurtkę, zanim ją pogrzebiemy — nie możemy sobie bowiem pozwolić na taką stratę. Gdy opuszczamy Blue do ziemi, wydaje się taka lekka, delikatna i krucha, jak mała ptaszyna.

W ostatniej chwili, kiedy już mamy zasypać ją ziemią, Raven, ogarnięta histerią, przepycha się do przodu.

— Będzie jej zimno — mówi. — Zamarznie bez kurtki. Nikt jej nie powstrzyma. Raven zsuwa się do dołu

i ściąga z siebie sweter, po czym bierze Blue w ramiona i owija ją nim. Zaczyna płakać. Większość z nas odwraca się, zawstydzona. Tylko Lu podchodzi nad krawędź grobu.

— Będzie jej tu dobrze, Raven — mówi delikatnie. — Śnieg ją otuli.

Raven podnosi wzrok. Twarz ma dziką, moką od łez. Przebiega po nas wzrokiem, jak gdyby próbowała sobie przypomnieć, kim jesteśmy. A potem nagle podrywa się na nogi i wspina na górę. Bram podchodzi do grobu i zaczyna zasypywać ciało Blue, ale Raven go powstrzymuje.

— Zostaw ją — mówi. Jej głos jest donośny i nienaturalnie wysoki. — Lu ma rację. Za chwilę spadnie śnieg.

I rzeczywiście: gdy pakujemy obóz, zaczyna śnieżyć. Pada przez cały dzień, gdy maszerujemy cicho przez las długą, nierówną kolumną. Zimno nie odpuszcza ani na chwilę. To ciągły ból, przenikliwe kłucie w piersi, w palcach u nóg i rąk. W tym stanie śnieg wydaje się zarazem jak lecący z nieba lód i palący, gorący popiół. Ale wyobrażam sobie, że na Blue pada delikatniej, okrywając ją miękko jak koc, i pozwoli jej bezpiecznie przetrwać aż do wiosny.

TERAZ

Rankiem wciąż pada.

Podnoszę się powoli. Czuję potworny ból pod czaszką i zawroty głowy. Juliana nie ma obok mnie. Deszcz pada przez kraty, spływa z góry długimi, krętymi, szarymi wstęgami, a on kąpie się w jego strugach.

Stoi plecami do mnie, ma na sobie tylko wyblakłe bawełniane szorty, które musiał znaleźć w magazynie Hien. Oddech więźniemi w gardle. Wiem, że powinnam odwrócić wzrok, ale nie potrafię. Nie jestem w stanie oderwać oczu od tego widoku — od deszczu spływającego mu po plecach, szerokich, muskularnych i silnych, takich jak u Aleksa, od falistych wzniesień jego ramion i barków, od włosów, które mokre wydają się ciemniejsze, i od tego, jak odchyła do tyłu głowę, by woda wpadała mu do otwartych ust.

W Głuszy przyzwyczaiałam się do widoku nagich i półnagich mężczyzn. Przyzwyczaiałam się do odmienności ich ciała, kępek kędzierzawych włosów na piersi, a czasem też

na plecach i ramionach, do ich szerokich i płaskich brzuchów, skrzydeł kości biodrowych wystających łukiem ponad spodniami. Ale to ciało jest inne. Jest w nim idealny spokój, a w bladym szarym świetle wydaje się ono błyszczyć jak posąg wykuty z białego kamienia. To ciało jest po prostu piękne.

Julian kręci głową, strząsając z włosów deszcz kropelek, które tworzą wokół niego migoczącą otoczkę, a potem — w błogiej nieświadomości, że go obserwuję — zaczyna radośnie mruczeć pod nosem jakąś melodię. Nagle robi mi się wstyd, że oto naruszam jego prywatność, więc chrząkam głośno. Julian odwraca się. Kiedy widzi, że już nie śpię, wyskakuje spod strumienia, porywa leżące na brzegu peronu ubrania i zaczyna się ubierać.

— Nie wiedziałem, że już nie śpisz — mówi, usiłując włożyć podkoszulek, chociaż całe ciało ma jeszcze mokre. W pośpiechu wsadził głowę do rękawa i musi spróbować raz jeszcze. Roześmiałabym się, gdyby jego zachowanie nie było takie rozpaczliwe.

Po tym, jak zmył z siebie krew, mogę się lepiej przyjrzeć jego twarzy. Opuchlizna wokół oczu już zniknęła, zostały same ciemnofioletowe siniaki, a rany na wardze i czole zaskorupiły się. To dobry znak.

— Dopiero co się obudziłam — informuję go, gdy wreszcie udaje mu się włożyć podkoszulek. — Spałeś w ogóle?

W tej chwili Julian mocuje się z dżinsami, a jego włosy zostawiają na koszulce mokre plamy.

— Trochę — przyznaje z poczuciem winy. — Nie chciałem. Musiałem przysnąć jakoś koło piątej, bo robiło się już jasno. — Włożywszy spodnie, podciąga się zwinnie na peron. — To co, ruszamy dalej?

— Jeszcze chwila, chciałabym... chciałabym się umyć, tak jak ty. Pod kratami.

— Jasne — mówi Julian, ale się nie rusza. Czuję, jak znowu się rumienię. Już dawno nie czułam się podobnie, taka odkryta i obnażona. Gdzieś umyka mi ta nowa Lena, ta twarda wojowniczką zrodzona w Głuszy. Nie potrafię z powrotem wcisnąć się w jej ciało.

— Będę się musiała rozebrać — dodaje, jako że Julian zupełnie nie łapie wskazówki.

— Och. No tak — wyrzuca z siebie, odwracając się do mnie plecami. — Oczywiście. To ja... to ja po prostu pójdę na zwiady.

— Nie potrwa to długo — mówię mu na odchodne. — Wypadałoby wkrótce wyruszyć w drogę.

Czekam, aż echo jego kroków ucichnie w ciemnym tunelu, a potem zdejmuję ubranie. Przez chwilę udaje mi się zapomnieć, że Hieny czają się na nas gdzieś tam, w ciemności, i że nas szukają. Przez chwilę udaje mi się zapomnieć o tym, co zrobiłam — co musiałam zrobić — by ujść z życiem, zapomnieć o plamie krwi rozprzestrzeniającej się po podłodze magazynu, o oczach mojego napastnika, zaskoczonych, oskarżycielskich. Staję nago na skraju peronu i wyciągam ręce w stronę nieba, pod strugi wody spływające przez kraty, które wyglądają jak płynna szarość, jak gdyby niebo zaczęło się topić. Powiew zimnego powietrza przyprawia mnie o gęsią skórkę. Przykucam, schodzę z peronu i brnę w chlupoczącej wodzie w stronę torów, wyczuwając bosymi stopami metal i drewno. Podchodzę do krat i podnoszę głowę. Deszcz pada mi prosto na twarz, spływa po włosach, plecach, obolałych ramionach i piersiach.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak cudownie. Mam ochotę śpiewać i płakać z radości. Woda jest lodowata i pachnie świeżością, jak gdyby zgarnęła po drodze zapachy z nagich gałęzi i delikatnych marcowych pączków.

Kiedy już obmyła mi twarz, gromadząc się w zagłębieniach moich oczu i ust, nachyliłam się do przodu. Teraz deszcz wybija mi rytm na plecach, niczym bębnienie tysiąca małych stóp. Nie uświadamiałam sobie aż do teraz, jak poobijane mam ciało: wszystko mnie boli, a ręce i nogi pokrywają ciemne siniaki.

Choć czuję, że jestem już czysta, trudno mi się zmusić do wyjścia spod strumienia deszczu, mimo iż trzęsę się z zimna. Ale to dobre zimno, oczyszczające.

Wreszcie ruszam z powrotem w stronę peronu. Jestem tak osłabiona, że dopiero przy drugiej próbie udaje mi się podźwignąć na górę, a potem rozpryskuję wodę wszędzie, zostawiając mokre ślady na ciemnym betonie. Wykręcam włosy, zawijam je wokół jednej ręki i nawet ta zwyczajna, rutynowa i znajoma czynność sprawia mi radość.

Wsuwam się w dzinsy, które zabrałam Hienom, i chociaż podwijam je w pasie, by nie spadały, i tak zwisają mi luźno z bioder.

A potem słyszę za sobą kroki. Odwracam się, zasłaniając ciało rękami. Julian wyłania się z cienia. Z jedną ręką wciąż na piersi, drugą sięgam po koszulkę.

— Zaczekaj — woła i coś w jego głosie, nutka rozkazu, ale i prośby, każe mi się zatrzymać w pół ruchu. — Zaczekaj — powtarza delikatniej.

Dzieli nas kilka metrów, ale przez to, jak na mnie spogląda, mam wrażenie, jakbyśmy stali pierś przy piersi. Czuję jego oczy na swojej skórze, jak elektryczny dotyk.

Wiem, że powinnam włożyć koszulkę, ale nie mogę się ruszyć. Z trudem w ogóle oddycham.

— Nigdy przedtem nie pozwolono mi popatrzeć — mówi Julian otwarcie i robi kolejny krok w moją stronę. Światło pada teraz inaczej na jego twarz i widzę delikatność w jego zamglonych oczach, co sprawia, że huczący żar w moim ciele przechodzi w cudowne, stabilne ciepło. Jednocześnie cieniutki głosik w mojej głowie krzyczy: uważaj, uważaj, uważaj! A pod nim cichsze echo powtarza: Alex, Alex, Alex.

To Alex spoglądał na mnie w ten sposób.

— Jesteś taka szczupła w talii — odzywa się Julian ledwo słyszalnym szeptem.

Wreszcie zmuszam się, by stanąć do niego plecami. Ręce mi się trzęsą, gdy wkładam przez głowę sportowy stanik, a potem koszulkę. Kiedy znowu odwracam się w jego stronę, z jakiegoś powodu Julian budzi we mnie lęk. Zbliżył się do mnie jeszcze bardziej. Pachnie deszczem. Zobaczył mnie półnagą, odsłoniętą.

Patrzył na mnie, jak gdybym była piękna.

— Lepiej się czujesz? — pyta.

— Tak — odpowiadam, spuszczać wzrok. Przesuwam ostrożnie palcem wzdłuż rany na szyi, długiej na ponad centymetr, na której utworzyła się skorupa zaschniętej krwi.

— Daj, obejrzę. — Julian wyciąga rękę i zatrzymuje ją tuż przy mojej twarzy. Podnoszę na niego wzrok. Wygląda, jakby pytał o pozwolenie. Kiwam głową, a on delikatnie wkłada rękę pod mój podbródek i unosi go do góry, żeby przyjrzeć się ranie. — Powinniśmy to obandażować.

My. Znów jesteśmy po tej samej stronie. Nie wraca już do tego, że go okłamałam, ani że jestem niewyleczona. Zastanawiam się, jak długo to potrwa.

Julian pochyła się nad plecakiem i szuka w nim materiałów pierwszej pomocy, które zabraliśmy z magazynu Hien, po czym wraca do mnie z bandażem, butelką wody utlenionej, maścią antybakteryjną i kilkoma bawełnianym wacikami.

— Ja to zrobię — oznajmiam, ale Julian kręci głową.

— Pozwól mi. — Najpierw zanurza wacik w wodzie utlenionej i delikatnie muska ranę. Piecze, więc mimowolnie odsuwam się z sykiem. Chłopak unosi brwi. — No daj spokój — mówi z uśmiechem. — Przecież wcale tak nie boli.

— Właśnie że boli — upieram się.

— Wczoraj stanęłaś oko w oko z dwoma maniakalnymi zabójcami. A teraz nie możesz znieść lekkiego pieczenia?

— To zupełnie inna sprawa — odpowiadam, piorunując go wzrokiem. Nie podoba mi się, że sobie ze mnie żartuje. — To była kwestia przetrwania.

Julian unosi brwi, ale nie komentuje. Dotyka raz jeszcze mojej rany bawełnianym wacikiem, ale tym razem zaciskam zęby i znoszę to w milczeniu. Potem wyciska cienki pasek maści na bandaż i zawiązuje go ostrożnie wokół mojej szyi. Alex też mnie kiedyś opatrywał. To było w noc nalotu, kiedy ukrywaliśmy się w małej szopie na narzędzia, po tym jak pies ugryzł mnie w nogę. Nie myślałam o tamtej nocy od dłuższego czasu i gdy ręka Juliana prześlizguje się po mojej skórze, nagle czuję, że brakuje mi tchu.

Zastanawiam się, czy właśnie w ten sposób ludzie się do siebie zbliżają: opatrują nawzajem swoje rany, leczą skaleczoną skórę.

— Już. Do wesela się zagoi. — Jego oczy przejęły kolor szarego nieba ponad kratami. — Możesz iść dalej?

Potakuję, chociaż wciąż czuję się osłabiona i kręci mi się w głowie.

Julian wyciąga rękę i łapie mnie za ramię. Zastanawiam się, co sobie myśli, kiedy mnie dotyka, czy czuje elektryczny impuls przepływający przez moje ciało. Nie miał przedtem kontaktu z dziewczynami, ale najwyraźniej nie jest to już dla niego problem. Przekroczył granicę. Zastanawiam się, co zrobi, kiedy wreszcie się stąd wydostaniemy. Bez wątpienia wróci do swojego dawnego życia — do ojca, do AWD. Może nawet doniesie na mnie na policję.

Ogarnia mnie fala mdłości i zamykam oczy, kołysząc się lekko na nogach.

— Jesteś pewna, że dasz radę iść?

Głos Juliana jest tak delikatny, że czuję, jakby moja pierś rozpadała się na tysiące trzepoczących motyli. To nie było częścią planu. To nie miało się wydarzyć.

Myślę o tym, co mu powiedziałam ubiegłej nocy: „nie musisz wiedzieć”. Brutalna, nieznośna, piękna prawda.

— Julian. — Otwieram oczy, przeklinając drżenie w swoim głosie. — Nie mamy z sobą wiele wspólnego. Stoimy po przeciwnych stronach barykady. Jesteś tego świadomy, prawda?

Jego oczy stają się bardziej płonące, bardziej intensywne: nawet w półmroku tunelu jest to porażający błękit. Ale gdy się odzywa, jego głos jest wciąż łagodny i delikatny.

— Nie wiem już, po której jestem stronie. Podchodzi jeszcze bliżej mnie.

— Julian... — Jego imię z trudem przechodzi mi przez gardło.

I wtedy dociera do nas ten dźwięk: stłumiony krzyk z jednego z tuneli, dudnienie kroków. Julian nieruchomieje. Spoglądamy na siebie, słowa stają się zbędne.

Hieny.

Strach podchodzi mi do gardła. Głosy dobiegają z tunelu, którym przyszliśmy ubiegłej nocy. Julian porywa plecak, a ja szybko wsuwam bose nogi w tenisówki i schylam się po nóż. Julian łapie mnie za rękę i ciągnie na drugą stronę peronu. Nawet kilkanaście metrów od krat widoczność jest zerowa. Znow pochlania nas ciemność. Czuję, jakbym wkraczała w paszczę dzikiej bestii, i staram się zwalczyć narastające przerażenie. Wiem, że powinnam się cieszyć z ciemności i z tego, że daje nam schronienie, ale nie potrafię przestać myśleć o tym, na co się przedtem w niej natknęłam: o ukrytych prześladowcach, o ciałach zwisających z rur.

Na drugim końcu peronu zaczyna się tunel, tak niski, że oboje musimy się pochylić, by do niego wejść. Po kilku metrach docieramy do metalowej drabiny prowadzącej w dół do szerszego tunelu, na szczęście suchego, którym biegną stare tory. Co kilka kroków Julian przystaje, nasłuchując Hien.

A potem słyszemy jeszcze bliżej burkliwy głos: „tędy”. To jedno słowo pozbawia mnie tchu, jakbym dostała pięścią w brzuch. Albinos. Przeklinam się w myślach za to, że schowałam pistolet do plecaka. Teraz nie ma czasu ani miejsca, żeby go wydostać. Ściskam rękojeść noża, szukając siły w gładkości drewna, w jego ciężarze. Ale wciąż jestem słaba, kręci mi się w głowie, a do tego jestem głodna. Wiem, że nie wypadnę dobrze w walce. Odmawiam cichą modlitwę za to, żebyśmy ich zgubili w ciemności.

— Tędy, na dół!

Głosy stają się donośniejsze, coraz bliższe. Słyszymy kroki dudniące o metalową drabinę — dźwięk, który sprawia, że krew ścina mi się w żyłach ze strachu. I właśnie wtedy dostrzegam światła omiatające zygzakiem ścianę, jak żółte błyszczące macki. No tak, mają latarki. Nic dziwnego, że posuwają się tak szybko. Nie muszą się martwić, że zostaną dostrzeżeni albo usłyszani. Oni polują. My jesteśmy ich ofiarami.

Ukryć się. To nasza jedyna szansa. Musimy się ukryć.

Po prawej widać łukowate przejście — plamę jeszcze czarniejszej ciemności — i łapię Juliana za rękę, ciągnąc go za sobą w tamtą stronę, do następnego tunelu, jakieś trzydzieści centymetrów niższego niż ten, którym do tej pory szliśmy, pokrytego kałużami stojącej i śmierdzącej wody. Dotykami odnajdujemy drogę w ciemności. Ściany po obu stronach są gładkie — żadnych wnęk, żadnych paczek, niczego, w czym można by się ukryć. Panika we mnie narasta. Julian też musi być przerażony, ponieważ traci równowagę i z chlupotem wpada w kałużę.

Oboje zastygamy.

Hieny również. Zatrzymują się, ich kroki milkną.

Następnie światło wpełza do naszego tunelu jak wygłodniałe i żarłoczne zwierzę, które węszy za ofiarą. Julian i ja stoimy nieruchomo. Chłopak zaciska swoją dłoń na mojej i zaraz potem ją wypuszcza. Słyszę, jak zdejmuje plecak, i wiem, że szuka broni. Nie ma już sensu uciekać. Tak naprawdę nie ma też sensu walczyć, ale przynajmniej pociągniemy za sobą na tamten świat kilku naszych wrogów.

Wtedy oczy zasnuwa mi mgła i ogarnia mnie przerażenie. Łzy mnie szczypią i muszę je otrzeć wnętrzem

nadgarstka. W głowie pulsuje mi tylko jedna myśl: nie tutaj, nie w ten sposób, nie pod ziemią, nie ze szczurami.

Promień światła powiększa się i zaraz dołącza do niego drugi. Hieny poruszają się teraz cicho, ale czuję, jak starają się rozciągnąć ten moment w czasie, jak się nim delektują, tak jak myśliwy, gdy maksymalnie naciąga łuk tuż przed wypuszczeniem strzały — oto ostatnie chwile ciszy i bezruchu przed atakiem. Czuję albinosa. Nawet w ciemności wiem, że się uśmiecha. Moje ręce zaciśnięte na nożu są całe mokre. Słyszę ciężki oddech Juliana.

Nie w ten sposób. Tylko nie w ten sposób. Moją głowę wypełniają teraz echa przeszłości, okruchy wspomnień i zniekształcone obrazy: mocny zapach wiciokrzewu latem, brzęczące pszczoły, drzewa uginające się pod ciężarem śniegu, roześmiana Hana biegnąca przede mną, jej blond kucyk podskakujący przy każdym ruchu.

Ale tym, co mnie wówczas uderza — w tej właśnie chwili, kiedy z niezbitą pewnością wiem, że umrę — jest świadomość, że wszystkie pocałunki mojego życia są już za mną. Deliria, cierpienie, wszystkie problemy, jakie spowodowała, wszystko, o co walczyliśmy, jest skończone, zmyte przez falę mojego życia.

W momencie gdy promienie światła stają się wielkie jak reflektory, gdy oślepiają nas, zdradzają nasze położenie, a cienie za nimi materializują się i stają się ludźmi, wypełnia mnie dzika furia. Ciemność przeistacza się w eksplozję kolorów i plamek wibrującej jasności, a ja rzucam się do przodu, atakując na oślepnym nożem, słyszę wrzaski, ryki i krzyk, który rozbrzmiewa echem w mojej piersi, wydobywa się z niej przez zaciśnięte zęby niczym zgrzyt metalowego ostrza.

Nagle wszystko przeobraża się w chaos, gorące ciała i ciężkie oddechy. Czyjś łokieć wbija mi się w pierś i otaczają mnie mocne ramiona, przez które nie mogę oddychać. Czuję w ustach tłuste włosy, ostry ból w boku i cuchnący oddech na twarzy, słyszę gardłowe krzyki. Nie jestem w stanie stwierdzić, ile jest Hien — trzy? cztery? — i nie wiem, gdzie jest Julian. Uderzam na ślepo, staram się złapać oddech, a wszystko wokół przeradza się w kotłowaną ciał — tak zwartą, że nie ma dokąd uciec, jak się uwolnić. Dźgam wokół nożem. Uderzam w czyjeś ciało, raz i drugi, a potem ktoś wyszarpuje mi z ręki ostrze, wykręcając nadgarstek tak mocno, że aż krzyczę z bólu.

Czuję zacisk ogromnej ręki na szyi i całe powietrze ucieka z tunelu, kurcząc się do rozmiarów małej bańki w moich płucach. Otwieram usta, aby nabrać tchu, ale nie jestem w stanie. W ciemności widzę pęcherzyk światła unoszący się wysoko nade mną i sięgam po niego, próbując wydostać się z gęstego, wszechogarniającego mroku, ale moje płuca zalewa błoto i tonę. Tonę. Umieram.

Dobiega mnie ciche dudnienie, monotony stukot — zapewne znowu pada. A wokół rozbłyskują światła: tańczące, ruchome, wirujące i żywe. Ogień.

Zacisk na mojej szyi nagle znika i zachłystuję się powietrzem, które jak zimna woda wdziera mi się do płuc. Ląduję na czworakach i przez chwilę myślę, że muszę śnić, ponieważ czuję pod sobą strumień futra i tysiący małych ciał.

Aż wreszcie w głowie zaczyna mi się przejaśniać, świat powraca z mgły i uświadamiam sobie, że tunel jest pełen szczurów. Są ich setki: przeskakują jeden nad drugim, wiją

się, uderzają o moje nadgarstki i szczypią w kolana. Nagle w tunelu rozbrzmiewają echem dwa strzały, rozlega się krzyk bólu. Widzę nad sobą dziwne kształty, jacyś ludzie zmagają się z Hienami. Mają ogromne, płonące pochodnie, śmierdzące starym olejem, którymi przecinają ciemność. Pojedyncze obrazy zastygłe w płomieniach błyskają wokół: oto Julian zgięty w pół, jedną ręką przytrzymujący się ściany tunelu, Hiena z twarzą wykrzywioną krzykiem, jej włosy oświetlone ogniem, które wyglądają jak jedna z pochodni.

Czuję nowy przypływ przerażenia. Nieruchomieję w tej pozycji, na kolanach, a tymczasem pędzące szczury mijają mnie, uderzają we mnie swoimi ciałami, piszczą, ocierają się i biją o moją skórę ogonami. Przepęlnia mnie obrzydzenie i paraliżujący strach.

To jest koszmar. Musi być.

Jeden ze szczurów wspina mi się na udo. Strącam go z krzykiem, a fala mdłości podchodzi mi do gardła. Zwierzę uderza o ścianę z obrzydliwym głuchym plaskiem, z piskiem opada na dół, a potem znowu dołącza do pędzącego stada. Obrzydzenie nie pozwala mi się ruszyć. Łkanie dławi mnie w gardle. Może umarłam i poszłam do piekła, by odpokutować za delirium i inne straszne rzeczy, które zrobiłam w życiu, może przyjdzie mi spędzić wieczność w nędzy i chaosie, tak jak zapowiada *Księga SZZ* tym, którzy wykazują nieposłuszeństwo.

- Wstań.

Podnoszę głowę. Nade mną stoją dwa potwory z pochodniami. Trudno mi myśleć o nich inaczej, bo tak właśnie wyglądają: jak bestie z podziemia, jak półludzie. Jeden z nich jest ogromny, właściwie olbrzym. Jedno oko

ma mlecznobiałe, ślepe, a drugie ciemne, błyszczące jak u zwierzęcia.

Druga postać jest zgarbiona, jej zakrzywione w pałąk plecy przypominają wypaczony kadłub łodzi. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta. Długie, tłuste włosy zasłaniają większość jej twarzy. Ona — albo on — wykręciła Julianowi ręce za plecami i związała je sznurkiem. Hieny zniknęły.

Podnoszę się na nogi. Bandaż na szyi poluzował się, a moja skóra jest mokra i śliska.

— Idź. — Człowiek szczur wskazuje pochodnią w kierunku ciemności. Pochyla się lekko i wolną rękę przyciska kurczowo do boku. Przypominają mi się strzały i czyjś krzyk. Zastanawiam się, czy został postrzelony.

— Posłuchaj — odzywam się drżącym głosem i podnoszę obie ręce na znak kapitulacji. — Nie wiem, kim jesteście, ani o co wam chodzi, ale nam zależy tylko na tym, żeby się stąd wydostać. Nie mamy przy sobie zbyt wiele, ale możecie zabrać, co chcecie. Tylko... tylko nas puśćcie, dobrze? Proszę. — Mój głos załamuje się lekko. — Błagam, wypuśćcie nas.

— Idź — powtarza człowiek szczur i tym razem wymachuje pochodnią tak blisko mnie, że czuję ciepło jej płomienia.

Spoglądam na Juliana, który kręci głową. Przekaz w jego oczach jest jasny: nie mamy innego wyjścia.

Odwracam się i ruszam we wskazanym kierunku. Człowiek szczur z pochodnią idzie za mną, a przed nami setki szczurów znikają w ciemności.

WTEDY

Nikt nie wie, czego możemy się spodziewać w trzecim obozowisku ani czy w ogóle je zastaniemy. Jako że Tack i Hunter nie wrócili do osady, nie wiemy nawet, czy udało im się zakopać zapasy tam, gdzie planowano — niedaleko Hartford, prawie trzysta kilometrów na południe od Rochester — i czy po drodze nic im się nie stało. Bezlitosne zimno zatopiło pazury w krajobrazie i nie odpuści aż do wiosny. Jesteśmy zmęczeni, głodni i pozbawieni nadziei. Nawet Raven nie jest już w stanie zachowywać pozorów siły. Idzie powoli, ze spuszczoną głową, w milczeniu.

Nie mamy pojęcia, co zrobimy, jeśli w trzecim obozowisku nie będzie jedzenia. Wiem, że Raven też się o to martwi, aczkolwiek nie mówi tego na głos. Nikt z nas tego nie mówi. Po prostu uparcie i ślepo brniemy naprzód.

Strach jednak zagnieździł się wśród nas na dobre. Gdy zbliżamy się do Hartford, klucząc między ruinami starych miast, skorup zbombardowanych domów przypominających

puste łuski insektów, wcale się nie cieszymy. Nikt z nas nie jest w stanie wygnać tego brzęczącego w tyle głowy niepokoju, który nadaje Głuszy złowieszczy wygląd, który napawa nas lękiem przed zmierzchem i zamienia wydłużone czarne cienie w szpiczaste, upiorne palce. Jutro dojdziemy do trzeciego obozowiska, o ile ono w ogóle istnieje. Jeśli nie, niektórzy z nas pomrą z głodu, nim dotrzemy na południe.

I jeśli go tam nie ma, możemy przestać snuć domysły, co z Tackiem i Hunterem — będzie to oznaczało, że najpewniej nie żyją.

Ranek wstaje niemrawy, a powietrze przepełnione jest dziwną energią, jak tuż przed burzą. Wędrujemy w ciszy, słysząc jedynie skrzypienie śniegu pod butami.

Wreszcie docieramy do miejsca, gdzie powinno się znajdować trzecie obozowisko. Nie ma żadnego śladu wskazującego, że byli tutaj Hunter i Tack: żadnych wyłobień na drzewach, kawałków materiału zawiązanych na gałęziach, żadnego z ustalonych znaków, żadnej wskazówki, że cokolwiek tutaj zakopano. I chociaż wszyscy się tego obawialiśmy, rozczarowanie jest dotkliwe.

Raven wydaje z siebie jęk bólu, jak gdyby ją spoliczkowano. Sara upada na śnieg i powtarza: „Nie! Nie! Nie, nie, nie!”, dopóki Lu nie każe jej się zamknąć. A ja czuję, jak gdyby ktoś mi wydrążył dziurę w piersi.

— To musi być pomyłka — odzywam się, a mój głos rozchodzi się donośnie po polanie. — To pewnie nie tu.

— To tutaj — odpowiada cicho Bram. — Nie ma mowy o pomyłce.

— Nie — powtarzam uparcie. — Musieliśmy gdzieś źle skrócić. Albo Tack znalazł lepsze miejsce na zakopanie zapasów.

— Cicho bądź, Lena — mówi Raven, mocno pocierając skronie. Jej paznokcie mają fioletowe obwódki. — Muszę pomyśleć.

— Musimy znaleźć Tacka. — Wiem, że zaczynam histeryzować i że taką gadaniną tylko dolewam oliwy do ognia. Ale zimno i głód przytepiły także moje myśli i to jest jedyna, która się spośród nich przebija. — Tack ma nasze jedzenie. Musimy go odnaleźć. Musimy...

Nagle Bram ucisza mnie delikatnym „ciiii”. Sara podnosi się z ziemi. Nastawiamy uszu. Każdy z nas to słyszał: trzask łamanej gałązki, ostry jak huk wystrzału. Wszystkie twarze są nieruchome, czujne i niespokojne. Tak samo w bezruchu napręzał ciało jeleni, którego widzieliśmy dwa dni temu w lesie, zanim rzucił się do ucieczki.

Rozglądam się wokół. Las jest zupełnie spokojny, nic, tylko czarne, strzeliste, bezlistne drzewa, jak pociągnięcia pędzlem na tle bezmiaru bieli, przewrócone kłody i przegniłe pnie drzew skulone w śniegu. A wtedy, na naszych oczach, jedna z kłód — z daleka zdająca się po prostu masą szarości i brązu — porusza się.

Coś tu nie gra. Otwieram usta, by podzielić się swoim spostrzeżeniem, ale w tej samej chwili wszystko wokół eksploduje: ze wszystkich stron wyrastają Hieny, strząsając z siebie płaszcze i futra — drzewa stają się ludźmi, a ci z kolei zamieniają się w pistolety, noże i dzidy — i z krzykiem rzucamy się do ucieczki we wszystkich kierunkach.

A to jest oczywiście to, na co liczyli: na naszą panikę, słabość, na rozproszenie.

W ten sposób jesteśmy łatwiejszym celem.

TERAZ

Tunel, którym idziemy, schodzi w pewnym momencie w dół. Przez chwilę wyobrażam sobie, że zmierzamy do środka Ziemi. Przed nami dostrzegam światło i jakieś poruszenie. Dociera do nas ognisty blask, dudnienie i bełkotanie. Kark mam mokry od potu, a zawroty głowy jeszcze się nasiliły. Potykam się i z trudem łapię równowagę. Człowiek szczur podchodzi do mnie i chwytam mnie za łokieć. Próbuje się wyrwać, ale jego uścisk jest zbyt silny. Bijący od niego smród zatyka mi nozdrza.

Plama światła powiększa się i rozszerza, aż wreszcie naszym oczom ukazuje się przestronne pomieszczenie wypełnione blaskiem ognia i ludźmi. Gdy wyłaniamy się z ciemności, widzimy nad sobą sklepiony sufit i ogromną halę z wysokimi peronami po obu stronach. A na nich obszarpani, potargani, brudni ludzie, bladzi i anemiczni, kulejący, mrużący oczy — kolejne potwory — krążą wokół starych metalowych beczek, w których pali się ogień. Ściany

pokrywają kafelki, wyblakłe reklamy i graffiti, a powietrze jest gęste od dymu i smrodu starego oleju.

Gdy idziemy wzdłuż torów, ludzie odwracają się i gapią na nas. Wszyscy mają jakieś defekty — brak kończyn, powykręcane, przykurczone ręce, garby na plecach, dziwne narośle na twarzach — albo są w jakiś inny sposób uszkodzeni.

— Do góry — mówi człowiek szczur, wskazując głową w stronę niemożliwie wysokiego peronu.

Julian wciąż ma ręce związane za plecami. Dwoje ludzi wyróżniających się spośród reszty wielkością podchodzi na skraj peronu i łapie Juliana pod pachami, pomagając mu podciągnąć się do góry. Garbata postać porusza się z zaskakującą gracją. Widzę jej silne ramiona i delikatne, wąskie nadgarstki. A więc to jednak kobieta.

— Ja nie... nie dam rady — mówię. Teraz wszystkie spojrzenia zwrócone są w naszą stronę. — To za wysoko.

— Do góry — powtarza człowiek szczur. Zastanawiam się, czy to jedyne słowa, jakie zna: „stój”, „idź”, „do góry”, „na dół”.

Peron jest na wysokości mojej twarzy. Kładę ręce płasko na betonie i staram się podciągnąć, ale jestem zbyt słaba i bezwładnie opadam do tyłu.

— Ona jest ranna! — krzyczy Julian. — Nie widzicie? Na litość boską, chcemy się tylko stąd wydostać, nic więcej!

To pierwszy raz od ataku Hien, kiedy chłopak się odzywa i z jego głosu biją ból i strach.

Człowiek szczur znów każe mi wejść na peron, ale tym razem, jakby na mocy jakiegoś milczącego porozumienia, kilku gapiów rusza jednocześnie w naszą stronę. Przykucają i wyciągają ręce. Staram się wykręcić, ale tamten staje za mną i chwyta mnie w pasie.

— Przestańcie! — Julian próbuje się wyrwać, ale dwójka, która pomogła mu podciągnąć się na peron, trzyma go mocno. — Puśćcie ją!

Widzę ręce sięgające po mnie ze wszystkich stron. Drę się jak opętana. Monstrualne twarze, kołyszące się w migoczącym świetle, pochylają się nade mną.

— Słyszycie mnie? — krzyczy dalej Julian. — Zostawcie ją! Wypuśćcie ją!

Jakaś kobieta z tłumu rusza w moją stronę. Wygląda tak, jakby brakowało jej części twarzy. Usta ma wykrzywione w potwornym uśmiechu.

Nie! Mam ochotę krzyczeć. Czyjeś dłonie łapią mnie i podciągają na peron. Kopię i wierzgam nogami — puszczają mnie. Łąduję twardo na boku i przewracam się na plecy. Kobieta bez połowy twarzy pochyla się nade mną i wyciąga do mnie ręce.

Chce mnie udusić.

— Nie zbliżaj się do mnie! — Biję na oślep rękami i nogami, starając się ją odepchnąć. Uderzam głową o peron i przed oczami wybuchają mi kolorowe plamki.

— Nie ruszaj się — mówi tamta melodyjnym, zaskakująco delikatnym głosem. Jednocześnie ból znika, krzyki milkną i odpływam we mgłę.

WTEDY

Rozpraszamy się jak zwierzęta, w ślepej panice. Nie mamy czasu, żeby naładować broń i nie mamy siły, by walczyć. Mój nóż jest w plecaku, więc na nic mi się nie przyda. Nie mam możliwości, by się zatrzymać i go wyjąć. Hieny są szybkie i silne. Mam wrażenie, że są większe od normalnych ludzi, a już na pewno dużo większe niż powinien być ktokolwiek, kto żyje w Głuszy.

— Tędy! Tędy! — krzyczy biegnąca przede mną Raven, ciągnąc Sarę za rękę. Dziewczynka jest zbyt przerażona, by płakać. Ledwo może nadążyć i co chwila potyka się na śniegu.

Ze strachu serce wali mi jak młotem. Za nami biegną trzy Hieny, jedna z nich trzyma w ręku topór. Słyszę furkotanie ostrza w powietrzu. W gardle mnie pali. Z każdym krokiem zapadam się w śniegu na kilkanaście centymetrów i muszę wyszarpywać zeń nogi. Uda trzęsą mi się z wysiłku.

Jesteśmy blisko wzgórza i nagle przed nami wyrasta nasyp skalny utworzony z wielkich głazów, które opierają się o siebie niczym ludzie tulący się dla ochrony przed chłodem. Skały są śliskie, pokryte warstwą lodu. Tworzą sieć połączonych grot, a ich wnętrza, do których nie nawiał śnieg, przypominają ciemne usta. Nie ma jak obejść tych skał ani wspiąć się na nie. Jesteśmy w pułapce.

Raven nieruchomieje. Czuję bijący od niej strach. Gdy jedna z Hien rzuca się na nią, ostrzegam ją krzykiem, dopiero wtedy otrząsa się i zaczyna na nowo ciągnąć za sobą Sarę, prosto na skały, bo nie ma już dokąd uciekać. Widzę, jak szuka za pasem swojego noża, ale zgrabiałymi palcami trudno jej go wydobyć. Uświadamiam sobie z rozpaczą, że zamierza walczyć, to jej jedyny plan. Nie pozostaje nam już nic innego. Zginiemy tu, a nasza krew wsiąknie w śnieg.

Zimne powietrze boleśnie drapie mnie w gardło. Nagie gałęzie chłoszczą mnie po twarzy, do oczu napływają piekące łzy. Jedna z Hien jest coraz bliżej mnie, tak blisko, że słyszę jej ciężki oddech i widzę długi cień na śniegu poruszający się razem z moim, a wtedy nagle, tuż przed ciosem, przychodzi mi na myśl Hana. Ja i ona, dwa cienie na ulicach Portland, gorące słońce wysoko na niebie, nogi uderzające w jednym rytmie o asfalt.

Aż wreszcie przychodzi moment, gdy nie mam już dokąd uciec.

— Biegnij! — krzyczy Raven, popychając Sarę w ciemną przestrzeń jednej ze skalnych szczelin. Dziewczyna jest na tyle drobna, że się zmieści. Może uda jej się umknąć Hienom. W tym samym momencie czuję na plecach ciężką rękę i ląduję twardo na kolanach, na lodzie,

dzwoniąc zębami. Przewracam się na plecy, kilkanaście centymetrów od stromej ściany.

Widzę pochylającą się nade mną ogromną bestię z oczyma płonącymi nienawiścią. Ostrze uniesionego topora połyskuje w słońcu. Jestem zbyt przerażona, by się poruszyć, oddychać, krzyczeć.

Napastnik zastyga, szykując się do ciosu. Zamykam oczy.

Nagle w ciszy rozlega się huk wystrzału, a potem dwa kolejne. Otwieram oczy i widzę, jak Hiena przewraca się na bok, niczym marionetka, której odcięto sznurki. Topór wbija się w śnieg. Dwie pozostałe Hieny także padają, przeszyte kulami, a ich krew rozpełza się po bieli.

I wtedy dostrzegam Tacka i Huntera, którzy biegną w naszą stronę z karabinami w rękach — chudzi, bladzi, wymizerowani, ale żywi.

TERAZ

Kiedy się budzę, leżę na wznak na poszarzałym prześcieradle, a Julian klęczy obok mnie. Rąk nie krępują mu już żadne więzy.

— Jak się czujesz?

Nagle wracają wszystkie wspomnienia: szczury, potwory, kobieta bez połowy twarzy. Usiłuję się podnieść, ale w mojej głowie eksplodują fajerwerki bólu.

- Spokojnie, spokojnie. - Julian chwyta mnie pod pachami i pomaga usiąść. - Paskudnie trzasnęłaś się w głowę.

-Co się stało? — Nasz skrawek przestrzeni został częściowo odgrodzony od reszty rozłożonymi kartonowymi pudłami. Wzdłuż peronu, między połamanymi kawałkami sklejki wiszą kwieciste prześcieradła, co zapewnia nieco prywatności ukrytym za nimi ludziom. Materace umieszczone są wewnątrz ogromnych, powyginanych kartonowych struktur, ściany i przegródki zaś zostały wykonane

z zazębiających się połamanych krzesel i stolików. Powietrze jest wciąż gorące, przesiąknięte wonią popiołów i oleju. Mój wzrok przykuwa dym biegnący w stronę sufitu, gdzie znika w małym otworze wentylacyjnym.

— Przemyli ci rany — mówi Julian cicho, z niedowierzaniem. — Na początku myślałem, że oni chcą... — Kręci głową. — Ale wtedy przyszła jakaś kobieta z bandażami i opatrzyła ci szyję, bo znowu zaczęła krwawić.

Dotykam rany: została zaklejona grubą gazą. Julianem także się zajęli. Rozcięta warga została przemyta, a opuchlizna na sińcach wokół oczu nieco zmaląła.

— Kim są ci ludzie? Co to za miejsce? Julian znowu kręci głową.

— Odmieńcy. — Gdy widzi grymas na mojej twarzy, dodaje: — Nie znam żadnego innego słowa na ich określenie. Na określenie ciebie.

— Nie jesteśmy tacy sami — wyjaśniam, obserwując zgarbione, kalekie postaci krzątające się wokół dymiącego ogniska. Czuć, że coś gotują. Nie chcę nawet myśleć, co się tutaj jada, jakie zwierzęta można tutaj złapać. Na myśl o szczurach czuję szarpnięcie w żołądku. — Nie pojąłeś tego jeszcze? Wszyscy jesteśmy inni. Mamy inne cele. Żyjemy inaczej. Od początku próbuję ci to wyjaśnić.

Julian już ma coś powiedzieć, kiedy nagle pojawia się kobieta potwór, ta, przed którą wczoraj tak zawzięcie się broniłam. Odsuwa kartonową barykadę. Dociera do mnie, że musieli ją zbudować specjalnie po to, by zapewnić mnie i Julianowi trochę prywatności.

— Obudziłaś się — stwierdza. Teraz, gdy już się tak nie boję, widzę, że wcale nie brakuje jej połowy twarzy, jak mi się wcześniej wydawało. Po prostu prawa jej część jest

mniejsza od lewej, wklęśła, jak gdyby twarz składała się z dwóch różnych masek źle z sobą złączonych. Chociaż widziałam w życiu tylko kilku niepełnosprawnych, i to jedynie na zdjęciach w podręcznikach, nie mam wątpliwości, że musiała się z taką wadą urodzić. W szkole zawsze uczono nas, że dzieci nieleczonych rodziców mogą przyjść na świat okaleczone lub zdeformowane. Księża mówili nam, że tak właśnie przejawia się deliria w ich ciałach.

Dzieci zrodzone ze zdrowych i normalnych ludzi są zdrowe i normalne. Dzieci zrodzone z choroby będą mieć chorobę w ciele i we krwi.

Wszyscy ci ludzie, urodzeni jako kaleki, powykrzywiani, zdeformowani, zostali zepchnięci do podziemia. Zastanawiam się, co by się z nimi stało, gdyby zostali na górze. Przypomina mi się, jak Raven opowiadała mi o znalezieniu Blue: „Wiesz, co się mówi o dzieciach delirii. Pewnie by ją zabito i nawet by jej nie pochowano. Skończyłaby na śmietniku”.

Kobieta klęka przede mną, nie czekając na odpowiedź. Julian i ja milczymy. Chcę coś powiedzieć, jakoś jej podziękować, ale nie mogę znaleźć słów. Chciałabym też odwrócić wzrok od jej twarzy, lecz i tego nie potrafię.

— Dziękuję — mówię wreszcie. Jej wzrok spotyka się z moim. Oczy ma brązowe, otoczone drobnymi zmarszczkami, a do tego stale przymrużone od życia w ciągłym półmroku.

— Ilu ich było? — pyta. Spodziewałam się, że jej głos będzie dziwny i zniekształcony, tak jak jej twarz, ale jest wysoki i czysty. Ładny. Gdy nie odpowiadam od razu, wyjaśnia: — Intruzi. Ilu ich było?

Domyślałam się, że mówi o Hienach, choć używa innego słowa. Widać to po sposobie, w jaki je wymawia: mieszanie gniewu, strachu i obrzydzenia.

— Nie jestem pewna — odpowiadam. — Co najmniej siedmioro. A może więcej.

— Pojawili się tutaj trzy pory temu. Może cztery. — Na mojej twarzy musi malować się konsternacja, ponieważ kobieta wyjaśnia: — W tunelach nietrudno jest stracić poczucie czasu. Dni i tygodnie zlewają się w jedno i dopóki nie wyjdziemy na zewnątrz, nie da się stwierdzić, ile ich minęło.

— Od jak dawna tu mieszkasz? — pytam, choć tak właściwie obawiam się odpowiedzi.

Spogląda na mnie z ukosa tymi małymi oczami w kolorze mułu. Staram się nie patrzeć na jej usta i podbródek: tutaj deformacja najbardziej rzuca się w oczy, jak gdyby jej twarz zwijała się w sobie, niczym więdnący kwiatek.

— Od zawsze — mówi. — Albo prawie od zawsze.

— Ale jak...? — pytanie więźnie mi w gardle. Kobieta uśmiecha się. A przynajmniej wydaje mi się, że to uśmiech, bo kącik jej ust unosi się do góry.

— Na górze nic nas nie czeka. W każdym razie nic poza śmiercią.

A więc jest tak, jak myślałam. Zastanawiam się, czy właśnie taki los przydarza się dzieciom, które nie trafiają pod ziemię albo do którejś z osad w Głuszy — może są zamykane w więzieniach albo szpitalach psychiatrycznych, a może po prostu się je zabija.

— Od kiedy sięgam pamięcią, tunele należały do nas — kontynuuje. Wciąż trudno mi pogodzić brzmienie jej

głosu z wyglądem twarzy. Skupiam się na jej oczach: nawet w przyćmionym świetle widzę, że są pełne ciepła. — Rodzice w jakiś sposób wiedzą, jak do nas dotrzeć. Wiedzą, że tu ich dzieciom nie stanie się krzywda. — Jej oczy kierują się na Juliana i widzę, że ogląda jego nieskazitelną szyję, a potem znowu patrzy na mnie. — Jesteś wyleczona. Tak to nazywają na górze, prawda?

Kiwam głową. Otwieram usta, by wyjaśnić, że jestem w porządku, że jestem po ich stronie, ale wtedy wtrąca się Julian:

— Nie należymy do Intruzów. Nie należymy też do żadnej innej grupy. Działamy... działamy sami.

Nie należymy do żadnej innej grupy. Wiem, że mówi to tylko po to, żeby ją uspokoić, ale te słowa podnoszą mnie na duchu, pomagają rozerwać węzeł strachu, który zasupłał się w mojej piersi, od kiedy znaleźliśmy się pod ziemią.

Wtedy moje myśli biegną do Aleksa i znowu czuję przyływ mdłości. Żałuję, że w ogóle opuściliśmy Głuszę. Żałuję, że przyłączyłam się do ruchu oporu.

— Jak się tu dostaliście? — pyta kobieta. Nalewa wody ze stojącego obok dzbanka i podaje mi dziecięcy plastikowy kubek z wyblakłym wzorkiem wokół krawędzi. Naczynie, podobnie jak wszystko inne tutaj, musi pochodzić z góry: to rzeczy niepotrzebne innym, porzucone. Przedostały się przez szczeliny w ziemi jak topniejący śnieg.

— Schwymano nas — wyjaśnia Julian pewniejszym już głosem. — Porwali nas Intruzi. — Po tych słowach milknie i wiem, że myśli teraz o znalezionych przeze mnie identyfikatorach AWD, o tatuażu, który zauważyłam na szyi Hieny. Nie rozumie jeszcze, o co w tym wszystkim chodzi, tak samo jak ja. Ale wiem, że nie tylko Hieny były w to

zaangażowane. Zapłacono im, albo przynajmniej obiecano im zapłatę za to, co zrobili. - Nie wiem dlaczego - dodaje.

- Chcielibyśmy wydostać się na zewnątrz - wtrącam i nagle dociera do mnie coś, co kobieta powiedziała wcześniej. Świta mi promyk nadziei. — Zaczekaj... powiedziałaś, że macie problem ze śledzeniem czasu, dopóki nie wyjdziecie na górę, prawda? A więc... jest jakaś droga wyjścia? Droga na górę?

- Ja nie wychodzę na górę. — Wymawia to tak, jakby określenie „na górę” było nieczyste.

- Ale ktoś to robi na pewno - nie daję za wygraną. -Ktoś musi.
- Muszą jakoś zdobywać zaopatrzenie: prześcieradła i kubki, paliwo i te sterty używanych, połamanych mebli, które widać na peronie. To wszystko musiało skądś się wziąć.

- Tak - odpowiada spokojnie. - Oczywiście.

- Zabierzecie nas tam? - pytam. W gardle mi zaschło. Już sama myśl o wyjściu na powierzchnię, o słońcu i przestrzeni sprawia, że zbiera mi się na płacz. Nie wiem, co się stanie, gdy znów znajdziemy się na górze, ale na razie odsuwam od siebie te lęki.

- Wciąż jesteś osłabiona — mówi kobieta. - Musisz się najeść i odpocząć.

- Nic mi nie jest - upieram się. - Mogę iść. - Gdy próbuję wstać, robi mi się ciemno przed oczami i ciężko opadam na ziemię.

- Lena. - Julian kładzie mi rękę na ramieniu. Błysk w jego oczach mówi: „Zaufaj mi, będzie dobrze, trochę dłuższy pobyt tutaj nas nie zabije”. Sama nie wiem, kiedy i jak zaczęliśmy się porozumiewać bez słów, nie mam też pojęcia, dlaczego tak mi z tym dobrze.

Julian zwraca się do kobiety:

— W porządku, zostaniemy tutaj jeszcze trochę. Ale potem ktoś wskaże nam drogę na powierzchnię, tak?

Kobieta znowu przebiega między nami wzrokiem, a potem kiwa głową.

— Nie należycie do tego miejsca — odpowiada i podnosi się.

Nagle robi mi się wstyd. Dociera do mnie z całą mocą, że ludzie ci pomogli nam, chociaż żyją w nędzy, chociaż żyją w ciemności, wśród śmieci i odpadków, oddychają dymem. Pomogli nam, nie znając nas i nie mając ku temu żadnych powodów oprócz tego, że wiedzieli jak. Zastanawiam się, czy na ich miejscu zrobiłabym to samo. Nie jestem pewna.

Za to wiem, że Alex by tak zrobił. I Julian również.

— Zaczekaj! — krzyczy za nią chłopak. — Nawet... nawet nie wiemy, jak masz na imię.

Na jej twarzy przez chwilę maluje się zdziwienie, a potem uśmiecha się znowu, lekko wykrzywiając usta.

— Dostałam imię tutaj. Nazywają mnie Monetą. Julian marszczy czoło, ale mnie to imię nie dziwi. Jest

typowe dla Odmieńców — łatwe do zapamiętania, zabawne, balansuje na granicy dobrego smaku, ale trafia w sedno. Moneta ma przecież dwie strony.

Moneta miała rację: trudno jest śledzić czas w tunelach, nawet jeszcze trudniej niż w celi. Tam mieliśmy światło elektryczne i wiadomo było, jaka jest pora: światło było włączone w dzień, wyłączone w nocy. Tutaj każda minuta staje się godziną.

Julian i ja jemy po trzy batony muesli i trochę suszonego mięsa, które ukradliśmy z magazynu Hien. Wydaje się to królewską ucztą i jeszcze przed końcem posiłku zaczyna mnie boleć żołądek. Mimo to po jedzeniu i wypiciu całego dzbanka wody czuję się dużo lepiej niż w ostatnich dniach. Oboje też pozwalamy sobie na drzemkę. Gdy leżymy tak blisko siebie, czuję oddech Juliana poruszający moimi włosami, a nasze nogi niemal się stykają.

Oboje budzimy się w tym samym czasie. Moneta znowu stoi nad nami. Napełniła dzbanek z wodą. Julian z jękiem otrząsa się ze snu, a potem siada szybko, zawstydzony. Przeczesuje ręką włosy, przez co zaczynają sterczeć na wszystkie strony, a mnie nachodzi nagła ochota, by wyciągnąć rękę i je przygłodzić.

— Możesz już chodzić? — pyta mnie Moneta. Kiwam głową.
— Wobec tego znajdę wam kogoś, kto was wyprowadzi na powierzchnię. — Znowu brzmi to w jej ustach tak, jak gdyby było to określenie nieczyste albo przekleństwo.

— Dziękuję. — Słowo to wydaje się banalne i wyświechtane.
— Nie musiałaś... to znaczy... naprawdę to doceniamy. Pewnie już byśmy nie żyli, gdyby nie ty i... twoi przyjaciele. — Już miałam rzec: „twoi ludzie”, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język. Pamiętam, jak zła byłam na Juliana za to samo określenie.

Kobieta spogląda na mnie bez uśmiechu i zastanawiam się, czy czymś ją uraziłam.

— Tak jak powiedziałam, nie należycie do tego miejsca — oznajmia. A potem dodaje wysokim, przenikliwym głosem: — Na świecie jest miejsce dla wszystkiego i wszystkich. I to jest właśnie błąd, który popełniają tamci na górze: uważają, że tylko niektórzy mają prawo do życia,

że tylko niektórzy mogą należeć do ich świata, a reszta to śmieci. Ale przecież nawet śmieci muszą mieć swoje miejsce. W przeciwnym razie tworzy się zator i gniją.

Widzę, jak trzęsie się z przejęcia, a jej prawa ręka drga konwulsyjnie na fałdach brudnej sukienki.

— Znajdę kogoś, kto was wyprowadzi — dodaje po chwili, jak gdyby zawstydzona swoim wybuchem, i odwróciwszy się od nas, odchodzi.

Zjawia się po nas człowiek szczur. Na jego widok powracają moje zawroty głowy i mdłości, chociaż tym razem jest sam. Szczury pochowały się do swych kryjówek.

— Moneta mówiła, że chcecie wyjść na górę — oznajmia i jest to najdłuższe zdanie, jakie do tej pory od niego usłyszałam.

Oboje jesteśmy gotowi do drogi. Julian wziął plecak i chociaż oświadczyłam mu, że nie mam problemów ze staniem, nalega, by podtrzymywać mnie za ramię.

— Na wszelki wypadek — mówi, a mnie uderza, jak inny jest od chłopaka, którego widziałam na scenie w Javits Center, od tej beznamiętnej twarzy powiększonej na ekranie. Nie mogę uwierzyć, że to ta sama osoba. Zastanawiam się, czy to tamten jest prawdziwym Julianem, czy też ten jest prawdziwy, i czy w ogóle można wiedzieć takie rzeczy.

I uświadamiam sobie jednocześnie, że nie jestem już nawet pewna, która Lena jest prawdziwa.

— Jesteśmy gotowi — mówi Julian.

Ostrożnie mijamy zrobione z rupieci szalasy. Ze wszystkich zakamarków obserwują nas przykucnięte postaci. Zepchnięto tych ludzi do tego miejsca, tak jak i nas

zepchnięto do Głuszy — a wszystko to po to, by stworzyć społeczeństwo ładu i porządku.

Od zawsze słyszałam, że aby społeczeństwo było zdrowe, żaden jego członek nie może być chory. Ale filozofia AWD idzie głębiej — dużo głębiej, niż myślałam. Według nich niebezpieczeństwo stanowią nie tylko niewyleczeni, ale także wszyscy odmienni, zdeformowani, odbiegający od normy. Ich także trzeba wyplenić. Zastanawiam się, czy Julian to sobie uświadamia, czy wiedział o tym przez cały czas.

Odchylenia od normy muszą zostać zlikwidowane. Brud musi zostać usunięty. Prawa fizyki uczą nas, że każdy system zmierza stopniowo w stronę chaosu, zatem chaos musi być stale poskramiany. Zasady oczyszczania są nawet zapisane w *Księdze SZZ*.

Na końcu peronu człowiek szczur zeskakuje zwinnie na tory. Nie ma problemów z chodzeniem. Jeśli został ranny podczas szamotaniny z Hienami, najwyraźniej jego również opatrzone. Julian podąży za nim, a potem pomaga mi zejść, wyciągając ręce do góry i obejmując mnie w pasie. Chociaż czuję się lepiej niż przedtem, wciąż nie poruszam się całkiem sprawnie. Zbyt długo przebywałam bez wystarczającej ilości jedzenia i picia, wciąż dokucza mi pulsowanie pod czaszką. Lewa noga nie staje pewnie na ziemi, chwieje się w kostce i lecę w stronę Juliana. Uderzam podbródkiem w jego pierś, a jego ramiona zaciskają się wokół mnie.

— Wszystko w porządku? — pyta, a mnie zalewa fala gorąca z powodu bliskości naszych ciał i ciepła bijącego z otaczających mnie ramion.

Odsuwam się od niego, a serce mało nie wyskoczy mi z piersi.

— Nic mi nie jest — odpowiadam.

A potem przychodzi pora, kiedy musimy na powrót zanurzyć się w ciemności. Człowiek szczur widzi, że się ociągamy, i myśli pewnie, że to ze strachu, bo odwraca się i mówi:

— Nie bój się. Intruzi nie zapuszczają się tak daleko.

On sam obywa się bez latarki czy pochodni. Zastanawiam się, czy wtedy ogień miał po prostu odstraszyć Hieny. Wylot tunelu jest absolutnie czarny, ale wydaje się, że widzenie w tych warunkach nie nastęcza mu żadnych trudności.

— Chodźmy — mówi do mnie Julian i oboje wraz z naszym przewodnikiem zanurzamy się w ciemność.

Idziemy w milczeniu, ale od czasu do czasu mężczyzna zatrzymuje się i kląska językiem, tak jak się przywołuje psa. Raz przykuca i wyciąga z kieszeni płaszczą garść pokruszonych krakersów, po czym rozrzuca je na tory. Z zakamarków tunelu wyłaniają się szczury, obwąchują jego palce, walczą o okruszki, wskakują na jego złęczone dłonie, biegają po rękach i ramionach. To przerażający, ale jednocześnie hipnotyzujący widok.

— Od jak dawna tu mieszkasz? — pyta Julian, gdy mężczyzna się podnosi. Teraz wszędzie wokół słyszymy dzwonięcie małych zębów i chrobotanie pazurów, a nasza ruchoma latarka rzuca na ściany tańcące cienie. Ogarnięta panicznym strachem mam wrażenie, że szczury otaczają mnie zewsząd, że są nawet na suficie.

— Nie wiem — odpowiada człowiek szczur. — Straciłem rachubę.

W przeciwieństwie do innych mieszkańców podziemia on nie ma żadnych zauważalnych fizycznych defektów. To pytanie samo ciśnie mi się na usta:

— Ale dlaczego...?

Odwraca się gwałtownie w moją stronę. Przez chwilę nie mówi nic i stoimy tak we troje w przytłaczającym milczeniu. Oddycham pospiesznie i czuję drapanie w gardle.

— Nie chciałem, by mnie wyleczono — mówi wreszcie i słowa te brzmią dla mnie tak normalnie (to język z mojego świata, z powierzchni ziemi), że po mojej piersi rozchodzi się fala ulgi. Okazuje się, że ten człowiek wcale nie jest szalony.

— Dlaczego nie? — pyta Julian. Kolejna chwila ciszy.

— Bo już byłem chory — odpowiada tamten i chociaż nie widzę jego twarzy, po jego głosie słyszę, że się uśmiecha. Zastanawiam się, czy Julian jest tak samo zaskoczony jak ja.

Uzmysławiam sobie nagle, że ludzie sami są jak tunele: jak kręte, ciemne przestrzenie i głębokie jaskinie. Nie da się poznać wszystkich zakamarków ich duszy. Nie można ich sobie nawet wyobrazić.

— I co się stało? — dopytuje się Julian.

— Ją poddano zabiegowi — odpowiada szybko człowiek szczur i odwraca się do nas plecami, wznawiając marsz. — A ja wybrałem... to miejsce.

— Zaraz, zaraz... — Julian ciągnie mnie za sobą. Musimy nieco podbiec, by nadążyć za naszym przewodnikiem. — Nie rozumiem. Byliście zarażeni oboje, a potem ona została wyleczona?

-Tak.

— A ty zamiast remedium wybrałeś to? — Julian kręci głową. — Musiałeś wiedzieć... to znaczy... ono mogłoby zabrać ból. — Słyszę w jego głosie niedowierzanie i widzę

jego wewnętrzną walkę, widzę, jak wciąż uczipiony jest swoich dawnych przekonań i wierzeń, które tak długo dawały mu ukojenie.

— Nie widziałem jej. — Mężczyzna idzie teraz szybszym krokiem. Musi znać na pamięć zakręty i nierówności terenu. Julian i ja z trudem za nim nadążamy. — Nie widziałem jej ani razu po tym wszystkim.

— Nie rozumiem tego — oznajmia Julian i przez chwilę robi mi się go żal. Jest w moim wieku, a mimo to o tylu rzeczach nie ma jeszcze pojęcia.

Człowiek szczur się zatrzymuje. Nie patrzy na nas, ale widzę, jak jego ramiona unoszą się westchnieniem.

— Już raz mi ją zabrali — mówi cicho. — Nie chciałem stracić jej po raz drugi.

Nachodzi mnie ochota, by położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć: „rozumiem”. Ale to słowo wydaje się miałkie i puste. Bo nigdy tak naprawdę nie będziemy w stanie zrozumieć drugiego człowieka. Możemy jedynie próbować, szukając po omacku drogi przez tunele, starając się oświetlić je pochodnią.

Nagle mężczyzna mówi:

— Jesteśmy na miejscu — i odsuwa się, a promień latarki pada na zardzewiałą metalową drabinę. I zanim przychodzą mi do głowy inne słowa, człowiek szczur wskakuje na najniższy szczebel i zaczyna się wspinać.

Wkrótce widzę, jak manipuluje przy metalowej pokrywie na samej górze. Gdy ją podnosi, blask słońca jest tak niespodziewany i oślepiający, że odwracam się z krzykiem, mrugając powiekami, a kolorowe plamki skaczą mi przed

oczami. Mężczyzna podciąga się i przechodzi przez otwór, a potem podaje mi rękę. Na samym końcu wychodzi Julian.

Wynurzamy się na wielki peron na otwartej przestrzeni. Poniżej biegną stare, zniszczone tory kolejowe, płatanina powyginanego żelaza i zbutwiałego drewna. Gdzieś niedaleko muszą schodzić do podziemnych tuneli. Sam peron upstrzony jest ptasimi odchodami. Gołębie siedzą wszędzie, na ławkach pokrytych łuszczącą się farbą, na starych koszach na śmieci, między torami. Na wyblakłym od słońca i wysmaganym wiatrem znaku musiała widnieć kiedyś nazwa stacji. Teraz jest nieczytelna, nie licząc kilku liter: H, O, B, K. Ściany zdobią stare napisy. MOJE ŻYCIE, MÓJ WYBÓR - głosi jeden. Inny zaś: BEZPIECZNA AMERYKA. Dawne hasła, dawne symbole walki między wierzącymi a niewierzącymi.

— Co to za miejsce? — pytam naszego przewodnika, który już przykucnął przy ciemnym wylocie dziury. Zarzucił na głowę kaptur, by zasłonić oczy przed słońcem, i widać, że marzy tylko o tym, aby z powrotem zanurzyć się w ciemność. Pierwszy raz mam okazję przyjrzeć mu się dokładniej i okazuje się, że jest dużo młodszy, niż myślałam. Z wyjątkiem delikatnej siatki zmarszczek w kącikach oczu jego twarz jest gładka, skóra zaś tak blada, że ma błękitnawy odcień mleka. Oczy, brązowe i zamglone, najwyraźniej nieprzyzwyczajone są do takiej ilości światła.

— To jest wysypisko — mówi i wskazuje na górę połyskujących śmieci i metalu za wysoką drucianą siatką, jakieś sto metrów dalej. - Manhattan jest po drugiej stronie rzeki.

— Wysypisko — powtarzam powoli. No tak, przecież ludzie spod ziemi muszą w jakiś sposób zdobywać

zaopatrzenie. Wysypisko śmieci nadaje się do tego idealnie: mnóstwo wyrzuconego jedzenia, mebli i innych pożytecznych rzeczy. Nagle uświadamiam sobie, że znam to miejsce. Zrywam się na równe nogi. — Wiem, gdzie jesteśmy! Niedaleko stąd jest azyl!

— Co? — Julian spogląda na mnie z konsternacją, ale jestem zbyt podekscytowana, by mu to teraz wyjaśniać. Zbiegam z peronu, osłaniając oczy przed słońcem, a z moich ust unoszą się kłęby pary. To wysypisko jest ogromne. Tack mówił mi, że ma kilkanaście kilometrów kwadratowych, obsługuje cały Manhattan i siostrzane miasta. Musimy się znajdować na jego północnym krańcu. Od bram, między ruinami zbombardowanych budynków, wije się żwirowa droga. Ten teren był kiedyś miastem. I niecałe półtora kilometra stąd znajduje się azyl. Raven, Tack i ja mieszkaliśmy tu przez miesiąc, kiedy czekaliśmy na dokumenty i szczegółowe instrukcje od ruchu oporu. W azylu będzie jedzenie, woda i ubranie. Będzie też szansa, żeby skontaktować się z Tackiem i Raven. Kiedy tam mieszkaliśmy, porozumiewaliśmy się z pozostałymi za pomocą sygnałów radiowych, a kiedy stało się to zbyt niebezpieczne, używaliśmy do tego ubrań w różnych kolorach, które wywieszaliśmy na maszcie flagowym za spaloną szkołą.

— Tu was zostawię — oznajmia człowiek szczur, już do połowy zanurzony w dziurze. Widzę, jak bardzo pragnie schować się przed słońcem, wrócić do swej kryjówki.

— Dziękujemy — mówię. Słowo to wydaje się zbyt banalne, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Nasz przewodnik kiwa głową i już ma zniknąć, kiedy Julian odzywa się:

— Nawet nie wiemy, jak masz na imię. Mężczyzna wykrzywia twarz w uśmiechu.

— Nie mam imienia.

— Przecież każdy ma — odpowiada zdziwiony Julian.

— Już nie — stwierdza tamten, uśmiechając się krzywo. — Imiona już nic nie znaczą. Przeszłość jest martwa.

Przeszłość jest martwa. Jeden z ulubionych refrenów Raven. Zasycha mi w gardle. Okazuje się, że wcale tak bardzo nie różnię się od tych ludzi.

— Uważajcie na siebie — mówi człowiek szczur i jego oczy znowu stają się zamglone. — Oni zawsze obserwują.

Następnie znika w dziurze i żelazna pokrywa się zamyka.

Przez chwilę spoglądamy na siebie z Julianem w milczeniu.

— Udało nam się — odzywa się wreszcie, uśmiechając się. Stoi w odległości kilku kroków ode mnie, a jego włosy mienią się w słońcu białym i złotym blaskiem. Za jego plecami widzę mknącego po niebie ptaka, ruchomy cień na tle błękitu. Mój wzrok przykuwają też małe białe kwiatki wyrastające ze szczelin peronu.

Nagle uświadamiam sobie, że płaczę. Szlocham z ulgi i wzruszenia. Udało nam się, a słońce wciąż świeci i świat wciąż istnieje.

— Hej. — Julian podchodzi do mnie i po chwili wahania wyciąga rękę i głaszcze mnie po plecach. — Hej, już w porządku. Już w porządku, Lena.

Kręcę głową. Chcę mu powiedzieć, że wiem i że właśnie dlatego płaczę, ale nie jestem w stanie wydusić z siebie słowa. Julian przyciąga mnie do siebie, a ja łkam w jego podkoszulek i stoimy tak przez chwilę w słońcu, tu, na

górze, gdzie takie rzeczy są nielegalne, wokół nas zaś panuje cisza, zakłócana jedynie świergotaniem ptaków i szelestem gołębi wokół pustego peronu.

Wreszcie odsuwam się od niego. Przez chwilę wydaje mi się, że dostrzegam jakieś poruszenie w załomie za starymi schodami, ale stwierdzam, że pewnie mi się przywidziało. Blask słońca jest bezlitosny. Nie chcę nawet myśleć, jak muszę teraz wyglądać. Pomimo że ludzie spod ziemi oczyścili i opatrzyli rany Juliana, jego twarz jest wciąż poznaczona siniakami. Jestem pewna, że wyglądam tak samo fatalnie, o ile nie gorzej.

Pod ziemią byliśmy sprzymierzeńcami, przyjaciółmi. Tu, na górze, czuję się nieswojo, bo nie jestem już pewna, kim dla siebie jesteśmy.

Na szczęście Julian przerywa napięte milczenie.

-A więc wiesz, gdzie się znajdujemy?

Kiwam głową.

— Wiem, kto nam może pomóc: moi ludzie.

Julian nie wzdryga się przy tych słowach. Doceniam to.

— Chodźmy więc — mówi.

Ruszamy wzdłuż torów — ja przodem, on za mną. Spłoszone gołębie podrywają się ze swych siedzisk, tworząc wokół nas huragan piór. Idziemy przez porastającą tory wysoką trawę, wypłowiałą od słońca i wciąż powleczone szronem. Ziemia jest twarda i skuta lodem, ale gdzieniegdzie przedzierają się spod niej pierwsze ślady odrodzenia: małe, skulone, zielone pączki wczesnowiosennych kwiatów.

Słońce grzeje nas w kark, lecz wiatr jest lodowaty. Żałuję, że mam na sobie tylko bluzę od dresu. Zimno przenika przez nią, łapie mnie za wnętrzności i szarpie nimi.

Wreszcie krajobraz staje się znajomy. Słońce rzuca na ziemię surowe cienie, podwajając strzeliste kształty zbombardowanych budynków. Mijamy stary drogowy uliczny, zgięty w pół, który niegdyś wskazywał drogę na Columbia Avenue. Teraz z ulicy pozostały jedynie popękane płyty betonu i oszroniona trawa, pokryte warstwą odłamków szkła, które wyglądają jak odblaskowy pył.

— Jest! — Wyrzywa mi się z piersi okrzyk. — O, tam! — I ruszam biegiem. Wejście do azylu jest niecałe dwadzieścia metrów stąd, za zakrętem.

Mimo to w mojej głowie cały czas brzęczy niepokojący alarm. Mieliśmy dużo szczęścia. Mieliśmy szczęście, że wyszliśmy na powierzchnię tak blisko azylu. Mieliśmy szczęście, że tunele nas tutaj doprowadziły. Zbyt wiele zbiegów okoliczności jak na zwykły przypadek.

Próbuję odsunąć od siebie tę myśl.

Skrećamy za róg i przede mną rozciąga się upragniony widok. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszystkie moje obawy znikają zmyte falą radości. Julian zatrzymuje się, ale ja ruszam prosto do drzwi, z naładowanymi akumulatorami, pełna nowej energii. Większość azylów — a przynajmniej tych, które widziałam — powstała w miejscach ukrytych: w podziemiach, piwnicach, schronach przeciwlotniczych i skarbcach bankowych, których nie zniszczyły bomby. Zalegliśmy się w nich jak insekty.

Natomiast ten azyl został zbudowany długo po zakończeniu blitzu. Jak powiedziała mi Raven, był jednym z pierwszych, stanowił bazę pierwszej grupy buntowników, którzy z wyszukanych na śmietniku materiałów zbudowali ten *quasi-äom*, dziwną patchworkową strukturę stworzoną z drewna, betonu, kamienia i metalu. Konstrukcja

sprawia wrażenie prowizorki, jak gdyby w każdej chwili miała się zawalić. A jednak stoi.

-No i jak? - pytam, odwracając się do Juliana. -Wchodzisz czy nie?

- Nie przypuszczałem... to niemożliwe. - Julian kręci głową, jak gdyby myślał, że śni, i próbował się obudzić. -Zupełnie nie tak to sobie wyobrażałem.

- Potrafimy zbudować coś właściwie z niczego, z resztek i śmieci — oznajmiam z dumą i w tym samym momencie przypominam sobie, jak Raven powiedziała mi niemal dokładnie to samo po mojej ucieczce, kiedy byłam chora i słaba i nie wiedziałam nawet, czy chcę umrzeć, czy żyć. Było to pół roku temu, a zarazem całe życie temu. Przez chwilę czuję przyływ smutku i żalu: za horyzontami, które znikają w tyle, za ludźmi, których zostawiamy za sobą, którzy niczym stare lalki wędrują na strych, by po jakimś czasie ostatecznie odejść w zapomnienie.

Oczy Juliana mają teraz elektryzującą barwę, wyglądają jak odbicie nieba. Chłopak odwraca się do mnie.

- Jeszcze dwa lata temu myślałem, że wszystko to: Głusza, Odmieńcy, to tylko bajki dla dzieci. - Robi dwa kroki w moją stronę i teraz stoimy bardzo blisko siebie. - Ty. Ja... nigdy bym nie uwierzył.

Wciąż dzieli nas kilka centymetrów, ale wrażenie jest takie, jakbyśmy się dotykali. Przeływa między nami energia, która likwiduje przestrzeń między naszymi ciałami.

- Jestem prawdziwa. - Pod skórą przepływają mi nerwowe drgania, niczym prąd, i czuję się w tej chwili naga i bezbronna. Tu jest zbyt jasno i zbyt cicho.

— Nie sądzę... — ciągnie Julian — nie jestem pewien, czy potrafię wrócić. — Jego oczy mają kolor morskiej głębi. Chcę odwrócić wzrok, ale nie potrafię. Mam wrażenie, że upadam.

— Nie wiem, o czym mówisz — mówię przez ściśnięte gardło.

— Chodzi mi o to, że...

Nagle z prawej strony dobiega nas głośny łoskot, jakby ktoś coś przewrócił. Julian milknie i sztywnieje. Instynktownie popycham go za siebie, w stronę drzwi, i wygrzebuję broń z plecaka. Rozglądam się. Wokół same odłamki pocisków i kamienie, zagłębienia terenu i dziury — jednym słowem: mnóstwo miejsc na kryjówkę. Włosy mi się jeżą na karku, a wszystkie zmysły wyostwiają. Oni zawsze obserwują.

Stoimy przez chwilę w nieznośnej ciszy. Wiatr szarpie po pustkowiu plastikową torbę, która wykonawszy trzy powolne obroty, zatrzymuje się na od dawna nieczynnej lampie ulicznej.

Kątem oka dostrzegam po lewej jakieś poruszenie. Odwracam się z krzykiem, ściskając broń. Gdy spomiędzy sterty pustaków wyskakuje kot, Julian oddycha z ulgą, a ja rozluźniam uścisk na broni i napięcie odpływa z mego ciała. Chudy kot, z ogromnymi oczami, przystaje, odwracając głowę w naszym kierunku, i miauczy żałośnie.

Julian delikatnie kładzie mi ręce na ramionach. Odskakuję jak oparzona.

— Przestań — upominam go i widzę, że zraniłam jego uczucia.

— Chciałem coś powiedzieć — zaczyna znowu. Czuję, że szuka mojego wzroku i chce, bym na niego spojrzała, ale

już jestem przy drzwiach, majstrując przy zardzewiałej klamce.

- Możesz to powiedzieć później - odpowiadam, napierając na drzwi, które wreszcie się poddają. Od progu uderza nas zapach pleśni i kurzu. Julian, nie mając innego wyjścia, wchodzi za mną do środka.

Boję się tego, co ma mi do powiedzenia, boję się, jakiego dokona wyboru, dokąd pójdzie. Ale jeszcze bardziej boję się tego, czego sama chcę: dla niego, a co gorsza - od niego.

Ponieważ naprawdę chcę. Nie jestem nawet pewna, czego dokładnie, ale pragnienie to tkwi we mnie głęboko, tak jak przedtem tkwiły tam gniew i nienawiść. Lecz to nie jest wieża. To bezkresny, głęboki tunel, który sięga głęboko i otwiera w środku mnie ziejącą dziurę.

WTEDY

Tack i Hunter nie byli w stanie uratować zbyt wiele z azylu koło Rochester. Bomby i pożar zrobiły swoje. Ale udało im się znaleźć kilka rzeczy cudownie ocalonych z dymiących gruzów: puszki fasoli, dodatkową broń, pułapki i, co dziwne, jedną całą czekoladę. Tack nalega, żeby jej nie ruszać, i przyczepia ją do swojego plecaka, niczym amulet na szczęście. Podczas marszu Sara nie może oderwać od niej wzroku.

I rzeczywiście wydaje się, jakby czekolada przynosiła szczęście — a może to tylko kwestia tego, że Tack i Hunter z powrotem są z nami, i tego, jak wpłynęło to na nastrój Raven. Pogoda się utrzymuje. Wciąż jest zimno, ale ze słońcem nad głową dużo łatwiej się idzie.

Fasola zapewnia nam energię do dalszego marszu, a do tego zaledwie po połowie dnia drogi od ostatniego obozowiska natykamy się pośrodku lasu na pojedynczy dom, zupełnie nienaruszony. Gdy go zbudowano, musiał

się znajdować całe kilometry od jakiejś dużej drogi. Wygląda jak pieczarka wyrastająca z ziemi: ściany porośnięte są brązowym bluszczem, gęstym jak futro, a dach jest niski i okrągły, naciągnięty jak kapelusz. Przed blizną była to zapewne chatka pustelnika, oddalona od wszystkiego i wszystkich. Nic dziwnego, że przetrwała nietknięta. Bombowce mogły ją przeoczyć, a nawet pożary nie dotarły tak daleko.

Mieszka w niej czworo dorosłych Odmieńców, którzy pozwalają nam rozbić obóz na swoim terenie. To dwóch mężczyzn i dwie kobiety, a do tego pięcioro dzieci, z których żadne nie wydaje się należeć konkretnie do którejś pary. Traktują się jak jedną wielką rodzinę, oznajmiają nam podczas kolacji. Dowiadujemy się też, że zamieszkują ten dom od dziesięciu lat. Są tak mili, że dzielą się z nami tym, co mają — bakłazanami i kabaczkami marynowanymi z czosnkiem na ostro, paskami suszonej sarniny (z łani upolowanej wczesną jesienią) i innymi rodzajami wędzonego mięsa: królikiem, bażantem, wiewiórką.

Hunter i Tack poświęcają wieczór na to, by wrócić po naszych śladach i wyciąć znaki na drzewach, żebyśmy następnego roku, kiedy będziemy migrować — o ile będziemy się jeszcze przenosić — odnaleźli to miejsce.

Rankiem, gdy przygotowujemy się do wymarszu, jedno z dzieci wybiega z domu, i to boso, mimo śniegu.

— Masz — mówi i wciska mi do ręki tobolek. W środku, zawinięte w ścierkę, znajdują się twarde, płaskie bochenki chleba (pieką go tutaj, jak podsłuchałam jedną z kobiet, nie z mąki, ale z żołądzi) i porcja suszonego mięsa.

— Dziękuję — odpowiadam, ale chłopiec już pędzi w stronę domu, pokrywając śmiechem zakłopotanie. Przez

chwilę czuję ukłucie zazdrości: że przyszło mu dorastać w tym miejscu, że żyje bez lęku, szczęśliwy. Być może nigdy nawet nie dowie się o świecie po drugiej stronie muru, o prawdziwym świecie. Dla niego w ogóle nie będzie istniał.

Ale też nie dostanie lekarstw, gdy będzie chory, i nigdy nie naje się do syta, a zimą mróz każdego ranka będzie tak dokuczliwy, że będzie go odczuwał jak cios w brzuch. I pewnego dnia — o ile ruch oporu nie zwycięży i nie przejmie władzy nad krajem — samoloty i pożary i tak go dopadną. Kiedyś to wiecznie obserwujące oko zwróci się w jego stronę, jak promień lasera niszcząca wszystko na swej drodze. Kiedyś cała Głusza zostanie zrównana z ziemią, a na jej miejscu wyrośnie miasto z betonu, schludne domy, równo przycięte ogrody, parki i lasy, świat chodzący jak w zegarku, świat z metalu, świat maszyn i ludzi działających od narodzin aż do śmierci jak trybiki w dobrze naoliwionym mechanizmie.

Podzieliwszy między siebie jedzenie, ruszamy w dalszą drogę, aż wreszcie, po kolejnych trzech dniach marszu, docieramy do mostu, który wyznacza ostatnie czterdzieści pięć kilometrów. Jest ogromny i wąski, zrobiony z długich lin i stali, skuty lodem i poczerniały od wiatru i deszczu. Wygląda jak gigantyczny owad, który stoi okrakiem nad rzeką i zanurza w wodzie patykowate nogi. Zabarykadowany został wiele lat temu, od tamtej pory służył jedynie za przejście dla przemieszczających się Odmieńców. Tak długo go nie używano, że niezgrabnie zbite drewniane deski broniące do niego wstępu prawie całkiem przegniły.

Duży zielony znak, który oderwał się z jednej strony, zwisa teraz pionowo. Napis MOST TAPPAN ZEE kołysze się na silnym wietrze, który przenika nas na wskroś, wyciska łzy z oczu i wypełnia powietrze upiornym wyciem.

Pomarszczona falami rzeka płynąca pod nami ma kolor betonu. Most biegnie nad nią tak wysoko, że kręci mi się w głowie. Czytałam kiedyś, że skok do wody z takiej wysokości człowiek odczułby jak uderzenie o kamień. Przypominam sobie wiadomość telewizyjną sprzed wielu lat o nieleczonej dziewczynie, która zabiła się w dniu swojego zabiegu, skacząc z dachu laboratorium, i to wspomnienie rodzi we mnie poczucie winy.

Myślę jednak, że tego właśnie chciałby dla mnie Alex: tej blizny na szyi (jakimś cudem świetnie zagojonej, jak prawdziwa blizna po zabiegu), węzlastych mięśni i poczucia celu. Wierzył w ruch oporu, a teraz ja wierzę weń za niego.

I może kiedyś znowu się z nim spotkam. Może naprawdę istnieje raj. I może jest otwarty dla wszystkich, nie tylko dla wyleczonych.

Ale teraz przyszłość, tak samo jak przeszłość, nie znaczy nic. Teraz istnieje dla mnie tylko ten azyl zbudowany z odpadków, na skraju zniszczonego miasta, tuż za miejskim wysypiskiem. Liczy się to, że wreszcie dotarliśmy — wygłodniali, na pół przemarznięci — do miejsca, gdzie jest jedzenie i woda, do czterech ścian, które ochronią nas przed zaciekłymi wiatrami. Właśnie to jest dla nas raj.

TERAZ

Rajem jest ciepła woda. Rajem jest mydło.

Ocalenie — tak zawsze nazywaliśmy ten azyl — składa się z czterech pomieszczeń. Są to kuchnia, duży magazyn, zajmujący chyba połowę domu, i ciasna sypialnia, w której stoją koślawe i niezgrabnie sklecone piętrowe łóżka.

Ostatnie pomieszczenie służy za łazienkę. Stare metalowe balie rozmaitych rozmiarów, niby-wanny, spoczywają na podwyższeniu wyposażonym w wielką kratę. Poniżej, na kamiennej podłodze, znajdują się kawałki zwęglonego drewna, pozostałości ognisk, które paliliśmy w zimie, by ogrzać jednocześnie pomieszczenie i wodę.

Udaje mi się znaleźć po omacku latarenkę na baterie, biore drewno ułożone w stos w kącie magazynu i rozpalam ogień, a Julian w tym czasie zwiedza resztę domu. Przynoszę wodę ze studni, choć sił starcza mi do napełnienia jedynie połowy wanny, bo potem zaczynają mi się trząść ramiona. To jednak powinno wystarczyć.

Z magazynu biorę kostkę mydła i nawet udaje mi się *znaleźć* prawdziwy ręcznik. Skóra aż mnie swędzi od brudu. Czuję go wszędzie, nawet na powiekach. Zanim zacznę się rozbierać, wołam:

— Julian?

— Tak? — słyszę z daleka jego głos. Domyślam się, że jest w sypialni.

— Zostań tam, gdzie jesteś, okej?

W łazience nie ma drzwi. Nie są potrzebne, a rzeczami niepotrzebnymi nikt z Głuszy nie zawraca sobie głowy. Następuje chwila ciszy.

— Okej — odpowiada. Zastanawiam się, co teraz myśli. Jego głos jest wysoki, nienaturalny, aczkolwiek może tylko dochodzi do mnie tak zniekształcony przez ściany z blachy i sklejk.

Kładę broń na podłodze i ściągam ubranie. Rozpinam džinsy, które ciężko spadają na ziemię. Przyglądam się swojemu ciału i wydaje mi się obce. Był czas, kiedy mimo mięśni na łydkach i udach od biegania wszędzie byłam nieco zaokrąglona. Żołądek miałam pękaty, a piersi pełne i ciężkie.

Teraz jestem płaska — sama skóra i kości. Moje piersi to dwa małe, twarde, spiczaste pagórki. Siniaki pokrywają całe ciało. Zastanawiam się, czy Alex wciąż uważałby mnie za piękną. Zastanawiam się, czy Julian uważa mnie za brzydką.

Odsuwam od siebie obie myśli — niepotrzebne, nieistotne.

Szoruję każdy fragment ciała: pod paznokciami, za uszami, w ich środku, między nogami i palcami u nóg. Namydłam włosy, nie przejmuję się, że mydło spływa mi

do oczu i piecze. Kiedy się wreszcie podnoszę, wciąż śliska od mydła jak ryba, zostawiam na wannie warstewkę brudu. Znowu się cieszę, że nie ma tu luster. Moje odbicie na powierzchni wody jest ciemne i niewyraźne, zaledwie cień mnie. Wolę nie widzieć dokładniej, jak wyglądam.

Wycieram się i zakładam czyste rzeczy: spodnie i bluzę od dresu oraz grube skarpety. Po kąpieli czuję się odświeżona i na tyle silna, że idę jeszcze raz do studni po wodę dla Juliana.

Znajduję go w magazynie, przykucniętego przed niższą półką. Ktoś zostawił tu kilkanaście książek, wszystkie od wielu lat na liście zakazanych. Julian przegląda jedną z nich.

— Teraz twoja kolej — mówię. Na dźwięk mojego głosu chłopak podskakuje i zamyka książkę z trzaskiem. Podnosi się i odwraca do mnie, a na jego twarzy maluje się poczucie winy. Potem zaś w jego oczach błyska coś dziwnego, lecz nie potrafię stwierdzić co.

— Nie przejmuj się — mówię mu. — Możesz czytać, co tylko chcesz.

— Wiesz... — zaczyna, ale tylko kręci głową. Wciąż obserwuje mnie z tym dziwnym wyrazem twarzy. Czuję, jak robi mi się gorąco. Chyba za bardzo podgrzałam wodę do kąpieli. — Pamiętam tę książkę — kończy wreszcie, ale mam wrażenie, że nie to zamierzał powiedzieć na początku. — Była w gabinecie mojego ojca. Tym drugim, tym, o którym ci opowiadałem.

Kiwam głową. Julian podnosi książkę do góry. To *Wielkie nadzieje* Dickensa.

— Nie czytałam jej jeszcze — przyznaję. — Tack zawsze powtarzał, że to jedna z jego ulubionych... — Gryzę się

w język. Nie powinnam była wspominać imienia Tacka. Zaufałam Julianowi, wpuściłam go do swojego świata, ale to mimo wszystko wciąż Julian Fineman, a siła ruchu oporu zależy od tajemnic.

Na szczęście chłopak nie podchwytuje tematu.

— Mój brat... — odkasłuje i zaczyna znowu. — Znalazłem tę książkę w jego rzeczach. Po jego śmierci. Nie wiem dlaczego. I nie wiem, czego tam szukałem.

Drogi powrotnej — myślę, ale nie mówię tego na głos.

— Zatrzymałem ją. — Julian unosi kącik ust w uśmiechu. — Wyciąłem szczelinę w materacu i chowałem ją tam przed tatą. Zacząłem ją czytać jeszcze tego samego dnia.

— Dobra jest? — pytam.

— Mnóstwo w niej nielegalnych rzeczy — odpowiada Julian powoli, jak gdyby oceniał na nowo znaczenie tego określenia. Jego spojrzenie ucieka przed moim i na chwilę zapada krępująca cisza. A potem jego oczy znów spotykają się z moimi i tym razem, gdy się uśmiecha, są pełne blasku. — Ale tak. Jest dobra. Moim zdaniem wręcz świetna.

Niespodziewanie dla samej siebie wybucham śmiechem. Po prostu sposób, w jaki to powiedział, rozładowując panujące między nami napięcie, sprawia, że wszystko staje się łatwe i możliwe do wykonania. Porwano nas, pobito, a potem ścigano, nie mamy jak wrócić do domu. Pochodzimy z różnych światów i stoimy po dwóch stronach barykady. Ale mimo to wierzę, że wszystko się ułoży.

— Nalałam ci wody do kąpieli. Pewnie już się zagrzała. Weź sobie czyste ubrania. — Wskazuję na półki z równo ułożonymi w stosy i opisanymi rzeczami: MĘSKIE KOSZULE, DAMSKIE SPODNIE, DZIECIĘCE BUTY. Robota Raven, rzecz jasna.

— Dzięki. — Julian bierze z półki nowy podkoszulek i spodnie. Po chwili wahania odkłada *Wielkie nadzieje* na miejsce. Wreszcie wstaje, przyciskając ubrania do piersi. — Tutaj nie jest tak źle, wiesz?

— Robimy, co możemy. — Wzruszam ramionami, ale w głębi duszy jestem dumna z pochwały.

Chłopak rusza w stronę łazienki. Przechodząc obok mnie, nagle się zatrzymuje. Widzę, że jego ciało sztywnieje, a potem wstrząsa nim dziwny dreszcz, który przez chwilę z przerażeniem biorę za atak. Ale wtedy Julian odzywa się:

— Twoje włosy...

— Co? — pytam, z zaskoczenia ledwo wydusiwszy z siebie to słowo.

Nie patrzy na mnie, ale wyczuwam jego napięcie, jak delektuje się tą chwilą bliskości, i przez to czuję się nawet bardziej obnażona, niż gdyby na mnie spoglądał.

— Twoje włosy pachną różami — oznajmia. Zanim zdążę mu odpowiedzieć, Julian rusza w stronę korytarza i zostaje sama, z sercem trzepoczącym w piersi.

Kiedy on się kąpie, przygotowuję dla nas kolację. Jestem zbyt zmęczona, by rozpalić w piecu, więc wykładam tylko krakersy, otwieram dwie puszki fasoli oraz po jednej z pieczarkami i z pomidorami — byle tylko nie trzeba było gotować. Jest też konserwa z wołowiną. Biorę jedynie małą puszkę, choć jestem tak głodna, że mogłabym zjeść konia z kopytami. Ale musimy zostawić coś dla innych. Taka jest zasada.

W Ocaleniu nie ma okien, w środku jest więc ciemno. Wyłączam latareнкę, żeby nie marnować baterii, a zamiast niej biorę kilka cienkich świeczek, niemal całkowicie

wypalonych, i stawiam je na podłodze. Stołu też tu nie ma. Kiedy mieszkaliśmy tu z Raven i Tackiem, po tym jak Hunter ruszył z innymi dalej na południe, do Delaware, jadaliliśmy w ten sposób co wieczór, pochyleni nad wspólnym talerzem, zderzając się kolanami, pośród cieni migoczących na ścianach. Myślę, że to był najszcześniejszy okres mojego życia, od kiedy opuściłam Portland.

Z łazienki dochodzi mnie plusk wody i mruczenie. Julian także znajduje radość w prostych przyjemnościach. Podchodzę do drzwi wejściowych i otwieram je. Słońce już zachodzi, niebo jest bladoniebieskie, poznaczone pasmami różowych i złotych chmur. Metalowe odpadki wokół domu i odłamki pocisków płoną czerwonym blaskiem. Wydaje mi się, że po lewej stronie dostrzegam jakieś poruszenie, ale to pewnie znowu kot przemykający między śmieciami.

— Na co tak patrzysz?

Obracam się, odruchowo zamykając drzwi. Nie słyszałam, jak Julian do mnie podszedł. Stał bardzo blisko. Czuję zapach jego skóry, mydlany i trochę jakby dziecięcy. Jego mokre włosy zawijają się wokół twarzy.

— Na nic — odpowiadam. Potem, by przerwać kłępujące milczenie, podczas którego Julian wpatruje się we mnie intensywnie, dodaję: — Wyglądasz prawie jak człowiek.

— I czuję się prawie jak człowiek — odpowiada i przejeżdża ręką po włosach. Ma na sobie biały podkoszulek i dżinsy, które leżą na nim jak ulał.

Cieszę się, że nie zadaje zbyt wielu pytań o azyl, o to, kiedy powstał i kto tu pomieszkuje, chociaż domyślałam się, że musi umierać z ciekawości. Zapalam świeczki, siadamy na ziemi ze skrzyżowanymi nogami i przez chwilę jesteśmy zbyt zajęci jedzeniem, żeby mówić o czymkolwiek.

Ale zaspokoiwszy pierwszy głód, zaczynamy rozmowę: Julian opowiada mi o dorastaniu w Nowym Jorku i wypytuje mnie o Portland. Dowiaduję się, że chce studiować matematykę, a ja opowiadam mu o biegach przełajowych.

Nie poruszamy tematu remedium, ruchu oporu ani AWD, ani tego, co będzie jutro - i przez godzinę, kiedy siedzimy naprzeciwko siebie na podłodze, czuję, jakby był moim prawdziwym przyjacielem. Śmieje się często, tak jak Hana. Potrafi opowiadać, a jeszcze lepiej słuchać. Czuję się przy nim dziwnie swobodnie — swobodniej nawet niż z Alekssem.

Nie chciałam robić tego porównania, ale samo się nasuwa, i wiem, że go nie odegnam, więc wstaję nagle, chociaż Julian jest w środku opowieści, i zabieram z sobą talerz. Chłopak przerywa w połowie zdania i obserwuje mnie, jak z brzękiem wkładam naczynia do zlewu.

— Wszystko w porządku? — pyta.

— W porządku — odpowiadam szorstkim tonem. Nienawidzę siebie w tej chwili, nienawidzę też Juliana i sama siebie nie rozumiem. — Jestem tylko zmęczona.

To przynajmniej jest prawda. Nagle czuję się tak zmęczona, jak chyba nigdy w życiu nie byłam. Mogłabym spać całe wieki. Chciałabym, by sen otulił mnie miękko jak śnieg.

— Poszukam dla nas koców - oznajmia Julian i podnosi się z ziemi. Wyczuwam, że chce coś powiedzieć, więc udaję, iż jestem bardzo pochłonięta zmywaniem. Nie mam odwagi teraz na niego spojrzeć.

— I jeszcze jedno - odzywa się wreszcie. — Właściwie nie miałem okazji ci podziękować. - Słyszę kaszlnięcie. -Uratowałaś mi życie, tam, w tunelach.

Wzruszam ramionami, nie odwracając się w jego stronę. Przytrzymuję się krawędzi zlewu tak mocno, że aż bieleją mi dłonie.

— Ty też uratowałeś mi życie. Tamta Hiena o mało mnie nie zadźgała.

Kiedy odzywa się znowu, poznaję po jego głosie, że się uśmiecha.

— Więc chyba uratowaliśmy się nawzajem.

Po tych słowach wreszcie zdobywam się na odwagę, by się odwrócić. Ale on zniknął już ze świeczką w korytarzu, zostawiając mnie pogrążoną w półmroku.

Julian wybrał dwa dolne łóżka i zasłał je najlepiej, jak umiał, nie do końca dopasowaną pościelą i cienkimi wełnianymi kocami. Plecak położył w nogach mojego łóżka. W pokoju jest ich kilkanaście, a mimo to on wybrał dwa tuż obok siebie. Staram się nie myśleć dlaczego. Siedzi pochylony na swoim łóżku i mocije się ze skarpetkami. Kiedy wchodzę do pokoju, spogląda na mnie, a jego twarz jest tak pełna szczęścia, że na jej widok niemal upuszczam świeczkę, która gaśnie od gwałtownego ruchu, i sypialnia pogrąża się w ciemności.

— Trafisz? — pyta.

— Tak. — Idę po omacku za jego głosem, przytrzymując się innych łóżek.

— Powoli. — Gdy go mijam, delikatnie przejeżdża mi ręką po plecach. Kładę się i przykrywam prześcieradłem i kocem. Oba śmierdzą pleśnią i trochę mysimi odchodami, ale cieszę się, że w ogóle są, bo do sypialni nie dociera już ciepło z ogniska i łazienki. Z każdym moim

wydechem w ciemność ulatują małe kłęby pary. Będzie mi trudno zasnąć. Wyczerpanie, które dopadło mnie po kolacji, zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Odczuwam mrowienie w całym ciele, teraz maksymalnie czujnym. Jestem całkowicie wsłuchana w oddech Juliana, absolutnie świadoma jego długiego ciała leżącego niemal tuż obok mojego w zupełnej ciemności. Czuję, że on też nie może zasnąć.

Po chwili odzywa się cichym, nieco zachrypniętym głosem:

— Lena?

— Tak? — Serce bije mi szybko i podchodzi do gardła. Słyszę szelest materaca, gdy Julian odwraca się twarzą do mnie. Łóżka stoją tak blisko siebie, że dzieli nas zaledwie kilkanaście centymetrów.

— Czy myślisz o nim czasem? O tym chłopaku, który cię zaraził?

W ciemności wyświetlają się obrazy: korona miedzianych włosów płonących jak jesienne liście, niewyraźna sylwetka, kształt biegnący obok mnie, postać ze snów.

— Staram się nie myśleć — odpowiadam.

— Dlaczego nie? — pyta cicho.

— Ponieważ to boli. — Rytmiczny oddech Juliana działa na mnie uspokajająco. — A ty myślisz czasem o swoim bracie?

Następuje chwila ciszy.

— Cały czas - mówi Julian. A potem dodaje: — Powiedzieli mi, że po zabiegu to minie. — I kolejna chwila ciszy. — Czy mogę ci wyznać jeszcze jeden sekret?

— Tak. — Naciągam koc ciaśniej wokół ramion. Włosy wciąż mam mokre.

- Wiedziałem, że to nie zadziała. Chodzi mi o remedium. Wiedziałem, że mnie zabije. I... i chciałem tego. -Słowa wypływają z jego ust cichym strumieniem. - Nigdy nikomu wcześniej o tym nie mówiłem.

Nagle zbiera mi się na płacz. Pragnę go chwycić za rękę. Chcę mu powiedzieć, że wszystko jest w porządku, i dotknąć ustami miękkiego płatka jego ucha. Chcę się zwinąć w kłębek obok niego, tak jak robiłam to z Alekssem, i oddychać w jego ciepłą skórę.

Tyle że to nie Alex. Nie chcesz Juliana. Chcesz Aleksa. A Alex nie żyje.

Lecz to nie do końca prawda. Juliana także pragnę. Całe ciało mnie boli. Pragnę poczuć jego pełne, miękkie usta na swoich. Poczuć jego ciepłe dłonie na swoich plecach i włosach. Chcę się w nim zatracić, rozpuścić w jego ciele, poczuć, jak moja skóra stapia się z jego skórą.

Zamykam oczy, by odpędzić od siebie tę myśl. Ale pod moimi powiekami Julian i Alex zlewają się. Ich twarze łączą się, a potem rozdzielają, a potem znowu są jednym, jak następujące po sobie obrazy odbijane w strumieniu, aż już nie jestem pewna, po którego z nich sięgam - w ciemności, w swojej głowie.

- Lena? - pyta znowu Julian, tym razem jeszcze ciszej. Moje imię w jego ustach brzmi jak muzyka. Przysunął się bliżej mnie. Czuję go, widzę długie linie jego ciała, miejsce, gdzie ciemność się odkształca. Ja też się przysunęłam, zupełnie mimowolnie. Jestem na samym skraju łóżka, tak blisko niego, jak to tylko możliwe. Ale nie odwrócę się twarzą w jego stronę. Muszę pozostać nieruchoma. Powstrzymuję ręce i nogi, staram się też powstrzymać serce.

- Tak, Julian?

- Jak to jest?

Wiem, o co mu chodzi, ale mimo to pytam:

- Jak to jest z czym?

- Z delirią. - Chwila ciszy. A potem słyszę, jak powoli zsuwa się na podłogę i przykleka między łózkami. Nie jestem w stanie poruszyć się ani oddychać. Jeśli odwrócę głowę, nasze usta będzie dzielić naprawdę niewielka przestrzeń. - Jak to jest być zarażonym?

- Nie... nie potrafię ci tego opisać. - Z trudem wypowiadam słowa. Nie mogę oddychać, o Boże, nie mogę oddychać. Jego skóra pachnie dymem z ogniska, mydłem i rajem. Wyobrażam sobie, jak smakuje. Wyobrażam sobie, jak delikatnie gryzę go w usta.

- Chciałbym się tego dowiedzieć. - Jego słowa są ledwo słyszalnym szeptem. - Chciałbym się tego dowiedzieć z tobą.

A potem jego palce muskają delikatnie moje czoło -jego dotyk również jest szeptem, najłżejszym oddechem, a ja wciąż jestem sparaliżowana, nieruchoma. Julian przebiega palcami po moim nosie i moich ustach, a ja smakuje słoność jego skóry, czuję na wardze linie papilarne jego kciuka - a potem na podbródku, wokół twarzy, aż do włosów. Jestem rozgrzana aż do białości i ten żar unieruchamia mnie, przygważdża do łóżka.

- Powiedziałem ci... - Julian przełyka ślinę. Jego głos jest teraz pełny i chrapliwy. - Powiedziałem ci kiedyś, że dawno temu widziałem dwoje całujących się ludzi. Czy mogłabyś...?

Nie kończy pytania. Nie musi. Nagle wszystkie powstrzymujące mnie więzy puszczają. Biały żar wybuchu w mojej piersi i uwalnia moje usta, i jedyne, co muszę

zrobić, to nieznacznie odwrócić głowę, a jego wargi już tam są.

I całujemy się: najpierw powoli, ponieważ on nie wie jak, a ja nie robiłam tego od zbyt dawna — od tak dawna, że mam wrażenie, jakby minęły wieki. Czuję sól, cukier i mydło. Przebiegam językiem po jego dolnej wardze, a on nieruchomieje na chwilę. Jego usta są ciepłe, pełne i cudowne. Teraz jego język wędruje po moich wargach i nagle oboje odpuszczamy. Oddychamy jedno w drugie, a on obejmuje moją twarz obiema dłońmi i płynę na fali tak czystej radości, że aż mam ochotę płakać ze szczęścia. Julian mocno przyciska pierś do mojej. Wciągnęłam go na łóżko, choć wcale nie zamierzałam, ale teraz nie chcę, by to się kończyło. Mogłabym go całować, czuć jego palce we włosach, słuchać, jak powtarza moje imię — przez wieki.

Po raz pierwszy od śmierci Aleksa odnalazłam drogę do prawdziwie wolnej przestrzeni: przestrzeni nieograniczonej murami i nieskrępowanej strachem. Czuję, jakbym szybowiała w przestworzach. A potem nagle Julian przerywa i odsuwa się.

— Lena — wyrzuca z siebie zdyszczanym, chrapliwym głosem, jakby właśnie ukończył długi bieg.

— Nie mów tego. — Wciąż mam wrażenie, że zaraz się rozplaczę. Tyle jest delikatności w całowaniu, w innych ludziach. To wszystko jest jak szkło. — Nie psuj tego.

Ale on i tak mówi:

— Co będzie jutro?

— Nie wiem. — Przyciągam jego głowę do poduszki obok swojej. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym wyczuwała w ciemności obecność kogoś jeszcze, jakąś poruszającą się postać, i obracam głowę w lewo. Nic. Może to duchy.

W głowie znów pojawia się Alex. — Nie martw się o to teraz — mówię zarówno do samej siebie, jak i do Juliana.

Łóżko jest bardzo wąskie. Odwracam się na bok, plecami do Juliana, a gdy on otacza mnie ręką, wtulam się w niego, zwijam w kłębek w krzywiznę jego ciała, które wydaje się specjalnie w ten sposób wyrzeźbione. Pragnę uciec stąd i płakać. Pragnę błagać Aleksa — gdziekolwiek jest, jakikolwiek inny świat go teraz trzyma — o przebaczenie. Pragnę pocałować Juliana raz jeszcze.

Ale nie robię żadnej z tych rzeczy. Leżę nieruchomo i czuję przez plecy równomierne bicie jego serca, dopóki moje serce również się nie uspokoi. Pozwalam, by mnie trzymał, i tuż przed zaśnięciem odmawiam krótką modlitwę, aby ranek nigdy nie nadszedł.

Ranek jednak nadchodzi. Odnajduje sobie drogę przez szczeliny w ścianach i w dachu i wraz z nastaniem mętnej szarości ciemność powoli odpływa. Moje pierwsze chwile świadomości są rozmyte: wydaje mi się, że jestem z Alekssem. Ale nie. To Julian. Czuję na sobie jego rękę, a na karku gorący oddech. Przez sen skopałam pościel — leży teraz zwinięta w nogach łóżka.

Kątem oka dostrzegam ruch w korytarzu i stwierdzam, że pewnie kot dostał się do domu. A potem narasta we mnie przekonanie, że to niemożliwe, ostatniej nocy na pewno zamknęłam drzwi na klucz - i zdjęta nagłym przerażeniem podnoszę się na łóżku.

— Julian...

Wtedy wszystko wokół eksploduje: policja i porządkowi w maskach gazowych i szarych mundurach pośród

wrzasków wlewają się przez drzwi, rozwalają ściany. Jeden z nich łapie mnie, a drugi wyciąga z łóżka Juliana, który mnie przywołuje, wyrwany nagle ze snu, ale nie słyszę nic ponad kakofonią dźwięków, ponad krzykiem, który musi wydobywać się z mojej piersi. Chwytam plecak, wciąż zwinięty w nogach łóżka, żeby uderzyć nim porządkowego, ale gdy otacza mnie kolejnych trzech, stwierdzam, że to bez sensu. Przypominam sobie, że broń zostawiłam w łazience — a więc ta możliwość obrony odpada. Ktoś ciągnie mnie za kołnierz, duszę się. Jeszcze inny porządkowy wykręca mi rękę i zakuwa w kajdanki, a potem popycha do przodu, i w ten sposób — na poły o własnych siłach, a na poły wleczona — wychodzę na zewnątrz, gdzie w jasnych promieniach słońca czeka jeszcze więcej policjantów i antyterrorystów, wszyscy z bronią i w maskach przeciwwgazowych: w bezruchu, w ciszy, w oczekiwaniu.

Przez fale zalewającej mnie paniki przedziera się jedno słowo: zasadzka. To musi być zasadzka.

— Mamy ich — oznajmia ktoś do krótkofalówki i nagle wszystko wraca do życia, zaczyna wibrować dźwiękiem: ludzie krzyczą coś do siebie, gestykują. Dwóch policjantów na motocyklach wciska gaz do dechy i w nozdrza uderza mnie smród spalin. Ze wszystkich stron atakuje mnie szum dochodzący z niezliczonych krótkofalówek.

— Dziesięć-cztery, dziesięć-cztery. Mamy ich.

— Trzydzieści kilometrów od rządowych terenów... wygląda to na ich kryjówkę.

— Jednostka 508 do bazy...

Juliana wloką zaraz za mną, w eskorcie czterech porządkowych. Jego także zakuto w kajdanki.

— Lena! Lena! — słyszę jego głos. Próbuje się odwrócić, ale idący za mną porządkowy popycha mnie do przodu.

— Nie zatrzymuj się. — Ku swojemu zaskoczeniu słyszę kobiecy głos, zniekształcony przez maskę przeciwgazową.

Na drodze, którą tu dotarliśmy, stoi sznur samochodów, a przy nich kolejne grupy policjantów i antyterrorystów. Niektórzy są w pełnym rynsztunku, ale reszta w cywilnych ubraniach. Opierają się beztrąsko o samochody, rozmawiają i popijają kawę z jednorazowych kubków. Gdy ich mijam, ledwo zaszczycają mnie spojrzeniem. Przepelnia mnie ślepa furia, mam ochotę rzucić się na nich z pięściami. Widać, że dla nich to tylko rutynowa akcja. Pod koniec dnia wrócą do domów, do swoich nieskazitelnych mieszkań i rodzin, i nawet nie wspomną w myślach o widzianej dziś dziewczynie, którą wleczono na ich oczach, prawdopodobnie na śmierć.

Widzę czarny samochód; biała, wąska twarz Thomasa Finemana obserwuje mnie beznamietnie. Gdybym miała wolne ręce, walnęłabym nimi w szybę. Chciałabym zobaczyć, jak odłamki szkła lądują na jego twarzy, przekonać się, czy wtedy będzie tak samo spokojny.

— Hej, tutaj! — Jakiś policjant macha w naszą stronę, wskazując na policyjną furgonetkę. Czarne słowa widniejące na tle lśniącej białej farby głoszą: MIASTO NOWY JORK, WYDZIAŁ WYCHOWANIA, OŚWIECENIA I NAWRACANIA. W Portland jest tylko jedno więzienie, Krypty, siedzą w nim wszyscy kryminaliści i opozycjoniści, a także wariaci, których choroba często jest skutkiem nieudanych lub zbyt wczesnych zabiegów. W Nowym Jorku i siostrzanych miastach istnieje cała sieć powiązanych z sobą zakładów karnych, z nazwą prawie tak samo

złowrogą jak ta, którą Portland nadało swojemu więzieniu: WON.

— Tutaj, tędy! — Teraz inny policjant macha na nas, byśmy podeszli do jego furgonetki. Znowu powstaje zamieszanie. Stwierdzam, że ta akcja jest dużo bardziej chaotyczna niż naloty, które do tej pory widziałam. Jest zbyt wielu ludzi. Zbyt wiele samochodów zatruwających powietrze spalinami, zbyt wiele krótkofalówek szumiących jednocześnie, zbyt wielu ludzi rozmawiających i przywołujących jeden drugiego. Słyszę, jak jakiś porządkowy i członek grupy antyterrorystycznej sprzeczą się o podział kompetencji.

Głowa mnie boli, słońce świeci mi prosto w oczy. Widzę jedynie jego oślepiający blask, metalową rzekę samochodów i motocykli oraz spaliny zamieniające powietrze w miraż, w gęsty i wibrujący dym.

Nagle wzbiera we mnie kolejna fala paniki. Nie wiem, co się stało z Julianem. Nie ma go już za mną, nie widzę go też w tłumie.

— Julian! — krzyczę, ale nikt mi nie odpowiada. Jeden z policjantów odwraca się na dźwięk mojego głosu, po czym kręcąc głową, z pogardą spluwa mi wprost pod nogi. Znowu próbuję się wyrwać, ale ręce prowadzącej mnie kobiety zaciskają się wokół moich nadgarstków jak imadło i im bardziej się wyrywam, tym mocniejszy staje się jej uchwyt.

— Julian! Julian!

Żadnej odpowiedzi. Panika przeistacza się w twardą gulę, która staje mi w gardle. Nie, nie, nie, nie. Tylko nie znowu.

— Idź dalej — słyszę ponaglający głos kobiety w masce gazowej. Popychana do przodu mijam kolejne samochody.

Porządkowy, który idzie przed nami, nawet na nas nie patrzy, zajęty rozmową przez krótkofalówkę i wyjaśnianiem z bazą, kto ma mnie zabrać. Resztkami sił próbuję stawiać opór, mimo że sposób, w jaki prowadząca trzyma mnie za rękę, wywołuje ostry ból, który promieniuje od nadgarstków aż do ramion. Zresztą wciąż jestem w kajdankach, więc nawet jeśli udałoby mi się wyrwać i puścić pędem przed siebie, nie uciekłabym za daleko.

Mimo guli w gardle i narastającej paniki rodzi się we mnie twarde postanowienie. Muszę odnaleźć Juliana. Muszę go uratować.

Ale z głębi wypływają na powierzchnię myśli dawno pogrzebane, bolesne i rozpaczliwe: tylko nie znowu to samo, tylko nie to, tylko nie to!

— Julian! — krzyczę, kopiąc jednocześnie w tył nogą, która trafia kobietę w goleń. Słyszę przekleństwo i przez chwilę jej uścisk słabnie. Ale zaraz znowu się zacieśnia. Szarpie mnie za nadgarstki tak mocno, że z jękiem odginam się do tyłu.

Gdy staram się trwać w tej pozycji, by ulżyć rękom, złapać oddech i powstrzymać łzy, kobieta nachyliła się ku mnie, a jej maska uderza mnie w uszy.

— Lena — mówi cichym głosem. — Proszę. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Jestem bojowniczką o wolność.

Na te słowa nieruchomieję: to hasło, jakim sympatycy i Odmieńcy ujawniają swoją przynależność do ruchu oporu. Przestaję się opierać i jej uścisk staje się lżejszy, choć dalej popycha mnie do przodu. Sama idzie krokiem szybkim i tak pewnym, że nikt jej nie zatrzymuje ani jej nie przeszkadza.

Przed nami widzę białą furgonetkę stojącą nad przydrożnym rowem. Na niej również widnieje napis WON, ale oznakowanie wydaje się jakieś dziwne — uświadamiam sobie, że litery są nieco za małe, aczkolwiek trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby to zauważyć. Minęliśmy zakręt na drodze. Ogromny stos powyginanego metalu i roztrzaskanego betonu chroni nas przed wzrokiem reszty służb porządkowych.

Wtedy kobieta mnie puszcza. Rusza w stronę furgonetki, wyciąga z kieszeni kluczyki i otwiera drzwi. Wnętrze samochodu jest ciemne, puste i wydziela nieco kwaśny odór.

— Do środka — mówi.

— Gdzie mnie zabieracie? — Mam już dość niepewności. Mam dość pytań bez odpowiedzi, prób rozgryzienia tajemniczych sojuszy i skomplikowanych intryg.

— Tam, gdzie będziesz bezpieczna — odpowiada i nawet maska nie jest w stanie ukryć ponaglenia w jej głosie. Nie mam wyjścia, muszę jej uwierzyć. Pomaga mi wejść do furgonetki i każe się odwrócić, po czym rozpiną mi kajdanki, wrzuca do środka mój plecak i zatrzaskuje drzwi. Serce mi skacze, gdy słyszę, jak zamyka je na klucz. Znow jestem uwięziona. Ale nic nie może być gorsze niż to, co mogłoby mnie spotkać na zewnątrz, i żołądek mi się kurczy na myśl o Julianie. Zastanawiam się, co się z nim stanie. Może — tli się we mnie iskierka nadziei — potraktują go łagodnie, ze względu na ojca. Może uznają, że po prostu popełnił błąd.

Bo to był błąd: całowanie, sposób, w jaki się dotykaliśmy. Prawda...?

Furgonetka rusza gwałtownie, a ja padam na łokieć. Podłoga trzęsie się i grzechocze, gdy samochód podskakuje

na wyboistej drodze. Staram się oszacować, ile już ujechaliśmy. Musimy być teraz blisko wysypiska, minęliśmy pewnie starą stację metra w drodze do tunelu, który prowadzi do Nowego Jorku. Po dziesięciu minutach furgonetka skręca i przystaje. Czołgam się do przodu i przyciskam ucho do pomalowanej na czarno, nieprzezroczystej szklanej szyby, która oddziela mnie od kierowcy. Słyszę głos tamtej kobiety oraz drugi, męski. Musi rozmawiać z kontrolą graniczną.

Oczekiwanie jest męczarnią. Pewnie wrzucą jej dowód do SWD. Ale sekundy upływają i rozciągają się w minuty. Kobieta milczy. Może SWD jest zapchane. Chociaż w środku jest zimno, czuję mokre plamy potu pod pachami. Czasami to trochę trwa.

A potem wraca tamten mężczyzna i warkliwym głosem wydaje jakieś polecenie. Silnik gaśnie i zapada nagła, niepokojąca cisza. Drzwi od strony kierowcy otwierają się i zatrząskują, kołysząc lekko furgonetką.

Dlaczego ona wysiada? W głowie kłębią mi się czarne myśli: jeśli należy do ruchu oporu, może została rozpoznana i zatrzymana; zaraz potem odnajdą mnie lub — i sama nie wiem, co jest gorsze — nie znajdą mnie; zostanę tu na zawsze, umrę z głodu albo się uduszę. Czuję, że nie mam czym oddychać. Powietrze jest gęste i ciężkie. Czuję też, jak pot zbiera mi się na czubku głowy i spływa po szyi.

Aż wreszcie drzwi od strony kierowcy otwierają się, silnik wraca do życia i furgonetka rusza. Oddycham z ulgą, która niemal przeradza się w szloch. Teraz, jak przypuszczam, wjechaliśmy do tunelu pod rzeką Hudson: w długą, czarną gardziel, w której rozbrzmiewają echa wilgotnej przestrzeni. Wyobrażam sobie płynącą nad

nami rzekę upstrzoną plamkami szarości. Myślę o oczach Juliana, które zmieniały kolor niczym woda odbijająca światło.

Rzuca mną, gdy samochód wjeżdża w dziurę, a potem wczolęguję się wyżej i nasłuchuję. Z zewnątrz dobiegają mnie sporadyczne dźwięki ruchu ulicznego: odległe wycie syren, beczący w pobliżu klakson. To musi być Nowy Jork. Pewnie furgonetka zatrzyma się lada chwila. Za każdym razem, gdy przystajemy, nastawiam się, że drzwi zaraz się rozsuną i kobieta w masce — choć twierdziła, że jest po mojej stronie — zaciągnie mnie do WON, jednak mija kolejne dwadzieścia minut, a my wciąż jedziemy. Przestałam już zgadywać, gdzie jesteśmy. Zamiast tego zwijam się w kłębek na brudnej podłodze wibrującej mi pod policzkiem. Wciąż jest mi niedobrze. W powietrzu czuć zapach potu i zepsutego jedzenia.

Wreszcie furgonetka zwalnia i w końcu się zatrzymuje. Siadam, a serce wali mi w piersi. Dociera do mnie krótka wymiana zdań — kobieta mówi coś, jednak nie słyszę jej słów, a ktoś inny odpowiada: „teren czysty”. Potem zaś następuje potężne skrzypnięcie, jakby zawiasów starych drzwi. Samochód toczy się dalej kolejne kilka metrów i znowu się zatrzymuje. Silnik gaśnie. Słyszę, że kierowca wychodzi z samochodu, i w napięciu ściskam plecak, przygotowana do walki albo ucieczki.

Drzwi od furgonetki otwierają się i wysuwam się z niej ostrożnie. Rozglądam się wokół z rozczarowaniem. Miałam nadzieję, że otoczenie da mi jakieś wskazówki, dlaczego zostałam porwana i przez kogo. Tymczasem znajduję się w szarym pomieszczeniu, w którym nie ma nic oprócz betonu i gołych stalowych belek. Z jednej strony widzę

ogromne podwójne drzwi, na tyle szerokie, by mogła się w nich zmieścić furgonetka, po przeciwnej zaś znajdują się drugie, metalowe i pomalowane na ten sam szary kolor co wszystko wokół. Przynajmniej widzę światło elektryczne, a to znaczy, że jesteśmy w mieście albo gdzieś blisko niego.

Kobieta zdjęła maskę przeciwgazową, ale wciąż ma na głowie nylonową kominiarkę z wyciętymi otworami na usta, nos i oczy.

— Co to za miejsce? — pytam, podnosząc się i zakładając plecak. — Kim jesteś?

Nie odpowiada, tylko obserwuje mnie uważnie. Oczy ma szare, koloru nieba podczas burzy. Nagle wyciąga rękę, jak gdyby chciała dotknąć mojej twarzy. Odskakuję w tył, wpadając na samochód. Ona także cofa się i zaciska rękę w pięść.

— Zaczekaj tutaj — mówi. Odwraca się i już rusza w stronę drzwi, przez które wjechaliśmy, kiedy łapię ją za nadgarstek.

— Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. — Mam już dość gładkich ścian, zamkniętych pomieszczeń, masek i gier. Pragnę odpowiedzi. — Chcę wiedzieć, jak mnie znalazłaś i kto cię po mnie przysłał.

— Nie jestem osobą, która może odpowiedzieć na twoje pytania — mówi i stara się uwolnić z mojego uścisku.

— Zdejmij kominiarkę. — Przez krótką chwilę wydaje mi się, że w jej oczach błyska strach.

— Puść mnie. — Jej głos jest cichy, ale stanowczy.

— Nie, to nie. Sama ją zdejmę.

Wyciągam rękę. Kobieta próbuje mnie odepchnąć, ale jestem szybsza. Udaje mi się podciągnąć róg materiału i odsłonić szyję, na której od ucha biegną pionowo w dół

wytatuowane drobne cyfry: 5996. Ale zanim mam szansę bardziej uchylić kominiarkę, kobieta chwyta mnie mocno za nadgarstek i odsuwa moją rękę.

— Lena, proszę — mówi błagalnym głosem.

— Przestań zwracać się do mnie po imieniu! — Gniew wzbiera mi w piersi. Kim ona jest, że pozwala sobie na taką poufałość? Próbuję ją uderzyć plecakiem, ale się uchyła. Gdy zamierzam ponowić próbę, drzwi za moimi plecami otwierają się i do pomieszczenia wkracza... Raven.

— Raven! — Ruszam pędem w jej stronę i zarzucam jej rękę na szyję. Nigdy wcześniej nie pozwoliłyśmy sobie na taką poufałość. Raven pozwala mi się ścisnąć przez kilka chwil, po czym się odsuwa. Uśmiecha się szeroko.

— Cześć, mała. — Przebiega palcami wzdłuż rany na mojej szyi i ogląda twarz w poszukiwaniu innych obrażeń. — Wyglądasz koszmarnie.

Za nią, oparty o framugę, stoi Tack. On również się uśmiecha i jego także mam ochotę uściskać. Jednak się powstrzymuję. Podchodzę doń tylko i ściskam wyciągniętą rękę.

— Witaj w domu, Lena — mówi z ciepłem w oczach.

— Nie rozumiem. — Zalewają mnie fale oszałamiającego szczęścia i ulgi. — Jak mnie znaleźliście? Skąd wiedzieliście, gdzie będę? Ona nie chciała mi nic powiedzieć, a ja... — Odwracam się, wskazując ręką w stronę kobiety, tyle że ona już zniknęła. Musiała wyjść drugimi drzwiami.

— Spokojnie, spokojnie — śmieje się Raven i obejmuje mnie ramieniem. — Najpierw coś zjedz, okej? Pewnie jesteś zmęczona? — Mijamy Tacka i wychodzimy drugimi drzwiami. To miejsce wygląda na opuszczony magazyn.

Przez cienkie ścianki działowe dobiegają mnie też inne głosy, rozmowy i śmiechy.

— Zostałam porwana — zaczynam i teraz słowa wylewają się ze mnie strumieniem. Muszę im opowiedzieć o wszystkim. Oni na pewno będą w stanie to zrozumieć, wyjaśnić i ułożyć w sensowną całość. — Po manifestacji pobiegłam za Julianem do podziemi metra. Były tam Hieny i zaatakowały mnie, tyle że wydaje mi się, że musiały współpracować z AWD, i...

Raven i Tack wymieniają znaczące spojrzenia.

— Posłuchaj, Lena — mówi Tack uspokajającym tonem. — Wiemy, że dużo przeszłaś. Teraz pora na relaks. Jesteś już bezpieczna. Musisz się najeść, odpocząć.

Znajdujemy się teraz w pomieszczeniu, w którym na centralnym miejscu stoi duży metalowy składany stół. Na nim leży jedzenie, którego nie widziałam od wieków: chleb, ser, świeże owoce i warzywa. To najcudowniejszy widok pod słońcem. A do tego pachnie tu dobrą i mocną kawą.

Jednak nie jestem jeszcze w stanie usiąść i jeść. Najpierw muszę się wszystkiego dowiedzieć. I chcę, żeby oni się dowiedzieli — o Hienach, o ludziach, którzy żyją pod ziemią, o porannej obławie, o Julianie.

Nagle nachodzi mnie myśl, której uczepiam się jak ostatniej deski ratunku: pomogą mi go uratować.

— Ale... — Gdy próbuję protestować, Raven mi przerywa, kładąc rękę na moim ramieniu.

— Tack ma rację, Lena. Teraz najważniejsze jest, żebyś odzyskała siły. W drodze będziemy mieć mnóstwo czasu na rozmowy.

— W drodze? — powtarzam, wodząc wzrokiem od Raven do Tacka. Oboje uśmiechają się tak dziwnie, że serce

zaczyna mi trzepotać w piersi. To rodzaj wyrozumiałego uśmiechu, jaki lekarze posyłają dzieciom, gdy mają im zaaplikować bolesny zastrzyk: „a teraz przez chwilę lekko zapieczę”...

- Jedziemy na północ - mówi Raven nienaturalnie radosnym tonem. - Wracamy do azylu, ale nie do naszego starego. Spędzimy lato niedaleko Waterbury. Hunter się

o nim dowiedział. To duża osada na północnych krańcach miasta, po drugiej stronie jest wielu sympatyków i...

Czuję mętlik w głowie.

- Wyjeżdżamy? - mówię oszołomiona, a Raven i Tack znowu wymieniają spojrzenia. - Nie możemy teraz wyjechać.

- Nie mamy innego wyjścia - oznajmia Raven i czuję, jak w piersi wzbiera mi gniew, tym bardziej że dalej mówi to tym pobłażliwym tonem, jak gdyby zwracała się do dziecka.

- Nie — kręcę głową, zaciskam ręce w pięści i przyciskam je do ud. - Nie. Nie rozumiecie mnie? Wszystko wskazuje na to, że Hieny współpracują z AWD. Zostałam porwana razem z Julianem Finemanem. Przez wiele dni trzymali nas zamkniętych w podziemiu...

- Wiemy o tym - oznajmia Tack, ale jego słowa nie są w stanie zatrzymać potoku słów, które wylewam z siebie, napędzana furją.

- Wydostaliśmy się stamtąd przemocą. Oni... oni mało mnie nie zabili. To Julian mnie uratował. - Gula z żołądka podchodzi mi do gardła. - A teraz tamci mają Juliana

i kto wie, co mu robią. Pewnie zaciągną prosto do laboratorium, a może wtrącą do więzienia i...

— Lena. — Raven kładzie mi ręce na ramionach. — Uspokój się.

Łatwo jej mówić. Cała się trzęsę z wściekłości i lęku o Juliana. Nie wiem, jak im wytłumaczyć, jakie to ważne.

— Musimy coś zrobić. Musimy mu pomóc. Musimy...

— Lena. — Raven potrząsa mną, a jej głos staje się ostrzejszy. — Wiemy o Hienach, jasne? Wiemy, że współpracują z AWD. Wiemy wszystko o Julianie i o tym, co wydarzyło się pod ziemią. Czekaliśmy przy wszystkich wyjściach z tuneli. Spodziewaliśmy się tam ciebie już kilka dni wcześniej.

Po tych słowach wreszcie milknę, a Raven i Tack przestają się uśmiechać, za to spoglądają na mnie z jeszcze większą litością.

— O czym ty mówisz? — Cofam się od Raven chwiejnym krokiem. Kiedy Tack odsuwa krzesło od stołu, opadam na nie ciężko. Jako że żadne z nich nie odpowiada od razu, dodaję: — Nie rozumiem.

Tack siada naprzeciwko mnie. Wbija wzrok w swoje dłonie, a potem zaczyna powoli:

— Ruch oporu wie już od jakiegoś czasu, że Hieny są opłacane przez AWD. Dostali kasę za pokazówkę, którą odwalili na manifestacji.

— Przecież to nie ma sensu. — Czuję, jak mój umysł zasnuwa gęsta mgła. W głowie mam kompletny zamęt. Przypominają mi się krzyki, strzały, połyskujące noże Hien.

— Ależ ma sens. To wszystko jest doskonale przemyślane — odzywa się Raven, założywszy ręce na piersi. — Nikt w Zombielandzie nie odróżnia Hien od reszty Odmieńców. Dla nich wszyscy jesteśmy tacy sami. Więc Hieny

zachowują się jak zwierzęta, a AWD pokazuje całemu krajowi, jak straszni jesteśmy bez remedium, jak ważne jest, by wszystkich jak najszybciej uleczyć z delirii. W przeciwnym razie świat jest skazany na zagładę, a Hieny są na to dowodem.

- Ale... - Myślę o tamtym dniu, o twarzach wykrzywionych krzykiem. - Tam przecież zginęli ludzie.

- Dwieście osób - mówi cicho Tack. Wciąż na mnie me patrzy. - Ponad dwudziestu policjantów. Reszta to cywile. Nikt nie trudził się liczeniem zabitych Hien. - Wzrusza ramionami szybkim, konwulsyjnym ruchem. - Czasem trzeba poświęcić kilka jednostek dla zdrowia całego społeczeństwa. - To słowa żywcem wyjęte z ulotki AWD.

- Aha. - Ręce mi się trzęsą, więc chwytam się kurczowo krzesła. Wciąż mam problemy z jasnym myśleniem. -Rozumiem. I co z tym teraz zrobimy?

Oczy Raven biegną w stronę Tacka, ale on nie podnosi głowy.

- Już zrobiliśmy, Lena - oznajmia ona wciąż tym samym tonem, jak gdyby mówiła do dziecka, i znowu czuję ukłucie w piersi. Chcą mi coś przez to powiedzieć, i to coś, co na pewno mi się nie spodoba.

- Nie rozumiem - mówię głuchym głosem. Następuje chwila ciężkiej ciszy. A potem Tack wzdycha i odzywa się do Raven przez ramię:

- Mówiłem ci, trzeba ją było wtajemniczyć w to od samego początku. Powinniśmy byli jej zaufać.

Raven nic nie odpowiada. Dostrzegam, że jej szczeka nieznacznie drgnęła. I nagle przypominam sobie scenę sprzed kilku tygodni w naszym domu, kiedy zeszałam na dół i trafiłam na ich kłótnię:

— Nie rozumiem tylko, dlaczego nie możemy być wobec siebie szczerzy. W końcu jesteśmy po tej samej stronie.

— Wiesz, że to niewykonalne, Tack. Tak będzie lepiej. Musisz mi zaufać.

— I ty mówisz o zaufaniu? To przecież ty masz z tym problem...

Kłócili się wtedy o mnie.

— Wtajemniczyć w co? — Trzepotanie serca w piersi staje się teraz ciężkim dudnieniem, bolesnym i ostrym.

— No dalej — zwraca się Raven do Tacka. — Jeśli tak bardzo chcesz jej powiedzieć, nie krępuj się. — Mówi to uszczypliwym tonem, ale wyczuwam, że gdzieś głęboko w środku się boi. Boi się mnie i tego, jak zareaguję.

— Co ma mi powiedzieć? — Dłużej już nie wytrzymam tych tajemniczych spojrzeń i nieprzeniknionej sieci półsłów.

Tack przejeżdża ręką po czole.

— No dobra, posłuchaj — mówi szybko, jakby chciał mieć to już za sobą. — To nie był przypadek, że ty i Julian zostaliście złapani przez Hieny. Ani pomyłka. To było zaplanowane.

Fala gorąca podchodzi mi do szyi. Oblizuję wargi.

— Kto to zaplanował? — pytam, chociaż przecież wiem: to musiało być AWD. Sama więc odpowiadam na swoje pytanie: - AWD.

W tym samym momencie Tack z grymasem mówi: -My.

Zapada dzwoniąca w uszach cisza. Odliczam sekundy: raz, dwa, trzy, cztery... Biorę głęboki wdech, zamykam oczy i znowu je otwieram.

— Co? — pytam z niedowierzaniem. Tack czerwieni się.

— My to zrobiliśmy. Ruch oporu zaplanował to wszystko. Znowu cisza. Czuję w gardle i w ustach pył.

— Nie... nie rozumiem.

Tack znowu odwraca wzrok. Przesuwa palcem wzdłuż krawędzi stołu, tam i z powrotem.

— Zapłaciliśmy Hienom, żeby schwytały Juliana. To znaczy ruch oporu zapłacił. Ktoś z samej góry udawał przedstawiciela AWD, chociaż to pewnie nie miało większego znaczenia. Hieny dla pieniędzy robią wszystko, a to, że dostawali je przez jakiś czas od AWD, nie oznaczało, że nie mógł ich kupić ktoś inny.

— Julian... — powtarzam. Odrętwienie obejmuje całe moje ciało. — A co ze mną?

Tack waha się przez ułamek sekundy.

— Dostali też pieniądze za schwytanie ciebie. Powiedziano im, że jest dziewczyna, która śledzi Juliana, i że mają schwytać was oboje.

— I myśleli, że dostaną za nas okup — dopowiadam. Tack kiwa głową. Mój głos brzmi obco, jakby dochodził z daleka. Ciężko mi się oddycha. Udaje mi się tylko wyrzucić z siebie: — Ale dlaczego?

Raven, przez cały czas stojąca nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ziemię, nagle wybucha:

— O co ci chodzi? Przecież tak naprawdę nic ci nie groziło. Hieny wiedziały, że nie dostaną kasy, jeśli coś ci się stanie.

Przypomina mi się kłótnia, którą podsłuchałam w tunelu, głos namawiający albinosa, by trzymać się pierwotnego planu, sposób, w jaki chcieli wydostać od Juliana

informację o kodach bezpieczeństwa. Hieny traciły cierpliwość. Chciały pieniędzy wcześniej.

— Nic mi nie groziło? — powtarzam z niedowierzaniem. Teraz Raven również unika mojego wzroku. — Przecież... przecież o mało mnie nie zabili. — Gniew w mojej piersi rozciąga gorące macki. — Nie mieliśmy co jeść. Zaatakowano nas. Juliana pobili niemal na śmierć. Musieliśmy walczyć...

— I udało wam się. — Wreszcie Raven podnosi wzrok i ku mojemu przerażeniu widzę, że w jej oczach błyszczy satysfakcja. Wygląda na szczęśliwą. — Uciekłaś i Julian też dzięki tobie wyszedł z tego cało.

Na jakiś czas odbiera mi mowę. Płonę, cała płonę, gdy uderza we mnie prawdziwe znaczenie tego, co się stało.

— To... to wszystko to był test?

— Nie — mówi twardo Tack. — Nie, Lena. To dużo bardziej skomplikowane. Po części chodziło i o to, ale...

Odsuwam się od stołu i odwracam od nich. Chciałabym się zwinąć w kłębek. Mam ochotę krzyczeć albo w coś uderzyć.

— Najważniejszy był cel twojej misji. To, w czym nam pomogłaś. I upewniliśmy się najpierw, że nic ci nie grozi. Mamy pod ziemią swoich ludzi. Mieli przykazane, że mają nad tobą czuwać.

Człowiek szczur i Moneta. Nic dziwnego, że nam pomogli. Zapłacono im za to.

Nie jestem w stanie wydusić z siebie ani słowa więcej. Z trudem przełykam ślinę. Całą moją energię pochłania wysiłek, by ustać na nogach. Powstrzymywane uczucia, strach, ochroniarze, których zabito w metrze — to wszystko wina ruchu oporu. Nasza wina. Test.

Raven odzywa się znowu, tym razem przymilnym tonem, jak akwizytor próbujący namówić na zakup swojego towaru.

— Zrobiłaś dla nas fantastyczną rzecz, Lena. Pomogłaś ruchowi oporu na więcej sposobów, niż to sobie wyobrażasz.

— Nie zrobiłam niczego — rzucam ze złością.

— Zrobiłaś bardzo dużo. Julian był niezwykle ważny dla AWD. Był symbolem wszystkiego, co znaczy ta organizacja. Szefem sekcji młodzieżowej. To oznacza sześćset tysięcy ludzi, którzy zostali teraz bez wsparcia, ludzi młodych, niewyleczonych. Nieprzekonanych.

Krew ścina mi się w żyłach. Odwracam się powoli. Widzę, że Tack i Raven spoglądają na mnie z nadzieją, jak gdyby oczekiwali, że mi to pochlebi.

— Co Julian ma z tym wspólnego? — pytam.

I znowu wymieniają znaczące spojrzenia. Tym razem jestem w stanie odczytać, co myślą: jestem oporna, nie chcę niczego pojąć, choć do tej pory powinnam była już wszystko zrozumieć.

— Ma, i to mnóstwo - odpowiada Raven. Siada przy stole obok Tacka. Oboje odgrywają rolę cierpliwych rodziców, ja zaś jestem nastolatką z problemami. Moglibyśmy właśnie omawiać oblany egzamin. — Jeśli Julian przestanie być członkiem AWD, jeśli zostanie wyrzucony...

- A jeszcze lepiej, jeśli sam odejdzie — wtrąca Tack, a Raven rozkłada ręce, jakby chciała powiedzieć: „no właśnie”.

— Tak czy owak — mówi dalej — czy zostanie wyrzucony, czy sam odejdzie, będzie to potężny sygnał dla wszystkich nieleczonych, którzy za nim podążali lub widzieli

w nim swojego przywódcę. Mogą zrewidować swoje poglądy, a przynajmniej część z nich. Mamy możliwość przeciągnięcia ich na naszą stronę. Pomyśl o tym, Lena. To może się okazać przełomowym wydarzeniem, może odwrócić losy całego ruchu oporu.

Mój umysł działa na zwolnionych obrotach, jak gdyby pogrążył się w gęstej, lodowatej mgle. Zatem dzisiejszy nalot został zaplanowany. Przyszło mi do głowy, że to zasadzka, i się nie myliłam. Stał za tym ruch oporu. Musieli dać cynk policji i porządkowym. Zdradzili lokalizację jednego ze swoich azylów tylko po to, by złapać Juliana.

A ja im w tym pomogłam. Przypomina mi się twarz jego ojca za szybą czarnego samochodu: ściągnięta, ponura, zdeterminowana. Przypomina mi się historia, którą opowiedział mi Julian o swoim starszym bracie — jak ojciec zamknął go w piwnicy, rannego, jak zostawił go na pastwę losu, pozwolił, by skonał samotnie w ciemności. I to tylko za udział w demonstracji.

Julian znalazł się ze mną w łóżku. Nie wyobrażam sobie, co go za to czeka.

Wzbiera we mnie czarna fala. Zamykam oczy i widzę twarze Aleksa i Juliana, które łączą się z sobą i rozdzielają, tak jak w moim śnie. To znowu się dzieje. To znowu się dzieje i znowu jest to moja wina.

— Lena? — Słyszę szuranie odsuwanej od stołu krzesła i nagle Raven wyrasta obok mnie, oplatając mi ręką ramiona. — Wszystko w porządku?

— Dobrze się czujesz? Przynieść ci coś? — pyta z troską Tack.

Strząsam z siebie dłoń Raven.

— Trzymaj ręce przy sobie.

— Lena, no co ty — mówi tym samym przymilnym głosem i znowu wyciąga rękę.

— Powiedziałam: ręce przy sobie. — Odsuwam się od niej tyłem, potykam i uderzam o krzesło.

— Przyniosę wody — oznajmia Tack, wstaje od stołu i rusza w stronę wyjścia na korytarz, który musi prowadzić do innych pomieszczeń. Przez chwilę słyszę pomruk konwersacji i chór serdecznych powitań. A potem nastaje cisza.

Ręce mi się trzęsą do tego stopnia, że nie potrafię ich nawet zacisnąć w pięść. Gdyby nie to, chyba uderzyłabym Raven w twarz.

— Rozumiem twoją wściekłość — wzdycha. — Może i Tack miał rację. Może powinniśmy byli zdradzić ci plan od samego początku. — W jej głosie słychać zmęczenie.

— Wy... wy mnie wykorzystaliście — wyrzucam z siebie.

— Mówiłaś, że chcesz pomóc.

— Ale nie w ten sposób.

— Tu się nie wybiera. — Raven znowu opada na krzesło i kładzie ręce płasko na stole. — To nie działa w ten sposób.

Czuję, że chciałaby, żebym już odpuściła, żebym usiadła spokojnie i spróbowała ich zrozumieć. Ale nie mogę, i nie zrobię tego.

— A co z Julianem? — Zmuszam się, by spojrzeć na Raven, i mam wrażenie, że się krzywi.

— To nie jest twój problem. — Jej głos staje się nieco ostrzejszy.

— Tak? — Przypominają mi się palce Juliana przesuwające się po moich włosach, ciepło otaczających mnie ramion, jego szept: „Chciałbym się tego dowiedzieć. Chciałbym się tego dowiedzieć z tobą”. — A jeśli chcę, żeby on był moim problemem?

Raven i ja przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Widzę, że jej cierpliwość powoli się wyczerpuje. Jej usta, zaciśnięte za złością, tworzą równą linię.

— Nic nie możesz zrobić. Nie rozumiesz? Lena Morgan Jones już nie istnieje. Puf. Zniknęła. Nie ma dla niej powrotu. Nie ma powrotu dla ciebie. Twoja robota skończona.

— Więc pozwolicie, żeby zabili Juliana? Albo wtrącili do więzienia?

Raven znowu wzdycha, jak gdybym była rozpieszczonym dzieckiem strojącym fochy.

— Julian Fineman jest szefem młodzieżówki AWD...

— Wiem to wszystko — przerywam jej. — Powtarzałaś mi to mnóstwo razy, nie pamiętasz? No i co z tego? Chcecie go poświęcić dla naszej sprawy?

Raven spogląda na mnie w ciszy, z rezygnacją.

— Jesteś tak samo podła jak oni — wyrzucam przez ściśnięte furią gardło, w którym utknął ciężki kamień obrzydzenia. Oto kolejne motto AWD: „Niektóre jednostki muszą umrzeć dla zdrowia całości”. Staliśmy się więc tacy jak oni.

Raven podnosi się i rusza w stronę korytarza.

— Nie powinnaś się obwiniać, Lena — mówi. — Przecież wiesz, że prowadzimy wojnę.

— Nie rozumiesz? — odparowuję jej tymi samymi słowami, których użyła dawno temu, w naszym azylu, po śmierci Miyako. — Nie możesz mi dyktować, co mam czuć.

Raven kręci głową i widzę błysk litości w jej oczach.

— Ty... ty go chyba naprawdę polubiłaś? Juliana?

Nie potrafię odpowiedzieć. Jestem w stanie jedynie kiwnąć głową.

Raven pociera czoło zmęczonym gestem i znowu wzdycha. Przez chwilę wydaje mi się, że zmięknie, że zgodzi się mi pomóc, i czuję iskierkę nadziei.

Ale gdy znowu na mnie spogląda, jej twarz jest kamienna, pozbawiona emocji.

— Jutro wyruszamy na północ — oznajmia tylko, ucinając rozmowę. Julian zginie za naszą sprawę, a my, dumni z siebie, będziemy śnić o zwycięstwie: o nadciągającej jutrzence koloru krwi.

Reszta dnia upływa mi na niczym. Snuję się z kąta w kąt, widzę kierujące się w moją stronę wyczekujące, uśmiechnięte twarze, które jednak odwracają się szybko, kiedy widzą, że nie zwracam na nie uwagi. Pewnie wszyscy ci ludzie należą do ruchu oporu. Rozpoznaję tylko jednego z nich, faceta w wieku Tacka, który zjawił się raz w Ocaleniu, żeby dostarczyć nam nasze nowe dokumenty. Szukam kobiety, która mnie tu przywiozła, ale nie widzę nikogo, kto by ją przypominał, nie słyszę też nikogo, kto by mówił w podobny sposób jak ona.

Snuję się i słucham. Wnioskuje, że jesteśmy trzydzieści kilometrów na północ od Nowego Jorku i na południe od miasta o nazwie White Plains. Pewnie od nich właśnie podkradamy elektryczność: mamy światło, radio, nawet ekspres do kawy. W jednym z pokoi leży stos namiotów i zwiniętych śpiworów. Tack i Raven przygotowali nas już do wyprowadzki. Nie mam pojęcia, ilu członków ruchu do nas dołączy. Przypuszczalnie przynajmniej kilku z nich zostanie. Pomijając składany stół i krzesła oraz pokój pełen łóżek polowych, w ogóle nie ma tu mebli. Radio i ekspres

do kawy leżą bezpośrednio na betonowej podłodze pośrodku płataniny kabli. Radio jest włączone przez większość dnia, jego trajkotanie przenika przez ściany i gdziekolwiek się udać, nie da się przed nim uciec.

— Julian Fineman... szef młodzieżowej sekcji Ameryki Wolnej od Delirii i syn przewodniczącego organizacji...

— ... sam padł ofiarą choroby...

W każdej stacji jest to samo, wszystkie opowiadają tę samą historię.

— ... odnaleziony dzisiaj...

— ... obecnie przebywa w areszcie domowym...

— ... Julian zrezygnował ze stanowiska i odmówił przyjęcia remedium...

Rok temu o czymś takim nawet by nie wspomniano. Sprawa zostałaby zatuszowana, tak samo jak stało się po śmierci z bratem Juliana, którego istnienie było bez wątplenia powoli i systematycznie wymazywane z publicznych archiwów. Ale wszystko zmieniło się od Incydentów. Raven ma rację co do jednego: teraz to jest wojna, a armie potrzebują symboli.

— ... Komisja Regulacyjna Nowego Jorku zwołana w trybie pilnym wydała natychmiastowe orzeczenie... Wyrok zostanie wykonany przez podanie śmiertelnego zastrzyku jutro o dziesiątej rano...

— ... niektórzy uznali podjęte kroki za zbyt drastyczne... Odzywają się głosy protestu przeciwko AWD i KRNJ...

Pograżam się w apatii, nie jestem w stanie nic więcej czuć. Gniew odpłynął, tak jak poczucie winy. Jestem zupełnie odrętwiała. Julian jutro umrze. A ja się do tego przyczyniłam.

Taki był plan od samego początku. Marną pociechę daje myśl, że jeśli zostałby poddany zabiegowi i tak pewnie by umarł. Moje ciało jest zimne jak lód, przemarznięte do szpiku kości. W którymś momencie ktoś musiał mi podać bluzę od dresu, ponieważ mam ją na sobie. Ale i tak nie jest w stanie mnie ogrzać.

— ... oficjalne oświadczenie Thomasa Finemana...

— ... AWD popiera decyzję Komisji Regulacyjnej. Nasz kraj znajduje się teraz na zakręcie historii i nie może dłużej tolerować tych, którzy chcą nas skrzywdzić... musimy ustanowić precedens...

To prawda. AWD i rząd nie mogą sobie dłużej pozwolić na pobłażliwość. Ruch oporu staje się zbyt potężny. Rośnie w siłę — pod ziemią, w tunelach i norach, w ciemności, gdzie panoszy się wilgoć i chłód, a więc tam, gdzie władza już nie sięga. Dlatego urządują dla nas wszystkich krwawą pokazówkę, publicznie, w świetle dnia.

Przy kolacji wreszcie udaje mi się coś przełknąć i chociaż dalej nie mogę patrzeć na Raven i Tacka, wiem, iż uznali moje jedzenie za znak, że zmiękłam. Zachowują się nienaturalnie radośnie, zbyt głośno, opowiadają dowcipy i zabawne historyjki kilku innym osobom zgromadzonym przy stole. A tymczasem głos z radia sączy się przez ściany jak syk węża:

— Ani Julian, ani Thomas Fineman nie wydali żadnych nowych oświadczeń...

Po kolacji udaję się do drewnianego wychodka usytuowanego kilkanaście metrów od głównego budynku, do którego wiedzie krótki pas potłuczonych płyt chodnikowych. To pierwszy raz, kiedy wychodzę na zewnątrz i mam okazję rozejrzeć się po okolicy. Mieszkamy w czymś

w rodzaju starego magazynu, który znajduje się na końcu długiej, krętej betonowej drogi otoczonej z obu stron lasem. Na północy widzę migoczące światła miasta: to musi być White Plains. A na południu, na tle różowawego wieczornego nieba dostrzegam mglisty, rozproszony blask, sztuczną koronę światel — Nowy Jork. Musi być około siódmej wieczór, a więc jeszcze przed godziną policyjną i obowiązkowym wyłączeniem prądu. Julian gdzieś tam jest, między tymi światłami, w tej gęstwinie ludzi i budynków. Zastanawiam się, czy się boi. Zastanawiam się, czy myśli o mnie.

Wiatr jest zimny, ale przynosi z sobą zapach tającej ziemi i młodych roślin, zapach wiosny. Myślę o naszym mieszkaniu na Brooklynie — pewnie już spakowanym, a może splądrowanym przez porządkowych i policję. Lena Morgan Jones nie żyje, tak jak rzekła Raven, a teraz zrodzi się nowa Lena, tak jak każdej wiosny natura wypuszcza nowe kwiaty i liście wyrosłe na starych, na śmierci i zgni-liźnie. Zastanawiam się, kim będzie ta nowa dziewczyna.

Przez chwilę czuję bolesne ukłucie smutku. Musiałam poświęcić tak wiele, zrezygnować z tak wielu tożsamości i życiorysów. Wyrosłam na gruzach mojego dawnego życia, rzeczy i ludzi, którzy byli dla mnie ważni: mamy, Grace, Hany, Aleksa.

A teraz Juliana.

To nie taką osobą chciałam się stać.

Gdzieś w oddali słyhać pohukiwanie sowy, które brzmi przejmująco w zapadającym zmroku, jak cichy alarm. To właśnie wtedy tak naprawdę mnie to uderza, ta pewność jak betonowa ściana, która we mnie wyrasta: to nie tego chciałam. To nie po to przybyłam do Głuszy, nie dlatego

Alex pragnął, żebym się w niej znalazła — nie po to, bym odwracała się plecami i grzebała ludzi, na których mi zależy, i nie po to, żebym budowała siebie twardą i nieczułą na stosie ich ciał, jak robi to Raven. Bo tak właśnie postępują zombie.

Ale nie ja. Pozwoliłam, by zbyt wiele rzeczy w moim życiu się rozpadło. Ze zbyt wielu rzeczy musiałam zrezygnować.

Sowa pohukuje znowu i teraz jej krzyk jest donośniejszy, wyraźniejszy. Zresztą wszystko wydaje się wyrazistsze: trzeszczenie suchych drzew, zapachy unoszące się w powietrzu, głębokie i wielowarstwowe, dudnienie, które narasta w oddali, a potem znowu cichnie.

Ciężarówka. Nie zwracałam baczniejszej uwagi na te odgłosy, ale teraz uświadamiam sobie, że pewnie znajdujemy się niedaleko autostrady. Musieliśmy przyjechać z Nowego Jorku, co oznacza, że da się tam też wrócić.

Nie potrzebuję Raven ani Tacka. I nawet jeśli Raven miała rację, że Lena Morgan Jones już nie żyje, to na szczęście ona także nie jest mi potrzebna.

Wracam do magazynu. Raven siedzi przy stole i pakuje jedzenie do szmacianych tobołków, które przy wiążemy do naszych plecaków, a po rozbiciu obozu, przed snem, zawiesimy je na gałęziach drzew, żeby nie dobrały się do nich dzikie zwierzęta.

W każdym razie tak właśnie robi ona.

— Hej. — Uśmiecha się do mnie, zbyt miło, tak jak przez cały wieczór. — Najadłaś się?

Kiwam głową.

— Bardziej niż ostatnimi czasy — odpowiadam i widzę na jej twarzy grymas. Wiem, że odebrała to jako przytyk, ale to było silniejsze ode mnie. Opieram się o stół, gdzie suszą się na szmatce małe ostre noże. Raven przyciąga kolano do piersi.

— Posłuchaj, Lena. Przepraszam, że nie powiedzieliśmy ci wcześniej. Myślałam... no cóż, myślałam po prostu, że tak będzie lepiej.

— To był też bardziej wiarygodny test — mówię, a ona szybko podnosi wzrok. Pochylam się i dotykam rękojeści noża.

Raven wzdycha i znowu ucieka spojrzeniem.

— Wiem, że musisz nas teraz nienawidzić — zaczyna, ale jej przerywam:

— Nie nienawidzę was.

Prostuję się, porywając nóż, i wsuwam go do tylnej kieszonki spodni.

— Naprawdę? — Przez chwilę Raven wygląda na dużo młodszą, niż jest w istocie.

— Naprawdę — odpowiadam, a ona uśmiecha się delikatnie, z wyraźną ulgą. Tym razem jest to szczery uśmiech. — Ale też nie chcę być taka jak wy — dodaję po chwili.

Jej uśmiech blaknie. I w tej chwili dociera do mnie, że być może widzę ją po raz ostatni. Przeszywa mnie ostry ból, niczym nóż wbity w sam środek piersi. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek kochałam Raven, ale to ona dała mi życie tutaj, w Głuszy. Była mi zarówno matką, jak i siostrą. I jest kolejną osobą, którą będę musiała pochować.

— Pewnego dnia zrozumiesz — mówi i wiem, że naprawdę w to wierzy. Spogląda na mnie okrągłymi oczami,

w których widać pragnienie, bym pojęła, że czasem trzeba poświęcić bliskich dla sprawy, że to piękno może powstać tylko na stosie zbudowanym ze zmarłych.

Ale tak naprawdę to nie jest jej wina. Raven sama bardzo wiele straciła i ona także pogrzebała siebie. Po drodze zostawiła skrawki swojego życia. Jej serce zaś przycupnęło obok pochowanych tuż przy zamarznętej rzece kości, które wyłonią się z wiosennych roztopów niczym szkielet statku spośród wód.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiadam tak łagodnie, jak tylko potrafię, i tymi słowami się z nią żegnam.

Chowam nóż do plecaka i upewniam się, czy dalej mam z sobą mały plik dowodów, które ukradłam Hienom. Na pewno się przydadzą. Biorę wiatrówkę leżącą obok jednego z łóżek i z małej nylonowej torby spakowanej na jutro wyciągam batony muesli i kilka butelek wody. Plecak jest ciężki, nawet po pozbyciu się *Księgi SZZ* — która już nigdy na nic mi się nie przyda — ale nie śmiem zrezygnować z prowiantu. Jeśli uda mi się pomóc Julianowi w ucieczce, będziemy musieli zwiewać ile sił w nogach, byle szybciej i dalej, a nie mam pojęcia, ile czasu minie, zanim natkniemy się na jakiś azyl.

Idę po cichu w stronę bocznych drzwi, które wychodzą na parking. Mijam po drodze tylko jedną osobę — wysokiego chudego mężczyznę z płomiennymi włosami, który zaszczyca mnie ledwie przelotnym spojrzeniem. To jest umiejętność, którą nabyłam w Portland i której nigdy nie zapomniałam: jak skurczyć się w sobie i stać się niewidzialną. Przemykam szybko przez pokój, gdzie siedzi

większość członków ruchu oporu, w tym Tack. Rozparci wokół radia śmieją się i rozmawiają. Ktoś pali skręconego papierosa. Ktoś inny tasuje talię kart. Tack siedzi plecami do mnie i w milczeniu mówię w jego stronę: żegnaj.

A potem wymykam się w noc i oto jestem wolna.

Nowy Jork wciąż tworzy poświatę nad południową częścią nieba, pewnie od kilkudziesięciu minut trwa już godzina policyjna, kiedy wyłącza się prąd w większości dzielnic miasta. Tylko najbogatsi mieszkańcy, członkowie rządu, naukowcy i tacy jak Thomas Fineman mają nieograniczony dostęp do energii.

Zaczynam biec w kierunku autostrady, przystając co jakiś czas i nasłuchując ciężarówek. Przeważnie odpowiada mi cisza, przerywana od czasu do czasu pohukiwaniem sów i szelestem leśnych zwierząt. Ruch na drodze jest sporadyczny. Pewnie jeżdżą tędy tylko samochody dostawcze.

Ale oto nagle wyrasta przede mną długa, gęsta rzeka betonu, srebrząca się w świetle wschodzącego księżyca. Skracam na południe i zwalniam do marszu. Z moich ust wydobywają się kłęby pary. Powietrze jest rześkie, rzadkie i zimne, tnie moje płuca za każdym razem, gdy biorę oddech, tyle że to dobry rodzaj bólu.

Cały czas mam autostradę po prawej i pilnuję się, by za bardzo się do niej nie zbliżyć. Wzdłuż niej mogą być rozsiane posterunki, a ostatnią rzeczą, jakiej mi trzeba, jest natknięcie się na patrol.

Znajduję się pewnie około trzydziestu kilometrów od północnej granicy Manhattanu. Straciłam poczucie czasu, ale wydaje mi się, że dopiero po jakichś sześciu godzinach marszu dostrzegam w oddali wysoką betonową ścianę wyznaczającą granicę miasta. Nie szłam zbyt szybko.

Nie mam latarki, a księżyc często znika za gęstą plataniną gałęzi przypominających ciasno splecione kościste palce. Czasami praktycznie wędruję po omacku. Na szczęście autostrada po prawej stronie odbija nieco światła, wyznaczając mi kierunek wędrowki. Bez tego pewnie bym się zgubiła.

Portland otoczone było zwykłym drucianym ogrodzeniem, które miało być podłączone do prądu. W Nowym Jorku fragmenty granicy zbudowane są z betonu i pętli drutu kolczastego, z wysokimi wieżami strażniczymi, porozrzucanymi w pewnej odległości wzdłuż muru, i reflektorami rozjaśniającymi w ciemności sylwetki drzew po drugiej stronie, w Głuszy. Jestem wciąż jakieś dwieście metrów od granicy - jej światła są słabo widoczne, ledwo mrugają przez drzewa - ale przykucam i kieruję się powoli w stronę autostrady, nastawiając uszu. Wątpię, by po tej stronie były jakieś patrole, ale i w tej dziedzinie wszystko mogło się zmienić. Ostrożności nigdy nie za wiele.

Jakieś pięć metrów od autostrady znajduje się długi, płytki rów, wyściełany cienką warstwą gnijących liści i upstrzony kałużami z deszczu oraz topniejącego śniegu. Zsuwam się doń i przywieram ciasno do ziemi. Dzięki temu nie powinno mnie być widać z autostrady, nawet jeśli jest patrolowana. Czuję, jak wilgoć przesiąka przez spodnie od dresu, i uświadamiam sobie, że kiedy dotrę do Manhattanu, będę się musiała w coś przebrać. Nie uda mi się przejść przez ulice miasta w tym stroju bez wzbudzania podejrzeń. Ale o tym pomyślę później.

Upływa dużo czasu, zanim z oddali zaczyna dobiegać buczenie silnika. Reflektory błyszczą z daleka, stopniowo rozświetlając wirującą mgłę. Warcząca ciężarówka — ogromna,

biała, oznaczona logo sieci sklepów spożywczych — mija mnie i zwalnia, gdy zbliża się do granicy. Podnoszę się na łokciach. W murze granicznym jest przerwa zakratowana ciężką żelazną bramą, którą przecina rozpościerająca się jak srebrny język autostrada. Gdy ciężarówka przystaje, z wartowni wyłaniają się dwie ciemne postaci. Oświetlone od tyłu reflektorami wyglądają jak wyrzeźbione cienie z czarnymi zarysami karabinów. Znajduję się zbyt daleko, by dosłyszeć, co mówią, ale przypuszczam, że sprawdzają kierowcom dokumenty. Jeden ze strażników okrąża samochód, dokonując inspekcji. Nie otwiera jednak dna ciężarówki ani nie sprawdza wnętrza. A zatem nie są zbyt gorliwi. Tym lepiej dla mnie.

Przez następne kilka godzin widzę jeszcze pięć przejeżdżających ciężarówek. W każdym przypadku rytuał się powtarza, aczkolwiek jedna ciężarówka, z napisem EXXON, zostaje otwarta i dokładnie przeszukana. Obserwuję i obmyślam plan. Przesuwam się bliżej granicy, trzymając się cały czas tuż przy ziemi, przemieszczając się tylko wówczas, gdy autostrada jest pusta i księżyc chowa się za jedną z ciężkich, masywnych chmur. Kiedy jestem jakieś dziesięć metrów od muru, znowu przykucam i czekam. Z tej odległości widzę nawet twarze strażników, gdy wyłaniają się co jakiś czas z budki strażniczej i okrążają przybyłe ciężarówki. Dochodzą mnie też strzępy rozmów: pytają o dowody, sprawdzają prawo jazdy i dokumenty rejestracyjne samochodu. Rytuał trwa nie dłużej niż trzy, cztery minuty. Będę musiała działać szybko.

Jest zimno, mogłam założyć coś cieplejszego niż wiatrówkę. Ale przynajmniej chłód nie pozwala mi stracić czujności.

Kiedy wreszcie pojawia się możliwość działania, słońce zaczyna już wschodzić za cienką zasłoną ciemnych poszarpanych chmur. Reflektory wciąż się palą, ale w bladym świetle poranka ich moc słabnie i już tak nie oślepiają.

Przed bramą zatrzymuje się śmieciarka, która z jednej strony ma przymocowaną drabinę prowadzącą na metalowy dach. Biorę do ręki kamień wyszukany wcześniej w rowie, choć najpierw muszę trochę poruszać palcami, by przywrócić w nich krążenie. Kończyny mam zeszywniałe i obolałe z zimna.

Jeden ze strażników okrąża ciężarówkę z karabinem w ręku. Drugi stoi przy oknie kierowcy, dmuchając w rękę, i zadaje standardowe pytania: „Skąd pan jedzie i dokąd się udaje?”.

Podnoszę się z kamieniem w ręku i przykucnięta przebiegam szybko między drzewami, uważając, by stawiać stopy tylko na mokrej ściółce, która tłumi dźwięk moich kroków. Serce wali mi mocno i podchodzi do gardła, tak że ledwo oddycham. Strażników mam po prawej stronie, kilka metrów ode mnie. Będę mieć tylko jedną szansę.

Kiedy jestem na tyle blisko muru, by mieć pewność, że trafię, biorę zamach i rzucam kamieniem w jeden z reflektorów. Następuje mała eksplozja i rozlega się brzęk tłuczonego szkła. Natychmiast się chowam, a obaj strażnicy odwracają się gwałtownie.

— Co się dzieje, do cholery? — mówi jeden z nich i rusza biegiem w stronę zniszczonego reflektora, zarzucając karabin na ramię. Modlę się, by drugi strażnik ruszył za nim. Ten jednak stoi niepewnie i tylko przekłada broń z lewej ręki do prawej, po czym spluwa.

No idź, idź, idź.

- Proszę zaczekać - mówi do kierowcy, a potem rusza w ślady kolegi.

Oto moja szansa. Strażnicy zajęci są oglądaniem roztrzaskanego reflektora w odległości jakichś dziesięciu metrów od bramy. Muszę się zbliżyć do ciężarówki od strony pasażera. Schylam się i kurczę tak, jak tylko potrafię. Nie mogę ryzykować, że kierowca dojrzy mnie w lusterku. Przez dwadzieścia straszliwych sekund jestem na drodze całkowicie odsłonięta, pozbawiona ochrony drzew i krzaków, które służyły mi za kryjówkę, i wtedy nagle dopada mnie wspomnienie pierwszego razu, gdy Alex zabrał mnie do Głuszy. Przypomina mi się, jaka byłam przerażona, przechodząc przez ogrodzenie, jak czułam się bezbronna i obnażona.

Jeszcze tylko dziesięć kroków, jeszcze pięć, dwa. Wreszcie podciągam się na drabinę, której zimny metal szczypie mnie w palce. Kiedy docieram na dach, przylegam do niego płasko brzuchem, na warstwie rdzy i ptasich odchodów. Nawet metal wydziela słodki, mdlący fetor gnijących śmieci - zapach, który musiał przeniknąć przez lata przez konstrukcję ciężarówki. Chowam twarz w rękawie, by powstrzymać kaszel. Dach jest nieco wklęsły i otoczony pięciocentymetrową metalową barierką, a więc przynajmniej nie będę się bała, że spadnę, gdy wreszcie ruszymy. W każdym razie taką mam nadzieję.

— Hej! — krzyczy kierowca w stronę strażników. — Możecie mnie przepuścić? Muszę się trzymać harmonogramu!

Na początku odpowiada mu cisza. Upływa wieczność, zanim słyszę powracające kroki i jeden ze strażników oznajmia:

— W porządku, proszę jechać.

Żelazna brama otwiera się ze szczękiem i ciężarówka rusza. Gdy nabiera prędkości, pęd spycha mnie do tyłu, na szczęście udaje mi się zaklinować ręce i nogi o metalową barierkę. Z góry muszę wyglądać jak ogromna rozgwieżdżona przyssana do dachu. Wiatr smaga mnie, kłując w oczy, a wraz z nim uderza mnie przenikliwie zimno, niosące z sobą zapach pobliskiej rzeki Hudson. Po lewej, tuż za autostradą, znajduje się miasto: billboardy, zdemontowane lampy i brzydkie bloki o szarofioletowej powierzchni, która wygląda jak posiniaczona skóra zwrócona w stronę wschodzącego słońca.

Warcząca ciężarówka sunie autostradą, a ja skupiam się tylko na tym, by się na niej utrzymać, by nie wypaść na drogę. Zimno przenika mnie teraz aż do bólu, mam wrażenie, jakby tysiące igiełek wbijało mi się w twarz i ręce. Muszę zaciskać powieki, ponieważ oczy mi łzawią. Powoli wstaje ponury dzień. Czerwony blask na horyzoncie szybko się wypala, zassany przez chmury. Zaczyna mżyć. Każdą kroplę deszczu odczuwam jak odłamek szkła na skórze, a dach ciężarówki staje się śliski i coraz ciężiej mi się na nim utrzymać.

Na szczęście wkrótce zwalniamy i zjeżdżamy z autostrady. Jest jeszcze wcześnie, więc ulice są na ogół spokojne i ciche. Jedziemy przez wąskie kaniony pomiędzy wysokimi wzgórzami ze stali i betonu. Nade mną wyłaniają się strzeliste wieżowce, jak wielkie palce wyciągnięte w stronę nieba. Czuję też zapachy jedzenia wydobywające się na ulicę przez otwarte okna, woń benzyny i dymu. Czuję bliskość milionów ludzi.

Pora wysiadać.

Gdy ciężarówka zatrzymuje się na światłach, schodzę po drabinie — rozglądając się wokół, by się upewnić, że nikt mnie nie obserwuje — i ląduję miękko na chodniku. Śmieciarka rusza dalej, a ja zaczynam tupać i chuchać na ręce, by przywrócić czucie w palcach. Siedemdziesiąta Druga Ulica. Julian mówił, że mieszka przy Charles Street, a to jest daleko na południe. Z natężenia światła wnioskuję, że musi być koło siódmej — a może trochę później, jako że gęsta warstwa chmur utrudnia dokładniejsze określenie czasu.

Nie mogę ryzykować, że ktoś mnie zobaczy w autobusie w takim stanie. Jestem przemoczona i ubłocona. Zawracam więc w stronę West Side Highway i ścieżki dla pieszych, która łączy północ z południem, przez długi, dobrze utrzymany park, biegnący równoległe do rzeki. Tutaj łatwiej będzie uniknąć ludzi. Wątpię, by ktoś wybrał się na poranny spacer w taki deszczowy dzień. Z niewyspania czuję piasek pod powiekami, a moje stopy wydają się z ołowiu. Każdy krok jest męczarnią. Ale jednocześnie każdy krok przybliża mnie do Juliana i do dziewczyny, jaką pragnę się stać.

Widziałam raz w wiadomościach zdjęcia domu Finemanów i szybko go odnajduję, gdy tylko odsłania się przede mną platanina wąskich uliczek na West Village, tak różna od uporządkowanej sieci ulic charakteryzującej resztę Manhattanu, że dziwię się, czemu Thomas Fineman zdecydował się tu zamieszkać. Deszcz nie przestaje padać, woda chlupocze mi w butach. Domu Finemanów nie da się pomylić z żadnym innym: jest największy w dzielnicy, a do tego jako jedyny otoczony wysokim kamiennym murem. Żelazna brama, obwieszona ciemnymi gniazdami bluszczu, odsłania widok na frontową ścieżkę i mały

brązowy ogród, który teraz zamienił się w błoto. Mijam dom, szukając śladów ludzkiej obecności, ale wszystkie okna są zasłonięte, a jeśli jacyś ochroniarze pilnują Juliana, to muszą być w środku. Czuję wielki przypływ satysfakcji na widok graffiti nabazgranego na kamiennym murze: MORDERCA. Raven miała rację — z każdym dniem ruch oporu rośnie w siłę.

Jeszcze jedna runda po okolicy i tym razem obserwuję całą ulicę, notując w myślach każdy szczegół, wypatrując ewentualnych świadków czy wścibskich sąsiadów, szukając potencjalnych problemów i dróg ucieczki. Chociaż przemokłam do suchej nitki, cieszę się, że pada. To mi ułatwia zadanie. Przynajmniej ludzie siedzą w domach.

Podchodzę do żelaznej bramy, starając się zignorować dzwoniący w głowie niepokój. Jest tam cyfrowy zamek, tak jak mówił Julian. Mały ekran LCD każe mi wpisać PIN. Przez chwilę mimo deszczu i rozpaczliwego szamotania serca w piersi stoję bez ruchu, zdumiona elegancją tych pięknych, brzęczących prądem rzeczy i urządzeń na piloty, tego świata, w którym jest pod dostatkiem energii, podczas gdy połowa kraju pozostaje pogrążona w ciemności i ciasnocie, w upale albo zimnie, rzucając się na choćby odrobinę elektryczności jak psy na kość.

Po raz pierwszy przychodzi mi do głowy myśl, że to właśnie może być celem stawiania murów i wytyczania granic, aplikowania remedium i mówienia kłamstw — oni są jak pięść zaciskająca się coraz bardziej. Świat może być piękny, ale tylko dla ludzi, którzy mieli tyle szczęścia, by znaleźć się po właściwej stronie.

Pozwalam, by nienawiść narastała we mnie. To mi pomoże.

Julian mówił, że w bramie lub gdzieś wokół niej jego rodzina chowa wskazówki mające przypominać, jaki jest kod do wejścia.

Nie zabiera mi dużo czasu odgadnięcie pierwszych trzech cyfr. Nad bramą przypięto małą metalową tablicę z wyrytym cytatem z *Księgi SZZ*: SZCZĘŚLIWI, KTÓRZY ZNAJĄ SWOJE MIEJSCE; MĄDROŚCI PEŁNI, KTÓRZY PODAŻAJĄ WŁAŚCIWĄ ŚCIEŻKĄ; BŁOGOSŁAWIENI, KTÓRZY SŁUCHAJĄ SŁOWA.

To znana sentencja, pochodząca akurat z Lamentacji, części *Księgi SZZ*, którą dobrze znam. Jej bohaterka Maria Magdalena jest moją imienniczką. Dawniej przetrząsałam te strony, szukając śladów mojej mamy, motywów, jakie nią kierowały, i przesłania, jakie chciała mi przekazać.

Księga 9, sentencja 17. Wystukuję na klawiaturze 917: jeśli dobrze strzelam, potrzebna mi jeszcze jedna cyfra. Już mam zamiar zacząć wstukiwac ją na oślep, kiedy coś w ogrodzie przyciąga mój wzrok. Nad gankiem wiszą cztery papierowe lampiony z logo AWD, powiewając na wietrze. Jeden z nich zerwał się częściowo ze sznurka i teraz zwisa dziwacznie, jak do połowy odcięta głowa, stukając o frontowe drzwi. Gdyby nie logo AWD, lampiony wyglądałyby jak dekoracje z urodzinowych kinderbalów. W ogóle nie pasują do masywnego kamiennego ganku i ponurego ogrodu.

To musi być celowe. To musi być znak.

9174. Brama klika, zamki chowają się i oto jestem w środku.

Szybko wślizguję się do ogrodu i zamknawszy za sobą furtkę, rozglądam się wokół, by zapamiętać, co tylko się da. Pięć pięter, wliczając w to położoną poniżej poziom

ziemi piwnicę. Wszystkie zasłony zaciągnięte, wszędzie ciemno. Nawet nie podchodzę do drzwi frontowych. Na pewno będą zamknięte, a jeśli są tu jacyś ochroniarze, bez wątpienia czekają w hallu. Obchodzę więc dom i odnajduję betonowe schody wiodące w dół do drewnianych drzwi — wejścia do piwnicy. W ceglany murze jest małe okienko, ale ciężkie drewniane żaluzje całkowicie zasłaniają widok na wnętrze domu. Będę musiała wejść w ciemno i modłę się, by chociaż przy tym wejściu nie było ochroniarzy.

Drzwi są zamknięte, ale gałka jest stara i wysłużona, więc powinna być względnie łatwa do otwarcia. Przyklekam i wyciągam zabrany z magazynu nóż. Tack pokazywał mi kiedyś, jak otwierać zamki ostrzem, nie domyślając się nawet, że Hana i ja posiadłyśmy tę umiejętność wiele lat temu, żeby dobierać się do spiżarni, gdzie jej rodzice zamykali słodycze na klucz. Wtykam końcówkę noża w wąską przestrzeń między drzwiami a ramą i po kilku chwilach manipulowania zamek puszcza. Wkładam nóż do kieszeni wiatrówki, by mieć go teraz pod ręką, biorę głęboki oddech i wchodzę do środka.

W piwnicy jest bardzo ciemno. Pierwszą rzeczą, która mnie uderza, jest zapach: woń świeżego prania, pachnących cytryną ręczników i płynu do płukania. Drugą zaś jest cisza. Opieram się o drzwi i czekam, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności. Wreszcie zaczynają się z niej wyłaniać kształty: pralka i suszarka stojące w kącie i porozciągane wszędzie sznury do bielizny.

Zastanawiam się, czy to tutaj zamknięto brata Juliana. Czy to tutaj zmarł, samotny, skulony na betonowej podłodze, pod mokrymi prześcieradłami, z nozdrzami

wypełnionymi zapachem wilgoci. Szybko usuwam z głowy tę myśl. Gniew pomaga tylko do pewnego momentu. Potem przeradza się we wściekłość, a wściekłość czyni człowieka nieostrożnym.

Oddycham z ulgą. Nikogo tutaj nie ma, pustka jest wręcz namacalna.

Przechodzę przez suszarnię, nurkując pod kilkoma parami męskich slipów wiszących na sznurku. W głowie błyska myśl, że jedno z nich mogą należeć do Juliana.

To straszne, jak łatwo umysł potrafi się rozproszyć.

Za suszarnią znajduje się mały schowek wypełniony środkami czystości, a dalej wąskie drewniane schody prowadzące na piętro. Wchodzę na górę ostrożnie, bo schody są stare, wypaczone i wyglądają tak, jakby miały narobić hałasu.

Na górze znajdują się drzwi. Nasłuchuję przez chwilę. W domu panuje cisza. Czuję w sercu niepokój i ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Coś tu nie gra. Za łatwo mi idzie. Powinni tu być ochroniarze i porządkowi. Powinnam słyszeć kroki, przytłumione dźwięki rozmów — wszystko, tylko nie tę martwą ciszę, wiszącą ciężko jak gruby koc.

W chwili kiedy otwieram drzwi i wychodzę na korytarz, dociera do mnie brutalna prawda: wszyscy już pojechali. Przybyłam za późno. Musieli odwieźć Juliana na zabieg wczesnym rankiem i dlatego teraz dom jest pusty.

Mimo to czuję wewnętrzny przymus, by sprawdzić każdy pokój. Panika narasta — spóźniłam się, Juliana już nie ma, jest po wszystkim. Próbuję stłamsić to uczucie, by mieć siłę iść dalej, przemieszczać się bezszelestnie po miękkich dywanach i przeszukiwać każdą szafę, jak gdyby w środku miał się nagle objawić Julian.

Najpierw sprawdzam salon, który pachnie środkiem do czyszczenia mebli. Ciężkie kotary są zaciągnięte, zasłaniają widok na ulicę. Dalej jest nieskazitelnie czysta kuchnia i jadalnia sprawiająca wrażenie nieużywanej, łazienka, która mdło pachnie lawendą, i pokój zdominowany przez największy ekran telewizyjny, jaki w życiu widziałam. Potem przychodzi kolej na gabinet wypełniony ulotkami AWD i innymi materiałami propagandowymi wychwalającymi zalety remedium. W głębi korytarza natrafiam na zamknięte drzwi. Przypomina mi się opowieść Juliana o drugim gabinecie ojca. To pewnie musi być pokój zakazanych książek.

Na górze znajdują się trzy sypialnie. Pierwsza wygląda na nieużywaną, jest sterylna i przesiąknięta zapachem stęchlizny. Czuję instynktownie, że to był pokój brata i że stoi zamknięty od jego śmierci.

Biorę głęboki oddech, kiedy dochodzę do pokoju Juliana. Wiem, że należy do niego. Pachnie nim. Nawet jeśli był tu więźniem, nie widać śladów walki. Łóżko jest zasłane, na pościel w zielono-białe paski naciągnięto niedbale miękką niebieską kape.

Przez chwilę mam ochotę usiąść na łóżku i się rozpłakać, otulić się jego kocami w ten sam sposób, w jaki jego ramiona oplotły mnie w talii w Ocaleniu. Drzwi od szafy są lekko uchylone. Widzę koszule wiszące na wieszakach i półki, na których leżą złożone dzinsy. Normalność tego widoku niemal mnie zabija. Nawet w świecie wywróconym do góry nogami, w świecie wojny i szaleństwa, ludzie wieszają swoje ubrania, składają spodnie, ścielą łóżka.

To chyba jedyny sposób, by przetrwać.

Następny pokój jest dużo większy, główne miejsce zajmują w nim dwa szerokie łóżka usytuowane w odległości kilku metrów od siebie — to sypialnia Finemanów. W dużym lustrze wiszącym nad łóżkiem dostrzegam własne odbicie i wzdrygam się. Nie widziałam się od wielu dni. Twarz mam bladą, ściągniętą, kości policzkowe wystające, a podbródek usmarowany błotem, tak samo jak ubranie. Od deszczu z włosów zrobiło się siano. Wyglądam jak zbieg ze szpitala psychiatrycznego.

Przeszukuję garderobę pani Fineman i wybieram z niej miękki kaszmirowy sweter oraz parę czystych, ciemnych dżinsów. Są na mnie za szerokie, ale gdy zapinam się paskiem, wyglądają prawie normalnie. Wyciągam nóż i owijam ostrze w podkoszulek, bym mogła go bezpiecznie nieść w kieszeni wiatrówki. Resztę swoich ubrań zwijam w kłębek i wpycham na sam tył szafy, za stojak na buty. Zerkam na zegarek przy stoliku nocnym. Ósma trzydzieści.

W drodze na dół mój wzrok pada na regał z książkami stojący we wnęce w korytarzu oraz na małą figurkę koguta na najwyższej półce. Nie wiem, co mnie nachodzi ani co mi przyjdzie z tej wiedzy, ale ciekawa jestem, czy Thomas Fineman dalej trzyma tu klucz do drugiego gabinetu. Jest takim typem człowieka, który byłby do tego zdolny nawet po tym, jak syn odkrył jego tajemnicę. Może wierzył, że bicie okaże się wystarczającym środkiem odstraszającym. Mógł też zrobić to w ramach testu i drażnienia się, tak żeby Julian przy każdym spojrzeniu na tę głupią figurkę przypominał sobie swój czyn i żałował.

Regał nie jest jakoś szczególnie duży, a ostatnia półka nie znajduje się wysoko. Jestem pewna, że teraz Julian

sięgnąłby do niej bez trudu, ale ja muszę stanąć na stołku. Gdy przesuwam porcelanową figurkę w swoją stronę, słyszę, jak coś grzechocze jej w brzuchu. Odkręcam głowę koguta i wysypuję na rękę metalowy kluczyk.

I w tej samej chwili dochodzi mnie przytłumiony odgłos kroków i słowa: „Tak, tak, dokładnie”. Serce mi staje: to głos Thomasa Finemana. W odległym końcu korytarza widzę, jak klamka frontowych drzwi zaczyna się poruszać, gdy klucz przekręca się w zamku.

Natychmiast zeskakuję ze stołka, wciąż ściskając w rękę kluczyk, i odwracam się w stronę drzwi do gabinetu. Trafiam kluczem do dziurki dopiero po kilku sekundach i w tej samej chwili słyszę szcęk zamków, a drzwi frontowe powoli się uchylają. Zamieram przerażona.

Wtedy Fineman mówi:

— Cholera. — Chwila ciszy. — Nie, Mitch, to nie było do ciebie. Upuściłem coś.

Rozmawia przez telefon. *W* czasie gdy schyla się po to, co upuścił, udaje mi się wreszcie trafić kluczem do zamka i wślizguję się szybko do zakazanego gabinetu, zamykając drzwi na ułamek sekundy przed tym, gdy trzaskają drzwi frontowe, jedno po drugim, jak uderzenie serca.

Potem kroki rozlegają się w korytarzu. Cofam się od drzwi, jak gdyby Thomas Fineman mógł wyczuć mój zapach. W pokoju jest bardzo ciemno. Ciężkie aksamitne zasłony nie są do końca zasunięte, dzięki czemu do środka wpada smuga szarego światła. Góry książek i albumów piętrzą się aż do sufitu niczym plemienne totemy. Wpadam na stół i w ostatniej chwili łapię ciężki, oprawny w skórę tom, zanim uderzy z hukiem o podłogę.

Fineman przystaje przed drzwiami gabinetu, a ja jestem bliska omdlenia. Ręce mi się trzęsą.

Nie pamiętam, czy odłożyłam głowę koguta na miejsce. Błagam, błagam, błagam, idź dalej.

— Mhm — mówi do telefonu. Jego głos jest zimny i szorstki. Nie ma w nim tej spokojnej uprzejmości, którą znam z wywiadów radiowych i spotkań AWD. — Tak, dokładnie. O dziesiątej rano. Postanowiono już. — Kolejna chwila ciszy, a potem: — Zresztą czy było inne wyjście? Jak by to wyglądało, gdybym złożył apelację?

Jego kroki wędrują w górę schodów i oddycham z ulgą, chociaż wciąż jestem zbyt przerażona, by się ruszyć. Boję się, że znowu na coś wpadnę i przewrócę któryś stos książek. Czekam więc w bezruchu, aż Thomas Fineman znowu zejdzie na dół.

— Mam — mówi, a jego głos cichnie. Wychodzi. — Róg Osiemnastej i Szóstej. Northeastern Medical.

A potem słyszę dźwięk otwieranych i zamykanych frontowych drzwi, i znowu nastaje cisza.

Odczekuję kolejne kilka minut, by się upewnić na sto procent, że jestem sama i że Fineman nie wróci. Ręce mam tak spocone, że z trudem odkładam książkę na miejsce. To opasłe tomisko, opisane złotymi literami, leżące na stole obok kilkunastu podobnych książek. Biorę je za encyklopedię, dopóki mój wzrok nie pada na słowa: WSCHODNIE WYBRZEŻE, NOWY JORK - TERRORYŚCI, ANARCHIŚCI I ODSZCZEPIENICY, wyryte na jednym z grzbietów.

Nagle czuję, jakbym dostała prosto w brzuch. Przykucam, przyglądając się teraz tytułom uważniej. To nie są

książki, lecz archiwa: ponumerowana lista najniebezpieczniejszych przestępców osadzonych w amerykańskich więzieniach, podzielonych według terytorium i systemu więziennictwa.

Powinnam już iść. Czas ucieka, a muszę znaleźć Juliana, nawet jeśli jest już za późno, by mu pomóc. Tyle że to pragnienie jest równie silne - ją też chcę odnaleźć, zobaczyć jej imię. Pragnę sprawdzić, czy znalazła się na tej liście, chociaż wiem, że musiało tak być. Moją mamę trzymano przez ponad dziesięć lat na Oddziale Szóstym, w karczerze, w miejscu przeznaczonym dla najgroźniejszych działaczy ruchu oporu i politycznych wichrzycieli.

Nie wiem, dlaczego tak mi na tym zależy. W końcu mama uciekła. Przez ponad dziesięć lat ryła w murze jak zwierzę, aż wydrążyła w nim tunel. A teraz przebywa na wolności. Nie wiem gdzie, ale widziałam ją w swoich snach: w Głuszy zawsze skapaniej w słońcu i zieleni, tam gdzie jedzenia jest zawsze pod dostatkiem. A mimo to muszę zobaczyć jej nazwisko. Odnalezienie księgi z napisem WSCHODNIE WYBRZEŻE, MAINE-CONNECTICUT nie zajmuje mi dużo czasu. Lista więźniów politycznych, którzy zostali osadzeni w Kryptach w ciągu ostatnich dwudziestu lat, zajmuje pięćdziesiąt stron. Nazwiska nie są ułożone alfabetycznie, ale według daty. Strony zapisane są ręcznym pismem, mniej lub bardziej czytelnym. Ta księga najwyraźniej przeszła przez wiele rąk. Przysuwam się bliżej okna i cienkiej smugi światła. Ręce mi się trzęsą, więc kładę księgę na rogu biurka również niemal zupełnie zavalonego książkami, zakazanymi tytułami z czasów sprzed remedium. Tyle że jestem zbyt skupiona na liście nazwisk - każde

z nich kryje autentyczną osobę, czyjeś życie wessane przez kamienne mury — by interesować się tamtymi tytułami. Tylko lekką ulgę przynosi mi świadomość, że niektórzy z tych ludzi musieli uciec po wysadzeniu części Krypt.

Bez trudu odnajduję rok, kiedy uwięziono moją mamę — skończyłam sześć lat, gdy myślałam, że zmarła. To rozdział złożony z jakichś pięciu lub sześciu stron, pewnie ze dwieście nazwisk.

Przebiegam palcem w dół strony i czuję, jak kręci mi się w głowie. Wiem, że ją tu odnajdę. I wiem, że teraz jest bezpieczna. Ale mimo to muszę to zobaczyć. Jakaś częśćka niej została zamknięta w wyblakłych śladach atramentu, którym wypisano jej nazwisko. Te pociągnięcia piórem zabrały jej życie — i moje życie również.

I wtedy oddech więźnie mi w gardle. Jest. Jej nazwisko nakreślone zostało równym pismem, dużą, elegancką kursywą, jak gdyby osoba, która wówczas była w posiadaniu archiwum, znajdowała przyjemność w tworzeniu krzywizn tych wszystkich „l” i „a”. Annabel Gilles Haloway. Krypty. Oddział Szósty, karcer. Wichrzyciel ósmego stopnia.

Tuż obok widnieje wypisany starannie numer porządkowy więźnia: 5996.

Nagle przestaję widzieć cokolwiek wokół, tak jakby te cyfry oświetlał ogromny strumień światła. Wszystko inne jest ciemnością, mgłą.

5996. Wyblakły zielony numer wytatuowany na szyi kobiety, która uratowała mnie z Ocalenia, kobiety w kominiarce.

Mojej mamy.

Teraz impresje z tamtego spotkania wracają do mnie, ale chaotycznie, jak kawałki układanki, które nie do

końca do siebie pasują: jej cichy głos, w którym była desperacja, ale i jeszcze coś. Może prośba? Smutek? Sposób, w jaki wyciągała rękę, jak gdyby chciała dotknąć mojej twarzy, zanim ją odepchnęłam. Sposób, w jaki powtarzała moje imię. Jej wzrost - w mojej pamięci zawsze była wysoka, ale tak naprawdę jest niska jak ja, pewnie nie ma więcej niż metr sześćdziesiąt. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, miałam sześć lat. Nic dziwnego, że wydawała mi się wysoka.

Wybuchają we mnie dwa słowa, a każde z nich jest jak gorąca dłoń szarpiąca moje wnętrze: „niemożliwe” i „mama”.

Zal i niedowierzanie rozdzierają mnie na części. Nie rozpoznałam jej. Zawsze myślałam, że rozpoznałabym ją od razu. Wyobrażałam sobie, że będzie taka jak mama z moich snów - spowita delikatną mgłą, rudowłosa, roześmiana. Wyobrażałam sobie, że będzie pachnieć mydłem i cytrynami, że jej dłonie będą miękkie i gładkie od kremu.

Teraz dopiero dociera do mnie, jakie to było głupie. Spędziła ponad dziesięć lat w Kryptach, w karcerze. Zmieniła się, stwardniała.

Zatrząskuję księgę szybko, jak gdyby to mogło pomóc - jak gdyby jej nazwisko było insektem przebiegającym między stronami i jakbym mogła wcisnąć je z powrotem w przeszłość. Mama. Niemożliwe. Po tym wszystkim, po tylu nadziejach, marzeniach i poszukiwaniach, byliśmy tak blisko. Dotykałyśmy się. A mimo to postanowiła się nie ujawniać. Mimo to postanowiła odejść.

Niedobrze mi. Idę przez korytarz chwiejnym krokiem i wychodzę na zewnątrz, na mżawkę. W głowie mam

puszkę, z trudem oddycham. Dopiero gdy docieram do Szóstej Alei, kilka przecznic dalej, przenikliwy chłód zaczyna rozwiewać mgłę zasnuwającą mi umysł. Uświadamiam sobie wtedy, że ciągle ściskam w ręku klucz do zakazanego gabinetu. Zapomniałam go zamknąć. Być może nawet zostawiłam otwarte drzwi frontowe.

Teraz nie ma to już znaczenia. Teraz nic nie ma znaczenia. Jest za późno, by pomóc Julianowi. Jedyne, co mi pozostaje, to patrzeć, jak umiera.

Nogi niosą mnie w stronę Osiemnastej Ulicy, gdzie Thomas Fineman będzie uczestniczył w egzekucji syna. Idę ze zwieszoną głową, ściskając rękojeść noża w kieszeni wiatrówki.

Być może nie jest jeszcze za późno na zemstę.

Northeastern Medical jest jednym z przyjemniejszych kompleksów laboratoryjnych, jakie widziałam. Ma kamienną fasadę oraz zdobione balkony i jedynie skromny mosiężny znak nad ciężkimi drewnianymi drzwiami informuje, że jest to obiekt medyczny. Pewnie kiedyś był to bank albo poczta — w czasach gdy wydatki nie były jeszcze regulowane, w czasach kiedy ludzie z różnych miast, nieoddzielonych od siebie murem, komunikowali się z sobą bez ograniczeń. Budynek ma dostojny i poważny wygląd. Ale można się było domyślić, że Julian Fineman nie zostanie uśmiercony wśród plebsu, w szpitalu miejskim lub na szpitalnym oddziale WON. Dla Finemanów wszystko, co najlepsze, nawet w obliczu śmierci.

Mżawka wreszcie ustępuje. Chowam się w bramie sąsiedniego budynku i przeglądam szybko stos dowodów

tożsamości, które ukradłam Hienom. Mój wybór pada na Sarę Beth Miller, dziewczynę, która przypomina mnie wiekiem i wyglądem. Przy pomocy noża robię wyżłobienie w miejscu, gdzie podany jest wzrost - sto siedemdziesiąt trzy centymetry - żeby nie dało się go odczytać, a potem w ten sam sposób zamazuję numer identyfikacyjny pod jej zdjęciem. Nie mam wątpliwości, że został unieważniony. Najpewniej Sara Beth Miller nie żyje.

Wygładzam włosy, modląc się, by mój wygląd można było uznać za chociaż w miarę przyzwoity, i przekraczam próg laboratorium.

W środku znajduje się poczekalnia urządzona ze smakiem, na podłodze pluszowy dywan, wokół mahoniowe meble. Ogromny zegar ścienny, zabytkowy albo przynajmniej mający za taki uchodzić, tyka cicho, wahadło kołysze się rytmicznie. W recepcji siedzi pielęgniarka, za jej plecami widać małe biuro, a w nim rzędy szaf na dokumenty, biurko i ekspres do połowy wypełniony kawą. Ale zegar, drogie meble i nawet zapach świeżo zaparzonej kawy nie są w stanie zatuszować typowej woni szpitala i środków dezynfekujących.

Po prawej stronie znajdują się podwójne drzwi ze zdobionymi mosiężnymi klamkami. Muszą prowadzić do pokoi zabiegowych.

- Czy mogę w czymś pomóc? - pyta mnie pielęgniarka. Ruszam w jej kierunku, kładę obie ręce na blacie i staram się robić wrażenie pewnej siebie i spokojnej.

- Muszę z kimś porozmawiać - oznajmiam. - To bardzo pilne.

- Czy to dotyczy sprawy medycznej? - pyta kobieta. Ma długie paznokcie, idealnie okrągło spiłowane,

i ciężką twarz z obwisłymi policzkami, przez co przypomina buldoga.

— Tak. To znaczy nie. To znaczy w pewnym sensie. — Wymyślam wszystko na poczekaniu. Kobieta marszczy brwi. — Nie chodzi o moje problemy zdrowotne. Chciałabym złożyć doniesienie. — Ściszam głos do szeptu. — Chodzi o nielegalną działalność. Wydaje mi się... wydaje mi się, że moi sąsiedzi są zarażeni.

Kobieta stuka palcami o blat.

— Najlepiej złożyć zawiadomienie na policji. Możesz pójść do któregoś z miejskich posterunków porządkowych...

— Nie o to chodzi — przerywam jej. Wyrównuję stos formularzy spiętych z sobą spinaczem, rzucając okiem na listę lekarzy, pacjentów i problemów: problemy z zasypianiem / sny!, chwiejne nastroje, grypa, i wybieram na chybił trafił nazwisko. — Muszę porozmawiać z doktorem Branshawem.

Odmawiam w myślach modlitwę, żeby doktor Branshaw okazał się mężczyzną. Ale to raczej bezpieczne założenie. Szkolenie medyczne jest długie i rygorystyczne, a od kobiet, nawet bardzo inteligentnych, oczekuje się raczej tego, że będą siedzieć w domu, spełniając swoje prokreacyjne i wychowawcze obowiązki.

— Jest pani pacjentką doktora? — Znowu stuka palcami o blat. Najwyraźniej jest znudzona.

— Doktor Branshaw będzie wiedział, co robić. To mi naprawdę nie daje spokoju. Proszę zrozumieć: mieszkam pod tymi ludźmi. A moja siostra... ona nie jest jeszcze wyleczona. O niej też myślę, wie pani. Czy nie macie tu czegoś w rodzaju, sama nie wiem... Szczepionki, którą można by jej zaaplikować?

Kobieta wzdycha, odwraca wzrok w stronę monitora i wystukuje coś na klawiaturze.

— Doktor Branshaw nie ma na dzisiaj żadnych wolnych terminów. Zresztą wszyscy nasi lekarze są zajęci w związku z pewnym wyjątkowym wydarzeniem...

— Taaak, wiem. Julian Fineman. — Niedbale macham ręką.
— Nie musi mi pani mówić.

Kobieta spogląda na mnie podejrzliwie.

— Skąd wiesz...?

— Przecież mówią o tym we wszystkich wiadomościach - przerywam jej. Wchodzę teraz w rolę bogatej, rozpieszczonej córki polityka, może kogoś z samej góry AWD. Dziewczyny, która zawsze dostaje, czego chce. — Jasne, rozumiem, że chcecie to utrzymać w tajemnicy. Kto by chciał najazdu prasy. Niech się pani nie boi, nie mówią gdzie. Ale mam znajomych, którzy mają znajomych i... sama pani wie, jak się takie rzeczy rozchodzą. — Pochylam się, kładąc obie ręce na blacie, jak gdyby była moją najlepszą przyjaciółką, której mam właśnie powierzyć sekret. — Tak między nami, to uważam, że to głupie, nie sądzi pani? Jeśli doktor Branshaw zaaplikowałby mu remedium wcześniej, kiedy już operował jego mózg, wtedy można by uniknąć całego tego zamieszania. W końcu to tylko małe nacięcie, tak to się odbywa, prawda? — Odsuwam się od niej. — To też mu powiem, jak się z nim spotkam.

— To nie jest pacjent doktora Branshawa — wtrąca pielęgniarzka. — Nie można go więc winić.

Przewracam oczami tak samo, jak robiła Hana, kiedy Andrei Grengol zdarzyło się wypalić na lekcji coś wyjątkowo głupiego.

— Oczywiście, że jest. Każdy wie, że doktor Branshaw jest prowadzącym Juliana.

— Nie, prowadzącym Juliana jest doktor Hillebrand — poprawia mnie.

Chociaż mam ochotę skakać z radości, kolejny raz przewracam oczami.

— Nieważne. Zawoła pani doktora Branshawa czy nie? — Zakładam ręce na piersi i dodaję: — Nie ruszę się stąd, dopóki się z nim nie zobaczę.

Rzuca mi pełne wyrzutu spojrzenie zwierzęcia, któremu nadepnięto na łapę. Psuję jej poranek, niszczę rutynowy porządek dnia.

— Poproszę dowód — mówi.

Wyciągam z kieszeni dowód Sary Beth Miller. Tykanie zegara jakby się spotęgowało: dźwięk jest zbyt głośny, a powietrze zdaje się od niego wibrować. Nie potrafię się skupić na niczym innym, jak tylko na tym odgłosie, który odlicza sekundy do śmierci Juliana. Z trudem udaje mi się ustać spokojnie, gdy kobieta sprawdza dowód, znowu marszcząc brwi.

— Nie mogę odczytać numeru — oznajmia.

— W zeszłym roku wylądował w suszarce — wyjaśniam, machając ręką. — Proszę posłuchać, byłabym wdzięczna, gdyby pani porozmawiała z doktorem Branshawem i powiedziała mu, że tu jestem.

— Będę musiała sprawdzić dowód w SWD — oświadcza. Udreka na jej twarzy maluje się teraz wyraźniej. Rzuca smętne spojrzenie na dzbanek z kawą i zauważam czasopismo wystające spod stosu dokumentów. Jej spokojny ranek diabli wzięli. Podnosi się zza biurka. Dopiero teraz widzę, jaka jest gruba. Guziki fartucha z trudem dopinają

się na piersiach i brzuchu. — Proszę usiąść. To zajmie kilka minut.

Wychylam głowę, obserwuję, jak kobieta mija rzędy szafek z dokumentami i znika mi z oczu. Drzwi otwierają się, przez chwilę słyszę dzwonek telefonu i czyjeś głosy, a potem zamykają się i zapada cisza, którą zakłóca jedynie tykanie zegara.

Natychmiast ruszam w stronę podwójnych drzwi.

Oznaki bogactwa nie sięgają tak daleko. Od progu wita mnie to samo smutne linoleum, te same szarobeżowe ściany co w innych laboratoriach i szpitalach. Po lewej znajdują się następne drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE. Przez małą szybę widzę wąskie schody.

Ruszam szybko korytarzem, w którym rozlega się donośne skrzypienie moich trampek, i zerkam na drzwi po obu stronach. Większość z nich jest zamknięta, a te otwarte na oścież są puste i ciemne.

Jakaś lekarka ze stetoskopem zawieszonym na szyi idzie z naprzeciwka, przeglądając kartotekę. Mijając mnie, zaciekawiona podnosi wzrok, a ja wbijam spojrzenie w ziemię. Na szczęście kobieta nie zatrzymuje mnie. Wycieram spocone ręce o tył spodni.

Laboratorium jest niewielkie i kiedy docieram do końca korytarza, widzę, że zaprojektowano je bardzo prosto: tylko jeden korytarz, biegnący wzdłuż całego budynku, a na końcu rząd wind, którymi można się dostać na pozostałe sześć pięter. Nie mam żadnego planu, pragnę jedynie znaleźć Juliana, zobaczyć go. Nie wiem, co chcę osiągnąć, ale ciężar noża przyciśniętego do mojego ciała działa na mnie pogrzipiająco.

Wjeżdżam windą na pierwsze piętro. Tutaj dużo więcej się dzieje: słycać pikanie maszyn i pomruk rozmów, lekarze wbiegają lub wybiegają z pokoi zabiegowych. Nurkuję szybko w pierwsze pomieszczenie po prawej, które okazuje się łazienką. Biorę głęboki oddech i staram się skoncentrować i uspokoić. Z tyłu toalety stoi taca, a na niej plastikowe pojemniczki na mocz. Chwytam jeden i napełniam wodą, a potem wracam na korytarz.

Przed jednym z pokoi zabiegowych stoją dwie pielęgniarki. Milkną na mój widok i chociaż unikam kontaktu wzrokowego, czuję, jak się na mnie gapią.

— Czy można w czymś pomóc? — pyta jedna z nich. Obie wyglądają identycznie, przez chwilę nawet przechodzi mi przez myśl, że są bliźniaczkami. Ale to tylko kwestia zaczesanych do tyłu włosów, nieskazitelných uniformów i identycznej szpitalnej obojętności malującej się na ich twarzach.

Pokazuję im plastikowy pojemnik.

— Chciałam tylko oddać próbkę doktorowi Hillebrandowi.

Kobieta cofa się nieznacznie.

— Gabinet doktora Hillebranda znajduje się na piątym piętrze — mówi. — Możesz to tam zostawić.

— Dzięki! — mówię i ruszam korytarzem, wciąż czując na sobie ich wzrok. Powietrze jest suche, przegrzane i każde przełknięcie śliny wywołuje ból w gardle. Przy końcu korytarza mijam przeszklone drzwi. Widzę za nimi kilku pacjentów w białych fartuchach, którzy oglądają telewizję, z rękami i nogami przywiązanymi do foteli.

Wreszcie docieram do końca korytarza i wychodzę na klatkę schodową. Według wszelkiego prawdopodobieństwa

doktor Hillebrand będzie asystował przy śmierci Juliana, a jeśli jego gabinet znajduje się na piątym piętrze, to bardzo możliwe, że tam odbywa się większość zabiegów, którym przewodzi. Nogi mi się trzęsą, gdy docieram na piąte piętro, i nie jestem pewna, czy to z nerwów, braku snu czy z powodu obu tych rzeczy naraz. Porzucam plastikowy pojemnik i przystaję na chwilę, by złapać oddech. Pot spływa mi po plecach.

Błagam — mówię w myślach, nie kierując tej prośby do nikogo szczególnego. Nie jestem pewna nawet, o co tak naprawdę proszę. O możliwość, by go ocalić. O możliwość, by go chociaż zobaczyć. Chcę, żeby wiedział, że przyszłam po niego.

Chcę, żeby wiedział, że w którymś momencie, tam w podziemiach, pokochałam go.

Błagam.

Kiedy docieram na szczyt schodów, mam już pewność, że to tu: kilkanaście metrów dalej, w głębi korytarza, przed drzwiami sali zabiegowej, stoi Thomas Fineman (z założonymi na piersiach rękami, w otoczeniu kilku ochroniarzy) i rozmawia z lekarzem i trzema laborantami.

Gdy wyjdę na korytarz, będę mieć tylko kilka sekund, zanim się odwrócą, zauważą mnie i spytają, co tu robię.

Mówią zbyt cicho, bym z tej odległości była w stanie dosłyszeć treść ich rozmowy, i na chwilę serce mi zamiera: jest już za późno, to już się stało, Julian nie żyje.

A potem lekarz — doktor Hillebrand? — spogląda na zegarek. Następne słowa wypowiada głośniej: w ciszy korytarza brzmią one tak donośnie, jak gdyby je wykrzyczał.

— Już czas — oznajmia, a gdy mężczyźni się rozchodzą, pojawia się moja szansa na działanie. Przemykam szybko

do najbliższych drzwi, za którymi, jak się okazuje, znajduje się mały gabinet do badań, na szczęście pusty.

Nie mam pojęcia, co teraz. Panika w mojej piersi narasta. Julian tu jest, tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Thomasowi Finemanowi towarzyszyło przynajmniej trzech ochroniarzy i nie mam wątpliwości, że w środku jest ich jeszcze więcej. Nie uda mi się ich ominąć.

Opieram się o drzwi, próbując się skoncentrować. Rozglądam się wokół. Z jednej strony pomieszczenia są drzwi, które muszą prowadzić do większego gabinetu, gdzie odbywają się normalne zabiegi chirurgiczne i gdzie aplikowane jest remedium.

Centralne miejsce zajmuje przykryty papierem stół, na którym leży stos złożonych szpitalnych uniformów i tacka z narzędziami chirurgicznymi. Cały pokój śmierdzi środkiem dezynfekującym i wygląda identycznie jak ten, w którym przebierałam się na ewaluację prawie rok temu, w dniu, kiedy to wszystko się zaczęło, który wystrzelił mnie daleko w przyszłość i sprawił, że wylądowałam tutaj, w tym nowym ciele, w tej nowej rzeczywistości. Zaczyna mi się kręcić w głowie i muszę zamknąć oczy. Kiedy je otwieram, mam wrażenie, jakbym spoglądała w dwa lustra ustawione naprzeciwko siebie, jakbym była przerzucana między przeszłością a teraźniejszością. Wspomnienia zaczynają pączkować — droga do laboratorium w parny dzień, krążące po niebie mewy, pierwszy raz, gdy ujrzałam Aleksa, ciemna otchłań jego ust, kiedy spoglądał na mnie z platformy obserwacyjnej i się śmiał...

I nagle przychodzi olśnienie: platforma obserwacyjna. Alex obserwował mnie z platformy usytuowanej nad pokojem zabiegowym. Jeśli to laboratorium zaprojektowane

jest podobnie jak tamto w Portland, dostęp do sali, w której chcą uśmiercić Juliana, będę mieć z szóstego piętra.

Ostrożnie wracam na korytarz. Thomas Fineman zniknął, został tylko jeden ochroniarz. Przez chwilę zastanawiam się, czy powinnam spróbować — mam z sobą nóż, ciężki i gotowy do ataku — ale wtedy mężczyzna odwraca oczy w moim kierunku. Są bezbarwne i twarde, jak dwa kamienie. Już samo ich spojrzenie każe mi się cofnąć. Czuję, jakby sięgnął przez całą długość korytarza i wymierzył cios.

Zanim ma szansę powiedzieć cokolwiek, zanim ma czas, by zarejestrować moją twarz, znikam za rogiem i jestem z powrotem na klatce schodowej.

Szóste piętro jest ciemniejsze i bardziej ponure, a do tego absolutnie ciche: nie słycać tu pomruku rozmów dochodzącego zza zamkniętych drzwi, monotonnego pikania aparatury medycznej czy skrzypienia białych butów personelu medycznego. Wszystko jest nieruchome, jak gdyby rzadko działa się tutaj cokolwiek. Po prawej stronie korytarza biegnie rząd drzwi. Serce skacze mi w piersi, gdy widzę napis na pierwszych z nich: PLATFORMA OBSERWACYJNA A.

Idę na palcach. Nie mam wątpliwości, że nikogo tu nie ma, ale cisza tylko wzmacnia mój niepokój. W tych zamkniętych drzwiach jest coś złowrogiego, powietrze jest ciężkie i gorące, przytłacza mnie jak koc. Przechodzą mnie ciarki. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, jak gdyby te wszystkie drzwi były ustami, które zaraz się otworzą i zdradzą moją obecność.

Ostatnie drzwi są oznaczone napisem PLATFORMA OBSERWACYJNA D. Ręce mam tak spocone, że ledwo

mogę nacisnąć klamkę. W ostatniej chwili wyjmuję nóż z kieszeni wiatrówki, tak na wszelki wypadek, i odwijam ostrze z podkoszulka pani Fineman. Ściskam rękojeść tak mocno, aż boli mnie dłoń. A potem przykucam i wchodzę do środka.

Platforma jest duża, ciemna i pusta. Ma kształt litery L, rozciąga się wzdłuż dwóch ścian sali zabiegowej poniżej. Całkowicie obudowana szkłem, zawiera cztery rzędy krzeseł, jeden pod drugim. Pachnie tu jak w kinie, wilgotną tapicerką i gumą.

Powoli schodzę w dół, trzymając się cały czas blisko podłogi, dziękując w duchu, że światła są wyłączone oraz że otaczająca platformę niska gipsowa ściana poniżej ciężkich szklanych szyb zasłania mnie choć częściowo przed wzrokiem ludzi znajdujących się na dole.

Nie mam pojęcia co dalej.

Spoglądam w dół. Światła w sali zabiegowej są oślepiające. Na środku stoi metalowy stół, wokół którego krąży dwójka asystentów, włączając sprzęt i usuwając z drogi niepotrzebne przedmioty. Thomas Fineman i kilku innych mężczyzn — tych z korytarza — przeniosło się do sąsiedniego pomieszczenia, które także jest oszklone, i chociaż przyniesiono im krzesła, wszyscy stoją. Zastanawiam się, co Thomas Fineman teraz myśli. Ciekawi mnie też, co z jego żoną, gdzie w tej chwili jest.

Ale nigdzie nie widzę Juliana.

Błysk światła. Przekonana, że to eksplozja, już mam się rzucić do ucieczki, kiedy zauważam w kącie mężczyznę z aparatem i identyfikatorem dziennikarskim przypiętym do krawata. Robi zdjęcia sali, błysk flesza odbija się od metalowych powierzchni i wędruje zygzakiem w górę.

No jasne. Mogłam się domyślić, że zaproszą tu prasę. Jaki to wszystko miałoby sens, gdyby nie można było tego uwiecznić i pokazać światu.

Wzbiera we mnie nienawiść, a wraz z nią narasta fala wściekłości. Niech ich piekło pochłonie.

W kącie, którego nie widać z platformy, musiało nastąpić jakieś poruszenie. Widzę, jak wszyscy odwracają się w tamtym kierunku. Thomas Fineman przeciera czoło chusteczką, to pierwsza oznaka zdenerwowania, jaką u niego widzę. Mężczyzna z aparatem również się obraca, błyskają flesze. Dwie chwile oślepiającego białego światła.

A potem do sali wchodzi Julian w towarzystwie dwóch porządkowych. Idzie sam, bez poganiania. Za nimi zaś podąża mężczyzna z koloratką - ksiądz. Trzyma przy piersi oprawioną w złoto *Księgę SZZ*, niczym talizman do ochrony przed całym brudem i okropieństwami świata.

Nienawiść zaciska mi się wokół gardła jak sznur.

Ręce Juliana skute są z przodu kajdankami. Ma na sobie ciemnoniebieską marynarkę i eleganckie dżinsy. Zastanawiam się, czy to był jego wybór, czy też to oni kazali mu się tak ubrać na własną egzekucję. Twarz ma zwróconą w drugą stronę i myślami próbuje go skłonić, by się odwrócił, by spojrział w górę. Chcę, żeby wiedział, że tu jestem. Chcę, żeby wiedział, że nie jest sam. Wyciągam bezwiednie rękę, wiodąc nią wzdłuż szyby. Chciałabym ją rozbić na kawałki, skoczyć w dół i porwać Juliana. Ale szyba jest gruba, pewnie z hartowanego szkła. Zresztą to i tak na nic by się nie zdało. Zbliżyłabym się do niego co najwyżej na kilka kroków i skończyłoby się na podwójnej egzekucji.

Ale może to już bez znaczenia. W końcu nic mi nie zostało, nie mam do czego wracać.

Porządkowi zatrzymali się przy stole. Słysząc rozmowę, dobiega mnie głos Juliana: „Czy muszę się kłaść?”. Z tej odległości, przez szybę, jest słaby i niewyraźny, ale sam dźwięk tego głosu sprawia, że chce mi się krzyknąć. Teraz cała staję się biciem serca, pulsującą chęcią działania, ale moje ciało pozostaje bierne, ciężkie jak kamień.

Jeden z porządkowych rozpina Julianowi kajdanki. Chłopak odwraca się i wreszcie widzę jego twarz. Z grymasem bólu przeciera nadgarstki. Niemal natychmiast porządkowy przypina jego prawą dłoń do jednej z nóg metalowego stołu, naciskając na ramię Juliana tak, że jest zmuszony usiąść. Ani razu nie spojrzął na ojca.

Lekarz myje ręce nad wielką umywalką w kącie sali. Bębnienie wody o metal rozlega się niezwykle donośnie. Nie mieści mi się w głowie, że można zabić człowieka w ten sposób, w jasnym świetle i w takiej przejmującej ciszy. Lekarz wyciera ręce i wkłada lateksowe chirurgiczne rękawiczki.

Ksiądz, wystąpiwszy naprzód, zaczyna czytać niskim i monotonnym głosem:

- I tak oto Izaak rósł i stawał się dumą swojego posuniętego w latach ojca. Przez pewien czas był idealnym odbiciem woli Abrahama...

To czytanie z Księgi Abrahama. Mogłam się domyślić. Bóg nakazuje w niej Abrahamowi zabić swojego jedyne syna Izaaka, po tym jak Izaak zapada na delirium. Ten spełnia wolę Boga. Zabiera syna na górę i wbija mu nóż prosto w serce. Zastanawiam się, czy to Thomas Fineman zażyczył sobie, by przeczytano ten ustęp. Oddanie Bogu, bezpieczeństwu, naturalnemu porządkowi: oto, czego naucza nas ta księga.

— Ale kiedy Abraham ujrzał, że Izaak stał się nieczysty, poprosił swe serce o przewodnictwo...

Wymawiam cicho imię Juliana. Proszę, spójrz na mnie.

Teraz podchodzi do niego lekarz i dwóch asystentów. Doktor trzyma strzykawkę. Sprawdza ją, pstrykając palcem w pojemnik, a w tym czasie jeden z asystentów podwija koszulę Juliana do łokcia.

I właśnie w tym momencie z dołu dobiega jakiś hałas i przetacza się przez całą salę. Julian gwałtownie podnosi głowę. Lekarz cofa się od stołu i odkłada strzykawkę na metalową tacę. Thomas Fineman, marszcząc brwi, pochyła się i szepcze coś do ochroniarza, podczas gdy do sali wpada kolejny asystent. Nie słyszę, co mówi, widzę tylko, jak gestykuluje gwałtownie. Mimo że ma na sobie papierową maskę chirurgiczną i za duży fartuch, po warkoczu spadającym na plecy poznaję, że to kobieta.

Coś tu nie gra.

Przysuwam się bliżej szyby, nastawiając uszu, by dosłyszeć jej słowa. W jakimś zakamarku mojego umysłu trzepece niejasna myśl, której nie mogę uchwycić. Jest coś znajomego w tej asystentce, w sposobie, w jaki gestykuluje z emfazą, wskazując lekarzowi drzwi. Ten kręci głową, zdejmuje rękawiczki i chowa je do kieszeni. Wydaje szybkie polecenie, a potem wychodzi z sali. Jeden z jego asystentów rusza szybko za nim.

Thomas Fineman przedziera się w stronę drzwi wiodących do sali. Julian jest blady i nawet stąd widzę, że jest zlany potem. Jego głos jest napięty, nienaturalnie wysoki.

— Co się dzieje? — słyszę jego słowa. — Niech ktoś mi powie, co tu się dzieje!

Asystentka z warkoczem przechodzi przez salę, otwiera drzwi Thomasowi Finemanowi i gdy on, czerwony na twarzy, wpada do środka, ona sięga do kieszeni fartucha.

I właśnie gdy błyska mi w głowie myśl - ten warkocz, te ręce, Raven! - rozlega się błysk, strzał, Thomas Fineman otwiera usta, chwieje się i pada na podłogę, a na jego koszuli rozkwitają czerwone płatki krwi.

Przez chwilę wszystko zastyga w bezruchu: Thomas Fineman leży na podłodze jak szmaciana lalka, Julian na stole z twarzą białą jak ściana, dziennikarz stoi z aparatem przy oku, ksiądz w kącie, porządkowi obok Juliana, z bronią wciąż w kaburach, Raven z karabinem.

Błysk.

Krzyk asystenta, tego prawdziwego. I wszystko zamienia się w chaos.

Kolejne strzały odbijają się rykoszetem po sali. Porządkowi krzyczą: „Na ziemię! Na ziemię!”. Trzask. Kula ląduje w grubym szkłe tuż nad moją głową, po tafli natychmiast rozchodzi się promieniście sieć pęknięć. Więcej mi nie trzeba. Chwytam najbliższe krzesło i biorę mocny zamach, modląc się, by Julian zasłonił głowę.

Rozlega się przeraźliwy dźwięk i przez ułamek sekundy wszystko jest ciche z wyjątkiem kaskady szkła i deszczu odłamków. W okamgnieniu przeskakuję betonowy mur i ląduję chwiejnie na podłodze, czując chrzęst szkła pod nogami. Podtrzymuję się jedną ręką i podnoszę ją całą umazaną krwią.

Raven porusza się jak w transie. Uchyła się przed ciosami porządkowego, wykonuje obrót, uderza go w kolano kolbą broni. Gdy tamten zgina się wpół, kładzie mu stopę

na plecach i naciska — rozlega się trzask głowy o umywalkę. Raven natychmiast odwraca się w stronę pomieszczenia, gdzie siedzą ochroniarze Finemana, i wkłada mały skalpel do dziurki, blokując zamek, po czym barykaduje wyjście metalową tacą na kółkach. Mężczyźni, wrzeszcząc, napierają na drzwi, tacka podskakuje, narzędzia padają na wszystkie strony, a stół przekrzywia się o kilka centymetrów. Jednak blokada jakiś czas wytrzyma.

Jeszcze dziesięć kroków i będę przy Julianie, jeszcze pięć — wokół krzyki, strzały, dołącza do nich wycie alarmu — aż wreszcie jestem tuż przy nim i łapię go za rękę, za ramiona, pragnąc go po prostu poczuć, upewnić się, że jest prawdziwy.

— Lena! — Przed chwilą zmagiał się z kajdankami, które przytwierdzają jego nadgarstek do stołu, ale teraz podnosi na mnie swoje jasne, błyszczące oczy, błękitne jak niebo. — Co ty tu...

— Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Leż spokojnie. Rzucam się pędem w stronę porządkowego leżącego

przy umywalce. Jak przez mgłę dochodzą mnie krzyki Raven, która wciąż wiruje i robi uniki — co z odległości wygląda jak taniec — i dźwięki stłumionych eksplozji. Dziennikarz gdzieś się ulotnił.

Porządkowy jest ledwo przytomny. Przyklękam i odcinam jego pas szybkim ruchem, a potem chwytam klucze i biegiem wracam do stołu. Prawą rękę mam mokrą od krwi, ale prawie nie czuję bólu. Dopiero za drugą próbą trafiam do zamka. Wreszcie Julian uwalnia rękę z kajdanek i przyciąga mnie do siebie.

— Przyszłaś — mówi.

— No jasne.

Nagle obok nas wyrasta Raven.

— Zmywamy się.

Minęła minuta, może mniej. Bilans: Thomas Fine-man nie żyje, sala wygląda jak pobożowisko, a my jesteśmy wolni.

Gdy rzucamy się do drzwi, rozlega się łoskot i szcęk metalu, dobiegają nas podniesione głosy — ochroniarze musieli się wydostać. A potem wybiegamy na korytarz, gdzie przenikliwie wyje alarm, z klatki schodowej dochodzi nas dudnienie kroków.

Raven wskazuje głową na prawo, w stronę drzwi oznaczonych napisem: WEJŚCIE NA DACH, TYLKO W NAGŁYCH WYPADKACH. Poruszamy się błyskawicznie, instynktownie, w milczeniu. Wybiegamy przez drzwi na metalowe schody przeciwpożarowe i pędzimy w dół. Raven mocuje się z fartuchem, zdejmuje papierową maskę i zwija kitel i maskę pod pachą. Zastanawiam się, skąd je wzięła, a wtedy staje mi przed oczami tęga recepcjonistka.

— Tędy — rzuca Raven, gdy jesteśmy na samym dole. Gdy odwraca głowę, widzę kilka drobnych ran na jej policzku i szyi, pewnie od szkła.

Wybiegamy na mały, szary dziedziniec, na którym nie ma nic oprócz zardzewiałych mebli ogrodowych i skrawka brązowej, kędzierzawej trawy. Otoczony jest niską, metalową siatką, przez którą Raven przechodzi bez problemów. Mnie jest nieco trudniej, muszę skorzystać z pomocy Juliana. Zraniona ręka zaczęła mi pulsować, a ogrodzenie jest śliskie. Pada coraz mocniej.

Po drugiej stronie znajduje się następny mały dziedziniec, niemal identyczny jak pierwszy, i kolejny budynek. Raven rzuca się w stronę otwartych i podpартych

pustakiem drzwi. Wchodzimy do ciemnego korytarza, gdzie naszym oczom ukazuje się rząd zamkniętych drzwi ze złotymi tabliczkami. Na chwilę ogarnia mnie panika, że przez pomyłkę znowu wylądowaliśmy w laboratorium, ale wtedy wychodzimy na wielki ciemny hall, gdzie stoi kilka sztucznych kwiatów w doniczkach i znaki wskazujące drogę do „Sz.P. Edwarda Wu” i „Metropolitan Vision Associates”, firmy optycznej. Za obrotowymi drzwiami widać ulicę i ludzi z parasolami, spieszących gdzieś i potracających się nawzajem.

Raven od razu kieruje się w tamtą stronę, zbaczając na chwilę tylko po to, by zabrać leżący za jedną z roślin plecak podrzucony tutaj wcześniej. Odwraca się i rzuca każdemu z nas parasol. Nakłada żółtą pelerynę przeciwdeszczową i nasuwa na głowę kaptur, zawiązuje go ciasno, żeby ukryć rany na twarzy.

A potem wychodzimy na ulicę i wtapiamy się w pędzący przed siebie tłum — w tłum bez twarzy, masę ciał w ruchu. Nigdy tak bardzo nie cieszyłam się z tego, jak ogromny jest Manhattan, z jego nienasycenia. Połyka nas, w ten sposób stajemy się wszystkimi i nikim: kobieta w żółtej pelerynie, niska dziewczyna w czerwonej wiatrówce i chłopak z twarzą skrytą pod ogromnym parasolem.

Skrećamy w prawo na Ósmą Aleję, a potem w lewo na Dwudziestą Czwartą Ulicę. Tłum został za nami: tutaj chodniki są puste, budynki zaciemnione, zasłony zaciągnięte, a okiennice zamknięte przed deszczem. Za cienkimi roletami ćmi się światło, ma się wrażenie, jak gdyby pokoje zwrócone były tyłem do ulicy i do nas. Idziemy przez szary, mokry świat przez nikogo nieobserwowani,

niezauważeni. Z kanałów wylewa się woda, w której wirują śmieci, kawałki papieru i papierosowe niedopałki. Puściłam rękę Juliana, ale idzie blisko mnie, dopasowując swój krok do mojego, tak że niemal się dotykamy.

Wychodzimy na parking, pusty, nie licząc znanej mi już białej furgonetki, która wygląda jak radiowóz z WON. Znowu przychodzi mi na myśl mama, lecz to nie jest pora, by o nią wypytywać. Raven otwiera drzwi z tyłu i zdejmuje kaptur.

— Do środka — mówi.

Julian waha się przez chwilę. Widzę, że jego wzrok spoczywa na napisie.

— Wszystko w porządku - uspokajam go, po czym pakuję się do furgonetki i siadam na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Julian wchodzi za mną. Raven kiwa głową i zamyka drzwi. Słyszę, jak wdrapuje się na miejsce pasażera. A potem następuje cisza, którą zakłóca jedynie bębnienie deszczu o blaszany dach. Jego rytm wibruje przez moje ciało. Jest zimno.

— Co tu się... - zaczyna Julian, ale go uciszam. Nie jesteśmy jeszcze bezpieczni i nie uspokoję się, dopóki nie wyjedziemy poza miasto. Wycieram wiatrówką krew z dłoni, ściągając rękaw w dół, i zaciskam rękę w pięść.

Rozlegają się czyjeś kroki, drzwi od strony kierowcy otwierają się i słyszę warkliwy głos Tacka:

— Masz ich?

— Czy byłabym tu, gdybym ich nie miała? - odpowiada Raven pytaniem na pytanie.

— Krwawisz.

— To tylko draśnięcie.

— No to jedziemy.

Silnik z drzeniem budzi się do życia i nagle mam ochotę krzyczeć z radości. Raven i Tack wrócili i warczą na siebie, tak jak zawsze robili i będą robić. Przyjechali po mnie i teraz razem udamy się na północ: znowu jesteśmy po tej samej stronie. Wrócimy do Głuszy, a ja zobaczę Huntera, Sarę i Lu.

Zwiniemy się znowu w sobie jak paproć na mrozie, zostawimy ruch oporu jego walkom i planom, Hieny ich tunelom, a AWD jej remedium, cały zaś świat jego chorobie i ślepcie. Jak dla mnie wszystko to może obrócić się w ruinę. Najważniejsze, że my będziemy bezpieczni, ukryci między drzewami, zaszyci w swoich gniazdach jak ptaki.

A do tego mam Juliana. Odnalazłam go, a on poszedł za mną. Wyciągam rękę w półmroku, bez słowa, i odnajduję jego dłoń. Splatamy nasze palce i chociaż Julian też nic nie mówi, czuję przepływające między nami ciepło i energię, niemy dialog. „Dziękuję”, mówi on, a ja: Jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa! Tak bardzo pragnęłam, żebyś był bezpieczny.

Mam nadzieję, że mnie rozumie.

Nie spałam od ponad doby, dlatego mimo wstrząsów furgonetki i bębnienia deszczu w pewnym momencie zasypiam. Budzę się, kiedy Julian szepcze moje imię. Leżę na jego kolanach, wdychając zapach jego spodni. Podnoszę się szybko, zakłopotana, i przecieram oczy.

— Zatrzymaliśmy się — mówi, chociaż to oczywiste. Deszcz przeszedł w delikatny stukot. Słyszać trzask drzwi furgonetki. Raven i Tack przekomarzają się, głośno i z werwą. Musieliśmy już minąć granicę.

Drzwi z tyłu otwierają się i oto widzę rozpromienioną Raven, a za jej plecami Tacka stojącego ze skrzyżowanymi rękami, z zadowoloną miną. Rozpoznaję opuszczony magazyn po popękany parkingu i drewnianym zarysie wychodka.

Raven podaje mi rękę, ujmuje mocno moją dłoń i pomaga wyjść z furgonetki.

- Jak brzmi magiczne słowo? - mówi, gdy tylko moje stopy dotykają chodnika. Teraz jest odprężona, zrelaksowana i uśmiecha się.

- Jak mnie znalazłaś? - Chce, bym jej podziękowała, ale przecież nie muszę. Ściska moją rękę, a potem cofa dłoń i wiem, że jest świadoma, jak bardzo jestem jej wdzięczna.

- Było tylko jedno miejsce, w którym mogłaś być - odpowiada i jej oczy wędrują za mnie, w stronę Juliana, a potem znowu do mnie. I wiem, że to jest jej sposób na wyciągnięcie ręki na zgodę i przyznanie, że nie miała racji.

Julian też wyszedł na zewnątrz i rozgląda się wokół. Oczy ma okrągłe ze zdziwienia, a usta szeroko otwarte. Włosy, ciągle mokre, zaczęły mu się podkręcać na końcach.

-Wszystko w porządku - mówię. Wyciągam rękę i chwytam jego dłoń. Znowu zalewa mnie fala radości. Tutaj można swobodnie trzymać się za ręce, przytulać, gdy człowiekowi zimno, przyklejać się jedno do drugiego w nocy, jakbyśmy byli posągami wykutymi z jednego kamienia.

- Chodźcie! - Tack rusza sprężystym krokiem w stronę magazynu. - Pakujemy się i ruszamy w drogę. Już i tak mamy dzień w plecy. Hunter będzie czekał razem z resztą w Connecticut.

Raven podnosi swój plecak i puszcza do mnie oko.

Wiesz, że z Hunterem nie ma żartów - mówi. -Zbierajmy się lepiej.

Wyczuwam dezorientację Juliana. Osobliwy dialog, dziwne imiona, bliskość bujnych, nieprzyciętych drzew -to musi być dla niego za dużo. Ale pokażę mu ten świat i on go pokocha. Pozna go i pokocha, i pokocha go poznawać. Płyną przeze mnie słowa uspokajające i piękne. Teraz jest czas na absolutnie wszystko.

- Zaczekaj! - Biegnę za Raven, która również ruszyła w stronę magazynu. Julian stoi tam, gdzie stał, nie mając śmiałości iść dalej, a ja mówię cicho, żeby mnie nie dosłyszał. - Czy... czy wiedziałas? - pytam, przełykając ślinę. Czuję, że brak mi tchu, chociaż przebiegłam zaledwie kilka metrów. - O mojej mamie.

Raven spogląda na mnie zdziwiona.

- O twojej mamie?

- Cm. - Z jakiegoś powodu nie chcę, by Julian to usłyszał, to zbyt wiele, zbyt głęboko, zbyt wcześnie.

- Kobieta, która zabrała mnie z Ocalenia - ciągnę, chociaż Raven kręci głową, a na jej twarzy maluje się konsternacja - miała na szyi wytatuowane cyfry 5996. To numer porządkowy mojej mamy, z Krypt. - Przełykam ślinę. — To była moja mama.

Raven wyciąga dwa palce, jak gdyby chciała dotknąć mojego ramienia, ale szybko opuszcza rękę.

- Przykro mi, Lena. Nie miałam pojęcia. - Jej głos jest zaskakująco łagodny.

- Muszę z nią porozmawiać, zanim stąd wyjedziemy. Są... są rzeczy, które muszę jej powiedzieć.

Tak naprawdę jest tylko jedno pytanie, które chcę jej zadać, i już sama myśl o tym sprawia, że serce bije mi

żywiej. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego pozwoliłaś, by cię zabrali? Dlaczego pozwoliłaś, bym myślała, że nie żyjesz? Dlaczego po mnie nie przyszłaś?

Dlaczego nie kochałaś mnie bardziej?

Miłość. Gdy tylko wpuścisz do swojego serca to słowo, gdy tylko pozwolisz mu zapuścić korzenie, rozprzestrzeni się jak grzyb we wszystkich zakamarkach twojej duszy -a wraz z nim pytania, drżące, pączkujące lęki, które sprawiają, że nigdy nie zaznasz spokoju. AWD przynajmniej co do tego ma rację.

Raven ściąga brwi.

- Nie ma jej tu, Lena.

Czuję, jak zasycha mi w ustach.

- Jak to jej nie ma? Raven wzrusza ramionami.

- Wyjechała rankiem razem z kilkoma innymi. Oni są wyżsi rangą. Nie wiem, dokąd się udali. Nie wolno mi pytać.

- Wobec tego ona... należy do ruchu oporu? - pytam, chociaż to oczywiste.

Raven kiwa głową.

- Sama góra - mówi łagodnie, jak gdyby miało mi to coś wynagrodzić. Rozkłada ręce. - Tylko tyle wiem.

Odwracam wzrok, przygryzam wargę. Na południowym krańcu nieba chmury rozstępują się jak prująca się powoli tkanina, odsłaniając plamy czystego błękitnego nieba.

- Przez większość życia myślałam, że nie żyje. - Nie wiem, czemu mówię to Raven ani jakie to ma znaczenie.

Wtedy Raven wreszcie ośmiela się mnie dotknąć, muska delikatnie mój łokieć.

- Ostatniej nocy przybył tu ktoś z Portland, jakiś zbieg. Uciekł z Krypt po wybuchu bomb. Nie mówił zbyt wiele, nawet nie podał swojego imienia. Nie wiem, co mu tam zrobili, ale... - Nie potrafi dokończyć. - W każdym razie może będzie coś wiedział o twojej mamie. A przynajmniej o niej z czasu, który tam spędziła.

- Okej. - Rozczarowanie przytłacza mnie i obezwładnia. Nie ma już sensu tłumaczyć Raven, że moją mamę przez wszystkie te lata trzymano w karczerze, a poza tym wcale nie muszę wiedzieć, jaka była wtedy. Chcę ją poznać teraz.

- Przykro mi - powtarza Raven i wiem, że naprawdę jest jej żal. - Ale przynajmniej wiesz, że jest wolna, prawda? Jest wolna i bezpieczna. - Przez jej twarz przebiega uśmiech. - Tak jak ty.

- Tak. - Oczywiście, Raven ma rację. Rozczarowanie trochę ustępuje. Jesteśmy wolni i bezpieczni: ja, Julian, Raven, Tack i moja mama. Wszystko jakoś się ułoży.

-Idę zobaczyć, czy Tack nie potrzebuje pomocy -mówi Raven, znowu przybierając rzeczowy ton. - Wyruszamy dziś wieczorem.

Kiwam głową. Mimo tego wszystkiego, co zaszło, dobrze jest porozmawiać z Raven i widzieć ją taką jak zawsze - w ruchu i pełną energii. Rzeczy wróciły na swoje miejsce. Raven wchodzi do środka, a ja stoję przez chwilę z zamkniętymi oczami i wdycham zimne powietrze: woń mokrej ziemi i kory, wilgotny zapach odrodzenia. Wierzę, że wszystko jakoś się ułoży. A pewnego dnia znowu odnajdę mamę.

-Lena? - Słyszę za plecami nieśmiały głos Juliana. Odwracam się. Stoi obok furgonetki, z opuszczonymi

rękami, jakby bał się ruszyć w ten nowy świat. — Wszystko w porządku?

Jego widok w tym miejscu — na tle ciemnych drzew rozciągających się po obu stronach i pod przejaśniającym się niebem — sprawia, że radość znowu we mnie wzbiera. W mgnieniu oka pokonuję dzielącą nas przestrzeń i wpadam w jego ramiona z taką siłą, że niemal przewraca się do tyłu.

— Tak. Wszystko w porządku. Nic mi nie jest. I tobie też nic nie jest. — Śmieję się. — Teraz już wszystko będzie dobrze.

— Uratowałaś mnie — szepcze. Muska ustami moje czoło. Dotyk ten sprawia, że gorąco rozchodzi się po moim ciele. — Nie wierzyłem... nie sądziłem, że po mnie przyjdiesz.

— Musiałam. — Odsuwam się na tyle, by na niego spojrzeć, nie wypuszczając go jednak z objęć. Julian kładzie mi ręce na plecach. Chociaż spędziłam długi czas w Głuszy, uderza mnie znowu, jaki to cud stać z kimś w ten sposób. Nikt nie może nam tego zabronić. Nikt nie może nas powstrzymać. Wybraliśmy się nawzajem i reszta świata może iść do diabła.

Julian odgarnia mi włosy z oczu.

— I co będzie teraz? — pyta.

— Cokolwiek zechcemy. — Radość jest falą, na której mogłabym pofrunąć, poszybować aż do nieba.

— Cokolwiek? — Uśmiech na jego twarzy rozchodzi się powoli od ust do oczu.

— Cokolwiek i wszystko — odpowiadam i oboje jednocześnie zbliżamy się do siebie i odnajdujemy usta drugiego. Na początku idzie nam niezdarnie: jego nos uderza

o moje usta, a potem trącamy się podbródkami. Ale Julian uśmiecha się i niespiesznie odnajdujemy nawzajem swój rytm. Przebiegam ustami po jego wargach, łagodnie badam jego język swoim. Wplata palce w moje włosy. Wdycham zapach jego skóry, świeży i leśny, zarazem jak mydło

i wiecznie zielone drzewa. Całujemy się miękko, delikatnie, ponieważ teraz cały czas na świecie należy do nas — nie mamy nic, tylko czas i przestrzeń, by poznawać się do woli i bez przeszkód, i całować się tyle, ile chcemy. Moje życie zaczyna się od nowa.

Julian odsuwa się, by na mnie spojrzeć. Przejeżdża mi palcem po podbródku.

— Myślę... myślę, że złapałem ją od ciebie — oznajmia, łapiąc oddech. — Delirię.

— Miłość — poprawiam i obejmuję go w pasie. — Powtórz. Julian waha się tylko przez chwilę.

— Miłość — mówi, smakując to słowo, i uśmiecha się. — Chyba mi się podoba.

— Z czasem pokochasz to słowo, uwierz mi. — Podnoszę się na palcach i Julian całuje mnie w nos, a potem muska ustami moje kości policzkowe, przebiega wargami po moim uchu i obsypuje delikatnymi pocałunkami czubek mojej głowy.

— Obiecuj, że zawsze będziemy razem, dobrze? — Błękit jego oczu przywodzi na myśl górskie jeziora. To oczy, w których można utonąć. — Ty i ja.

— Obiecuję.

Gdy wypowiadam te słowa, słyszę za sobą skrzypnięcie drzwi i odwracam się, spodziewając się ujrzeć w nich Raven, a wtedy rozlega się głos:

— Nie wierz jej.

Cały świat zamyka się wokół mnie jak powieka - na chwilę wszystko spowija mrok.

Spadam. W uszach słyszę szum. Wessało mnie do tunelu, gdzie panuje ogromne ciśnienie i chaos. Głowa zaraz mi eksploduje.

Zmienił się. Jest dużo chudszy, a od brwi aż do szczęki biegnie długa szrama. Na jego szyi, tuż za lewym uchem, wytatuowany mały numer otacza półkolem potrójną bliznę, która tak długo pozwoliła mi wierzyć, że jest wyleczony. Jego oczy - niegdyś tak słodkie i płynnobrazowe jak klonowy syrop - stały się zimne, surowe i twarde jak kamienie.

Tylko włosy zostały te same: miedziane, jak korona z jesiennych liści.

To niemożliwe. Zamykam oczy i znowu je otwieram.

Chłopak ze snu, z innego życia. Chłopak, który wrócił z za grobu.

Alex.